Wydawnictwo

na cele dobroczynne samborskie.

XI. ROCZNIK.

NOWA SERJA ILLUSTROWANA,
wydawana

NAKŁADEM I STARANIEM

G. KOHNA.

Cena 1 złr. 80 ct.

dla wszystkich prenumeratorów z wyjątkiem prenumeratorów stale
w Samborze i Przemyślu zamieszkałych.

SAMBOR.
CZCIONKAMI SCHWARZA i TROJANA.
1887—1888.



Agaton Giller. (Pośmiertne zdjęcie według fotografii Tadeusza Artychowskiego ze Stanisławowa.)

Wydawnictwo

na cele dobroczynne samborskie.

XI. ROCZNIK.

NOWA SERJA ILLUSTROWANA,

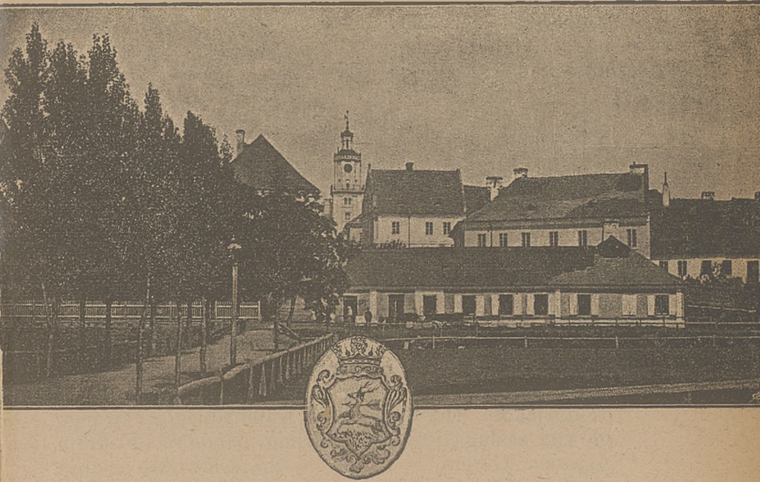
wydawana

NAKŁADEM I STARANIEM

G. KOHNA.

SAMBOR.
CZCIONKAMI SCHWARZA i TROJANA.
1887—1888.

Papier drukowy z papierni Czerlańskiej.



Ostatnie chwile
śp. AGATONA GILLERA
w Stanisławowie i pogrzeb jego.

(Pośmiertne wspomnienie.)

(Z ryciną tytułową.)

Smutną wiadomością przychodzi nam, zainaugurować jedenasty tom naszego wydawnictwa samborskiego. Umarł człowiek o niespożytej i mrówczej pracowitości, o nieskazitelnym charakterze, mąż światły i wielki, może zanadto wielki nawet — patrjota: Agaton Giller. De mortuis nil nisi bene! Można było czasem nie podzielić jego poglądów, nie

zgodzić się na to lub owo; ale nikt nie zaprzeczy temu, że przekonania śp. Gillera płynęły ze szczerego serca, dla którego miłość Ojczyzny była pobudką wszelkiego działania, Alfą i Omegą myśli. Teraz mogiła zimna zawarła się nad jego zwłokami, wspomnienie pozostało się jedyne. . . . .

Choć nieudolnem piórem, spróbujemy jednak skreślić dalsze dzieje żywota zasłużonego męża, których początek podaliśmy jeszcze w 6-m tomie wydawnictwa samborskiego.

Agaton Giller, urodzony w r. 1831-m w Opatówku, przeszedłszy rozmaite fazy życia, przetrwawszy rozmaite prześladowania i banicje, pod koniec życia swego lepszej miał się doczekać doli, lepszej o tyle, że pozwolono wygnańcowi i to dopiero po objęciu rządów namiestnikowskich przez syna Wacława z Oleska i za poręką i interwencją znakomitych i wpływowych osób, jakoto Dra Ignacego Kamińskiego, którego główną zasługą jest sprowadzenie napowrót do kraju Agatona Gillera, — osiąść w Stanisławowie, pobyt we Lwowie był mu jeszcze na razie wzbroniony.

Ale i to już wiele; bo dla prawdziwego Polaka to już wielkie szczęście, oddychać bodaj swojskiem powietrzem, czuć tę woń naszych pól i łąk rodzinnych, rozmawiać w swojskim języku ze swoimi i w szczupłem kółku rodzinnem wymieniać zdania i myśli, których ni szpieg podsłucha, ni obłudnik przekręca, ni też zdrajca objawia niepowołanym.

Giller podczas krótkiego swego pobytu w Stanisławowie, trwającego zaledwie trzy lata, nie pozostawał bezczynnym. Zasilając bez ustanku pisma polskie, wychodzące w Warszawie a nawet w Paryżu i Szwajcarji cennemi pracami swemi, nie zapominał także o piśmiennictwie krajowem w najściślejszem tego słowa znaczeniu, bo zasilał i lwowskie i prowincjonalne pisma pracami swego ducha. Żeby się kiedyś sprzeniewierzył swojej idei albo pracował li tylko dla chleba bez wyższej myśli, jak niektórzy czynią, — tego z pewnością nikt nie ważyłby się twierdzić.

Za jego pobudką i inicjatywą powstały „Kurjer Stanisławowski“ ma mu wiele do zawdzięczenia; „Gazeta Narodowa“ bardzo często umieszczała jego prace literackie a jedna z ostatnich: „Żywot śp. Domicjana Mieczkowskiego,“ uzupełniona niektóremi datami i zaopatrzona wizerunkiem śp. Mieczkowskiego, figuruje na czele dziesiątego tomu naszego wydawnictwa samborskiego. Ale w ciasnych tych granicach nie zawarła się jeszcze ostatecznie czynność literacka, działalność społeczna Agatona Gillera: wiadomo każdemu, jak dalece ten duch ruchliwy i nie spoczywający prawie nigdy, przyczyniał się do budzenia życia umysłowego także w innych. Talent najmniejszy nie mógł uchodzić jego uwadze; pomny czasów dawniejszych, kiedy jeszcze redagował „Ruch literacki,“ przyjmował on i w ostatku lat swoich, prace nieznanych autorów do przeglądania, do poprawiania i następnego umieszczania w różnorodnych publikacjach literackich, a i sam do ostatniej chwili życia swego, pióra nie wypuścił prawie z rąk.

Brał gorliwy udział nietylko w budzeniu życia umysłowego, ale także społecznego; w celu tym nieraz jeździł do Kołomyi, a ztamtąd i do Słobody Rungurskiej, aby na miejscu rozpoznać stosunki materjalne robotnika w kopalniach tamtejszych zatrudnionego. Gdzie należało oddać wyraz czci zasłużonym mężom jak: Franciszkowi Duchińskiemu, śp. Tadeuszowi Żulińskiemu i innym, tam nie próżnowało pióro Gillera, a jego biografje tych mężów pozostaną na zawsze cennem źródłem dla uczonego i badacza, choć styl ich może zbyt naukowy i ciężki, nie pozwoli na spopularyzowanie niektórych, a zwłaszcza książki o Duchińskim. Bo też śp. Giller miał to w sobie, co Niemiec tak wysoko ceni: erudycję wyczerpującą uczonego, a to u nas nie bawi, nie popłaca, nie zachęca nikogo, gdyż nawet wrażenia są u nas przemijające i dorywcze, zapał naszej inteligencji dla literatury jest „dymem bez płomienia“ a ofiarność i patrjotyzm po większej części sięgają tylko aż do kieszeni a nie w głąb tejże.

Zarzucano Gillerowi może i nie bezpodstawnie, że zachęcając zanadto oględnie młode talenta do

pisania, przyczyniał się tem samem do rozmnażania się in infinitum wielopisarstwa wcale nieporządanego dla kraju. Zarzut ten ma pewne uzasadnienie, ale nie da się też zaprzeczyć, że z tego samego źródła ciągnąć można także wnioski na usprawiedliwienie Gillera. Nikt bowiem od razu nie urodził się mistrzem, a dzierżyciele głośnych imion, męże mający za sobą szereg niespożytych zasług wymierają jeden po drugim: zkąd wziąć następców? Raczej zarzuciłbym młodej generacji coś innego, a mianowicie że zatracając wszelką indywidualność, rzuca się na błędną drogę, naśladując wielkie wzory, którym ani dorównać, ani tem mniej przewyższyć takowych nie zdoła. Można wreszcie na usprawiedliwienie Gillera i to przytoczyć, że się pewne poczucie błogie mieści w przekonaniu, że się nietylko było nauczycielem ludu, ale że się wychowywało także następców, że się nietylko było autorem, czyli twórcą nakształt Pana Boga, ale że się zachęcało także innych do tworzenia samoistnego, ale że się budziło ducha w tych, którzy zwątpili już o przeszłości i przyszłości narodu, ale że się powiadało im słowami wieszcza: „Niechaj żywi nie tracą nadziei!“

Otże takim był mąż, którego stratę nietylko miastu, którego stałym był mieszkańcem, ale całemu krajowi opłakiwać wypada. Śp. Giller umarł bezżennym; nieznająca granic miłość Ojczyzny zastąpiła mu miłość kobiety. Trzeba być samemu autorem, aby pojąć to zamiłowanie do rzeczy na pozór martwych i nie mających związku z życiem rzeczywistem, trzeba być samemu twórcą, aby odczuć tę rozkosz, to wewnętrzne zadowolenie, ten zachwyt nieziemski, który się streszcza w błogiem przekonaniu, że się ofiarowało zdrowie a nawet i życie dla dobra ogółu! Niestety! ofiarować zdrowie dla dobra ogółu, — to było i będzie ciągłym udziałem piszących, a niedaremnie większość literatów skutkiem życia siedzącego ginie na suchoty, na choroby wątrobiane, na dychawiczność!

Gillera, z którym mnie małe nieporozumienia co do treści 9go rocznika samborskiego chwilowo poróżniły, ale całkowicie poróżnić nie mogły, widziałem po raz ostatni podczas pobytu mego w Stanisławowie dnia 6go czerwca br. Któż wówczas zarodek śmierci prze-

czułby w mężczyznie, na swój wiek jeszcze dosyć krzepkim i żwawym a noszącym się z planami najrozmaitszymi! Opowiadał mi o tem, że wkrótce kraj opuści, że po śmierci śp. Kraszewskiego powołany przez hr. Platera, założyciela Muzeum Narodowego w Rapperswyllu, do objęcia zarządów tej instytucji, — pojedzie do Szwajcarji, osiędzie tam może na zawsze. A trzeba wiedzieć, że klimat szwajcarski, jesienną i zimową porą nadzwyczajnie ostry, właśnie stał się powodem pogorszenia chronicznej jego choroby. Dla męża jednak, który tak gorąco miłował Ojczyznę, jak Giller, względy na dobrobyt, na zdrowie i życie własne musiały ustępować względom wyższym. Stało się inaczej! Tułacz, którego całe życie jednem pasmem było walk i cierpień i prześladowań, umarł wśród nas, a zwłoki jego złożone zostaną w ojczystej ziemi! A może lepiej tak! Ten, który tak doskonale poznał i opisał zgniliznę, rozkładającą nasze społeczeństwo, ten, który nam w traktacie o „Serwilizmie i serwilistach“ skreślił odstraszające wzory służalstwa, ten się już nie zgorszy wstrętnym widokiem tychże, ten już martwy!

*
*   *

Przybyłem do Stanisławowa, dokąd zjazd pedagogiczny, dokąd sprawa oświaty ogółu powołała nauczycieli i nienauczycieli, literatów i nieuków. Oświata ogółu! oto potężna sprawa: w jej imieniu walczymy z ciemnotą, w jej imieniu słodzimy gorżką dolę, szerzymy miłość Ojczyzny. Otwierajcie się bramy dla przyjęcia upragnionych gości, otwierajcie się serca dla okazania im należnej czci i współczucia! A tu dochodzą mnie głuche wieści o nieszczęsnym wypadku: autor, który pracami historycznemi i naukowemi głównie przyczynił się do rozszerzenia wiedzy i oświaty, on, który żywy patrjotyzm nieomal każdem słowem swojem wpajał w serca dorastającej generacji, przyjaciel od serca Kraszewskiego, Merzbacha, Lenartowicza, zarządca długoletni Muzeum Narodowego, obrońca narodowości polskiej wobec przewagi militarnej i biurokratycznej Prusaków i

Moskali, były członek Rządu Narodowego — Agaton Giller już nie żyje!

Dwie wersje obiegają co do jego śmierci, nastąpionej prawie nagle: jedna, że cierpiąc na chroniczny katar kiszkowy, przeziębił się w rzymskich łazienkach pod tuszem, druga, że napad niespodziewany astmy położył nagły kres jego życiu. Bądź co bądź, jeszcze 16. lipca widziano go przechadzającego się po mieście, a 18go już było po nim.

Mamy przed sobą dwie kartki pośmiertne, jedną wystylizowaną i zredagowaną przez rodzinę, drugą przez długoletniego przyjaciela Gillera, Dra. Ignacego Kamińskiego.

Pierwsza brzmi:

✠

AGATON GILLER

LITERAT

po krótkich a dolegliwych cierpieniach, opatrzony śś. Sakramentami, zasnął w Panu dnia 18. lipca b. r. w 54. roku życia. *)

Obrzęd pogrzebowy odbędzie się we środę t. j. 20. lipca b. r. o godzinie 6. po południu z domu przy ulicy Kamińskiego, na który nieutulona w żalu rodzina zaprasza przyjaciół i pobożnych Chrześcian.

Stanisławów, dnia 18. lipca 1887 r.

Krótko, węzłowato i oględnie powiedziane! Rodzina po mężu skompromitowanym politycznie, nie mogła inaczej. Cokolwiek goręcej i ogniściej brzmi nekrolog, czy raczej odezwa, publikowana przez Kamińskiego i wzywająca wprost ogół cały do wzięcia udziału w wielkiej ceremonji żałobnej.

---

*) W niniejszą kartkę pośmiertną wkradł się mały błąd w pośpiechu popełniony. Agaton Giller. urodzony 10. stycznia r. 1831., liczył w chwili śmierci swojej 56½ roku, sam też przed znajomymi nie taił nigdy swego wieku.

†

Agaton Giller

literat, historyk, sybirak, bojownik, jeden z pierwszych za sprawę narodową, mąż rzadkich cnót obywatelskich, zakończył życie swe tułacze w mieście naszem dnia 18. b. m. o godzinie 1-szej rano po krótkich a dolegliwych cierpieniach, opatrzony śś. Sakramentami.

Za uchwałą rady miejskiej odbędzie się pogrzeb kosztem gminy miasta Stanisławowa.

Obrzęd pogrzebowy odbędzie się we środę, dnia 20. lipca b. r. o godzinie 6. popołudniu z domu przy ulicy Kamińskiego l. 7., na który rada miejska zaprasza przyjaciół i współobywateli.

Stanisławów, dnia 18. lipca 1887. r.

I balsamują ciało i robią przygotowania ogromne i wywieszają czarne chorągwie z pojedyńczych domów, a całun nieść mają najwyżsi dygnitarze autonomiczni miasta i powiatu: Marszałek rady powiatowej Brykczyński, prezes miasta Kamiński, wiceprezes Szydłowski i członek wydziału rady powiatowej Jabłonowski.

A uczestnicy zjazdu pedagogicznego? I ci mają wielce doniosłą zaiste i ważną czynność; bo dzisiaj jako w dzień 19. lipca zamknięte ma być posiedzenie i odczytane ostatnie wnioski i uchwały, poczem nastąpi bankiet pożegnalny i zabawa ogrodowa, połączona może z wesołemi pląsami.

W tem niespodziewanie odzywa się głos niepowołanego wnioskodawcy:

— Moi panowie! Ciężka żałoba okrywa miasto, okrywa kraj cały! Umarł mąż nauki i zasługi wielkiej, umarł Agaton Giller! Jako członek Towarzystwa pedagogicznego czynię ja wniosek, aby uchwalono przedłużenie o dzień pobytu naszego Towarzystwa w murach miasta Stanisławowa celem oddania ostatniej czci pamięci wielkiego męża! Z literatów, przebywających obecnie w Stanisławowie a należących do naszego grona, nikt z pewnością nie uchyli się

od wypełnienia świętego obowiązku, a i nieliteraci, którzy udział biorą w posiedzeniach naszych, pójdą chętnie za przykładem wspólnym.

I nastała cisza uroczysta, cisza ta trwała chwilę krótką, poczem odzywa się głos:

— To sprawa osobista! Nie możemy przerwać porządku obrad uchwałami, nie należącemi do nich.

I dyskusja toczy się żwawo dalej, ale o sprawach innych.

I znowu upomina się wnioskodawca o załatwienie wniosku swego.

A odpowiedź gotowa:

— Między nami są ubodzy: nie możemy przecież uchwalić, aby członek Towarzystwa, pozbawiony funduszów potrzebnych do przedłużenia drogiego już i tak pobytu w obcem mieście, przeciw własnej woli go przedłużył. —

Moi panowie! nie zmusza się nikogo do przedłużenia pobytu, nie rozchodzi się o przymusowe zatrzymanie niechętnych w mieście obcem, ale o oddanie czci pracownikowi pióra przez współziomków, pracujacych na tej samej niwie. Kto ma na festyn i na zabawę, ten nie jest ubogi i tego stać na to, aby i w żałobnych obchodach narodu brał udział. —

I zadumał się wnioskodawca. I przed okiem jego duszy przesunęły się obrazy niedalekiej przeszłości: uroczystość Goszczyńskiego, Kraszewskiego jubileusz, żałoba narodowa po więźniu magdeburskim. Dziś... dziś się wszystko zmieniło. Czy ten trup tak żywych straszy szklannym swoim wzrokiem, czy, co gorsza... żywi strupieszeli? O pląsajcie i bawcie się wśród żałoby narodowej! Nie daremnie woła poetka natchniona:

„Ja wam nie wierzę! śmiech wasz ponury,
Wy czarne szaty waszej żałoby
Kryjecie w zmięty łachman purpury,
I sztucznym kwiatem stroicie groby!
Radość obłudą, kłamstwem wesele,
Wy śmiechem łkania zagłuszyć chcecie,
Albo dowcipem rzuconym śmiele,
Próżnię serc waszych okryć pragniecie.“

* * *

Jarzące światła płoną w około katafalku! Tam spoczywa złożony snem wiecznym wódz myśli po staczanej zwycięzko bitwie, tam spoczywa samotnie „Samotnik z pod Gołogór,“ a nad domem żałobnym wieje chorągiew czarna z napisem: „Żal nad stratą!“ O tak! żal nad stratą, żal szczery i głęboki, bo osierocił naród, bo nas żyjących pracowników osierocił śmiercią swoją ten, który całem życiem swojem ustawicznie dawał nam przykład cichego poświęcenia i pracy!

To miejsce jest święte: niech tam na ulicy wre życie w całej pełni swojej, niech się bawią weseli, jeśli mogą, ja tu w cichej zadumie pogrążony u stóp tego trupa niechaj marzę, niechaj czuję w spotęgowanej w dwójnasób sile żywotność nie dającej się niczem, nawet nie śmierci złowrogiem tchnieniem — ubezwładnić idei!

*
* *

Dzień 20. lipca w Stanisławowie bez przesady nazwany być może dniem Agatona Gillera. Już od samego południa przygotowania do pogrzebu zasłużonego tego męża kolosalne przybierały rozmiary, plakaty pośmiertne wisiały po wszystkich ulicach, chorągwie czarne z literami A. G. powiewały ze szczytu ratusza i ze wszystkich znaczniejszych domów, a deputacje przybyły z bliska i z daleka, aby oddać cześć należytą cieniom bojownika Polski, cieniom wielkiego męża, znakomitego historyka i gorącego patrjoty, jakiego społeczeństwo straciło w osobie Gillera. I powiemy bez przesady, że tegoż dnia nietylko Stanisławowianie nosili żałobę, ale że cały kraj, każdy, który czuć i mówić umiał po polsku, sercem i duchem był przytomny przy tej olbrzymiej demonstracji narodowej.

Trudno porządek utrzymywać co do joty przy wielotysięcznym natłoku obcych i swoich, jakiego Stanisławów chyba dotąd nie widział w swoich murach. Uczyniono jadnak mimo tego wszystko, aby skutecznie zapobiedz możliwym nieporządkom.

Reprezentacja miasta ogłosiła w tym celu porządek pogrzebu i odezwę, które według brzmienia oryginalnego poniżej przytaczamy:

Porządek pogrzebu
śp. Agatona Gillera,

który się odbędzie dnia 20. lipca 1887. o godzinie 6. wieczorem.

Exportacja ciała nastąpi z realności l. 7 przy ulicy Kamińskiego na smętarz.

1. Pochód ulicami: Kamińskiego, na skręcie ul. Romanowskiego, ulicą Zabłotowską ku Ormiańskiej, ulicą Ormiańską przez Rynek, ulicą Karpińskiego, ulicą Sapieżyńską na smętarz.
2. Pochód otwiera straż ogniowa ochotnicza.
3. Ochronki męzkie i żeńskie, chrześcijańskie i izraelickie.
4. Bursy.
5. Korporacje — Stowarzyszenia ze sztandarami.
6. Bractwa.
7. Młodzież szkolna.
8. Wieńce.
9. Deputacje.
10. Duchowieństwo i Kahał Izraelicki.
11. Karawan z ciałem. Całuny trzymać będą: Marszałek powiatowy Brykczyński, Burmistrz Dr. Kamiński, Zastępca marszałka powiatowego Dr. Szydłowski i członek Wydziału powiatowego Jabłonowski.

Obok karawanu nieść będą światło koledzy zmarłego z r. 1863. i weterani z r. 1831.

12. Za karawanem postępować będzie rodzina, za nią rada miejska, urzędnicy, profesorowie i publiczność.
13. Straż ogniowa i policja zamykają pochód.
14. Porządek utrzymują pp.: Amirowicz, Artychowski, Gosławski, Dr. Nimhin.

Pochód zatrzyma się przed kościołem łać., gdzie mowa ruska wygłoszoną będzie.

Program ten z małemi odmianami zatrzymywano ściśle; odpadła jednak mowa ruska, nad czem w duchu braterstwa i zgody pomiędzy szczepami ruskim i polskim, ubolewamy.

Odezwa magistratualna brzmi w następny sposób:

OGŁOSZENIE.

Agaton Giller,

literat historyk — sybirak bojownik jeden z pierwszych za sprawę narodową, mąż rzadkich cnót obywatelskich — zmarł w Stanisławowie 20. lipca 1887.

Pogrzeb odbędzie się kosztem miasta dnia 20. lipca 1887 o godzinie 6 wieczorem.

Eksportacya zwłok odbędzie się z realności l. 7. przy ulicy Kamińskiego. — Ulicami Kamińskiego, przy skręcie ulicy Romanowskiego, ulicą Zabłotowską ku Ormiańskiej, ulicą Ormiańską przez rynek, ulicą Karpińskiego — ulicą Sapieżyńską na smętarz.

Rada miejska uprasza wszystkich obywateli, których na to stać, aby domy swoje przy tych ulicach, któremi pochód pogrzebowy postępować będzie, chorągwiami żałobnemi przyozdobić chcieli.

W Stanisławowie, 18. lipca 1887.

Dr. Kamiński.

Zawezwaniu temu pod każdym względem stało się zadość i przypominamy li tylko jedną rzecz, której wykonanie jak najśpieszniejsze polecamy gorącemu patrjotyzmowi Reprezentacji miasta Stanisławowa i światłej radzie gminnej tegoż miasta, dopóki najboleśniejsze wrażenia po śmierci męża, jakiego kraj utracił w osobie Gillera, — jeszcze w świeżej są pamięci, jeszcze się nie zatarły. Pamięć wielkich mężów podnosi się najskuteczniej przez to, że się główne ulice miast, których oni byli ozdobą za życia, przezywa ich imieniem. Nieraz ten hołd czci zasłużonej oddaje im się już za życia, a po ich śmierci powinno to bezwarunkowo nastąpić. Ulica Zabłotowska, którą nasz historyk przez dłuższy czas zamieszkiwał, nim się przeniósł do mieszkania przy ulicy Kamińskiego położonego, — powinna nosić na zawsze nazwę ulicy Agatona Gillera. Wniosek ten powinien być przyprowadzony do skutku najdalej w przeciągu roku.

Obrzęd pogrzebowy zapowiedziany na szóstą godzinę wieczorem, — ściągnął na ulicę Kamińskiego tłumy widzów jeszcze o wiele wcześniej. Widzieliśmy najróżnorodniejsze postacie, i starców i młodych i dzieci, i magnatów i ubogich, i chłopków i rzemieślników i żydów, a w twarzy wszystkich malowała się wielka boleść i powaga odpowiednia chwili smętnej i bolesne i tęskne oczekiwanie. Deputacje nosiły wieńce, których naliczyć trudno. Redakcje pism krajowych wysłały na dzień ten żałobny jako sprawozdawców nie zwykłych korespondentów lub reporterów, ale redaktorów swoich. Widziałem Rewakowicza, widziałem Gniewosza, z osobistych zaś przyjaciół Gillera rozróżniłem postacie sędziwego Darowskiego i nie o wiele młodszego Ezechjela z Bołszowiec *). Rozumie się, że główni reprezentanci miast najbliżej Stanisławowa położonych, bytnością swoją przy obchodzie również przyczynili się do uświetnienia tegoż. I tak widziałem w gronie żałobnych dwie wybitne postacie, a mianowicie: Witosławskiego i Kobuzowskiego z Tyśmienicy.

Tłum powiększający się z każdą chwilą utrudnił wielce zadanie straży porządku publicznego, która ustawicznie tłumy ludu do zachowania porządku nawoływać musiała; przy skręcie ulicy Romanowskiego dzieliły się tłumy na dwie grupy, dążące w jednym kierunku ku kościołowi polskiemu, przy ulicy Halickiej położonemu.

Tam ksiądz Dr. Loga wygłosił mowę pogrzebową. W niej podnosząc gorącemi słowami zasługi zmarłego, roztaczał on przed słuchaczami ten cały obraz życia idealnie pięknego i czystego bojownika Polski, to wzorowo-moralne, pobożne i religijne życie, to poświęcanie się dla sprawy narodowej, to wyświecanie światłem nauki fałszów, któremi nieprzyjaciele Polski ustawicznie zdyskredytować ją usiłują, to nawoływanie do bratniej zgody szczepów pobratymczych Polaków, Litwinów i Rusinów, to ujmowanie się nietylko za sprawą prześladowanej Polski, ale także i Rusi, wreszcie ten zapał młodzieńczy, który nie wygasł

*) Jest to wzmianka o Ezechjelu Berzeviczy'm.

w starej nawet i ciosami życia znękanej piersi szermierza Polski, ale żył i działał i powodował go do budzenia życia także w młodszej generacji.

Z kościoła farnego przyozdobionego odświętnie, tłum ruszył we wskazanym kierunku do ostatniego doczesnego mieszkania nie ducha bojownika prawdy, — bo ten nieśmiertelny, ale zwłok jego cielesnych, mających spoczywać w towarzystwie Gosławskiego, Smagłowskiego, Antoniewicza i innych zasłużonych sprawie ojczystej mężów na cmentarzu stanisławowskim. W tej chwili zajęczały długiem i bolesnem echem wszystkie dzwony kościelne. Po drodze, którędy kroczył pochód żałobny, powiększały się i wzrastały tłumy ustawicznie. Czarne chorągwie powiewały już nietylko z okien ratusza lub czytelni miejskiej, ale z okien prawie wszystkich domów, popod któremi defilował tłum żałobny. Balkony nawet przepełnione były ciekawymi, którzy nie mogąc osobiście brać udziału w tej uroczystości żałobnej, bodaj wzrokiem smętnym a poważnym żegnali zwłoki tego, którego już nie zobaczą nigdy.

Na cmentarzu przy ulicy Sapieżyńskiej zatrzymał się tłum żałobnych gości. Ścisk był ogromny; jedni stali, drudzy oparli sie o drzewo, lub o jakiś pomnik cmentarny. Pogoda przepyszna sprzyjała obchodowi żałobnemu podnosząc jego uroczystość, a niebo niezasępione najmniejszą nawet chmurką, z powagą i smutkiem zdawało się patrzeć na smutek zgromadzonych.

Już się zmierzchło dookoła, już światła płoną, już noc obejmuje swoje panowanie: to chwila najwłaściwsza, najuroczystsza, aby przemówić do serca słuchaczów.

I podnosi głos swój były więzień stanu a obecny odnowiciel i burmistrz Stanisławowa, Dr. Kamiński. Gorącemi, natchnionemi miłością Ojczyzny słowami przemawia on do słuchaczów, roztacza on przed nimi obraz działalności Gillera od kolebki aż do grobu, prześladowania imieniem Polski znoszone ze spokojem i z powagą męczennika, działalność literacką, historyczną, pojednawczą, obywatelską a patrjotyczną

we wszystkiem i przedewszystkiem, zresztą ostatnie jego chwile.

Potem z kolei przemawiają Syroczyński, Stroka, Gniewosz, Darowski: Stroka, politechnik imieniem młodzieży, której protektorem tak gorącym był śp. Giller, Gniewosz imieniem tej przyjaźni, imieniem tych prześladowań, które go łączą z umarłym, Darowski, starzec sędziwy, którego pod rękę prowadzić muszą, żołnierz z czasu powstania r. 1831go, bolem znękany prawie niedosłyszalnym głosem na ten sam przemawia temat.

Uroczystość żałobna przeciągała się mniej więcej do wpół do dziesiątej w nocy, a ostatnie dźwięki naszej pieśni narodowej: „Boże! coś Polskę!“ smętnem swojem echem żegnały jeszcze tłumy żałobnych, towarzysząc im w dalszą drogę!

Stanisławów, 21. lipca 1887.

G. Kohn.

WIGILIA
więźnia stanu w katordze.

Noc już.... ciemno w mej kaźni —
A w sercu — czyż inaczej w tej chwili być może?
Wszakże to jutro przecie — Narodzenie Boże! —
O! gdybyż do was wzlecieć siłą wyobraźni; —
Do was, — wielce zbolałych! — Wy płaczecie syna,
Bo on dla was stracony; — bo on, was daleki,
Tu w katordze — przy taczce zamknie gdzie powieki
I na pierś mu nie padniesz, ty ziemio jedyna —
Ziemio polska!... Krwią naszą my cię obmyć chcieli, —
Krwią odrodzić; — do życia przywrócić i chwały; —
Lecz się nasze oręże o przemoc strzaskały,
Przed którą, wielcy duchem, my uledz musieli!...
Ona gwałtem nas wkuła w żelazne obroże....
Gnała; — strażą nam były bagnety i knuty! —
I myśmy już zupełnie niewolni? — O Boże!....
Tak — zakute jest ciało; lecz duch nie zakuty!...
Więc choćby duchem wzlecieć, na skrzydłach tęsknoty,
Tam — ku tobie, Ojczyzno! — w przeddzień narodzenia; —
W świątyniach tam te wzniosłe rozbrzmiewają pienia:
„Bóg sie rodzi;“ — truchleje moc....!
O dniu ty złoty! —
Tyś skarbnicą mych wspomnień jeszcze z lat dzie-
[cinnych —
Najszczęśliwszych; — spędzonych przy ojcu — przy
[matce.
W tych przecudnych marzeniach — prostych a nie-
[winnych,
Których tyle się lęgło w starej naszej chatce, —
Które, jak nić pajęczą, snuł mi każdy kątek
Rodzinnej mojej strzechy, — kolebki pamiątek!
O — gdyby choć na chwilę tam dzisiaj być z wami, —
Uścisnąć wasze dłonie; wypłakać ból z łona,
Gdy się dzielić będziecie społem opłatkami....
Boże!... ha! — Twoja wola niech będzie spełniona!...

. . . .

Gdzież ja jestem? — co ze mną dzieje się w tej chwili? —
Dziwnie mi błogo w piersi; — lekko i wiośniano...
Oto — widzę was — widzę wszystkich, moi mili:
Dworek biały; — w jadalni stół ubrany w siano;
Snopki po rogach stołu zdobią obrus biały,
Na którym zastawiono suto do wieczerzy; —
Z opłatkiem idzie ojciec wśród szeptu pacierzy..,
Ale czemuż wam wszystkim czoła spochmurniały? —
Matko moja! — ty płaczesz?! — ojcze! — starcze
[siwy! —
I ty tłumisz łzę w oku — ból w piersi rycerza?! —
Ty, — któryś, gdym szedł, mówił: „Jam dumny: —
[szczęśliwy...!“
Ojcze — łza w twojem oku — niegodna żołnierza! —
Pomnij dzieje ubiegłe, czas Napoleona —
A pewno jeszcze serce raźniej ci uderzy,
I ból w piersi przed jednym marsem twoim skona; —
W mdłem oku błyśnie wiara w to, — w co serce
[wierzy!...
O — ksiądz proboszcz wszedł właśnie; za nim przy
[drzwiach w rzędzie
Chłopięta stają z szopką; cisza w krąg powiała.
Tak — to pierwsza kolenda zwiastować nam będzie:
„Bóg się rodzi...!“ — dziś brzmi nią nasza Polska cała! —
Patrzcie: przystanął pleban, włos odgarnął siwy,
Wziął krzyż w dłonie, — klękają.... i ja klękam
[z wami!...
Księże — smutek w twej twarzy? — i tyś dzisiaj
[tkliwy?
Bo i tobie coś oko błyszczy — jakby łzami?...
Lecz cyt! — Oto się wszyscy schylają ku ziemi —
Ksiądz krzyż podniósł do góry i ku nim podchodzi
I drżącym starca głosem śpiewa: „Bóg się rodzi!“ —
Zawtórzyli chłopięta tonami zgodnemi,
I cudowną melodją pieśń ku niebu płynie; —
Słyszę ją — och! i jakżeż błogo mi tam z wami
W tej najmilszej — serdecznej, bo swojej drużynie!
Ha — przełammy się teraz wszyscy opłatkami,
Życząc sobie, najdrożsi: byśmy w przyszłe święta,
Wypłynąwszy z walk z losem i z zdarzeń powodzi,
Zaśpiewali już wszyscy: „Nam Polska się rodzi!“...

. . . .

Lecz czemuż dookoła cisza niepojęta? —
Sen to był — czy widzenie?!... wszak ja jestem
[w kaźni? —
Wszak tu chłód zimnych murów zewsząd mnie okala. —
O! dzięki ci, Wszechmocny! — Tyś dał wyobraźni
Wzrok, którym w dniu tym moich ja widziałem
[z dala! —

Słoboda rungurska, dnia 29. Listopada 1886 r.

Mieczysław Romanowski junior.

Bohot.

opowieść z zamierzchłych dni,

przez

Bolesława Andruszewicza.

Wstęp.

Na Kijowie panował kniaź potężny. Ziemie jego zalegały od Donu po Bug a w czarnem morzu poił on swoje rumaki. Kraj taurydzki dań mu składał, Dniepr z dalekiej północy przynosił futra — setne galary, czajki i łodzie ze wszech stron niosły łupy i skarby. Morze nawet hołdowało panu, co zasiadł pełen dumy i potęgi w grodzie o niezliczonych chramach i kontynach — bo Kijów wtedy hołdował bóstwom pogańskim, bo i pan jego był bałwochwalcą.

Ludy chrześcijańskie drżały przed potęgą kniazia — Carogród nawet, stolica świata wstrząsła się w swych posadach, kiedy tysiączne czajki Bosfor zaległy.

Na Carogrodzie była księżniczka dziwnej urody i nieziemskiej serca dobroci — kniaź na Kijowie rozmiłował się w niej i zapragnął pojąć w małżeństwo.

Bojary co najprzedniejsze poszli się kłonić carowi wschodu i prosić o rękę dziewy.

Car zwołał radę.

Rada z siwych głów złożona, orzekła:

— Gdy kniaź kijowski wiarę Chrystusa, rzuciwszy swe pogańskie bogi, przyjmie, — gdy poprzysięże pokój carstwu greckiemu — wtedy księżniczka w Kijowie odda kniaziowi swą rękę. —

Pod on czas, kiedy bojary prośby w Carogrodzie zanosili, przyszła była na ich kniazia ciężka słabość — kniaź oślepł na oba oczy. Nic nie pomogły leki i przemowy, nic zioła i znachory — kniaź był pogrążony w wiecznej nocy i w smutku a bolu. Wieść o tem nieszczęściu zabiegła aż w Carogród.

— Ja go uleczę — zawołała carówna — niech pan Kijowa i mój pan przyjmie wiarę moją i wiarę tę u ludu wpoi i rozkrzewi —, Bóg chrześcijański wielki a jedyny powróci wtedy światło i dzień oczom kniazia.

Poselstwo wróciło.

Kniaź dumał długo i myśli ważył, żal mu snać starych bogów, bogów ojców jego, bogów wszechsłowiańszczyzny. Lecz bogi te nie dały dotąd dnia oczom jego, choć błagał i dary w chramach składał, dary książęce, bogate.

— Ha, pomyślał kniaź, — gdy grecki bóg słonko i świat mi znowu okaże, uwierzę weń.

I znów bojary jadą w poselstwie, jadą z dobrą wieścią do Carogrodu:

— Kniaź przyjmie wiarę grecką z ludem — bogów swych się wyrzecze, chramy popali, gaje wytnie, pokruszy posągi, a Grekom pokój przysięga!

Piękna carówna żegna rodzinę, ojca i macierz, łzy z ócz jej płyną, lecz i radość lica promieni: bo przez nią dla miljonów dusz niebo się otworzy, bo ziemia jej rodzona spokojniej odetchnie.

Galary o złoconych masztach przyjęły swą panią łagodnym szelestem żagli, fala lekko się zmarszczyła, biegnie i spieszy, galar otacza i niesie, niesie, gdzie Dniepr szeroką wstęgą w morze się zlewa.

Tam na wybrzeżu gromady ludu się zbiegły, tam rycerze i bojary na koniach, łucznik pieszo, tam

powyżej na wzgórku namiot rozbity, a od brzegu droga purpurą usłana.

Kniaż w namiocie oczekuje oblubienicy.

Słonko południa dobiegało, w jego blasku lśniły się drogie kamienie, złoto i srebro na okół; a takie tam było bogactwo że rzekłbyś, cały świat skarby swe tutaj zgromadził i roztoczył przed zdumiałemi oczyma. Dla jednego kniazia tylko noc czarna w około. I kniaż w zadumie pochylił głowę na dłoń, a ze zgasłej źrenicy łza niby kropla rosy na lica wybiegła.

Kniaziówna wiedziona przez bojary i pany, otoczona swemi biskupy i księżmi, co ich z Carogrodu zabrała, weszła przed namiot właśnie kiedy kniaż łzy ronił nad swoją dolą.

— Kniaziu, mój panie — rzekła księżniczka — pociesz się w smutku twoim, bo ci niosę światło duszy i ciała, pochyl tylko głowę w pokorze przed Bogiem moim, On wielki, On potężny i jedyny, niemoc z ciebie zdejmie, uwierz tylko i przyjmij chrzest.

Kniaziowi słowa te były jakby głosem archanioła, upadł na kolana i zawołał:

— Wierzę i chrztu żądam!

Obrządek zaczęty ledwo połowy dobiegł, gdy, o dziwo! z ciemnej nocy, wyłonił się kniaziowi mrok najprzód, potem jakby dnia świtanie — wreszcie obrządek się skończył a kniaż wykrzyknął:

— Widzę, widzę świat boży oczyma swemi, a oczyma duszy widzę, że tylko jeden Bóg, Bóg twój księżniczko jest Bogiem prawdziwym! O kniaż dotrzyma przysiąg — i lud jego uwierzy, bo cud jasny i wielki!

Pogańscy kapłani zadrżeli w przerażeniu i milczkiem wysunęli się do swych chramów i gajów świętych.

Surowy rozkaz przebiegł kraje od Bugu po Don, od Prypeci i Desny po morze greckie, rozkaz walenia kontyn i świątnic, łamania bóstw: Triglawa, Perkuna, Światowida Jessego — lud na to jękiem odpowiedział, kapłani bezsilną groźbą i przekleństwem.

*
* *

I.

Zbrucz szparki zdarłszy lodową skorupę niecierpliwiąc się i zrzymając, pędził i pienił się po kamieniach, obmywając stopy skalistych gór, porosłych odwiecznemi dęby — dęby, które lud czcił i za święte uważał, bo pomiędzy niemi heń za Sokolichą na wyniosłym szczycie Bohotu stała kontyna boga Swiatowida.

Ponad Bohotem poranna zorza niebo złocić zaczęła, przepowiadając dzień, co z mroków nocnych miał się wyłonić.

O cudny bywa dzień pory wiośnianej w tych górach, cudny swą wonią i barwą, zielenią i kwiatami, dzień tchnący spokojem i uroczą ciszą. Wyniosłe tylko dęby w około świątyni pieśń jakąś pieją, pieśń boską, czarowną, co ukaja bole, a smutnej duszy dostraja się wtórem, że lżej ci w sercu i myśl swobodniej w niebo ulata.

Stromo się wije droga na górę, której szczyt płaski obrał sobie Swiatowid za mieszkanie. Tam wpośrodku chram jego stoi, opodal chramu domy, w których kapłani mieszkają a dalej gdzie góra się kończy urwiskiem, był ołtarz kamienny. Wszystko to razem otoczone murem, w nim jedna brama z dębowych kloców zamyka drogę wiodącą z doliny, która się do słońca krasnym kobiercem kwiatów uśmiecha.

O piękna bo to dolina!

W około góry wieńcem ją obstąpiły, a na tych górach dęby, jasiony i jawory potężne konary ku niebu wznoszą, nad niemi wichr szumi i orzeł lata.

Tu na tej dolinie pielgrzymi lud się zgromadzał, tu oczekiwał zanim kapłani obwieszczą, że każdemu wolno przyjść przed oblicze Boga, do Niego modły zanosić i Jemu ofiary składać. Lud wierzył mocno i korzył się przed Bogiem, co wiecznie nań patrzał poczwórnem obliczem i urodzaj a błogosławieństwo swe zsełał.

Brzask dnia ozłacał właśnie wierzchołki gór w około, na dolinie jeszcze się rosa perliła, a tam nad skałą orzeł zakrakał bijąc skrzydłami i wzno-

sząc się ku niebiańskim lazurom, by w niedługiej chwili zniknąć zupełnie śledzącemu oku.

Na wązkiej drożynie leśnej ukazali się właśnie pierwsi pielgrzymi, bo to dziś święto żniwiarzy, — bo dziś wszyscy mają Bogu ofiary składać, dziękować za zbiory i prosić o nowe.

Gromadka z trojga ludzi się składa. Na przedzie starzec z długą i siwą brodą, z powagą w obliczu, z zmarszczkami na czole, co mądrość wieściły i nawyczkę myślenia oznaczały, szedł podpierając się kijem, za nim dążyła starucha w świcie, zawiązana białą chustą, w ostatku dziewczyna młodziuchna i urocza jak ten kwiatek polny, co krasę swą brał od słońca a wzrost od ciepła jego i kropel rosy. Ubrana krasno, snać rodzic stary i macierz niczego swej jedynaczce nie żałowali, krasny stanik pierś jej obejmywał, bieluchny kołnierz koszuli zaścieżka wiązała, pod szyją nie jeden sznur korali, a jasna jej główka ustrojona we wstęgi i kwiaty tak piękne, jak ona piękną była.

Wszedłszy na dolinę staruch stanął i pokłonem aż ku ziemi się nachylił, bo ujrzał cel drogi, ujrzał górę i świątynię na jej szczycie. Oddawszy pokłon poszedł aż ku środkowi łąki, gdzie kilka dębów i grabów kilka splotło swe konary i tam usiadłszy na pniu zwalonym, zwrócił oblicze w stronę drogi, którą przybył. Snać oczekiwał czeladzi, co miała przynieść plon najpierwszy, złożony z pszenicy, płócien i plastrów miodu.

Jakoż istotnie i czeladź nadeszła a za nią na drodze ukazali się inni pielgrzymi — coraz więcej ich przybywało z stron różnych, dolina zaroiła się ludźmi, a byli tam starzy i młodzi, dzieci, kobiety i dziewczęta.

Tymczasem słońce podeszło na czysty błękit nieba, rosa opadła, a oczy wszystkich były zwrócone ku wyniosłej górze, ku świątnicy boskiej, zkąd oczekiwano kapłanów w szatach białych.

Z Bohotu zabrzmiał róg bawoli przeciągłem echem, wołając tłumy na górę. U stoku góry stali już kapłani, starce siwobrodzi co strzegą Znicza w świątyni — a pośród nich arcykapłan. Lud długim sze-

regiem się posunął, a odebrawszy błogosławieństwo, począł się piąć stromą drogą na Bohot, gdzie ustrojona w zieleń brama otwarła ramiona, by wierny lud sprowadzić przed ołtarz Boga.

Z czcią świętą i pobożnym strachem lud wchodził w dziedzińce świątyni i na progu tejże każdy ojciec rodziny składał swe dary w podziękę Bogom i na uproszenie dalszej opieki. Słudzy świątyni odnosili zaraz te dary w głąb, a gdy wreszcie darów nie stało, poszedł arcykapłan do wnętrza chramu, by dowiedzieć się, czy dary przyjęte, czy Światowid zadowolony lub gniewny, szedł pytać go o rok przyszły, co on przyniesie — szczęście, czy niedolę?

Lud niespokojnie oczekiwał powrotu starca.

Z świątyni słychać było jakieś grobowe głosy głuche a stłumione, potem grom uderzył, potem cichość zaległa...,

Wolno, z rozwianą, siwą brodą, z obłąkanym wzrokiem, z szatą rozdartą wyszedł arcykapłan. W tłumie szmer podziwu przebiegł i pytania odzywały się jedne po drugich. Arcykapłan zmienionym, drżącym głosem przemówił do ludu:

— Smutne i straszne rzeczy mam ci ludu obwieścić — Światowid przyjął dary lecz gniewny, bo nie dość czci odbiera, bo widzi wiarę w sercach waszych zachwianą. O! rok ten będzie pełen różnych doniosłych zdarzeń! Światowid żąda, byście strzegli chramu i ołtarzysk jego, bo źli ludzie na chram już godzą chcąc go obalić. Jeśli chram padnie i gaj święty dębowy wyrąban będzie, to zeszle Światowid na was pomór i głody a sam na białym koniu ujedzie z tych stron w kraje, gdzie go czcić będą, bronić i wierzyć weń. Na to poprzysiądz macie!

Lud grobowym głosem za arcykapłanem powtarzał przysięgę, a kiedy ostatnie jej słowa przebrzmiały, wtedyto arcykapłan dał znak rozejścia się ludu.

Bawoli róg znów dzikiem echem odbił się od gór, znak to że ofiara skończona, że czas zejść w dolinę, że czas zapalić ogień święty, ogień co lud oczyści od złej woli i niewiary!

II.

Tłum na Bohocie był wielki i różnobarwny jak kwiecie doliny. Jednych sprowadzała tu wiara i wdzięczność dla bóstwa, innych ciekawość, a byli i tacy, co przyszli zabawić się, bo po modłach i ofiarach jawili się grajki, rozpoczynały się tany ochocze w jednych kręgach gdzie młodzi byli — w drugich sami starce zebrali się na rozhowor i słuchali pieśni starych jak i oni gęślarzy, co wiele świata przeszli, wiele przeżyli, wiele widzieli. Słuchali o Kijowie mieście kamiennem, gdzie skarby świata zgromadzone były, gdzie kniaź potężny władnął szeroką krainą, rządząc nią sprawiedliwie a silnie. Powoli i młódź zmęczona przysunęła się do starych piewców, by słuchać słów ich dziwnie pięknych o kniaziównach i kniaziach, o bojach i zabawach, a w oczach parobczaków tlał się ogień i ochota do wielkich czynów, do szerokiego świata, do sławy, do uciech, a myśl każdego biegła za pieśnią starca w odległe ziemie, zatrzymywała się na krwawych bojowiskach, w bogatych miastach, za sinem morzem, przy kniaziównach, przy carównach.

Czasem lęk przejmywał wszystkich, kiedy starcy śpiewali o rusałkach i o ich czarach — czasem kiedy starcy miłość opiewali, pierś młodzi wznosiła się w górę a oko błądziło w okół szukając wybranej. Tymczasem i zmierzch zapadał, piewca zmęczony ucichł, krzepiąc się miodem do nowych pieśni, a młodzież biegła układać stos wysoki, by zatlić płomień święty. A wtedy znów kiedy płomię wysoko wznosiło się w niebo, stawali kołem raźni parobcy i hoże dziewoje i wziąwszy się za ręce, śpiewali pieśń, a ogień snując się po kłodach zwalonych, trzaskał wesoło i czerwono, niebieskim wężem po gałęziach się przesuwał, oświecajac lica tanecznikόw, odbijając się łuną na czystym błękicie. Drzewa w około i góry rzucając długie cienie zdawały się dwakroć razy wyższe i większe, poważny szum dębów szeptał baśnie z dni zamierzchłych, zdawało się że las cały pełen duchów, że tłumy ich snują się w około. Czasami skrajem doliny błędny ognik przeleciał,

jakby czysta dusza, co wkrótce zagasa lub znika w drzew cieniu, a w dali puhacz huka, gromada wilków wyje, lecz zbliżyć się nie śmie.

Tam na Bohocie w świątyni także światło płonie. Z doliny patrząc myślałbyś, że to księżyc na niebo wypłynął, a tu poniżej taneczne koło w kręgi się zwija i stos obchodzi, — pieśń płynie i echem od gór się odbija, a echo wesołe, bo i pieśń wesoła i wszystkim wesoło w duszy.

Czy w istocie wszystkim?

O nie! tam na uboczu od stron, gdzie kląb drzew starych, tam Dobromira oparłszy czoło o ramię macierzy, coś smutno duma nie patrząc na wianek młodzi i rówieśnic swoich, a duma samotna i łza jej cicha po licu spływa. Macierz ją cieszy, pieści i po licach głaszcze, całując jej jasne oczy.

Płomień się coraz wyżej podnosił i coraz jaśniej ciemnie rozświecał a pieśń wciąż brzmiała, las echem wtórzył a puhacz kędyś na skale hukał.

Wąziuchną ścieżką, co od Zbrucza wiodła, szedł rosły parobczak. Burka szeroka okrywała mu ramiona, pod nią za pasem mieczyk pobłyskał, w ręce miał sękatą buławę, na której się wspierał.

Przyszedł aż na skraj doliny i tu w drzew cieniu ukryty stanął. Stanął i spojrzał przed siebie, za pierś się chwycił, jakby mu tchu zabrakło — a kiedy się wysunął naprzód i światło na lice mu padło, toś widział w licach tych radość i pomięszanie, widziałeś jak pragnął pobiegnąć w to grono dawnych znajomych, a coś go trzymało i więziło w drzew cieniu — on rwał się, szamotał, walczył ze sobą nie mogąc wyrwać się więzom niewidzialnym, co go do miejsca przykuły. Lecz gdy się coraz bardziej w pieśń starą wsłuchiwał, widoczna zmiana w licach jego zaszła, zerwał się z ziemi i pobiegł kędy drzew grupa w pobliżu stosu kląb utworzyła.

Dwa okrzyki zabrzmiały razem:

— Dobromira!

— Stoigniew!

Dwoje kochanków poznało się od razu, podali sobie ręce, patrzali w oczy i w oczach swych wyczytali wszystko, czego wiedzieć chcieli.

Wnet ich tłum otoczył, wszyscy witali hożego młodziana, co gdzieś daleko w sławnym Kijowie kniaziowi służył, co widział kniaziówny i sine morze i Dniepr sławny, — każdy go witał, każdy zapytywał, a stos płonął jeszcze, choć już rumiana zorza niebo czerwienić zaczęła, dzień się już zbliżał, już po zabawie, pora już do powrotu do domów.

III.

Lud zaczął się rozchodzić pełen wesela i spokoju nie wiedząc, jakie nań jutro czeka.

W Kijowie rozkazał kniaź burzyć chramy i kontyny. Perkuna w Dnieprze utopił, zagasił Znicz święty, gaje wyrąbał, a na miejscach gdzie lud bałwanom cześć oddawał, wznosiły się już świątynie Pańskie i cerkwie, na których kopułach krzyż zajaśniał złocisty.

Ale nietylko w Kijowie samym tak było.

Jak szerokie ziemie, jak daleko miecz Włodzimierza władnął, padały wszędzie ołtarze stare, a lud pędzono do wody i chrztem zmywano zeń znamię pogaństwa.

Chram Światowida na Bohocie, sławny po wsze czasy, musiał także uledz zniszczeniu.

Dnie jego policzono.

*
* *

Od dębowej skałki z góry nadbiegł młody kapłan, sługa Perkuna w Kijowie.

Szatę jego wiatr poranny rozwiewał, na czoło krople potu wystąpiły, zmęczenie lica jego bladością powlekło.

Cóż go tak pędzi, czemuż tak śpieszy i jakież wieści niesie on z kniazia stolicy?

Blask w oczach jego płonie, czoło bolem się marszczy — czemuż do tłumów tak śpieszy?

On wbiegł aż na środek doliny — tu stanął, o dąb się oparł i chwytał powietrze, a pierś mu się wznosiła i opadała.

Długa chwila minęła, zanim głos z piersi mógł wydobyć — ktoś z tłumu podał mu dzbanek z resztą napitku, on go tchem jednym wychylił, dzbanek odrzucił, dłoń w górę podniósł, lud się uciszył a on jął mówić:

— Biada nam ludu, po trzykroć biada! Kniaź nasz potężny wiarę swych ojców rzucił, pojąwszy carównę z dalekiego Wschodu za niewiastę. Odtąd jej bogom pokłon on oddaje, a rozkaz jego burzy nasze świątynie, obala nasze bogi, bogi ojców naszych!

Zamilkł młodzian, a w tłumie taka cisza zaległa, żeś słyszał oddech każdego. Bladość śmiertelna powlekła starców lica, niewiasty załamały dłonie, zwracając się z czcią pobożną ku świątyni na górze, a przygasający płomień pryskając czasem iskrami, dziwnie oświecał oniemiałe tłumy i bladą twarz młodziana. Stoigniewa dłoń drżała i cisnęła potężnie rękojeść mieczyka, Dobromira oparłszy główkę o pierś jego, patrzyła mu w oczy.

Po chwili kapłan znów mówić począł, a mówił zrazu wolno i z cicha, potem głos jego się wzmagał, grzmiał i przerażał jak burza, jak grom Perkuna:

— Kniaź nasz porzucił ojców swoich wiarę — Perkun utonął w falach Dnieprowych i fale tylko nad nim płakały, a lud oniemiały od zgrozy i strachu, stał ponad brzegiem i patrzał na zniewagę wiary — potem zawył straszliwie wściekłą zemstą, rwał się i rzucał jak niedźwiedź ranny, chciał iść do miasta na zamek kniazia — lecz tłum pachołków rozegnał lud, a nad Perkunem zamknął się Dniepr!....

I znowu zamilkł młodzian, a lud zajęknął z cicha.

Głos starego Lasiuka, ojca Dobromiry, zabrzmiał nad wszystkie głosy:

— My bogów naszych bronić umiemy, potęga kniazia mniejszą jest niźli potęga Światowida. Światowid nie runie, świątynia jego jak od wieków stoi, tak i stać będzie po wiek wieków! Pierśmi naszemi osłonim chram i gaj święty!

Młodzian — sługa Perkuna, słuchał tych słów, ogień jaśniał mu w źrenicach, ale po twarzy prze-

mknął się uśmiech smutny, boleśny, co więcej mówił, niźli słów wiele:

— O nie znasz starcze potęgi kniazia! Za Zbruczem stoją już pachołki zbrojne — nim słońce głowę swą w zachód skłoni, kto wie co będzie — może krew i łzy, może gruzy i popielisko!.... Ja byłem wczoraj w przesławnej Puszczy — wiecież co słychać w tym gaju świętym, pośród którego bogini Baba siedlisko sobie obrała? Patrzcie, tu patrzcie!

I odsłonił pierś nagą. Szeroka rana krwią opłynęła, a gdy oderwał od niej bieliznę, strumień krwi buchnął na nowo. Młodzian osunął się ku ziemi, a kropla krwi upadła na dłoń Stoigniewa, jakby go także oskarzać chciała o odstępstwo wiary.

Lud się posunął ku kapłanowi, chcąc go ratować, on oczy otworzył i z cicha wymawiał słowa jakieś — potem uśmiechnął się gorżko, a najbliżsi słyszeli wyrazy, co były przepowiednią prędko ziścić się mającą:

— Daremne wszystko!..... i wasza świątynia runie jak Perkuna i Baby runęła.... kruk tylko zakracze.... i wilk zawyje na gruzach.... a dęby zaszumią po raz ostatni.... ostatni.... ostatni!....

Z temi słowy dusza jego uleciała, a cisza taka zaległa w około, że było prawie słychać szelest jej białych skrzydeł. Słońce tej chwili ukazało się ponad lasem jak czerwona kula, oświecając śmiercią wybielałe lica kapłana.

Łzy lśniły się w oczach wszystkich; ale nie czas na łzy — czynu, czynu potrzeba!

Lud cały jedną myśl żywił: zamknąć się w świątyni i zagrzebać się w jej gruzach!

Długim szeregiem podążyli wszyscy ku górze, niosąc ciało młodziana. Dolinę cichość zaległa, stłumione kwiaty i zioła głowy podnosić zaczęły, wiatr poranny otrząsnął dębów konary a leśne ptaszyny piosnkę codzienną nucąc odzywały się w drzew gałęziach. Bohot do połowy mgłą się osłonił, świątynia tylko nad mgłą się wznosi, a z niej Światowid na cztery strony świata jak zawsze spogląda.

IV.

W około świątyni lud się zaroił. Arcykapłan w uroczyste przebrany szaty, wyszedł na próg do ludu. On także wiedział już o wszystkiem i wiedział, czego lud żąda.

— Będziemy bronić wiary naszej, wiary ojców naszych — mówił suchym, kaszlącym głosem. Świątynia nasza przesławna runąć nie może i ogień, Żnicz święty na Bohocie nie zgaśnie!

— Nie zgaśnie! — lud zawtórzył i rozbiegał się w około, by gromadzić kamienie do obrony. Młodszych posłano do osad po broń i żywność. —

Arcykapłan z powagą przechodził pośród tłumów, lud skraj szaty jego całował i korzył się jakby przed świętym, ale w jednem oku zemsta świeciła dzika.

— On zginąć musi! — szeptał Stoigniew do siebie — on zginie, przysiągłem że z mej ręki!....

Słońce tymczasem południe przebiegło i na zachód skłaniać się poczęło. Młódź wróciła z oszczepami, z bronią i żywnością, a tłum wciąż krzątał się gorączkowo.

Tam gdzie skała Bohotu prostą się ścianą na zachód zwraca, za ołtarzyskiem samotna o dąb oparta stanęła dziewczyna.

Uśmiech szczęścia krasi jej lica, bo ona marzy o ukochanym, bo on powrócił do niej i już na zawsze.

Krokiem wolnym zbliżał się Stoigniew ku krawędzi skały, ona doń dłonie swe wyciągnęła, a uśmiech wesoły igrał na jej ustach.

I Stoigniew się uśmiechnął, ale z poza uśmiechu widać było walkę wewnętrzną, widać że tłumił dziką namiętność.

— Co ci jest, jasny sokole mój? powiedz, powiedz gołąbce swojej, ona ci chmury z czoła usunie — ty przy niej śmiać się i weselić musisz.

— Nie Dobromiro, o nie, gołąbko — uśmiech i wesele na długo odemnie uciekły.... Dotąd nie znałaś ty dni mych młodych i doli mojej.... lecz dzisiaj pora, dziś wszystko wiedzieć musisz, a potem,

potem pójdziesz za mną z ufnością dziecięcą.... lub — odtrącisz na wieki!.... Znasz ty, co sieroctwo i ból i łzy? O! bogdajbyś ich nigdy nie znała! Opowieść moja długa, o długa i smutna — w niej rozpacz, w niej łzy, w niej odstępstwo i zemsta! Dziś wszystko się skończy, dziś albo nigdy!

Czy wiesz ty, czemu ojciec mój i macierz umarli? Ach! kto wie, co i mnie czeka.... bo nim słońce jasno zaświeci, kto zna mą tajemnicę, nie pewien jutra — lecz przyjdzie chwila, o! i nie długo! Słońce zaświeci, a w jego promieniach zabłyśnie znamię prawego Boga!

Znasz ty ustronie tam ponad rzeką, tam gdzie dziś bujno chmiel drzewa i krzaki oplata — tam stał dom ojców moich. Rodzic mój był możnym kmieciem, miał wiele stogów i bydła w oborze, miał ziemi wolnej okrąg szeroki.... Dom ogień zniszczył, ziemię dziś burzan zarasta.

Małym ja wtedy byłem chłopięciem. Na dworze wicher huczał i wył przeraźliwie — gęste krople deszczu biły o ściany domostwa, czasem i jasny grom niebo przecinał, wtedy się burza wzmagała, że aż dom cały drżał w podwalinach. Ja tuliłem się do macierzy, ojciec na ławie siedział i sparłszy głowę o dłonie, dumał i słuchał burzy, jak wyła — a na kominie tlało łuczywo, dym snuł się popod powałę — wszystko to dziś jeszcze żywo w oczach mi stoi.

Wtem rodzic podniósł głowę i zaczął nasłuchiwać — do drzwi ktoś stukał słabo i cicho, jakby mu sił nie stało.

Wstał ojciec z ławy i drzwi otworzył — wicher tej chwili wpadł do świetlicy i zgasił łuczywo. Ojciec niedługo wrócił, ciężkiego coś na ławę złożył i drzwi zaparł, potem ognia skrzesał, a kiedy łuczywo znów zatlało, ujrzeliśmy na ławie starca z długą, siwą brodą w ciemnej, długiej szacie — zdawał się leżyć bez czucia, lecz żył jeszcze, bo oddech pierś mu podnosił. Macierz polewkę ciepłą ojcu podała, on wlał jej trochę do ust starcowi — ciepło po skostniałem ciele się rozeszło i starzec otworzył oczy i siadł na ławie, a potem dziękował, lecz nie szedł gdzie

pokucie, by tam stojącym bogom domowym pokłon oddać, jak to w zwyczaju. W komorze potem rodzic kul słomy położył, macierz go płótnem okryła, i poszedł starzec na spoczynek, dziękując raz jeszcze i pozdrawiając nieznanem jakiemś imieniem.

Mowa jego była jakaś dziwna — niby nie nasza a przecież zrozumiała, a wydał nam się jakby jakiś arcykapłan ze stron dalekich przybyły.

Rankiem gdym się obudził, słyszałem jak starzec drżącym głosem pieśń jakąś śpiewał, a pieśń ta dziwnie piękną i poważną była. Spojrzałem na macierz, na ojca — i oni słuchali tej pieśni, dosłuchać się nie mogąc. Potem śpiew ucichł i drzwi się komory otwarły i starzec wyszedł, pozdrawiając nas tem samem co wczoraj imieniem.

Starzec ten odtąd pozostał u nas. Był słaby, więc rodzic puścić go nie chciał, macierz go prosiła, więc nie szedł dalej. Wieczorami siadaliśmy za stołem — on nam różne rzeczy rozpowiadał, bo był w szerokim świecie, wiele widział i przeżył wiele — jam go zwał dziadem, ojciec i macierz ojcem go zwali.

Raz — było to na dni nie wiele przed świętem dożynek — siedzieliśmy razem na przyźbie przed domem, mrok już zapadł i miesiąc jasny wyszedł nad ziemię — my słuchaliśmy starca. Starcowi w źrenicach tlał ogień dziwny, lica mu wypiękniały, a on nam mówił długo o jakimś Bogu wielkim i świętym, co nie jest z kamienia ani drzewa, co świątyń i chramów nie ma, bo chramem jego niebo i świat cały, — mówił o Bogu niewidzialnym, który wszystko wie i widzi, który świat cały słowem jednem uczynił. I zorza rumiana na niebo weszła, nam sen oczu nie zmrużał — słuchaliśmy tych dziwnych rzeczy, słuchaliśmy, a on mówił dalej o bogach naszych i o kapłanach i pytał, jak my możemy czcić bogi własną utworzone ręką — to mówiąc poszedł, gdzie posążek Światowida stał, skruszył go w dłoniach i rzucił na ziemię.

Struchleliśmy myśląc, że grom w starca uderzy i ukarze zniewagę bóstwu wyrządzoną — starzec stał jednak i smutno się tylko uśmiechał.

— Patrzcie — mówił starzec — patrzcie, jak bóg wasz jest bezsilny, Światowid nie ukarze za zniewagę, bo Bogiem nie jest — to bryła kamienia! Porzućcież wiarę swą, a uwierzcie Bogu, co wszechpotężny, co wszystko stworzył, obmyjcie się wodą chrztu i bądźcie odtąd innymi ludźmi, ludźmi, których dusze Bóg mój przyjmie w godzinę śmierci do siebie na wieczne życie i szczęśliwość! —

I przyszło święto dożynek, a ojciec mój i macierz nie szli na Bohot i darów nie nieśli.

Staruch rozpytał tylko o drogę, a wziąwszy kostur w ręce, podążył sam na Bohot, ale z Bohotu nie wrócił więcej.

Rodzic mój puszczę wszerz i wzdłuż przeszedł i dnia trzeciego w dębowym gaju na dębowej skałce znalazł śmiertelne szczątki starca....

Starzec opuściwszy dom nasz, zaszedł aż na dolinę Bohotu i tu stanąwszy w pośrodku tłumów, mówił im o Bogu jedynym, o Bogu swoim.

Kapłani nazwali go bluźniercą i bezumnym, potem zawiedli go w gaj dębowy i tam przywiązawszy do drzewa, zostawili go na pożarcie zgłodniałym wilkom.

Ze czcią świętą rodzic pozbierał te szczątki i na szczycie góry pogrzebał je w ziemi, nasunąwszy na grób kamień, na którym wyrył znak krzyża, bo starzec mówił zawsze, że pod krzyżem, który jest godłem jego wiary, spoczywać pragnie.

Późną już nocą rodzic powrócił, a będąc strudzonym, zaległ łoże.

Około północy zbudził nas ruch jakiś koło domostwa i trzask drzwi łamanych. Kilka czarnych postaci wpadło do izby — zatlono łuczywa, a zanim rodzic mógł się odezwać, był już związany, ubezwładniony — macierz o pomoc wołać zaczęła, lecz pachołek jeden chustę jej na głowę zarzucił i stłumił wołania — ja skryty w półcieniu płakałem ze strachu.

Z pomiędzy pachołków wyszedł jeden, co starszym być się zdawał, wyszedł z osłonionem obliczem, ale ja go poznałem, o! dobrze poznałem.... był to kapłan, dozorca Żnicza w chramie Światowida.

Zmienionym głosem pytał on ojca mego o starca, o wiarę — ojciec milczał — lecz kiedy kapłan zapytał, czemu w wielkie święto nie był z pokłonem w kontynie Światowida i czemu darów nie przyniósł, rodzicowi oczy zalśniły się tem samem światłem jak starcowi, kiedy nas o Bogu jedynym nauczał i głosem wielkim zawołał rodzic:

— Nie byłem z pokłonem, nie niosłem darów, bo kamiennym bożyszczom czci Bogu należnej oddawać się nie godzi — wasz Światowid nie jest bóstwem — Bóg jeden, Bóg starca, któregoście zamordowali, jest Bogiem moim!

Jakiś chrapliwy, niewyraźny głos wyrwał się z gardła kapłana, pachołcy na głos ten porwali rodzica i macierz i wiedli ku miejscu, gdzie rzeka w staw się rozlewa. Tam w czółno wsiedli.... a po chwili usłyszałem plusk dwóch ciał i jęk krótki.... fale się zamknęły.... jam został sierotą!....

Ukryty w zaroślach nadbrzeżnych patrzyłem na wszystko i księżyc biały także patrzał na to....

Potem czółno znów do brzegu przybiło, pachołki przeszli koło mnie, przeszli koło domostwa naszego, a kapłan skrzesawszy ognia, podłożył gorejące łuczywo pod suchą strzechę....

Płomię buchnęło szeroko, okrwawiło niebiosa łuną, a rankiem ja sam jeden na świecie.... siedziałem na gruzach domostwa mego, jak ta ptaszyna biedna, której gniazdo zburzono, której zabrano wszystko, co miała najdroższego!....

O! wtedy jam już nie płakał i nie kwilił jak dziecina.... wtedy nieszczęścia zrobiły mię od razu młodzianem w latach dwunastu!...

Łzy otarłem, z zgliszcz się podniosłem, a wiatr huczący i szmer fal rzecznych słyszały moją przysięgę — o! ja przysięgałem zemstę, choć Bóg, któremu służę, jej zabrania — przysiągłem i dotrzymam.... Kapłan ów dziś jest arcykapłanem — oszukuje lud, strasząc go potęgą kamiennego bożyszcza — ja posąg jego skruszę, ja śmierć przeklętemu przyniosę, a sił mam dosyć, by zniszczyć to gniazdo oszustów i wytępić plugawy ród kapłanów pogańskich! —

Skończył Stoigniew. Czoło i lica ogniem mu pałały, pierś się wzruszeniem wznosiła, oddychał ciężko, a Dobromira jak gołąbka drżała od grozy i strachu.

— Tak Dobromiro — mówił Stoigniew — ja się zemszczę, potem ty pójdziesz ze mną, pójdziemy razem w inne, dalekie kraje.... rzucimy te strony łez i bolu — ja cię otoczę ramieniem mojem, osłonię od wszystkich trudów, od smutków, tęsknoty i bolu, i łzy nie zaznasz.... o bo łza życie truje.... bo gorycz pierś wyjada!... Ty się mnie nie lękasz, ty pójdziesz za mną, nieprawdaż? —

Dziewczę i słowa nie odrzekło, podało mu tylko swe dłonie, pochyliło się ku niemu, a on pochwycił ją w swe ramiona i szeptał pełen szczęścia, zapomniawszy tej chwili o bolu i zemście — szeptał jej słowa miłości, co z serca płynęły:

— O tak! razem pójdziemy przez świat i życie, przez łzy i trudy, aż znajdziem krainę, gdzie o wszystkiem zapomnim, gdzie szczęście świta!... Ale nie czas marzyć! Do czynu, do dzieła, do zemsty! —

Wspomnienie zemsty i czynu zmieniło od razu młodziana. Znów z surowem obliczem, z ogniem w oku stał przed dziewczyną, potem raz jeszcze przycisnął ją do serca swego i krokiem spiesznym oddalił się w stronę świątyni.

Dziewczyna za nim dłonie wyciągnęła, chciała go wołać jeszcze.... lecz już jej zniknął z oczu.... opuściła więc główkę na piersi, westchnęła cicho, a w duszy myślała, że za nim pójdzie wszędzie.... wszędzie.... do grobu nawet!....

V.

Stoigniew szybko skręcił poza świątynię i w tłum się wmięszał. Stary Lasiuk dłoń mu na ramię położył.

— Pójdźmy — rzekł — pójdźmy tam w ustronie za róg kontyny — ważna to chwila, może ostatnia dla mnie starego, musim pomówić ze sobą.

Stary wziął dłoń Stoigniewa w swe dłonie i nim mówić począł, długo mu w oczy patrzał, jakby chciał zbadać głębinę duszy młodziana.

— Rok już cały -- mówił Lasiuk — jak rzuciłeś domostwo moje, jakeś rzucił nas starych, cośmy cię za syna mieli a Dobromira za brata swego. O! nie przerywaj! słuchaj mię dalej — ja stary jestem, jam przeżył wiele i znam ludzi, znam i ciebie. Byłeś pochopny do wszystkiego, jakaś cię siła goniła w światy i ty poszedłeś, poszedłeś aż do Kijowa. Słyszałeś, jakie wieści nam przyniesiono, ty sam może wiesz więcej.... Miasto i dwór kniazia tak łatwo psują.... a jam dla ciebie Dobromirę chował.... Przysięgnij Stoigniewie tu na ziemię świętą i na niebo, przysięgnij czyś przodków wiary nie rzucił, czy czcisz jeszcze te bogi, co nas dobrem darzą — przysięgnij mi na cienie ojców twoich!.... Cóż? milczysz?!... Czemuś tak blady i drżący? —

Stoigniew ściskał rękojeść mieczyka, wargi zaciśnięte kurczowo zbielały mu jak śniegi zimowe a oczy tlały błyskawicą. Pohamował się jednak i zaczął zrazu wolno, potem coraz szybciej mówić — z ust mu słów potoki płynęły, słowa te żarem buchały, bo w piersiach ogień go pożerał.

Tu na tem miejscu, gdzie o krok od niego arcykapłan krył się w świątnicy, tu gdzie go zemsta przez szerokie ziemie, przez długie lata gnała, tu śmiano go zaprzysięgać na cienie ojców, cienie rodzicieli!...

Straszna noc i jęk okropny macierzy i plusk fali brzmiały mu w uszach złowrogo, przeraźliwie zemsty wołając. Na krzyk zemsty syn natury nie będzie jak owieczka... dzikość wilka się odezwie i siła niedźwiedzia i krwi pragnienie!....

— Słuchaj stary — mówił Stoigniew — słuchaj! słów mam nie wiele, ty znasz mą przeszłość, ty wiesz, kto mię sierotą uczynił, wiesz, jak straszny los spotkał rodzicieli moich... ty może masz serce... może zrozumiesz ból... dzień zemsty przyszedł... niech zginę raczej — a przysiąg dotrzymam! Jam zrósł w twym domu, ja dzieckiem byłem, ale to dziecko miało pamięć dnia okropnego, i wicher mi jęczał jak

umarli jęczą i burza i grom ryczały i w ciszy jam zawsze głosy ich słyszał!.... Ja dzieckiem byłem, ale to dziecko w sercu swem jad miało, a jad ten pożerał je i niszczył!.... Pamiętasz? jam nieraz blady i chmurny siedział dumając.... a czy wiesz, com myślał wtedy, co w sercu mem wrzało? Słowa starca owego, co w dębowym gaju zginął z kapłanów waszych ręki utkwiły mi na zawsze w myśli.... On uczył przebaczać... ha przebaczać! I czy wiesz? czasami chciałem w istocie zapomnieć, chciałem przebaczyć.... lecz wtedy czułem duchy umarłych przy sobie, słyszałem ich szepty ciche, ich rozhowory... w pamięci wszystko mi stawało!.... Podkradłem się jak lis do chramu na Bohocie..... ukryty patrzałem na szalbierstwa kapłanów, potem na ich libacje — słuchałem wrzasków pijanych,... arcykapłan przewodził.... Miałem nóż w zanadrzu... noc ciemna nadeszła, kapłani się rozeszli, każdy do swojej świetlicy.... ja za arcykapłanem wśliznąłem się jak wąż.... Gdy arcykapłan łoże zaległ, wysunąłem się naprzód z białym nożem w ręce.... chciałem go zabić, ja, dziecko, liczące wówczas lat dwanaście zaledwie.... Nie obliczyłem się z siłami... w pół drogi upadłem zemdlony.... Bolesne razy i krzyk kapłanów przywołały mię do życia.... Pastwiono się nademną jak nad psem, a potem jako nieżywego rzucono mię poza bramę.... Chłód nocy orzeźwił mnie, dał mi życie.... Wróciłem do was!... Ta jedna noc zdarła z mych oczu zasłonę i odtąd nie mogłem czcić bóstw waszych.... o słuchaj, starcze.... ja od tej chwili rzuciłem dziadów moich wiarę!... Wiesz już wszystko, uderz więc w pierś tę, wyrwij z niej serce..... bo i bez tego ból je rozsadzi..... —

I młodzian dłońmi lica zasłonił.... Lasiuk stał jak skamieniały, nie mogąc ni myśli zebrać, ni słowa wymówić....

— Przeklęty! — wyszeptał z cicha — na wieki przeklęty!

Stoigniew zaśmiał się dziko.

Mrok wieczorny pokrywał góry i lasy, na

niebie gwiazdy zabłysły, ale z zachodu czarna ciągnęła chmura.

Stokrotne echo śmiech Stoigniewa rozniosło po skałach i złomach, a grom tej chwili zahuczał w dali wtórząc śmiechowi.

— Przeklinasz? zawołał młodzian — i zacóż przeklinasz, cóżem ci winien? O! tem przekleństwem Dobromiry mi nie odbierzesz — odstępca wiary i przeklęty w niczem się nie cofnie, nie zlęknie się niczego.... Światowid runie, arcykapłan krwią obleje ściany chramu i krew jego zagasi wasz Znicz święty.... chwila nadeszła!....

I jak szalony chwycił za mieczyk, przedarł się przez tłum aż do świątyni, gdzie arcykapłan wieczorne odmawiał modły do boga o poczwórnem obliczu.

W chramie półcień panował — tylko Żnicz na ołtarzu jaskrawo rozświecał ściany zdobne w rzezane bóstwa i rogi jelenie. Przy ścianie drzwiom przeciwległej stał biały, wysoki posąg czworogranny — przy nim chwiała się zasłona, za którą się modlił może arcykapłan.

Na odgłos kroków z poza zasłony wystąpił modlący się.

— Czy mię poznajesz? — zawołał Stoigniew piekielnym, syczącym głosem, czy wiesz, kto jestem? Zemsty godzina wybiła...! pamiętasz straszną noc, dziesięć lat temu i ów plusk fali i głuche jęki na śmierć wiedzionych? Krew twoja wszystko mi zapłaci.... giń!....

I mieczyk błysnął i w pierś uderzył pierwej, niż słowo wymówić można.

Nad ciałem arcykapłana nachylił się Stoigniew i słuchał oddechu jego.... oddechu nie było już — przed nim trup leżał.

— A teraz pogrzeb ci sprawię! — zawołał szyderczo... I płonącą żagiew porwał z ogniska i za chwil kilka czerwona łuna okrwawiła niebo.

Stoigniew stanął na uboczu z założonemi rękoma, z licem jak noc chmurnem....

Lud bezradnie świątynię obstąpił, jeden Lasiuk pobiegł do chramu, za nim czeladź jego i z młodzi

kilku, co zanim chram się w gruzy rozsypał, wynieśli posąg boga swego z świątyni.

Wicher z zachodniej strony zerwał się i zagrzmiał burzą, rozdymał ogień i pędził go w górę, a czarne chmury zgasiły gwiazdy i grom złowrogi stokrotnem echem zahuczał, a w ślad za gromem zawyła burza, zajęczały wyniosłe dęby, a niebo wylało wód potoki. Chram mimoto płonął, a ogień piął się coraz to wyżej i jaskrawo oświecał skupionych w jedną gromadę ludzi, na których licach przestrach się malował.

Biały posąg Światowida na uboczu, oczerwieniony ogniem, patrzył spokojnie w cztery strony świata, a burza tymczasem waliła dęby z strasznym łoskotem, gromy ryczały jakby świat cały miał się rozprysnąć i zwalić, jakby się niebo z piekłem sprzysięgło na zagubę ziemi!

Potoki wód zalewały płomię, które przygasać poczęło, grom tylko niebo ogniem rozdziera i burza ryczy i wichry wyją!

Przy gromów blasku dojrzał Stoigniew swą Dobromirę, pośpieszył do niej, do swej gołąbki, co drżała jak liść osiny — na piersi ją swojej utulił i burką swą osłonił. —

Tymczasem burza ucichać zaczęła, grom poraz ostatni zahuczał, waląc stuletniego dęba-olbrzyma i zamilkł — jeszcze szemrzą deszczu krople a po chwili nastąpił w naturze spokój, nastała cisza grobowa.

Jeszcze czasami górą wiatr zaszumiał i krople deszczu z drzew otrząsnął, czasem błysk daleki niebo przecinał lub z popieliska żar się rozpryskał, w górze jednak z nawpół rozdartej chmury księżyc twarz bladą wychylał.

Lud z przestrachu ochłonął i okrążył biały posąg Światowida, chcąc modłami przebłagać zgniewane bóstwo — Lasiuk naprzód wystąpił, dłoń wzniósł do góry i grobowym mówić rozpoczął głosem:

— Bogi nas karzą, bośmy win pełni! Bogi nas karzą burzą, pożarem, głodem, chorobą; lecz największą karą to zły człowiek. Czy wiecie wy, czyja to dłoń sprawiła, czy wiecie, kto w gruzy obalił

świątynię?-... Ja to wychowałem tę gadzinę, ja to wykarmiłem ją chlebem moim! Jam Stoigniewa jak dziecię me chował.,.. jam go ukochał jak dziecię własne, a dziś oskarzać muszę.... potępiać!....

W tłumie wszczął się huk groźny, potem zabrzmiały pojedyncze głosy jak gromy śród burzy i wszystko to się zlało w jeden okrzyk dziki, straszny, piorunny:

— Śmierć! Śmierć!....

— O nie! — zawołał Lasiuk — śmierć to za mała kara, za mała! — To mówiąc obrócił się ku bóstwu i porwał ziemi garść w dłonie i wzniósł ją do góry i począł mówić:

— Odstępcy wiary, zabójcy kapłanów świętych niech ziemia przytułku nie daje — gdy spocząć zechce, niech go ziemne duchy straszą, niech gdy zapragnie posiłku, żmije i gady w swej misie znajdzie.... niechaj snu w nocy, a słońca w dzień biały niema, niechaj mu huczy grom ponad głową, ziemia mu paszczę niech swą otwiera!.... —

Umilknął starzec, by tchu zaczerpnąć.

— Zabójca kapłanów, odstępca wiary, bogów zniewarzyciel, niech znamię zbrodni po wszystkie wieki na czole nosi.... przekleństwo niechaj go ściga jak świat szeroki, przekleństwo niech wisi zawsze nad nim i w tem i w przyszłem życiu!.... Ja go przeklinam... po trzykroć przeklinam!...

Jęk cichy z dziewiczej piersi jak brzęk urwanej struny zabrzmiał, a po starca śmiertelnie bladem licu pot spływał zimny. Stary Lasiuk toczył ciężką walkę w swych piersiach — i długa chwila minęła, nim znowu mówić począł:

— Przeklęty niech i ten będzie, co mu chleb poda, co słowo doń powie, co go w swe przyjmie progi, co pójdzie za nim!...

Ostatnie słowa wypowiedział z takim wysiłkiem, jakby ta pierś żelazna pęknąć miała, bo słowami temi rzucał przekleństwo straszne i na swą Dobromirę.

Za Lasiukiem lud wszystek grobowym głosem powtórzył:

— Przeklęty! —

I starzec rozrzucił ziemię w dłoniach trzymaną na wsze strony świata i upadł omdlony.

Stoigniew słuchał słów tych okropnych jak skamieniały — nie drgnął nawet i oka nie zmrużył, tylko wargi zacisnął, tylko czoło zmarszczył, a do piersi tulił swą Dobromirę, co mu ją chciano przekleństwem odebrać.

I była chwila, że się zawahał, że chciał ją zawieźć do Lasiuka, do ojca i macierzy — o! bo przeklętemu nie wiązać nikogo do losów swoich!....

W Dobromiry oczach płomień jakiś dziwny zajaśniał i oczy te patrzyły dziko, a w licach widziałeś jakby pomięszanie i obłęd....

— I ty przeklęty... i ja przeklęta... o uchodź, uchodź, mój sokole... ja się ich boję.... jak straszni oni... jak straszni!... Ten starzec siwy... on był moim ojcem.... on dał mi życie i wziął je.... dalej a dalej uchodźmy ztąd.... uchodźmy w świat... wicher tak huczy... noc ponura... mnie straszno... zimno... i boli mię tu... tu koło serca!...

Jak małe dziecię wziął ją Stoigniew na ręce i wolnym krokiem schodził z Bohotu, a z tłumu nie śmiał nikt się doń zbliżyć. Starzec tylko ręce wyciągnął za ukochanem dziecięciem, ale Dobromiry zawołać już nie śmiał.

VI.

Dobromira bezwładnie przewisła Stoigniewowi przez ramię. Okiem suchem, szklannem patrzyła nań, ceglany rumieniec na białe jej lica wypłynął, usta drżały ściśnione namiętnie. Pierś falowała i wznosiła się, jakby w niej serce pękało, a włosów jasne warkocze sięgały aż ku ziemi. Potem zamknęła powieki, jakby w sen popadła, a Stoigniew niósł ją na ręku śpiesząc w dół aż ku dolinie.

Tu ponad źródłem świeżem złożył drogi swój ciężar, zaczerpnął w dłoń wody i skropił Dobromirze lica i skronie natarł.

Po długiej chwili znów otworzyła oczy, uśmiech okrasił jej zbielałe usta, dłoń podniosła do serca,

potem wyciągnęła ją do Stoigniewa... lecz tejże chwili cała okropność nocy i przekleństwa w pamięci jej stanęły... wydała okrzyk głuchy, z ziemi się porwała siłą nadludzką i poczęła biedz przed siebie.

Przebiegła strumyk, potem ku górze biegła, skacząc jak dzika koza przez głazy i kłody.

Stoigniew biegł za nią, zgonić nie mogąc.

I tak w pościgu minęli Skałkę-dziurawą, potem ku Hołdzie zbiegli i Parnią przeszli — jakaś ją siła nieziemska gnała ciągle na północ dalej i dalej!...

Czasem dzikim się śmiechem śmiała a śmiech się odbijał o drzew sklepienie, czasem wołała: „przeklęty! przeklęty!“ i echo od skał odbite wtórowało jej słowom, czasem błagała bogów Perkuna, Dziewonii, Jessego! Szum tylko wichru, co szalał kędyś nad ziemią, wtórował jej modłom... Czasem cichy szept z ust jej wybiegał i w tym szepcie słyszałeś Stoigniewa imię... lecz wtedy szatańsko puhacze i sowy się śmiały!....

Przed nią pierzchało wszystko dokoła: wilk nawet, co leżał spokojny, zerwał się, zawył dziko i świecąc jeszcze z daleka oczami, w głąb puszczy uciekał, a ona biegła i biegła.... O gałęzie szata się czepiała i włosy rozwiane.... lecz nic jej wstrzymać nie mogło!....

Bez tchu prawie biegł za nią Stoigniew — już ją dosięgał, już w pół ją chwytał... ona wykręciła mu się i z rąk wydarła, a skręcając w Jar-ślepy, pomknęła się ku górze, gdzie głucha Puszcza szumiała.

Lica jej teraz jak śniegi zbielały — z porozdzieranych nóg krew płynęła, a oczy mgłą zaszłe, wzniesione w górę zdawały się nic nie widzieć a przecież patrzały.

Tak dobiegła na szczyt góry i tu nagle skręciła na lewo....

Z piersi Stoigniewa wyrwał się okrzyk zgrozy...

Kilka kroków od tego miejsca zaczynało się urwisko skały prostą ścianą, w której wykutą świątyńkę przed kilku jeszcze dniami bogini Baba zamieszkiwała, a jeszcze poniżej zaczyna się głęboka przepaść, na której dnie snuł się po kamykach srebrzysty strumyk.

Gałęzie drzew i krzewów zasłoniły na chwilę Dobromirę, — Stoigniew z nadludzkim wysiłkiem pośpieszył za nią i już jej niedogonił... przed sobą widział urwisko... a na dole Dobromirę....

W oczach mu pociemniało.... w piersi ból straszny uczuł... bo już ją stracił na wieki....

Okrążył skałę.... zbiegł do niej i ukląkł pochylając się do ust jej.... żyła.... oddechała jeszcze....

Wąziuchny pasek krwi skroń jej opływał — ona otworzyła raz jeszcze oczy, uśmiech ledwo widzialny przebiegł po jej licach — usta wyszeptały imię ukochanego — pierś po raz ostatni silnie się wzniosła — westchnienie z niej wybiegło.... i już usnęła na wieki!....

Słońce zeszło i na niebiosa się wzniosło, promienie jego złote przeciskając się przez zielone drzew sklepienie, ozłociły jej jasną główkę, dąb po nad nią ostatnią pieśń zaszumiał, a Stoigniew klęcząc patrzał na ukochaną — na swą Dobromirę, dla której roił szczęście, z którą żyć pragnął po wieki.... Dziś ona nie żyje, a i w nim życie wymarło....

O zmroku z ponurych myśli zbudziło go bliskie wycie wilków.

— O nie... tak jej nie zostawię... Tam na górze pod dębem grób jej wykopię — dąb to pomnik na długie wieki.... —

Podniósł ją — jak dziecinę przy piersi utulił i niósł ją aż tam, gdzie okop się zaczynał — tam młody dąbczak wznosił swą piękną koronę do góry. W jego cieniu jął Stoigniew ziemię kopać.

Mieczykiem, co go od boku odpasał, miejsce na grób oznaczył... a kopał długo... blady mu księżyc przyświecał, bo słonko dawno głowę do snu skłoniło.

O północy grób był gotów.

Stoigniew ostatni pocałunek złożył na czole Dobromiry a potem ją w grób ułożył. Złamaną gałąź na grób jej rzucił, a odchodząc szeptał pożegnania słowa. Dąb mu szelestem odpowiedział, a na niebie tej chwili jasna gwiazda przebiegła i zgasła na zawsze!...

VII.

Na Bohocie tymczasem zamięszanie panuje.

Dzień już i noc druga minęła od strasznej nocy, w której arcykapłan zginął i świątynia spłonęła.

Wysłani na zwiady donieśli, że Zbrucz przechodzą pachołki, zbrojni kniazia wysłańcy.

— Zginiemy w obronie bogów i wiary naszej! — lud wołał, ale wodza nie było....

Lasiuk choć bolem złamany wystąpił naprzód, oszczep w dłoń drżącą pochwycił i stanął przy bramie, by bronić wchodu. Na około okopu postawali młodzi i starzy — niewiasty nawet z włóczniami lub z kamieniami w rękach.

Zbrojna drużyna ukazała się naprzód na dolinie, i od doliny prosto poczęła się piąć ku górze. Tak doszli do okopu, gdzie ich grad kamieni powitał. Jeden głaz stoczony z góry zabił dwóch pachołków.

— Do bramy! do bramy! — zawołali wszyscy.

Brama z potężnych kloców nie tak łatwa do złamania — ale pachołcy mają ostre berdysze i żelazne ramiona.

Już brama wysadzona, już już horodyszcze zajmą! Lasiuk podniósł swój oszczep, lecz oszczep strzaskał się o tarcz przeciwnika a starzec upadł, brocząc się w krwi własnej.

Lud rozbiegł się i ukrył pośród gęstych zarośli i napiętrzonych głazów, a pachołki kniazia bez przeszkody poszli, aż gdzie stał biały Światowida posąg i zarzuciwszy mu sznur na głowę, obalili i pociągnęli w dół prosto ku rzece.

Do rzeki spory był kawał, ale pachołki śmiejąc się ciągnęli posąg po ziemi i naigrawali się z kamiennego bożyszcza.

Z daleka słychać już szum fali — to Zbrucz myje stopy Sokolichy.

Nad brzegiem zatrzymali się wszyscy.

Woda wzmożona nawałnicą, bałwaniła się i pieniła, czarne jej męty mknęły szumiąc i hucząc.

Do fali tej, do tych odmętów strącono posąg z szatańskim śmiechem.

Fala biała posąg objęła, raz go podniosła a potem pogłębiła w swych toniach.

Taki był koniec kultu Światowida na Bohocie.

Na miejscu gdzie stała świątynia postawiono krzyż.

Krzyż z czasem spróchniał i upadł, ale dęby stoją i nucą pieśń pogrobną — czasem sowa przelatując smętnie się zaśmieje i puhacz zahuka, czasem orlik zakracze, czasem burza zawyje i grom uderzy — zresztą cicho i cicho, jak na mogile.....

VIII.

W lat kilka, kiedy już w siołach księża lud uczyli i lud się garnął do nowej wiary — w lat kilka po opisanych wypadkach, też same lasy przechodził mnich chrześcijański, odziany długą, czarną szatą, z kosturem w ręce.

Wyszedł na Bohot i krzyż obaczył, pod krzyżem pacierz odmówił a potem spojrzał z góry przed siebie w dal... i widział brzegi puszczy i sioło... łza mu oko zrosiła — rękawem sutany ją otarł, a potem skierował swe kroki ku dolinie, a idąc na północ, prostował drogę ku Puszczy.

Tam na górze — poza Ślepym-jarem odszukał zapadłą i zarosłą pod dębem mogiłę, usiadł przy niej i zadumał się smutnie, a dąb mu nucił i szumiał ostatnie pożegnanie, ostatnie westchnienia Dobromiry.

IX.

Gdzie Baba w grocie swą świątyńkę miała, tam pielgrzym kroki skierował.

Grota była pusta — pod ściana tylko, naprzeciw wchodu stał głaz ociosany — Znicz niegdyś na nim płonął.

Pielgrzym dobył z pod sutany białą chustę i głaz nią osłonił, potem ustawił obraz Matki Dziewicy, a na ścianie prosty krzyżyk zawiesił.

Tak urządził sobie świątyńkę w jednej izbie, a w drugiej sam zamieszkał.

Pielgrzym ten został pierwszym pustelnikiem w tych stronach. . . . .

*
* *

Zwiedzałem te miejsca. Każdą ścieżkę przeszedłem, na każdej górze pamiątek dni zamierzchłych szukałem — wsłuchiwałem się w dębów szumy — głos przeszłości z nich się odzywał a wiatr mi nucił opowieść, grając melodją dziką.

Dziś puszcza przerzedzona i smutna. Nie masz tych dębów tysiącletnich — zaledwie kilka strupieszałych starców stoi i płacze za piękną przeszłością — czekając, kiedy ich grom lub siekiera obali.

Konwalii tylko drobne kwiaty wonieją. Kwiaty te, to może z łez Dobromiry. . . . .

Pustelnię i dziś zamieszkuje starzec, co się tu schronił na resztki życia.

Miasto ofiarniczego kamienia postawiono w grocie skromny ołtarzyk.

Poniżej góry widać ślady odwiecznych okopów. Tam dąb wspaniały wznosi się pod niebo a w wypróchniałem jego wnętrzu ktoś pobożny statuę Matki Boskiej ustawił.

I na Bohocie także cisza grobowa. Okopy obok doliny rozeznać jeszcze można, ale z świątyni gruzów nawet nie ma.

Czas wszystko zniszczył i zatarł.

Zbrucz jeden został takim, jak był przed wiekami i do niedawna przechowywał wiernie posąg Światowida.

Światowid dzisiaj zdobi muzeum w Krakowie.

Lwów na cytadeli, dnia 27. Lutego 1887 r.

KONIEC.

WIERSZE LIRYCZNE
Władysława Satkego.

Pierwszy całus.

I.

Skąpcze, gdybyś z chciwości kopiąc w krwawym pocie
Niespodziewanie znalazł skarbów miliony;
Starcze, gdybyś dla szczęścia został odmłodzony
Przetrawiwszy wiek cały w nędzy i tęsknocie;
Więźniu, gdyby ci właśnie po bezsennej nocy
Śmierć tyrana i twoją wolność ogłoszono;
Człecze, w którego piersiach namiętności płoną,
Gdybyś się mógł wycofać z piekielnej przemocy;
A nawet ty, w objęciu pieniącej się fali,
Co już ostatnie drgnienia twego serca liczy,
Gdybyś się nagle ujrzał u brzegów przystani:
O wierzajcie! Wy byście wszyscy nie doznali
Tak niebiańskiej rozkoszy, tak miłej słodyczy,
Jaką w pierwszym całusie czują zakochani.

II.

Luba, czy pomnisz chwilę, gdyś na mem ramieniu
Spoczęła po raz pierwszy? — Przymknęłaś oczęta,
Zakraśniałaś rumieńcem, pierś rozkoszą wzdęta
Nie drgnęła przez chwil kilka nawet w lekkiem [tchnieniu.
A gdym cię usty dotknął, tyś w głośnem westchnieniu
Wylała rozkosz z piersi, o grzesznico święta!
I około mej szyi oplótłszy rączęta
Chciałaś życie przemarzyć w błogiem upojeniu.

A ja? — Nad wszelkie szczęście doczesnego świata
I nad wszelkie rozkoszy anielskie tam w niebie
Chciałbym tak w twem objęciu prześnić wszystkie [lata
I ciągle słuchać szeptu: „Luby, kocham ciebie!“
A jeśli przyjdzie kiedyś zamknąć już powieki,
Chciałbym tak z tobą umrzeć i śnić znów przez [wieki!

Najwyższe szczęście.

Pozwól tak klęczyć przez całe życie,
Zgłębiać w twych oczach miłości toń!
Uśmierz gwałtowne pulsów mych bicie,
Kładąc swe rączki na moją skroń!
Pozwól mi klęczyć przy swoim boku
I poić duszę rozkosznym snem!
Pozwól się zamknąć mojemu oku
Przy piersi twojej, w objęciu twem!
Ja je otworzę tylko światełku,
Co tak cudownie rozjaśnia twe!
W niem już odpocznę po świata zgiełku,
O ty me życie, ty szczęście me!
Kiedy wytryśnie zeń łza gorąca,
Ja je otworzę dla takiej łzy,
Która radości mej nie zamąca,
Tylko z swawoli na rzęsach drży.
Takim łagodny, takim cnotliwy,
A taki dobry i cichy znów,
Tyś moją — jam już nadto szczęśliwy!
Tyś moją — to nad marzenia snów!
Twe ramię, to ma kolebka cicha,
Gdy mię usypia miłości czar;
Każdy twój oddech w serce mi wdycha
Piosnkę utkaną ze sennych mar.
I każdym nowe wlewasz mi życie!
Ha, tak spoczywać do końca dni!
Tak drżąc z wzruszenia liczyć serc bicie,
Szybsze z rozkoszy tętnienie krwi!

Nam zanurzonym w miłości cieni
Zniknął już z duszy i świat i czas:
My tak szczęśliwi, tak upojeni,
Błogość otacza, przenika nas.

Ojczyzna woła!

Ojczyzna woła! — W mej piersi młodzieńczej
Dla jej wolności pochodnia goreje,
Więc w silnej wierze, że laur nas uwieńczy,
Że już się ziszczą wiekowe nadzieje:
Pójdę, gdzie hojnie krew współbraci płynie,
Pójdę z okrzykiem: Ojczyzna nie zginie!
Rodzinne progi opuszczam o świcie,
Niech nikt na lica zroszone nie patrzy;
Brat w mych ramionach zakończył dziś życie
A matka mdlejąc wyjękła w rozpaczy:
By nikt nie wątpił o jedynym synie,
Więc idź, niech nasza ojczyzna nie zginie!
Wysłuchaj modły, Panno z Jasnej Góry!
Spraw, niechaj miecz nasz grube więzy przetnie!
Strzeż nas od zguby, chroń nas po raz wtóry
I wybaw lud twój z niewoli stuletniej!
Hymnem zwycięztwa niech zabrzmią świątynie:
Chwała Ci Panno! Ojczyzna nie zginie!
Rzucam się ślepo w wir walki, gdzie stoją
Liczne szeregi najdzikszych postaci,
Pragnę gorąco krwią i śmiercią moją
Okupić życie i szczęście współbraci:
Niech świat się dowie, że po takim czynie
I takich synów ojczyzna nie zginie.
A więc uderzcie! dozwólcie iskierce
Mojego życia na wieki zagasnąć!
A więc uderzcie: tu piersi, tu serce,
Dajcie szczęśliwie, z uśmiechem mi zasnąć;
Ja słucham jeszcze w ostatniej godzinie
Chóru zwycięzców: Ojczyzna nie zginie!
Kiedy już legnę ranami setnemi
Cały okryty, a uśmiech ostatni
Wyszlę mym ziomkom i rodzinnej ziemi,
Gdy na mych ustach spocznie całus bratni:

Ja wzniosę oczy ku duchów krainie
I umrę szepcąc: Ojczyzna nie zginie!
A kiedy stojąc przed sędziego tronem
Usłyszę wyrok: „Cierp za matkę, brata!“ —
Z sercem radośnem, choć z licem zroszonem
Zawołam kornie: O władco wszechświata!
Nie przepuść grzechów przeciw mej rodzinie,
Lecz spraw, o Panie! — niech Polska nie zginie!

Prośba pogorzelców.

Wczoraj ruchliwe jeszcze życie wrzało,
Pełno tu było gwaru i wesela,
Ale poigrał wiatr z iskierką małą
I słup ognisty pod chmury wystrzela.
Dziś już płacząc i jęcząc wołamy na braci:
Pośpieszajcie z pomocą a Bóg wam zapłaci!
Wyskoczył płomień na gmachy, świątynie,
Wichrem sycona rozlewa się fala,
Ognista, groźna ulicami płynie,
Pochłania ludzi i domy obala.
A my skrwawione dłonie wznosimy do braci:
Okryjcie nagich bliźnich a Bóg wam zapłaci!
Głuchą rozpaczą tchnie dziś miasto całe:
Za resztką mienia w swe zgliszcza dymiące
Wstępują z jękiem postacie zczerniałe
I łzawe oczy podnoszą na słońce.
Więc już modły błagalne wznosimy do braci:
Ach, nakarmcie zgłodniałych a Bóg wam zapłaci!
Patrzcie! z zamożnych, szczęśliwych przed chwilką
Czworo ich nagich przy życiu zostało,
A z drogiej matki białe kostki tylko,
Bo płomień głodny pochłonął jej ciało.
Więc wyciągamy dłonie spalone do braci:
Nieopuszczajcie sierot a Bóg wam zapłaci!
Piekłem zawrzała straszliwa pożoga
I plon zniszczyła długoletniej pracy,
W nędzy i głodzie westchnienia do Boga
I do was szlemy, kochani rodacy,
I wyciągamy dłonie błagalne do braci:
Ratujcie pogorzelców a Bóg wam zapłaci!

Idź i nie grzesz więcej!

„Panie! tę tu niewiastę dzisiaj przydybano
„Łamiącą małżonkowi przysięgę wierności:
„Mów, jaka kara czeka kobietę skalaną?
„Czy może się spodziewać ta zbrodnia litości?“ —
Tak się Pana pytają pochlebni nędznicy,
Gdy mu się z głośnem łkaniem biedna do nóg
[ściele;
Lecz przed nim się otwarło i serce grzesznicy,
Swej podłości nie skryli jej nieprzyjaciele.
Spokojnie rzecze: „Bóg li darzy przebaczeniem.
„Kto jest czystym, niech rzuca na grzeszną ka-
[mieniem!“
Wnet się zgraja rozbiegła bez kamieni w ręce.
„Gdzież jest ten, który urząd sędzi na się bierze?
„Tyś żałowała winy serdecznie i szczerze,
„Więc ja ci ją przebaczam. — Idź i nie grzesz
[więcej!“

JANICZARY SŁAWIAŃSKIE

i branki w XV. stuleciu.

Napisał

SZCZĘSNY MORAWSKI.

Podbijając Trację, spostrzegli Turcy większą zaciętość mieszkańców a nawet chłopcząt tamtejszych branych do niewoli: postanowili korzystać z tego, przyswajając sobie chrześciańską dziatwę. Kazali ją obrzezać, dawali derwiszom na wychowek i naukę wiary Mahometa.

Żałośni rodzice rozpływali się we łzach: że synowie ich wyrastają na wrogów krwi własnej i wiary. Gęślarze sławiańscy obyczajem pradziadów, podsłuchiwali jęków, układali z nich piosnki i śpiewali od sioła do sioła, od chaty do chaty. Pieśni one rzewne Serbów, Bułgarów, Bośniaków . . . przetrwały wieki, dochowały się do naszych czasów. Serbskie pieśni zebrał wojownik serbski Wuk (t. j. wilk), Stefana Karadzicza syn. Znałem go osobiście w Wiedniu, kędy się schronił przed Turkami, z którymi walcząc utracił nogę jedną: chodził o szczudle a cała postać poważna i wyraz oblicza łagodny a męzki wzbudzał cześć powszechną. Pieśni ludowe, dziejowe i obyczajowe wydał on tam w Wiedniu. Jedna z nich opiewa janiczarów zawiązek!

Derwisz świątobliwy, którego nazwisko właściwe było Abewiras a który odbywszy pielgrzymkę do grobu proroka otrzymał nazwę Hadżi-Bektasz i uchodził za santona czyli świętego, wychował kilku-

dziesięciu młodzieniaszków chrześciańskich*). Umiał on napoić ich wiarą Mahometa i przywiązać do swej osoby. Za Amurata II. wywiódł ich na wojnę w imię proroka i przodkując w boju otrzymał ranę śmiertelną. Uczniowie ocalili go i złożyli na łożu pośpiesznie usłanem: najstarszy z nich opatrywał go i pielęgnował.

Przychodziła godzina śmierci! W boleściach strasznych podniósł się, spojrzał na uczniów gromadkę żałośną a wiedząc o ciężkiej stracie Turków, rzekł:

— Wy będziecie wojskiem nowem (jeni-czeri)... ja wam błogosławię! bijcie niewiernych... a na pamiątkę, żeście niewolnikami proroka, nie zapuszczajcie brody! ogolajcie się jak niewolnicy!... A na pamiątkę, żeście uczniami moimi... noście to na głowach waszych!

Tu urwał sobie rękaw obwisły z ręki ranionej i zawdział go na głowę ucznia najstarszego. Poczem skonał! Uczniowie zawdziali czapki obwisłe. Amurat sułtan bacząc osierociałych młodzieniaszków poturczonych przywiązanie do nauczyciela, wziął ich pod opiekę swoją osobistą jako swoją „dziatwę sułtańską**)“. Wyznaczył im żywność i nadał kucharza mianując go dostojnikiem wojskowym z obowiązkiem karmienia dostatecznie dziatwy. Zgłodniałe sieroctwo z uwielbieniem spoglądało na kucharza cesarskiego, który ich tak dobrze karmił; w prostocie wdzięcznej kocioł cesarski obrali sobie za znak wojenny, nieśli go przed sobą w pochodzie i do boju, przy nim skupiali się. Łyżki zaś od cesarza otrzymane pozatykali sobie ponad zawojkę czapek swych pilśniowych i stały się one godłem i oznaką młodych wojaków „jeniczerów.“

Pod osobnym wodzem stanowili ci odrębny zastęp, nierównie odważniejszy od wojska Azjatów. Więc Amurat nakazał co trzyletni pobór alzamolian, t. j. chłopaków chrześciańskich w jeniczary. Brali z trzech synów jednego, któren najśmielszy, w wieku 10—17

---

*) Boter IV. 154.

**) Boter IV. 2. p. 154. „Dzieci sułtana.“

lat, a to zamiast podatku pieniężnego. Przywiezione do Konstantynopola spisywał Aga po imieniu i nazwisku rodzicielskiem i miejscu urodzenia. Poczem poświęceni wierze Mahometa i rozdzielani. Co najurodziwszych obracano do usług w pałacu sułtańskim i po dworach, resztę odsełano do Anatolii. Po czasie pewnym zwoływano co starszych do koszar, gdzie pod starszyzny rozkazami mieszkali razem, ćwicząc się w robotach ręcznych i robieniu bronią, mianowicie w strzelaniu z łuku i samopałów. Wyćwiczonych azamogliów oddawano w konnych spahów lub pieszych jańczarów.

Jańczary podzieleni na pułki mieszkali w koszarach wraz z swą starszyzną, w posłuszeństwie i milczeniu pełniąc roboty nakazane, warząc strawę, młodzi obsługując starszych. Jadali wraz, sypiali wraz a gdyby który nie przyszedł na noc, odbierał srogie karanie kijem, za które musiał podziękować całując rękę starszego swego *).

Tak wzrastali na wojaków dzielnych i posłusznych starszyznie swej srogiej, wzrastali na wrogów swej wiary, ojczyzny i rodziny. Za wyparcie się poniewolne wiary wolno im było znęcać się na chrześciany, a za stłumienie uczuć rodzinnych wolno im było rozpustować sromotnie! —

R. 1423-go Albanię podbił Murat, a od księcia Kastrjoty w haraczu zabrał czterech synów, aby ich poturczyć. Najmłodszy z nich wsławiony później Skanderbeg, był to pięcioletni Jura, ulubieniec matki Wojsawy. Pieśń ludowa prześliczna opiewa jego dolę i pożegnanie z matką, którą chwyta za szyję i zalany łzami mówi: —

„Ostaj z Bogiem, miła matko moja:
Albo cię obaczę, lub nieobaczę więcej!
Dzięki ci za mleko białe,
Któremeś mnie matko wykarmiła!!“
Matka syna pięknie całowała
Łzy roniąc i tak mu mówiła:

*) Boter III. 4 — pag. 170.

„Idźże z Bogiem, drogie dziecię moje!
Niezapieraj się świętej wiary twojej!“
To wyrzekłszy na ziemię upadła
A Turcy synalków powiedli!....(Kaczyć Mioczyć 71.)

Sułtan polubił go także, wziął w alzamoliany, obrzezał, nazwał Skanderbeg (t. j. Aleksander pan) i przeznaczył do służby przybocznej, gdzie wyrósł na wojaka dzielnego, jakiego nie było wśród Turków ani pośród giaurów.

Braciom zaś jego zadano truciznę powolną, z której umierali jeden za drugim z wielkim onegoż żalem. Umarł też i stroskany ojciec, a on musiał jeszcze udawać przywiązanie do Murata. Omylił Sułtana. Powierzono mu dowództwo przeciwko Węgrom, którzy wkroczyli do Serbji: dał im się porazić; na sekretarzu państwa wymógł groźbą rozkaz poddania Kroi stolicy Albanii, którą też owładnął, wyciął Turki, oswobodził matkę ukochaną, pomścił ojca i bracią. Albańczycy uznali go królem i ruszywszy porazili 40.000 Turków, których nań wiódł Ali-Pasza. Działo się to w roku 1443. —

R. 1444 pod Warnę z posiłkami śpieszył Skanderbeg umówiwszy się z królem Władysławem i Huniadym. Serbski ban Jura Brankowicz, nieprzyjazny Madziarom, osadził przejścia i nie przepuścił Albańczyków, którzy go o to prosili czekając trzy dni. Tymczasem Turcy zwyciężyli pod Warną.

Janiczary Murata zabili króla Władysława i na włóczni obnosili głowę jego!

Huniady umknął do Serbji, gdzie iman od Brankowicza musiał się mu okupić.

Skanderbeg z zemsty wpadł do Serbji, pustoszył ogniem i mieczem, przeklinając niewierne Brankowicza pokolenie.

Murad ustąpił panowania synowi Muhamedowi II.; ale dzieci sułtańskie janiczary, na prawdę pokochali ojca swego. Wyszli z koszar, kociołki złożyli przed sobą dnem do góry na znak, że nie chcą strawy cesarza nowego, żądając powrotu Murada kochanego. Naród przyłączył się: Murad wrócił na tron.

Turcy koniecznie chcieli zwalczyć Skanderbega, ale się im nie dał: trzy wojska ich rozbił! Więc r. 1448. w maju Murat osobiście ruszył nań w 100.000 wojska, gniewny, „że sam musi iść na zbójce „h a j d u k a“, który ucieka z góry na górę.“

Najpierw oblegli Turcy Sweti hrad (Świętograd), gdzie Skanderbeg zostawił załogę w części albańską, przeważnie zaś z sławiańskich górali od Dibry.

Dibrzanie ci byli obrządku greckiego, zabobonni wielce, ale w bitności nie ustępowali Albańczykom katolikom, z pośród których też był dowódca Piotr.

Jańczary, sułtańskie dzieci, pod okiem tego ojca swego poniewolnego, dowodzone przez pasze i wezyry, przypadali raz po raz niosąc l i z t w y (drabiny) cieńkie, które się aż łamały pod ciężarem wyłażących zaciekłych zapamiętalców! — Nadaremno! Piotr dowódca siekł i walił z góry, a wśród wrzawy bojowej Skanderbeg z konnicą swą gdyby sokoły siwe, zlecieli z gór, uderzyli i porazili konnicę turecką, umykającą do obozu z okrzykiem: „Skanderbeg! Skanderbeg na nas!“ — Murat musiał się odwrócić i nieść pomoc Azjatom swoim!

Murat oglądając pobojowisko zalewał się łzami z żalu za poległemi j a n i c z a r y i s p a h i, dziatwą swą sułtańską: nosił się już z myślą odstąpienia od Świętogradu. Usłuchał jednak rady przebiegłej: żeby przekupstwem dokonać, czego nie można mocą — zwłaszcza że załoga składa się z ludzi dwu narodowości i dwu wyznań. Obesłano dowódcę, obiecując pieniędzy moc i dostojeństwa najwyższe. Nie złakomił się: oświadczył że dotrzyma wiary zaprzysiężonej.

Ale złakomił się góral jeden, Dybreżanin obrządku greckiego; zaślepiły go obietnice tureckie. Znał on dobrze zabobonność Dibreżan swych, wiedział że w kawałki dadzą się pokrajać a nie dotkną się ścierwa zdechliny. Więc do jedynej cysterny grodzkiej rzucił zdechłego psa. Dibreżanie obaczywszy ścierwo w wodzie jęli płakać żałośniej, niż żeby im Turcy dziatwę pokłuli, poczem tłumnie walili się do dowódcy krzycząc, żeby natychmiast otwierał bramy grodu! — Biedak rozumuje im ile może, przypowiada wybijając troskę z głowy... Nadaremno! Jednogłośnie

wołają: „otwórz bramę, otwórz!“ (Jer kakono vapiachu: propni propnni onako onni jednoglasno vikatu: otvori otvori. — Warna Kromer 332.)

Z wielkim żalem musiał gród zdać Muratowi, wymówiwszy sobie wolne wyjście załodze pod bronią, kędy będą chcieli.

Poczem Murad ruszył pod Kroję. Oblegał ją r. 1450, i znów janiczary zdobywali usilnie ginąc jeden na drugim, a Skanderbeg po staremu jako sokół zlatywał z połonin, siekąc zastępy konnicy tureckiej. Zapadła zima, Turcy zniechęceni jęli się rozłazić, Murat zapadł na zimnicę i umarł przeklinając Kastrjotę, któremu nie mógł podołać zmógłszy pod Warną króla Władysława.

R. 1453go 24. maja Konstantynopol zdobył Mahmud II. syn jego. Janiczary znowu rozstrzygli zwycięztwo. Zdobywali bramę św. Romana, której bronił Justynian z Genueńczyki. Odparli Janczarów, a Grecy stojąc na murach zigrawali się zwąc ich babami płochemi, kazali im wdziewać spodnice! Więc sułtańska dziatwa zawstydzona wróciła i uderzyła z wściekłością zapamiętałą. Genuence schronili się na okręty: janczary zdobyli bramę i miasto. Cesarz grecki padł z bronią w ręku. Turcy wycięli duchownych, prawiących nabożeństwo w kościele św. Zofji. Skanderbeg zaś w Albanii trzymał się.

Mehmed bacząc że trudno go zwalczyć, jął się przekupstwa. Mussa najdzielniejszy z wodzów Skanderbega, po upadku cesarstwa greckiego zwątpił w potęgę Albanii maleńkiej a ułakomił się na skarby wielkie i dostojeństwa, przyjął więc służbę turecką i 25. lutego r. 1454. z potężnem wojskiem Turków, ruszył na Albanię. Janiczary przystali doń jako do wodza słynnego i w najzaciętszym boju skupili się wedle niego. Skanderbeg jednak rozbił wojsko tureckie i tylko janczarów niedobitków dwa tysiące uprowadziło Mussę obronną ręką. Sułtan rozgniewany przywołał już kata, Araba czarnego, chciał go dać ściąć: janiczary ocalili świadcząc, że Turcy pierzchli, on zaś na ich czele dotrwał do końca. Sułtan darował mu życie, lecz wypędził sromotnie a wszyscy Turcy przeklinali.

Mussa zrozpaczony wyrzutem sumienia, wrócił do Albanii, na łaskę i miłosierdzie zdając się Skanderbegowi, który go przyjął, ucałował i przebaczył.

Mehmed zasię przywabił Amecza, bratanka Skanderbegowego i wysłał go z wojskiem do Albanii, której go królem mianował. Skanderbeg rozbił to wojsko, imał bratanka, a przebaczywszy mu posłał go do Neapolu na mieszkanie.

(Andryj Kaczyć Mioczyć: Razgovor ugodni naroda slovinskoga . . .)

Mehmet nie mogąc podbić Albanii zwrócił się na Bośnję. Obesłał króla Stefana Tomaszewicza, żądając poddaństwa i haraczu. Władca Bośnii, zarozumialec bogaty, sądził że będzie drugim Skanderbegiem — za pieniądze. Wyniośle przyjął posły tureckie, zawiódł ich do skarbca i rzekł okazując bogactwo:

— Powiedzcie panu waszemu, że mi złota nie brak! Zgromadzę wojsko silne, a nawet gdybym zwyciężon został, wystarczy mi do wygodnego życia za granicą.

Turcy odjechali olśnieni ogromem skarbów, a Mehmed natychmiast jął gotować wyprawę.

R. 1459. 3-go czerwca z Pristyny rozesłał Stefan wici do podwładnych: „Aby się zgromadzali natychmiast bronić chrześciaństwa, któremu rany zadają Mahumetanie niewierni . . . i już się zbliża cesarz ich Mehmed a zastępy jego wzmożone przez niewiernych i pogan grożą spustoszeniem i zagubą . . . jako już temi czasy uczynili narodom innym . . . jako złupili Konstantynopol . . . o czem bez zalania się łzami nie wspomnieć żadnemu chrześcianowi zwłaszcza katolikowi gorliwemu! . . . w czerwcu więc jeszcze na Kosowem polu stawić się trzeba onemu smokowi, aby nie zionął na nas jadem swym!“ —

Tak brzmiały wici, których odpis dochowali zakonnicy św. Franciszka w Argentina (Kaczyć Mioczyć, Razgovor).

Zanim Stefan zgromadził wojsko, przypadli Turcy, on zaś umknął do Jajcu, twierdzy stryja swego Radziewoja bana. Ale i tam nie czuł się bezpiecznym,

więc przebierał się ku Dalmacji. Wozy obciążone skarbami nie mogły zdążyć przez góry, Turcy zabrali je. Więc i on wrócił poddając się, byle mu zwrócono mienie i zabezpieczono spokój. Poręczyli mu to wodzowie tureccy lecz nie potwierdził Mehmet.

Stefana króla z Radziejowem kazał przywiązać do pala, wymawiając im zdradę kraju swego i rodzin, z łakomstwa żeby nie wydać na obronę skarbów uzbieranych. Więc na zdrajcach kazał się młodzieży ćwiczyć w strzelaniu z łuku, a w końcu kazał ich rozsiekać. Bośniaków zbrojnych 9000, co się poddali, samych panów, szlachty i dworzan — kazał ściąć. Dziatwy zaś i młodzian z całego kraju wybranych 30.000 wziął w janiczary. (Kromer 379.)

Odtąd mowa sławiańska stała się mową janiczarów.

. . . .

Niedobitki i niepodleglejsi a w wierze wytrwalsi uchodzili w Czarnogórze, albo na wyspy sinego morza.

(Kaczyć Mioczyć... Kromer...)

Mehmet, pierw nim ruszył wojsko na Bośnję (jeszcze 2-go maja 1463) napisał list uprzejmy do Skanderbega, przypominając mu: — „Jako razem się chowali gdyby bracia, jako się kochali obadwaj kochani od ojca.“ Przyznawał mu Albanję jako ojcowiznę dziedziczną a nawzajem żądał przymierza. Skanderbeg wcale nie życzył sobie braterstwa z Turkami wiedząc, że to zdrada, i w tym duchu odpisał mu z swej Kroi (29-go maja.) —

Posłowie jednak tureccy mimoto niepoprzestali wzywać do przymierza, namawiając Albańczyków. Gdy więc Skanderbeg, nakazawszy ruszenie wojenne, odbywał przegląd, wojsko całe jęło wołać: „Mir! mir!!“ — Skanderbeg więc rad nie rad podpisał rozejm. Turcy korzystając z tego zdobyli Bośnję i napadli posiadłości zakonników Maltańskich, którzy nadaremno Skanderbega prosili o pomoc: bo się wymawiał mirem. Namówili więc arcybiskupa z Dracza, zwierzchnika duchownego Albanii, żeby im dał rozgrzeszenie. Jakoż zwołał wiec, przedstawił im wiarołomstwo Turków z Bośnją, przedstawił niebez-

pieczeństwo wzrastające a odwrotnie korzyści chwili sprzyjającej, rozwiązywał sumienie.... więc uchwalili wojnę. Skanderbeg uradowany ruszył natychmiast. Turcy ubezpieczeni mirem już pięciomiesięcznym, niespodzieli się napadu. Bez oporu zabierali więc Albańczycy ogromny plon: stada wołów, kóz i owiec, jakoteż 3000 kobył dużych z źrebiętami — zarodowe stado sułtana.

Mehmed rozgniewany niesłychanie na zdradzieckiego arcybiskupa, z swej strony szukał zdrajcy między chrześciany, obiecując ogromną nagrodę za głowy arcybiskupa i Skanderbega. Stawił się Bałaban poturczony Albańczyk, syn chłopski ale wojak w wojsku tureckiem wsławiony. Wyruszył on na czele wojska, dając znać Skanderbegowi, że z nim jako z pobratymcem nie będzie wojował, jeno będzie od szkody strzegł powierzoną krainę; więc mu przeseła dary piękne i bogate.

Skanderbega oburzyło to poselstwo i podstęp źle utajony. Zwrócił mu dary a nawzajem posłał mu radło, lemiesz i motykę, jako pan swemu poddańczykowi, który mu kozy pasał. Poczem wysłał przebranych Albańczyków trzech na podględy obozu tureckiego. Jeden z nich był rodakiem Bałabana i zaślepion wielkością jego zmówił drużby swe i wszyscy trzej przeszli do Bałabana opowiadając, gdzie stoi Skanderbeg, który ich wysłał na zwiady.

Skanderbeg gdy nie wracali, sądził że ich Turcy imali i rozsiekali. Z szczupłutką więc czatą sam wyjechał na zwiady. Turcy spodziewając się jego przybycia, osadzili przesmyki, otoczyli go: ale się przerąbał przez nich.

Mussa wódz jego bacząc wrzawę na dolinie, niespokojny o Skanderbega, skoczył mu w pomoc na czele ledwo stu walecznych. Zapędził się za daleko, otoczon od przemocy nie mógł się przebić, samoosmy popadł niewoli, odesłany do Stambułu. Mehmed ucieszył się, jak gdyby miał samego Skanderbega... kazał go męczyć rozmaicie a w końcu żywcem kazał zeń skórę zdzierać.

Bałaban zaś podczas mgły gęstej z zastępem potężnym skradał się pod obóz albański. Ale Skanderbeg czuwał i osobiście objeżdżając obóz dosłyszał rżenie koni i tentent kopyt. Kazał uderzyć w bębny i zaświstać pobudkę... wtem Bałaban już naciera!

Skanderbeg wedle obyczaju wypada naprzód: a tam sześć Turków przenajętych czekają, rzucają się nań a jeden chwyta już za gardło, chce rzucić o ziem. Albańczycy jednak przypadli; rozsiekali wszystkich sześciu.

Skanderbeg zasię, zaciekły na Bałabana śledzi go wzrokiem a obaczywszy wpośród obozu, dżgnał konia ostrogami i na czele wojska pędzi wprost na obóz. Koń w biegu pełnym potknął się, przewrócił, przywalił i zgniótł rękę jezdca. Turcy bacząc upadek, zawyli z radości, rzucili się ku niemu, chcąc dobić. Albańczycy jednak otoczyli, obronili, obwiązali rękę i wsadzili na konia świeżego. Turcy bacząc że znów pędzi i rąbie acz lewą ręką, jęli uciekać.

Skanderbeg spracowany i zbolały położył się pod dębem rozłożystym: usnął i spał cały dzień.

R. 1464-go Bałaban pasza znów ruszył do Albanii: uczynił zasadzkę w dolinie wązkiej a legł obozem w równinie, przekonany że Skanderbeg nie powstrzyma się od napadu i pogoni; więc da się nawieść na zasadzkę w cieśninie. Tak też było by się stało; lecz ostrzeżony przez życzliwych, napadł z strony przeciwnej, napędził Bałabana na zasadzki swoje i poraził.

R. 1465-go Mehmed więc osobiście zebrał wojsko ogromne, ruszył pod Kroję, gdzie z przednią strażą (15go czerwca) stanął Bałaban. Mehmed sam jął ostrzeliwać i dobywać twierdzy.

Skanderbeg przez Zacharję Groppa błagał o pomoc w Rzymie, kędy mu dodawano otuchy i nagadano wiele pocieszając: że papież przez Ludwika patrjarchę Antyochji wezwał Ecyngereja chana Perekopu, aby Mehmeda odwiódł od tej wojny, a jeżeli nie, to żeby sam uderzył na Turki.

Poseł albański odjechał zasmucony. Z Malty tylko przybyły posiłki i z Albanii całej. Wszystkiego

wraz było 24.000 przeciw 150.000 — ale i z tą garstką wyruszył na odsiecz.

W pochodzie dowiedział się, że Bałabanowi w pomoc idzie brat Jonim z synem Ederbaszą. Skanderbeg rzucił się na nich, rozbił i żywcem pochwyciwszy Jonima i Edera przywiódł ich pod Kroję i okazał Bałabanowi otoczonych mnóstwem głów tureckich odsieczonych. Bałaban na widok bratanka, który doń wyciągał ręce, zrozpaczony stanął na czele janczarów i skoczył ku bramie twierdzy! Padł jednak ugodzon od kuli działowej, Skanderbeg zaś napadł na obóz, a Turcy w przestrachu ślepym uciekli! odbieżeli dział, żywności, namiotów, ciężarów... i dopiero w 8 mil stanęli okopując się w obozie u „Tyrany małej.“ W wąwozach albańskich mnóstwo tego wytłukli chłopi i pastuchy górskie.

15-go listopada poseł papiezki do Ecyngereja z Perekopu wracał przez Polskę: oczywiście z niczem! Wstąpił do Koła, kędy król odbywał sejm z Wielkopolany, oświadczając przyjaźń Tatar z królem polskim. Więc jął namawiać na wojnę świętą. Król wysłuchał go, odrzekł ni to, ni owo, i po staremu wyjechał na łowy. (Kromer.)

1466. Turcy zdobyli Ales (Alessio), gród albański. Skanderbeg obległ ich i wypędził. Zaniemógł jednak i umarł. Pochowan tamże w kościele św. Mikołaja... (Mioczyć.)

Wtedy jakoś przybył do Polski zbieg turecki, Polak Mikołaj z Lipnicy. R. 1444-go jako subdiakon przyłączył się był do wyprawy wojennej króla Władysława. Pod Warną iman od Turków, obrzezan, oddan w janiczary, przez całe lat 20 musiał służyć wojskowo i brać udział w wyprawach na chrześciany. Podstarzałemu dopiero udało się zemknąć i przybyć do Krakowa, gdzie prosił, aby jako s u b d i a k o n dawny, był przyjęty w stan duchowny. Niewyparli go się dawni znajomi a papież nie odmówił rozgrzeszenia: więc wyświęcon na księdza. (Thejner II, 156.)

Węgrom nie skoro było na Turków po klęsce warneńskiej. R. 1463-go pod Futakiem Polacy Paniewskiego i Białego śpiewając głośno „Bogarodzico

dziewico!“ uderzyli na przemoc Turków i odbili 17.000 jeńca... podczas kiedy Madziary zemkli.

Paniowskiemu król Maciej Korwin dał za żonę siostrzenicę swoją: wojsko jednak jego nie otrzymało zapłaty: więc ją sobie wybierali sami, ciążąc miasteczka i wsie. Za nimi uganiał się starosta spiskowęgierski Emeryk Deak i omal że nie wywołał wojny z Polską, gdy zasię jął ciążyć polskie miasta na Spiżu, a „Bracia polska“ krzyżowa już się chciała mścić orężem.

Wołoszczyzna pochop do wojen dała Madziarom, gdy pomocy przeciw Stefanowi wojewodzie wezwał spółzawodnik jego Berendej. Pragnąc podboju Wołochów zebrali Madziary 40.000, na których czele kroczył sam król Maciej. Pustosząc ogniem i mieczem, rozłożył się w Bani mieście, wyczekując chwili sposobnej.

Stefan uzyskał nieco pomocy polskiej, nocą podpadł, zapalił miasto z kilku stron i natarł odważnie. Madziary przerażone uciekali, a Wołosza biła. Zginęło Madziar do 10.000 a król sam otrzymał trzy rany, zanim zdołał przebyć wąwozy górskie, obsadzone Wołoszą, zamknięte zawadami i zasiekami.

Stefan zaś udał się pod opiekę Polski. R. 1469. w lutym przybył do Lwowa i złożył przysięgę wierności królowi polskiemu. A wróciwszy doma, wyprawił się do Siedmiogrodu paląc, łupiąc i mszcząc się za swoje*).

Wróciwszy ztamtąd zastaje w Multanach Tatar zawołgańskich, którzy trzema zagony wpadli; na Litwę, Podole i Multany. Uderzył, rozbił, do niewoli wziął syna chańskiego. Chan przysłał stu Tatar znakomitych w poselstwie chcąc syna odkupić. Stefan w ich oczach kazał go rozsiekać, poczem 99 posłów kazał wbić na pal, a ostatniego z oberżniętemi uszyma i nosem — odesłał chanowi.

---

*) Meglingerej przestrzegł króla a król Stefana. Bielski 830.

Podczas tego Turcy wpadli do Węgier, po lodzie przebywając rzeki, pustoszyli Slawonię, dotarli aż po Celeję i uszli bezkarnie. (Kromer 404.)

R. 1470-go Mehmet na czele floty potężnej wyruszył na podbój wysp egejskiego morza, dzierżaw weneckich. (Sagredo.)

Spustoszył Lemnos, zdobył Imbros, wylądował w końcu na Eubeę, którą złupiwszy obległ miasto stołeczne Chalcys czyli Negroponte, wonczas dzierżawę rodziny Karcerio.

Mieszczanie i załoga wojskowa bronili się dzielnie pod dowództwem Bondumira Jana, którego wspierali Balbo Ludwik i Erycjo Paweł.

Wenecjanie wysłali flotę na odsiecz oblężeńców, ale admirał ich nie odważył się uderzyć na liczniejsze korabie tureckie i pierzchnął...

Mehmet osobiście dowodził poskokiem na miasto, którego mury waliły się od pocisków miotanych z korabiów. Janczary wdzierali się przystawiając drabiny i zdobyli mury (11-go lipca 1470) a oblężeńce nieszczęśliwi w ulicach miasta, przegrodzonych łańcuchami, bronili się rozpaczliwie krok w krok. W walce tej polegli Bondumir i Balbo; Erycjo zaś z niedobitkami i córką swą Anną zawarł się na zamku i bronił, dokąd mu stało prochu i ołowiu.

Mehmet zawezwał go do poddania, obiecując wyjście wolne! Erycjo przeczuwając zdradę zawezwał córkę, aby w każdym razie wytrwała w wierze, a gdy odrzekła, że raczej życie straci, niżby się miała wyprzeć Chrystusa i zostać Turczynką! — zapłakał nad nią i pobłogosławił, poczem otworzył wrota zamku.

Turcy wpadli, związali mu ręce i z córką wraz; janczary wiodą ich do sułtana, pocieszając że ona będzie oblubienicą Mehmeda. Sułtan obaczywszy piękną dziewicę, obiecuje wziąć za żonę, jeżeli przyjmie wiarę Mahometa.

— Raczej skoczę w morze! raczej spłonę na stosie!! — odrzekła.

Dobył kindżała, ściął jej głowę! — Do ojca zaś biednego rzekł zigrawając:

— Zaręczyłem że ci nie dam uciąć głowy — dotrzymam słowa! —

Zwrócił się potem do oprawców, rozkazując z śmiechem:

— Przerżnijcie go piłą przez pół... ale głowę ucinać wara!! —

Śmierć ich opiewa rzewna pieśń Sławian nadmorskich. (Kaczyć Mioczyć...)

W Nowogrodzie-wielkim od czasów Witolda rządzili namiestnicy litewscy, opłacając rocznie 100.000 dukatów (jak twierdzi Wapowski), czy też rubli (jako podaje Długosz.) Boć to było miasto bogate niezmiernie, targowica główna północy, a opłaciwszy podatek, rządziło się samowładnie wiecem wolnowybieranym... gdyby Wenecja. Dobrze im było z tym samorządem, więc się bali wzrastającej potęgi Moskwy, której r. 1460-go poddał się Pskow. Ku Moskwie ciążył Teofil biskup tameczny, wyświęcony w Moskwie od patrjarchy szyzmatyckiego.

Marfa Borecka, wdowa po posadniku ostatnim litewskim, stała na czele stronnictwa przeciwnego z hasłem samorządu i pojednania z Rzymem, wspierając Pimena mnicha, którego w Kijowie biskupem mianował metropolita grecko-unicki.

(Kromer za Wapowskim.)

Sam Rzym przez kardynała Bessariona (r. 1469.) Iwanowi Bazylewiczowi stręczył za żonę Zofię, wnuczkę Paleologa Konstantego, ostatniego cesarza byzanckiego rodu Komnenosowiczów, wychowaną w Rzymie w jedności wiary greckołacińskiej. Miała być łącznikiem wyznań obydwu. Iwan Bazylewicz przyjął swaty i przyrzekł przystąpienie do unii florenckiej.

Paleologów rodzina w Rzymie (kędy się schroniła r. 1453-go) u papieża Piusa II. i następców, znalazła przytułek, gościnność i pomoc wszelaką. Sprawowali urzędy a córki ich otrzymywały posagi. (Helenius.)

Papież poselstwo moskiewskie polecił względom króla polskiego co do przejazdu wolnego i bezpiecznego; bo z posłem od stolicy apostolskiej jechała do Moskwy księżniczka Zofia.

Iwan Bazylewicz radośnie witał oblubienicę i oddając cześć cesarskiemu jej rodowi, herb odwieczny cesarzów wschodnich, orła czarnego dwugłowego. przyjął za swój herb. Zofia zaś omyliwszy nadzieje papieża, przyjęła obrządek wschodni.

Papiezki poseł więc po kilku miesiącach wrócił z niczem — bo Iwan Bazylewicz ani słyszeć chciał o unii, przekonany że posagiem za żoną dostały mu się wszystkie prawa cesarzów wschodnich i naczelne zwierzchnictwo wiary wedle obrządku tegoż. Zofia pomna pochodzenia swego, pobudzała go do zrzucenia jarzma tatarskiego, więc do podboju ziem ruskich, w których panowali krewniacy jego.

Dokonawszy tego ogłosił się „hospodarem wsiej Rusi.“ (Bielski.)

Byzanckich cesarzy rodu pokolenie Komnena Aleksego, wypłoszone przez krzyżowców r. 1204. z Konstantynopola do Trebizondy czarnomorskiej, utrzymało się tam przez półtrzecia wieku. Po Timura Mongołach, Turkmenie zawładli Azją małą a cesarze Trebizondy okupili swobodę, dając haracz pieniężny i córkę Sarę w zamężcie chanowi hordy, zwanej „Baran biały.“ Synem jej był Uzong-Hassan (t. j. długi Hassan), któremu podlegała także horda „Barana czarnego.“ R. 1461-go Dawid Komnenos, ostatni cesarz Trapezuntu napadnięty przez Turków i nie mogąc im podołać, poddał się zwiedziony obietnicą uroczystą, że mu sułtan w zamian za Trapezunt nada Macedonję w dożywocie. (Boter 206.) Mahomet kazał go przewieźć do Seres nad Strymonem w Macedonii, dotrzymując niejako słowa danego Sarze, matce Uzonghassana, który chciał wojnę podjąć o Trapezunt. Niezadługo jednak Mahomet kazał ściąć Komnenosa wraz z całą onegoż rodziną, (r. 1462.)

(Według podania jeden tylko Jerzy Nicefor Komnenos uskoczył do Laokonii a ztamtąd do genueńskiej Korsyki, gdzie jeden z synów jego Kalomeros był praojcem rodziny Buonaparte.)

Turkmeni ówcześni w Armenii górnej wedle gór Gordio czyli Araratu biblijnego, przyjęli za czasem oświatę zwyciężonego narodu; rolniczyli i pilnowali rzemiosł. Z wyrobów ich słynęły kobierce

bardzo piękne z kozłowej sierści i czamlety. Ogół jednak narodu koczował pod namiotami przy bydle, koniach i owcach, zawsze pochopny do wojenki. (Rel. Boter.)

Uzonghassan rwał się też do boju, od czego odwodziła go matka Sara, bolejąca nad zagładą rodziny swej całej i państw Byzantu i Trapezuntu a przeczuwająca klęskę nieochybną! Więc dał spokój. Turcy jednak sami parli szukając zdobyczy. R. 1464-go umarł książę Karamanii sąsiedniej Ibraim, który przedtem do wojny tureckiej pobudzał króla Węgier. Dał się przebłagać w onczas Mehmet turecki synom onegoż, ślubującym spokój. Gdy jednak rozpoczęli wojnę między sobą, Mahomed wkroczył i wypędził ich (r. 1467.) Schronili się do Turkmenów.

Uzonghassan nie dał się już powstrzymać matce i żonie: pismem wcale nie grzecznem wyrzucał Mehmedowi podłość jego i srogość zbrodniczą.

Mehmed odpisał jeszcze grubiej, i tak jątrzyły się strony obie.

Uzonghassana podjudzał ciągle poseł wenecki Zeno Katerino.

Właśnie wtedy Turkmenów horda złączona owładnęła Persję i połączyła z państwem Uzonghassana, który przez to spotężniał i stawiał czoło Turkom.

R. 1472-go Mehmed najlepszych wodzów wyprawił na Uzonghassana, który obozował nad Eufratem górnym i zupełnie poraził Turków. Więc r. 1473-go Mehmed sam ruszył nań w 100.000 wojska i mnóstwem dział. Turkmeny zwyciężyli w bitwie całodziennej: Turków padło 56.000, między tem sandziaków (t. j. sędziów powiatowych) samych 150. Nocy cieniom Mehmet zawdzięczał ocalenie swoje. Schronił się w góry pod Terdżan, okopał i działami otoczył obóz. Turkmeni w lipcu pod osobistem dowództwem chana i dwu synów jego, zacięcie dobywali obozu, bronionego ognistą bronią pod osobistą wodzą Mehmeda i obydwu synów onegoż. Uzonghassan ustąpił po stracie syna jednego.

Twierdza Karahissar poddała się Turkom w skutek tej porażki, a Mehmet poprzestał na tem i na zajęciu wybrzeży morskich.

Wenecjanie przerażeni wzrostem potęgi Osmanów, szukali dla nich przeciwników świeżych, aby ich odwieźć od wysp swoich i od Italii.

Wskrzeszenie cesarstwa byzanckiego zdawało im się środkiem najpewniejszym i niezupełnie niemożliwym.

Wenecjan pomysłom sprzyjały okoliczności.

Turkmenów wódz, który wypędził Timurowicze z Persji, Kara Jussuf głosił się potomkiem Alego, zięcia Mahometowego, którego wyznanie wiary różniło się od wyznania Turków. Turkmeni i Persy nienawidzili Turków jako niedowiarków! Obecne zaś zwycięztwa i zabory tureckie rozjątrzały umysły ich do najwyższego stopnia.

Wojna i sprawa Turków a Turkmenów stała się sprawą religijną Mahometan!

Turkmeny woleliby w Stambule widzieć po staremu chrześcian niż Turków niedowiarków. Wenecki poseł utwierdzał Usonghassana w tem przekonaniu, dodając że cesarstwo byzanckie prawem spadku należy jemu samemu jako synowi cesarzówny Sary i mężowi Katarzyny, siostry wujecznej.

Podczas wojny Uzonghassana z Mehmetem Wenecjanie w 85 galer papiezkich, sycylijskich i swoich własnych wypłynęli przeciw Turkom, którzy jednak trzymali się Hellespontu i Czarnomorza, wspierając wyprawę sułtana. Wenecjanie daremno kusili się, zdobyć Pamfilię, Smyrnę tylko złupili i w plon zabrali Turków pielich — właśnie gdy Uzonghassan odbierał Trapezunt i Cezareę. Poczem Karamanję turecką wojował Moceni wódz wenecki, zdobył trzy miasta główne, napadał i łupił Lycję. (Szent-Ivanyi.)

Mehmet chciał się pomścić: podpłynął pod wyspę Lemnos, obległ i zdobywał stolicę Kokcyneę. W obronie dzielnej padł dowódca wyspy i zwątpili obrońce. Wtem przypada córka wodza poległego Marula dziewica, przyodziewa skrwawioną ojca szatę, bierze krwawą onegoż szablę i staje na czele walecznych, którzy się opamiętali widokiem dziewicy walecznej. Janczarów poskok odparty, a zdala ukazały się galery hrabi Loredana z odsieczą. Turcy odpłynęli pośpiesznie: a pieśń ludowa Sławian nad

sinem morzem po dziś dzień sławi waleczność Maruli, dziewoi Sławiańskiej. (Mioczić.)

Turkmeny stale zawładli Persję, Uzonghassan nie myślał o byzanckiem cesarstwie. Wenecjanie więc zwrócili oczy na Polskę.

R.1474-go do Polski przybyło z Wenecji dwu posłów, Paweł i Antoni. Jeden jechał do Moskwy, drugi do Uzonghassana; przynieśli upominki niemałe królowi, a prosili, żeby je przepuścił przez ziemię swą i żeby je kazał przeprowadzić, co łatwie od króla otrzymali. (Kromer 414.)

Za tem też przybył od Uzonghassana — już króla Persów — poseł Katarini Zeno, który tam bawił trzy lecie. Na posiedzeniu jawnem namawiał on króla do wojny z Turkiem, na którego król perski uderzy z drugiej strony. Na posłuchaniu zaś tajnem okazał list Uzonghassana pisany po chaldejsku, w którym prosi, aby się król połączył z nim związkiem krwi, żeniąc syna którego z córką onegoż młodszą, urodzoną z Katarzyny cesarzówny Trapezuntu. Na posag przeznaczał cesarstwo byzanckie całe, jako istniało przed Turkami, których aby wypędzić obiecował ruszyć w 300 000 wojska, zaprawionego już na karkach Turków nienawistnych. Miał też listy do króla Francji i do Wenetów.

Wszakże król miał to sobie za bajki; ani na list odpisał, ani posłowi odpowiedzi dał, obiecując przez posła naumyślnego odpowiedzieć Uzonghassanowi. — (Bielski ... Kromer ...)

Turcy tymczasem nie próżnowali.

Skadra u ujścia Bojany w sine morze była kluczem Wenecji: na nią z całą wściekłością uderzali Turcy pod wodzą wezyra wielkiego Sulejmana. Bronił Antoni Loredan, przywódca wojsk weneckich przeważnie Sławian nadmorskich zaciężnych. Sulejman był paszą Bośnii a w szeregach jego szlachta bośniacka sturczona, osławione „b e g i“ byli krewnymi a często braćmi Uskoków broniących Skadry.

J a n c z a r y dziatwa chrześciańska przeważnie sławiańska i b e g i Sławianie, rozwścieklenі nauką i przykładem Turków toczyli walkę bratobójczą bez

upamiętania i wytchnienia. Turcy grzebali podkopy, z dział ogromnych walili mury, a gdzie się okazał wyłom, janczary i begi pod zielonemi chorągwiami biegli poskokiem, dążąc do wyłomu, podczas gdy drudzy przystawiali liztwy wdzierając i drapiąc się na mury. Tak działo się dniem i nocą: bo zastępy ich liczne szły na odmian trzema wyłomami.

Oblężeńców zaś nie miał kto zmieniać, bo ich nie było na tyle: walczyli więc bez wypoczynku, czuwając bezustannie, wodą tylko pokrzepiając siły wytężone. W końcu zabrakło wody: boć to Skadra, twierdza górska na skale litej, a woda nie w studniach źródlanych, tylko w zbiornikach murowanych — więc się wyczerpał napój pokrzepiający.

Loredan struchlał z obawy. Przywołał naczelników i wezwał, żeby który wycieczką wpadł na Turki, przebił się do rzeki i dostarczył wody.

Iwo, żupan Zenty czarnogórskiej, podjął się wycieczki z Uskokami. Wypadli znienacka, siekąc Turki ubezpieczone, zaskoczone niespodzianie i pierzchające w przestrachu! Dotarli do Bojany rzeki i najsamprzód sami napili się wody zimnej do woli, potem raźno napełnili naczynia i wracali obronną ręką: a było ich do 5.000 co najdzielniejszych! Więc i Turkom się ognali i wody przynieśli podostatek.

Wezyr rozjuszony urządził poskok trzeci i główny, osobiście z szablą dobytą wiodąc janiczary na bracią ich sławiańską. Rzucali oni przed siebie chorągwie swe zielone zdążając po nie! rzucali je na mury łażąc po liztwach przystawionych i zapamiętale dążąc do ich odzyskania. Nieodzyskali! a spadali ginąc marnie od kul ołowianych, od kamieni miotanych, od cięć dżataganem a nawet od obucha drągami i pałkami. Strach, co tego zmarniało! —

Wezyr bacząc klęskę niepowetowaną, ze łzami w oczach odstąpił od Skadry, której obronę świetną w pieśniach ludowych zachowało podanie.

Turcy ztamtąd ruszyli pod Kroję, lecz i tego grodu małego nie zdobyli. Zagony tylko rozpuścili, uprowadzając przeszło 20.000 jeńca.

Wenecjanie Loredanowi, dzielnemu obrońcy Skadry zdali dowództwo floty i obronę Lewantu,

Cypru i Kandji. Niebawem poraził on Turki na morzu, oswobodził wyspy. (Kaczyć Mioczyć.)

Wołoski wojewoda Stefan, ufny w mir z Węgry i Polszczą pomyślał też o rzuceniu jarzma tureckiego, ciężącego na Multanach pobratymczych, których książe Aron, właśnie zmarły, osobiście przez 18 lat odwoził sułtanowi haracz coroczny. Po nim nastąpił Drakuła równie Turkom uniżony: dzielniejsi zaś dostojnicy i wieśniacy do wojny skorzy, zapraszali na tron Stefana. Wkroczył on więc do Multan, poraził zwolenniki tureckie, zdobył Dąbrowicę stołeczną, gdzie zabrał skarby wraz z żoną i córkami dwiema Drakuły. Drakuła sam uciekł do Turków, żebrząc pomocy. Mehmedowi nie chodziło o osobę, tylko o haracz i poddaństwo. Zawezwał więc Stefana, żeby odwiózł haracz i przyjął poddaństwo: Stefan odmówił. Sulejman wezyr otrzymał więc rozkaz poskromienia zuchwalca.

Pod koniec r. 1474-go ruszył nań w 100.000 wojska, pewien że odświeży sławę zaćmioną pod Skadrą.

Stefanowi w pomoc przybyło 4000 Madziar, przeważnie Seklerów siedmiogrodzkich a Buczacki Michał Murzil, Kasztelan z Kamieńca podolskiego, przywiódł 2000 Podolan. Wołoszy było 40.000 przeważnie chłopstwa uzbrojonego. Palili oni wszędzie zeschnięte trawy w stepie, którędy Turcy kroczyli, niszczyli żywność wszelką uchodząc i nawodząc ich na błota u jeziora Rakowca. Tam dopiero uderzyli nagle na zgłodniałych (17. stycznia 1475.) i rozgromili zupełnie. Mało kto z Turków uszedł z życiem: bo jeńce wszystkie kazał Stefan wbijać na pal.... Czterech tylko dostojników zachował przy życiu, aby je Kaźmierzowi królowi polskiemu posłać wraz z 36 chorągwiami i częścią łupów. Trupy tureckie kazał zwlec na kupy, a nad grobami chrześcian kazał wznieść trzy krzyże, Bogu samemu przypisując zwycięztwo, za które dziękował modlitwą pokorną i ścisłym postem czterodniowym.

A Maciej król węgierski rozpisał wszędzie do papieża i cesarza i innych panów, że to on poraził Turków przez rzekomego hetmana swego Stefana...

którego się sam obawiał! (Bielski, p. 867.)

Kroacja, Dalmacja, Illyrja... Sławonja zgoła cała była polem bezustannej napaści Turków pod wodzą Izaka paszy, sandziaka t. j. sędziego Bośnii, zaganiających się raz po raz. R. 1470-go podczas gdy Maciej król wojował w Czechach, zagony tureckie wpadły pod Zagrzeb i dalej. Mnóstwo jeńca brali u samych bram Lublawy i Gorycji. R. 1474-go w jesieni, trzykroć zaganiali się nad Sawę, do Istrji, Friulu, aż po gród S. Daniela, najmniejszego nie doznając oporu; więc 1475 i 1476 z Bośnii zagony pustoszyły Karyntję i Styrję.

Pamięć zagonów tych tureckich pozostała w pieśniach rzewnych ludu kraińskiego, które poniżej przytaczamy.

I.

Haneczka Dominikowa.

Haneczka Dominikowa róże sobie rwała.
Pierwszy wieniec splotła, tasiemkami powiązała:
„Ty bądź królowi memu, który jest na Dunaju.“
Drugi wieniec splotła, tasiemkami powiązała:
„Ty bądź bratu mojemu, który jest na Dunaju.“
Trzeci wieniec zrywała, różyczki przebierała,
Wtem się za się obejrzy: Turek zły za nią stoi,
Chwyta jej białą rękę, pędzi ją do Turcji z sobą.
Haneczka tak zagadła: „Ej proszę cię, Turku ty!
Puść mnie do matki na wieś, a sprawisz mi złoty
[czas!“ —
„Do matki ty nie pójdziesz, chyba brzemienną bę-
[dziesz.“ —
Więc Haneczka czekała... znowu Turka prosiła...
Turek tak jej goworzy: „Nie pójdziesz do macierzy,
Aż poniesiesz synka z sobą, bo to będzie piękniej.“
Haneczka więc czekała, ażby synka powiła.
.... i znów prosi a Turek mówi: —
„Nie puszczę ciebie pierw, aż syn dojdzie siedem lat,
Bo to się piękniej wyda, jeśli synek z tobą pójdzie.“
Więc z ciężką biedą dożyła, że syn skończył 7 lat...

Turek tak jej mówi: — „Przykro mi ci powiedzieć:
Wszystkie te zachcianki porzuć, bo nie pójdziesz
[nigdzie więcej.“
Haneczka padła, omdlała: dusza jej precz uleciała!

II.

Jagniś.

Oj! stoi, stoi biały gród, w oknie młoda Jagniś stoi,
Czesze rumiane włosy złotym grzebieniem.
Słębił o nią Turczyn zły, w każde lato siedemkroć:
Lecz mu jej nie chcieli dać! —
— „Proszę was też matko moja, matko moja, szla-
[chetna pani!
Puśćcie mnie na turecką miedzę, na turską miedzę
[ładne róże rwać.“ —
— „A ja ci mówię córko moja! nie wychodź na
[turską miedzę,
Zrywać różyczki drobne: boby cię wziął Turek zły,
Co cię słębił siedem lat, każdego lata siedemkroć,
A my cię nie chcieli dać.“
Jagnisia nic nie dbała, wyszła na turecką miedzę,
Zrywać drobne różyczki.
Pierwszy pęk urwała: „To dla królewicza nad
[Dunaj“ ....
Drugi pęk narwała i związała: „To dla mnie samej
[Jagnisi!“ ...
Jeszcze tego nie wymówiła, a tu Turek zły za nią stoi,
Ujął ją za białą rękę: „Jagniś! teraz pójdziesz ze mną;
Słębiłem cię siedem lat, każde lato siedemkroć,
A nie chcieli mi cię dać; terażeśmi w ręce wpadła.“
Jagnisia tak gaworzy: — „Każde dziecko nierozumne,
Co nie słucha matki swojej!“ — Jagnisia mówi dalej:
„Oj! proszę cię Turku zły! puść mnie do matki na
[wieś.
Pójdę tam wziąć od nich błogosławieństwo!“ —
„Ty nie pójdziesz... aż będziesz miała synka, bo to
[ładniej będzie
Wyglądać, gdy poniesiesz kołyskę na głowie.“ —
Więc dziewica czekała aż powiła synka.

„Toć cię proszę, Turku zły! Puść mnie do matki na
[wieś,
Kędy pójdę błogosławieństwo wziąć.“ —
„Ty nie pójdziesz pierw, aż synek będzie miał siedem
[lat,
Boć to ładniej się wyda, gdy pójdzie synek przed
[tobą“...
Więc dziewica czekała aż synek doszedł siedem lat
... i znów prosiła... i odrzekł: „Nie pójdziesz,
Aż synek będzie miał 14 lat i będzie umiał pisać i
[czytać
I każdemu panu pięknie odpowiadać.“
Więc znów czekała i prosiła... i odpowiedział jej:
„O! co teraz, to cię już nie będę więcej łudził!
Nie pójdziesz nigdzie więcej!“ —
„Oj! chodź sam, chodź tu synku mój, pisz drobne
[pisemko
Do mojego ojca i matki, że już nie powrócę nigdy!
Oj! pisz drugie pismo do królewicza nad Dunaj:
Niech sobie bierze którą chce, bo mnie już nie bę-
[dzie miał.“
Jagnisia padła na ziemię, omdlała, a dusza jej ule-
[ciała. —

III.

Rybnicka Jerza.

(Pierwsza wersja.)

Stoi biała Rybnica przy Rybnicy dolinie:
Tam była Jerza ukradziona, w głąb Turcyi zapę-
[dzona.
Raz pszenicę poszła żąć Jerza z Turkiniami wraz.
Podle leży gładka ścieżka, wązka ścieżka udeptana;
Po niej jedzie piękny wojak, piękny wojak, dzielny
[śmiałek.
„Dzień dobry wam, żeńczarki, więc i tobie Jerzyco!
Nie radabyś ty wrócić doma?“ — Jerza mówi do
[niego:
„Radabym, Boże zmiłuj się!“ —

Na konika ją wsadził, do białej Rybnicy zawiózł.
Tam pani w oknie stoi i tak zagaduje:
„Bądźże chwała Bogu, nasza Jerza wraca doma.“
Jerzę przyjmowali, na wojaka nie zważali;
Niemiło mu się więc robi, wychodzi do sadu zielo-
[nego,
Tam urwał sobie jabłuszko, źrałe, rumiane jabłuszko
I tak do siebie mówi, w ręku go swem dzierżąc:
„Jabłoń, jabłoń, jabłonka, rośnij szczęśliwa doma!
Kiedym jeszcze chłopcem był, tom ciebie ziarnkiem
[sadził.“
I lepiej mu się zrobiło! potok łez ciekł mu z ócz,
Na konika swego skoczył, na Dunaj popędził,
Tak mówiąc do siebie:
„Cesarzowi służyć będę, na zawsze porzucę luby
[dom.“ —

IV.

Rybnicka Jerza.

(Druga wersja.)

Przyszli Turcy źli, ukradli Jerzę młodą,
Pędzili ją w Turcję głęboką.
Jerza żęła pszenicę rumianą, a płakała bardzo.
Turczyn brat do niej mówi: — „Czyby rada wrócić
[doma?“
„Żeby tylko było można!“
„Jerza nic się nie troszcz, uciekaj a będziesz doma.“
Na zamku dopatrzyli ich: „Cześć bądź wielkiemu
[Bogu!
Nasza Jerza wraca doma.“
Jerzę pięknie ugościli, na Turka brzydko patrzali.
Więc szedł Turczyn w sad zielony i zaśpiewał prze-
[ślicznie:
„Oj jabłoń, jabłoń, jabłonka, i wy gruszki wyborne!
Kiedym jeszcze dzieckiem był, tom was jabłonie sadził,
I te gruszki wyborne! Dziś jam już nie dziecko jeno
[mąż.
Używają ich drudzy ludzie!“

Na konika znów siada, w Tureczyznę nazad zdąża.
Ojciec, matka go wołali, ale nie chciał nazad wracać:
„Niepowrócę nigdy więcej, tam będę żył, tam umie-
[rał!“ —

V.

Rybnicka Helenka.

Stoi, stoi Rybnica, a na środku jest dolinka,
A w niej jest piękna chatka, a w chatce Helenka,
Która przepięknie dzierga cieniuchne, czerwone ślarki.
Przyszedł Turek zły po nią, jął kołatać do chaty:
„Odeprzej Helenko prędko! “... Helenka zaś mówi tak:
— „Bez matki jestem, nie otworzę, nigdzie do nikogo
[nie wyjdę!
Poszła matka do Lublawy po suknię dla mnie jedwabną.“
Kołata powtórnie: — „Helenko! Otwórz, obaczysz
[braciszka,
Co to przed piętnastu lat wzięli mnie do wojska.“
Helenka mu otwarła, do chaty ku niej Turek wchodzi,
Po izbie się przechodzi, za ręce ją chwyta,
Wziął ją w pół pod pas, na konika ją przy sobie
[wsadził.
Helenka woła na cały głos: — „Rety hrabio!
[słyszycie wy?
Odejmcie mnie panie, będę wam za kucharkę!“
Powtórnie woła z całej siły: — „Rety hrabio!
[słyszycie wy?
Jeśli mnie uwolnicie panie, za pokojową mnie weźm-
[cie!“ —
Po trzeci woła wszystkim głosem: — „Rety hrabio!
[proszę was!
Jeśli mnie panie uwolnicie, proszę weźmcie za świ-
[niarkę.“
Ze snu się hrabia przebudził i tak zagadał:
„Prędko chłopcze konia siodłać! abym się dowiedział,
Gdzie woła młoda Helenka, gdzie ją Turczyn ztąd
[uprowadza.“
Koń hrabi osiodłan stoi, na niego on wsiada.

Naprzód, mocno koniem bieży, aż ogień z podkowy
[leci:
W pobliżu już Gorycji dopędził Turczyna, co z nią
[precz biegnie.
Z za pasa wyciągnął lśniący miecz, Turkowi głowę
[uciął precz:
Otóż tobie Turku radość, żeś chciał porwać Helenkę!—

VI.

Buczeriewa syn i córka*).

Szlachetny pan, szlachetna pani za białe ręce się
[trzymali,
Po zamku chodzili, Boga pięknie prosili,
Żeby im potomstwo dał. Wysłuchał ich wieczny Bóg
I dał im potomstwo, naraz dwoje bliźniąt.
Dzieci miały już po siedem lat, siedem lat i pół ósmego:
Dzieci wyszły zrywać róże do ogrodu zielonego.
Turcy przypadli, w głąb Turcji ich zabrali.
W głębokiej Turcji byli, przez siedem łat, ósmego pół,
A nikt nie wiedział o nich. — Turcy mieli gości,
I mówią między sobą: — „Ale to masz dzieci pię-
[kne!“
Na to Turek odpowiada: — „Choć są piękne, lecz
[nie moje.
Są przepięknego młodego Buczaria, z pięknej, białej
[Kopriwnicy**).“ —
Posłyszał to chłopiec on i mówi do siostry: —
„Bacz co Turcy mówią, żeśwa z pięknej, białej Po-
[krzywnicy
Przeładnego, młodego Buczaria. Weźm ty klucz od
[złota, srebra,
Ja wezmę od koni ścigłych, powrócimy do rodziców.“—
Wsiedli na koniki, z głębokiej Turcji jechali
W górę do kowala starego. — „Wstań na nogi, stary
[kowalu!

---

*) Buccaria — Wilcze doły? koło Fiumy.
**) Koprinica nad Drawą poniż Warazdina.

Pójdź nam podkowy kować; ku przodu obracaj
[krempasze,
Żeby nas Turcy niewyśledzili, żeby nas na powrót
[nie wzięli,
Śpieszymy do pięknej, białej Pokrzywnicy, śpieszymy
[do swych rodziców."
Tak im ojciec rzekł: — „Cześć bądź wiecznemu Bo-
[gu!
Nasze dzieci wróciły doma." — Syn mu zaś odrzekł:
„Ja wam mówię, ojcze wy! miejcie oręż na pogoto-
[wiu,
Bo Turcy przypędzą: żeby nas znów nie porwali."
I tak się też stało: Turcy przypadli,
Ale im nie uczynili nic! —

VII.

Turecki napad.

Nocą Turek napadł, nocą, ciemną nocą!
Zabił mi ojca, matkę i moją młodszą siostrzyczkę!
Wykradł mi moją lubę! —
Czule na mnie wołała, gdy ją Turcy wiązali!
Chętniebym jej był pomógł, lecz o! nie śmiałem się
[pokazać!
Oj ty! oj ty galero! oby cię pierw było zatopiono!
Na cztery strony rozdarto! — Coś mi mą lubkę za-
[brała
Na straszne czarne morze, zkąd więcej już nie wróci.
Ciebie pędzi Turek na góry! Ja będę siedział nad
[wodą,
Wzrokiem będę ruty szukał, co mi ją lubka dała! —

(Sloveńske pesmi krainskiga naroda w Lubljani 1839 — nabral Emil Koritko)

Wicher szaleje
w grudniowe noce.

„Wicher szaleje w grudniowe noce,
Śnieżystą igra zawieją,
I rozszalałe przyrody moce
Z ludzkiej niedoli się śmieją.
Choć głośnym jękiem płacze niedola,
O litość błaga w katuszy,
Jednak napróżno... Wichrów swawola
Jęki serdeczne zagłuszy.
A przecież dla mnie śpiew ten żałobny
Jakiś ma urok wielkości,
Choć do modlitwy mogił podobny,
Bo mówi o mej nicości.

Janina Antonowiczówna.

POŚMIERTNY RĘKOPIS
AUTORA „CZARNEJ KSIĘGI,"

wyprzedzony portretem tegoż i biografią,

skreśloną

przez redaktora „Gazety Naddniestrzańskiej."



WŁADYSŁAW MARJAN CZAPLICKI
(według fotografii Józefa Edera ze Lwowa.)

Ś. p. Władysław Czaplicki.

Napisał Edmund Leon Solecki.

We Lwowie dnia 14. Czerwca 1886 r. w szpitalu powszechnym w 58. roku życia zmarł niemal w nędzy ś. p. Władysław Czaplicki, znany u nas powszechnie autor „Powieści o Horożanie“, „Pamiętników więźnia stanu“, „Czarnej księgi“ i t. p. dzieł, odnoszących się do naszej walki o wolność z lat 1846, 1863 aż do najnowszych czasów. Podczas pamiętnego ruchu w r. 1847 był ś. p. Władysław jeszcze młodzieńcem, a mimoto brał czynny udział z ojcem i dwoma braćmi w spisku jakoteż w powstaniu tak smutnej pamięci. Cała ówczesna organizacja była niemal luźną. Jeden oddział spiskowych mało co wiedział o drugim, to też nie dziw, że każdy z nich mimo bohaterskiej walki musiał uledz przemocy, a to tem bardziej, o ile że ręka ówczesnych wrogów wszelkiej autonomji potrafiła podburzyć ciemne masy ludu jeszcze niewolniczego przeciw tak zwanym buntownikom polskim. Jeden z jaskrawych epizodów tej bohaterskiej walki postępu z zastojem wydarzył się też i w Horożanie wielkiej, gdzie ojciec ś. p. Władysława cieszył się wielką sympatją między ludem; to też wystąpienie tego ludu przeciw familji Czaplickich przypisywał ś. p. Władysław zawsze wpływom obcym, które porwały za sobą spojonych mieszkańców Horożany. Trudno w kilku słowach charakteryzować przyczynę tego faktu, iż przyjaźne na pozór, lub nawet rzeczywiście przyjaźne żywioły ludowe tak łatwo dały się podburzyć przed 40 laty przeciw tym, do których nie miały osobistych

niechęci. Wiekowa niewola pańszczyzniana i brak oświaty z jednej strony, a nierozważne zaufanie we własne siły, nie przygotowane należycie, z drugiej strony tłumaczą ten fakt dosadnio. O innych powodach napiszą kiedyś dzieje, gdy już moda konfiskowania słów prawdy wyjdzie z używania.

W Horożanie wielkiej bronili się Czapliccy i kilkunastu powstańców przeciw wielkiej rzeszy miejscowych i okolicznych pijanych i podbuntowanych włościan, a w strasznej tej walce wielu, między innymi i jeden z braci ś. p. Władysława, Ferdynand, poległo okrutną śmiercią prawdziwych męczenników swoich idei. On sam zbity i pokaleczony leżał jak bez ducha i tylko temu faktowi zawdzięczał swe ocalenie; miano go bowiem za umarłego i dopiero po odstąpieniu napływowych żywiołów został przez miejscowych włościan przywrócony do życia i jako tako zaopatrzony. Przywieziony następnie przez ówczesne władze do Lwowa i osadzony w więzieniu śledczem, przebył tam wszelkie męki ówczesnego systemu. Skazany na długoletnie więzienie w Szpilbergu, powrócił po amnestji do kraju, gdzie dostał posadę w gal. Tow. kred. ziemskiem. Niedługo jednak cieszył się tą posadą, gdyż gorąca jego konspiratorska dusza, nie mogąca znieść gnicia wśród zgniłych stosunków synekurzystów wszelkiego rodzaju, już wcześnie przeczuła na horyzoncie lat 1860 nowe powstanie, a rok 1863 zastał go zupełnie przygotowanego do walki. Do powstania wyruszył wszakżeż dopiero w Sierpniu 1863, gdy się już przekonał, że galicyjska organizacja, do której należał, przybrała zupełnie fałszywy kierunek, i zamiast być pomocniczą, stała się dyrygującą. W bitwie pod Panasówką w korpusie Lelewela (Borelowskiego, rzemieślnika z Warszawy), jako kapitan 6. kompanii karabinjerów, walczył ś. p. Władysław i przyczynił się niemało do zwycięztwa tamże odniesionego. Na placu boju zamianował zwycięzki „rzemieślnik“ ś. p. Władysława, potomka starożytnej szlacheckiej rodziny, majorem.

Była to najpiękniejsza chwila w życiu ś. p. Władysława. Nieraz nam o tem sam opowiadał, że ten „rzemieślnik“ Lelewel-Borelowski, ten syn

ludu, był dla niego jakąś wyższą istotą tam na placu boju pod Panasówką. Nigdy ś. p. Władysław nie był wrogiem ludu, mimo krwawych mordów, dokonanych na jego rodzinie w Horożanie, ale Panasówka wydarła z jego duszy i te resztki pleśni dawnych szlacheckich przesądów, a dekretem majorskim, otrzymanym z ręki „chłopa" na placu bitwy, chlubił się do śmierci.

W cztery dnie po Panasówce, otrzymawszy pod Batorzem ciężki postrzał w nogę, dostał się do niewoli, przesiedział czas jakiś w Lublinie w lazarecie i został zesłany na Sybir, zkąd go dopiero w r. 1869 wydobył, jak niemal wszystkich, czcigodny ks. Ruczka. Perjod, spędzony w Sybirze, nie był najsmutniejszym perjodem w życiu ś. p. Władysława. Smutne to, ale prawdziwe. Badawczy jego umysł wzbogacił się tam wiadomościami, które potem rozsiewał po Galicji, a nawet Austrji w taki sposób zajmujący i dokładny, że go nawet obce dziennikarstwo niemieckie wspominało niejednokrotnie z wielkiem uznaniem. Nabrawszy w powstaniu, a mianowicie w Syberji, innych wyobrażeń o świecie i o stosunkach ludzi do ludzi, mianowicie zaś szlachty do ludu, wracał do kraju z radością w przeświadczeniu, że pod rządami autonomji potrafi być najlepiej użytecznym swojej ojczyznie. Zagorzały rewolucjonista powiesił na kołku marzenia powstańcze i natchnionem słowem szerzył idee bratniej miłości w narodzie, rozerwanym jeszcze zawsze na rozmaite kasty. Rzucił się w wir autonomiczny, pełnił rozmaite urzędy w Radach powiatowych i gminnych, ale wszędzie natrafił na blichtr zamiast na prawdę, i powtarzał nieraz, że w naszej autonomji zamiast dawnej kastowej szlachty rządzi nowa kastowa plutokracja. Znękany, zbiedzony przeszłością i teraźniejszością, podupadłszy na zdrowiu w skutek rozwielmożnienia się astmy, nabytej w Szpilbergu i w drodze na Sybir wybuchłej, nie mógł się ś. p. Władysław utrzymać na urzędach autonomicznych, ustąpił więc z nich, straciwszy wiarę w żywot „takiej" autonomji, osiadł we Lwowie i tam wśród nader opłakanych stosunków materjalnych zmarł w szpitalu powszechnym, pozostawiwszy licznych

pasierbów po zmarłej niedawno drugiej żonie w... okropnej nędzy. Jeszcze kilka miesięcy przed śmiercią gościł w Drohobyczu i zjednał sobie odczytami „O Syberji“ niekłamany poklask, i zasilił szczupłym fundusikiem biedną swą kasę. Pozostawał on z nami w ścisłej korespondencji, gdyż nas łączyła przyjaźń osobista od r. 1863. Ostatni list, pełen goryczy i żalu do społeczeństwa, w którem negusy i darmojady pędzą żywot bez troski na tłustych synekurach, gdy on, którego gorące serce do ostatnich tchnień nie przestało bić dla spraw ojczystych — mrze z głodu — staraliśmy się złagodzić słowami zachęty i przyjaźni — list ten był niejako zapowiedzią rychłego zgonu. Wszakżeż śmierć sama nastąpiła niemal nagle. Dla niego jest ona dobrodziejstwem, ale jest ona zakałą dla naszego społeczeństwa i kiedyś dzieje mąk naszych wspomną i o nim, że zginął marnie z głodu wśród swoich. Pozostały po nim utwory literackie, których najważniejszą zaletą jest to, że treścią ich są fakta, zaszłe w naszych oczach a opisane z werwą i barwnością.*) Utwory te długo jeszcze karmić będą nasze pokolenie i świadczyć o szlachetności charakteru i prawej duszy autora tychże utworów. Można się nie zgadzać na wszystkie poglądy jego, lecz że my nie odpowiadamy za skutek naszych usiłowań, tylko za naszą dobrą wolę, którą całe życie miał ś. p. Władysław, więc powtarzamy z innymi: „Cześć Jego zacnej pamięci!“

---

*) Ostatni swój utwor p. t. „Wspomnienie z czasów przed 20-tu laty“ powierzył nam do ogłoszenia w „Gazecie Naddniestrzańskiej;“ nim jednak do ogłoszenia przyjść mogło, porwała go śmierć. Oddaliśmy manuskrypt p. G. Kohnowi do ogłoszenia w jego „Samborskich Rocznikach.“ — gdyż „Gaz. Naddn.“ fejletonów nie umieszcza. —

Wspomnienia

z czasów przed dwudziestu laty,

przez autora „Czarnej księgi."

WSTĘP.

Mój Boże! Jakżeż to szybko przemija czas! Zda się, że to dopiero wczoraj a jednak mijają już lata. Zdarzenie, jakie zamierzam opisać, zaszło przed laty przeszło dwudziestu i byłbym może nigdy nie dotknął sprawy tej piórem, gdyby nie „Gazeta Narodowa," która w nr. 50-m. b. r. umieściła w kronice swojego pisma zajmujący artykuł p. t. „Kopciuszek." W artykule tym, jako zbrodniarze pastwiący się z cynicznem okrucieństwem nad 7mioletnią dziewczynką figurują: sztabskapitan Bardałowski i tegoż miłośnica.

Ponieważ nazwisko to zdaje się być identyczne z nazwiskiem także sztabskapitana Bardałowskiego, postanowiłem niektóre zdarzenia odnoszące się do niego przelać na papier rzetelnie i wiernie, i bez żadnej przesady do publicznej podać wiadomości.

I.

Otrocze przed bitwą pod Batorzem.

Świetne zwycięztwo nad Moskalami, jakie w dniu trzecim Września 1863 odnieśliśmy pod dowództwem Lelewela w bitwie pod Panasówką*) ściągnęło

*) Opisanie tej i innych bitew jest już na ukończeniu przygotowane do druku. *(Uwaga autora.)*

na nas wszystkie najbliższe oddziały moskiewskie, ażeby bezwarunkowo zgnieść nas koniecznie, to też po naszem po tej bitwie wyruszeniu przez Zwierzyniec w okolice dalsze niemal bez ustanku liczne oddziały piechoty, dragonów, kozaków i artylerji moskiewskiej mieliśmy na karku.

Lelewel (Marcin Borelowski) jak zawsze tak i wówczas dokładne otrzymywał raporty i o każdym ruchu moskiewskich wojsk dokładnie bywał poinformowany przez szlachetne Polki nasze, przyjmujące na siebie częstokroć z narażeniem swego życia role kurjerek.

Z topografią kraju obeznany wybornie, znając dokładnie wszystkie drogi, ścieżki, lasy, góry, rzeczułki, moczary, bagna i t. d. był śp. Marcin istnym mistrzem w wymykaniu się Moskalom, w nieustannem niepokojeniu ich i w myleniu ich w pogoni za nami. Tym sposobem powiodło się nam unikać bitwy aż do dnia 6. Września. Ciągłym marszem i kontrmarszem byliśmy tak znużeni, że w dniu tym przybywszy około 10-tej godziny rano do wioski Otrocze, uważał Lelewel za konieczne, pozwolić choćby na krótki tylko odpoczynek oddziału, a jakkolwiek pewną otrzymał wiadomość, że najbliższy oddział moskiewski znajduje się w odległości aż dwóch mil, mimo tego jako przezorny partyzant pod surową karą zabronił wydalać się z szeregu a kawalerzyści mogli udać się na spoczynek dopiero po możebnem nakarmieniu koni i z tręzlą na ręce. Mimo wielkiego znużenia porozstawiano widety i pikiety a rekonesanse na wszystkie strony porozsyłano na zwiady.

Znużenie powszechne było tak wielkie, że sen niemal u wszystkich zapanował nad pragnieniem i głodem.

Pamiętam jak dziś: wioska cała położona była jakby w kotlinie, jakby w wąwozie, a domy wioski ciągnęły się wzdłuż; jakby po obu stronach wąwozu przedzielone drogą wpośrodku. Furgony i kawalerja ulokowane były na przodzie t. j. na ostatecznym krańcu wioski, piechota zaś z samego początku. Moja kompanja tworzyła w dniu owym straż tylną i dla tego zaraz u wejścia do wioski rozłożyła się w szere-

gowym porządku i z bronią w ręku pod płotem przy wzgórzu. Napoiwszy mojego konia i podawszy mu owsa, ułożyłem się tuż obok niego. I byłbym może był usnął jak wszyscy moi koledzy, układając się jednak do snu spostrzegłem naprzeciw siebie w oddaleniu zaledwie kilkudziesięciu kroków mały, stary kościółek, który zapragnąłem zwiedzić koniecznie; zaledwie atoli wszedłszy do kościoła rozglądnąłem się trochę i przypatrzyłem starym obrazom i rzeźbom, posłyszałem wystrzał a w krótce potem głośną komendę, tentent koni i szczęk broni.

Co spieszniej wypadłem z kościoła i ujrzałem rekonesans kawalerji zjeżdżającej cwałem z pagórka do wioski i zdążającej za oddziałem, który w tym krótkim czasie mojej nieobecności pomknął już daleko i na końcu wioski znikał mi z oczu.

Moja kompanja stała już pod bronią. Mój sierżant Michał Ostrowski ustawił kompanję w szeregi i zdał mi raport, że wszystko w porządku i nikt nie wydalił się z miejsca.

Ściągane z wszystkich punktów widety łączyły się z moją kompanją. Tu i owdzie pojawiali się nadciągający żołnierze nasi, to maroderzy, to zkąd indąd zabłąkani, szukający z wyraźnem pomięszaniem swojej kompanji, a nie widząc jej wcale, stawali w szeregach mojej. Wieśniacy obojej płci, dzieci i starcy, wszyscy z istnem przerażeniem na twarzy, a kobiety załamując ręce z płaczem i krzykiem, uciekali ze wsi. Z daleka dolatywał nas huk dział a granaty z szumem i świstem padały wpośród wsi i pękały z hukiem.

Moja kompanja wyczekiwała mojej komendy, ja zaś wstrzymywałem się z pochodem za oddziałem, chciałem bowiem pościągać do siebie wszystkich opóźnionych.

W tej chwili cwałem nadjechał podpułkownik Grudziński i z odległości 40—50 kroków wydał komendę:

— Kapitan 3ciej kompanji zasłoni odwrót oddziału!

W bitwie pod Panasówką straciłem 98 ludzi, pozostało mi więc 22, nie licząc podoficerów, od tego

czasu jednak aż do dnia 6. Września uzupełniłem moją kompanję do liczby 55ciu ludzi, z widetami jednak i z innymi, którzy w ostatniej chwili przyłączyli się do mnie, obliczyłem siłę moją na ludzi 79.

Podpułkownik wydawszy komendę, nawrócił konia i co koń wyskoczy, popędził za oddziałem, ja zaś zakomenderowawszy: „W prawo! lewe ramię naprzód! marsz!“ — wyruszyłem z moją kompanją na wzgórze i zająłem miejsce przed wsią, a rozrzuciwszy całą kompanję w łańcuch tyraljerski, sam stojąc, wszystkim kazałem ułożyć się na ziemi. Wtem podpułkownik Grudziński podjechał do nas ponownie. Uważam za stosowne wyjaśnić w tem miejscu, że między mną a podpułkownikiem zaraz od pierwszej chwili mojego wstąpienia do oddziału, stosunki wszelkie były naprężone, po bitwie pod Panasówką zaś stosunki te naprężyły się jeszcze mocniej, w chwili bowiem gdy wśród ciemnej już nocy z pogoni za Moskalami wróciłem z moją kompanją do naszego obozu, witano nas okrzykami tryumfu i radości a śp. Lelewel zamiast dekoracji zamienił ze mną rewolwer i pałasz mówiąc, że to ofiaruje mi zamiast przypięcia krzyża na piersiach, wówczas właśnie gdy jedni wołali: „Niech żyje kapitan trzeciej kompanji!“ — równocześnie rozlegały się głosy: „Precz z tchórzem podpułkownikiem!“

Podpułkownik więc nie mogąc wybaczyć mi tego, korzystał z każdej sposobności, ażeby mi dokuczyć; podjechawszy więc do nas ponownie i ujrzawszy moich ludzi leżących na ziemi, ofuknął mnie następującemi słowy:

— Co to kapitan przyuczasz swoich żołnierzy do tchórzostwa i każesz kłaść się im na ziemi?

— Zdaje mi się — odparłem obojętnie — że pod Panasówką przekonano się dosadnie, kto bił się walecznie a kto był tchórzem; jeżeli zaś ludziom moim powierzonym mojej komendzie rozkazałem położyć się na ziemi, to uczyniłem to jedynie z tej przyczyny, ażeby oszczędzać ich życie, każdemu z nich bowiem przypada walczyć najmniej przeciw dziesięciu,

ja zaś sam, jak podpułkownik widzi, stoję, mnie więc o tchórzostwo posądzać nie wolno.

— Niechaj kapitan rozkaże ludziom powstać natychmiast!

Nie chcąc moim ludziom złego dawać przykładu, przykładu nieposłuszeństwa przed frontem, rozkazałem powstać ze ziemi. Zaledwie jednak powstaliśmy, szybko coraz bliżej nadciągająca Moskwa natychmiast powitała nas salwą wystrzałów karabinowych i kartaczami, które daleko przed nami niedosięgając nas, wyrywały ziemię, kule karabinowe zaś jak zadąsane muchy lub pszczoły brzęczały nam koło uszu a czasem z świstem przeleciały ponad nasze głowy.

Oburzony do żywego zwróciłem wzrok mój na podpułkownika, na którego twarzy malowało się przerażenie.

Wtem druga gruchnęła salwa i rozpoczął się z obudwu stron ogień tyraljerski. W tejże samej chwili gdy kilka kul naraz świsnęło koło podpułkownika, tenże natychmiast zakręcił konia i krzyknąwszy głośno: „W prawo! za mną! marsz!“ — puścił się cwałem i wkrótce zniknął nam z oczu, więcej nie troszcząc się o nas. Ta podpułkownika komenda wytworzyła powszechny popłoch, demoralizując wszystkich ludzi. Wszyscy w największym nieładzie rzucili się w prawo i co sił stało, poczęli umykać. Stojąc na lewem skrzydle, nie byłem w stanie zabiedz drogi uciekającym, krzyknąłem tylko do sierżanta Ostrowskiego: „Zatrzymaj oddział! Pal w łeb, kto ucieka!“ A ponieważ jakiś kapitan podobno z innego oddziału zapewne spóźniwszy się także, do mojej przyłączył się kompanji, jemu właśnie powierzyłem czuwanie nad prawem skrzydłem, wezwałem i jego, ażeby zatrzymywał ludzi*); sierżant więc i ów kapitan rzucili się przed uciekających z rewolwerami w ręku grożąc zabiciem, kto postąpi krok dalej! Tym sposo-

---

*) Żałuję mocno, że nie pamiętam nazwiska tego walecznego kapitana, wiem tylko to, że po powrocie moim z Syberji widziałem go we Lwowie na kulach, jednę nogę stracił w powstaniu. *(Uwaga autora.)*

bem acz z wielkim trudem powstrzymaliśmy uciekających i przywróciliśmy porządek, a ustawiwszy ich w łańcuch tyraljerski i rozkazawszy im położyć się na ziemi, wykazałem im zgubne następstwa, jakie mogły wyniknąć z takiej bezładnej, owczej ucieczki. Ukazałem im zbliżających się kozaków i dragonów, którzy korzystając z ich popłochu, byliby bez wątpienia wszystkich pojedyńczo wystrzelali lub zarąbali.

Po ochłonięciu z pierwszego przerażenia, rozpoczęliśmy formalny już należycie prowadzony ogień tyraljerski. Wszyscy tłumaczyli się, że byliby nie uciekali, gdyby nie zgubna komenda podpułkownika i przykład jego ucieczki, w czem upatrywali, że już będzie wszystko stracone.

Gdy Moskale przyśpieszonym biegiem zbliżali się do nas coraz więcej i widocznie chcieli zająć nam lewe skrzydło, uważałem za stosowne, nie narażać bezkorzystnie tej małej garstki na niechybną zgubę, rozkazałem więc ażeby powoli, nieznacznie zczołgali się nieco niżej aż pod samą wieś prawie, gdzie z poza domów i drzew mogli moi ludzie, sami zasłonięci, z większym spokojem ostrzeliwać Moskwę.

Manewr ten powiódł mi się w zupełności, bo ludzie moi strzelali celnie a Moskale, głównie zaś kozacy i dragoni mniemając, że we wsi cały znajduje się oddział, z obawy przed zasadzką nie mieli odwagi posunąć się naprzód. Spostrzegłszy, że widocznie wyczekują przybliżenia się piechoty, rozpocząłem powolne posuwanie się pod zasłoną domów i drzew na prawo za oddziałem.

Huk dział rozlegał się coraz bliżej a bliżej, granaty coraz gęściej padały do wsi, kilka chałup stało już w płomieniach, psy ujadały i wyły, ryk przerażonego bydła uganiającego po wsi rozlegał się żałośnie, resztki zaś znajdujących się we wsi wieśniaków łączyły się z nami, szukając u nas bezpieczeństwa.

Zaledwie opuściliśmy wioskę, podjechali kozacy i acz nieszkodliwie obsypywali nas z swych karabinków rzęsistym ogniem. Na tych nie zwracaliśmy nawet uwagi, a wówczas tylko, gdy podjechali zanadto

blisko, zatrzymałem oddział postępujący w wielkim porządku, zakomenderowałem: „Lewo w tył zwrot!“ i kazałem dać ognia; zanim atoli padły strzały, kozacy byli już w odwrocie a my posuwali się dalej dążąc do oddziału. Nie śpieszyłem się z pochodem, bo chciałem ażeby śp. Lelewel dosyć miał czasu do zajęcia ile możności dogodnego i silnego stanowiska.

Kozacy i dragoni pozostawiając wioskę na uboczu i nie zbliżając się nawet do niej zbytecznie, pośpieszali za nami i mając nas widocznie tylko za straż przednią, pragnęli nas odciąć a przekonanie to powziąłem ztąd, że w chwili gdy jedna część dragonów nacierała na nas, druga zwrócona ku wiosce w tamtą stronę strzelała na oślep. (Dochodząc już do krzaków poprzedzających lasek dość młody jeszcze, dragoni podjechali tak blisko, że zsiadłszy z koni i rozrzuciwszy się w tyraljery, żywy rozpoczęli ogień.)

Rozumie się, zatrzymałem kompanję, zrobiłem front i rozkazawszy ukrywać się poza krzaki i pniaki rozpocząłem ogień bojowy, przyczem chodząc od żołnierza do żołnierza, wzywałem do ostrożnego a dokładnego strzelania.

Legło kilku dragonów i kilka koni a kozacy zniknęli nam z oczu. Jeszcze kilka minut a dragoni dosiadłszy swych koni, cofnęli się w tył. Tymczasem piechota szybkim zbliżała się biegiem strzelając bezustannie, huk armat rozlegał się ciągle, z pośrodka wsi tu i owdzie jasne buchały płomienie, albo czarne tumany dymu wznosiły się wysoko. (Tak Moskwa wszędzie pożogą jeśli nie mordem znaczyła swój pochód!)

Po cofnięciu się dragonów i ja z garstką moich walecznych raczej dzieci niźli żołnierzy, cofnąłem się także, ażeby powoli połączyć się z całym oddziałem. Wkroczyliśmy w las, a tuż za nami jakby z pod ziemi wyrośli, pojawili się kozacy i z okrzykiem: „Ura! ura! nie ujdziosz! nie ujdziosz!“ — raz palnęli do nas z swych karabinków, lecz zaraz nawróciwszy swe konie, uciekali cwałem i wkrótce znowu znikli nam z oczu. Opisanie bitwy a raczej utarczki tej, nie jest moim zamiarem, staremu jednak żołnierzowi trudno powstrzymać się choćby od pobieżnego tylko opowia-

dania najmilszych wspomnień przeszłości. Przezacny śp. Lelewel wysłał ordonansa do mnie dla zasięgnięcia języka. Wypytawszy go dokładnie o miejscowość, w której znajduje się oddział, poleciłem mu oświadczyć naczelnikowi, ażeby był zupełnie spokojny, gdyż wkrótce osobiście zdam mu raport dokładny, przyczem prosiłem o przysłanie mi jakiego konia, mojego bowiem podczas mojego pobytu w kościółku, zabrał podobnoś kapitan Kniaziołucki.

Zaledwie wyszliśmy z lasu, kozacy pojawili się tuż niedaleko i nachyliwszy się na swych koniach nacierali na nas z zwykłym swoim okrzykiem.

Znając ich, nie odstrzeliwając się nawet postępowaliśmy raźniej naprzód. Za kozakami podążającymi za naszem lewem skrzydłem nadciągali dragoni a posunąwszy się na prawo poczęli ostrzeliwać nas znowu. Kazałem wykonać front i gdy pokazało się kilka dragońskich luzaków, wkrótce dragoni i kozacy dzieląc się na prawo i lewo, oddalili się od nas poza strzał karabinowy, piechota natomiast w szyku bojowym wysunąwszy się naprzód, rzęsisty rozpoczęła ogień, od prawego zaś skrzydła ryczały armaty.

W tej chwili stanęliśmy nad głębokim jarem, poza którym rozpoczynał się las należący do dóbr słynnego z dnia tego Batorza. Dotąd ani jednego nie straciłem żołnierza, byłem z tego dumny, nasza bowiem utarczka z tak przeważającemi siły trwała już blisko 2 godziny. Nadciągająca jednak piechota i rzęsisty jej ogień wielkiem groziły nam niebezpieczeństwem, uważałem więc za konieczne, wszystkich moich ludzi coprędzej przeprawić przez jar i ukryć ich w lesie, wydawszy więc stosowne co do tego polecenie, sam wziąwszy perspektywę d ręki, badałem z pedantyczną dokładnością ilość i jakość broni nadciągającej Moskwy.

Zaledwie obliczyłem wszystko, celny strzał moskiewski ugodził mię w samą goleń prawej nogi, ranny zachwiałem się i przyklęknąłem na lewem kolanie.

— Kapitan ranny, nasz kapitan ranny! — krzyknęli z przerażeniem moi żołnierze z drugiego brzegu jaru i kilku rzuciło się naprzód, ażeby dostać się do

mnie i unieść ze sobą. W chwili gdy jeden z podoficerów podawał mi ramię, pełny granat uderzył go w pachwinę i skonał na miejscu, inni pomogli mi wydostać się przez jar aż do lasu. Szybko postępowaliśmy naprzód a gdy weszliśmy w las rzadszy, graniczący z polami w pobliżu naszego lewego skrzydła znowu pojawili się kozacy, po kilku jednak strzałach umknęli chyżo.

Mocny upływ krwi osłabiał mię coraz bardziej i czułem, że nawet przy pomocy moich towarzyszów nie dojdę daleko. W samą porę nadjechał do nas ordonans Lelewela prowadząc dla mnie luzaka. Przy pomocy mojego sierżanta i innych kolegów dosiadłem konia i znowu ruszyliśmy naprzód, wkrótce połączyliśmy się z naszym oddziałem a śp. Lelewel powitał mię serdecznie pochwalnemi wyrazy. Obok Lelewela stało kilku sztabowców i nasze 3 wielkiej zacności kurjerki a mianowicie: panna Izabella Bieczyńska, pani Wanda U., tudzież pani Wolska.

Kończąc nieco przydługi mój raport, czułem, że opuszczczają mnie siły, zachwiałem się i runąłem z konia, na szczęście jednak schwycono mię w powietrzu i zaniesiono na plebanję, gdzie kulę wydobyto mi z nogi.

W czasie tej operacji bitwa rozpoczęła się na piękne, strzały karabinowe i huk dział zbliżały się coraz więcej, furgony z pośpiechem pędziły poza wies w miejsce bezpieczne, wszyscy śpieszyli na swoje stanowiska, w całym obozie niezwykły panował ruch, wieśniacy Batorza goniąc przed sobą bydło i unosząc z sobą co droższego, umykali w lasy, po mnie zaś zajechała bryczka o dziarskich dwóch koniach, wsadzono mnie na bryczkę, za mną powsiadały wymienione dopiero 3 panie i konie ruszyły z kopyta.

Zaraz za Batorzem wyjeżdżających nieco pod górę, zdaleka ujrzeli nas kozacy i w pogoń puścili się za nami; dziarskie jednak konie nasze pomykały szybko i pomimo wszelkich wysileń kozaków przez kilkanaście minut takiej pogoni nie zdołali przybliżyć się do nas choćby o krok więcej. To zapewne skłoniło kozaków do odwrotu, poczem mniej więcej po upływie godziny zajechaliśmy przed szlachecki dwo-

rek w Blinowie, gdzie tegoż właściciel zacny pan Kogutowski, jakkolwiek nie bez obawy przed następstwami, przyjął nas z całą istnie staropolską gościnnością.

II.

Po bitwie w dworze.

Nie znam ani wszystkich osób zamieszkujących ten dworek, ani też wewnętrznego urządzenia dworku. O ile jednak sądzić mogę z tego, jak przedstawił mi się pierwszej chwili, był to zwyczajny staropolski dworek szlachecki, który — jak mówi nasz wieszcz — rozszerzał się na przyjęcie gości. Zdaje mi się, o ile mogę sobie przypomnieć, że mieszkał w tym dworku tylko p. Kogutowski z matką swoją. Pamiętam że przez sień na prawo wniesiono mnie do drugiego pokoju i złożono na łóżku, rozebrano mnie, dano mi nawet inną bieliznę, ażeby zatrzeć wszelki ślad, z którego można by wnosić, że brałem udział w powstaniu.

Pani Wanda U. pozostała przy mnie dla pielęgnowania mnie i opatrywania rany. Lekarza nie było nigdzie w pobliżu a po felczera żyda obawiano się posłać. Na razie robiono tylko zimne okłady, ażeby niedopuścić coraz większej puchliny.

Znużony usnąłem prędko, zapadłszy jednak w gorączkę, w nocy budziłem się często, nazajutrz rano wróciła panna Izabella, ażeby wyręczyć panią Wandę, znużoną całonocnem czuwaniem.

Od niej dowiedziałem się o strasznej klęsce bitwy pod Batorzem, o śmierci nieodżałowanego Lelewela, naczelnika województwa Lubelskiego i Podlaskiego, o śmierci całego niemal sztabu jego, o częściowem rozbiciu oddziału i o wielu naszych, wziętych do niewoli.

Smutne wiadomości te niewysłowionym przejęły mię żalem i wywarły na mnie tak silne wrażenie, że acz tylko na krótko, na nowo zapadłem w gorączkę. Co chwila rozmaici do Blinowa zjeżdżali

sąsiedzi, — na twarzach wszystkich ciężki malował się smutek, nie mówiono o niczem jak tylko o tej nieszczęśliwej bitwie i pogrzebie, na jaki z wszystkich stron zamierzali zgromadzić się bliżsi i dalsi sąsiedzi.

Na pogrzebie, na który zezwolili Moskale i którzy dla okazania, jak wysoko cenili obywatelskie i żołnierskie cnoty tego partyzanta, modlili się na jego grobie, — p. Kogutowski wszystkich niemal sąsiadów, obywateli, oficjalistów i urzędników zaprosił do siebie na dzień następny.

To też w dniu tym mnóstwo zjechało się gości. Pod świeżem wrażeniem pogrzebu z dnia dopiero upłynionego, wszyscy milcząco, smutnie i ze lśniącą łzą w oku przechadzali się po pokojach. Każdy z gości p. Kogutowskiego głęboko czuł stratę, jaką poniósł kraj cały nietylko przez śmierć dzielnego naczelnika tego oddziału, nietylko przez śmierć najwaleczniejszych tegoż oficerów i żołnierzy, ale zarazem i przez częściowe rozbicie tego oddziału, którego utworzenie tyle kosztowało zabiegów, pracy, czasu i pieniędzy. Silono się na ożywienie rozmowy ale na próżno; po obiedzie dopiero i po kilku toastach na cześć Lelewela i tak nieszczęśliwie w boju poległego sztabu, gdy krew zaczęła krążyć żywiej po żyłach, nieco rozweseliły się umysły i nadzieja wstąpiła do duszy.

Pan Kogutowski tylko zaufańszych wpuszczał do mego pokoju, obawiał się bowiem, ażeby nie doniesiono Moskalom, że ranny leżę u niego, ku wieczorowi jednak, gdy wypogodziły się czoła, rozjaśniła myśl i wszyscy w różowym byli już humorze, wszelkie względy uchylono na bok, wszyscy goście do mojego zawitali pokoju, każdy mię witał i ściskał dłonie, każdy pocieszał, jaśniejsze zapowiadał dnie, świetną dla mnie zapowiadano przyszłość i tem świetniejsze dla Polski wróżono nadzieje, gościnny gospodarz dolewał wina, pito na cześć Polski, spełniano toasty na powodzenie powstania i oręża polskiego, rzewne i bohaterskie, pełne zapału odzywały się mówki, przyczem wychylono także nie jeden toast na szybkie wyzdrowienie rannego kapitana, tudzież na cześć wówczas jeszcze tylko autora „Powieści o Horożanie“ i „Pamiętnika więźnia stanu.“

(Acz ranny i uwolniony od toastów, jeden musiałem wychylić na podziękowanie.)

Tym gwarem i tak licznem zebraniem zaniepokojony, zaprosiłem gospodarza i przy wydarzonej sposobności szepnąłem mu na ucho:

— Czcigodny obywatelu! obawiam się a nawet zdaje mi się niepodobna, ażeby wśród tylu osób nie znalazł się nikt, kto o wszystkiem nie doniósłby Moskalom.

Wypowiedziałem to dość cicho a jednak panna Bieczyńska stojąca tuż koło pana Kogutowskiego odezwała się głośno z pół uśmiechem na ustach:

— O! kapitan może zupełnie być spokojny. My — dodała z wyrazem pewności — my czuwamy nad kapitanem, my poczyniłyśmy wszelkie potrzebne kroki, ażeby jutro rano wywieźć kapitana do Galicji i w pewne, poczciwe powierzyć ręce. Nasze siostry wyjechały już wczoraj, ażeby wszędzie dla kapitana odpowiedne przygotować przyjęcie, tudzież potrzebny powóz wygodny i konie rozstawne. Jutro rano z uderzeniem godziny ósmej wyjedziemy z Blinowa. Za to ręczę i odpowiadam ja.

Wyrazy te wypowiedziane z taką pewnością uspokoiły mnie zupełnie, nie pozostawało mi więc nic innego, jak tylko na podziękowanie serdecznie uścisnąć jej rękę.

Goście rozjechali się późno, panna Bieczyńska pożegnała mnie także z stanowczem przyrzeczeniem, że nazajutrz przyjedzie po mnie o umówionej godzinie.

III.

Przyaresztowanie i wjazd do Lublina.

Nazajutrz rano mając podróż przed sobą, obudziłem się wcześniej jak zwykle, przepatrzyłem suknie i bieliznę przygotowane dla mnie do podróży, wyjąłem moję kartę legitymacyjną, położyłem koło siebie na stole i byłem gotów do podróży. Cieszyłem się pe-

wnością, że nie dostanę się w ręce Moskali i że opatrzony i leczony należycie wrócę do zdrowia, ażeby na nowo podążyć w szeregi braci walczących z barbarzyńską i wrogą nam Moskwą.

Kołysany miłemi nadziejami temi, zamyśliłem, zatopiłem się sam w sobie, nie wiedząc, nie czując i nie słysząc, co się dzieje koło mnie. Nagle z łoskotem rozwarły się drzwi na ościerz, a przez nie wpadł jeden z powstańców w uniformie, podobnoś niejaki Niewiadomski z okrzykiem:

— Moskale! gdzie się tu ukryć?

— Nie wiem — odezwałem się — nie znam tego domu, mnie przywieziono tu rannego; — ale on nie słuchał tego, co mówiłem, dopadł drzwi znajdujących się w moim pokoju i zniknął za drzwiami.

Nie zdołałem jeszcze zdać sobie sprawy z tego co zaszło, gdy ponownie otwarły się drzwi a w nich z rewolwerem w ręku wymierzonym do mnie okazał się porucznik moskiewski, nazwiskiem podobno Zubów czyli też Żurów a z nim dwóch kozaków także z rewolwerem w ręku.

— Niech się pan nie próbuje bronić! — wyrzekł z moskiewska po polsku porucznik z pośpiechem zaraz na wstępie, — bo mam rozkaz w takim razie zabić pana na miejscu — i zaraz postąpił naprzód, dodając:

— Mam liczną eskortę a za wsią czeka mnie bataljon piechoty i artylerja.

— Panie poruczniku! — odezwałem się — nie będąc wojskowym, nie mam żadnej broni.

— Ależ majorze, niech się pan major nie wypiera, my wiemy wszystko dokładnie, pan się nazywa — i wymienił moje imię i nazwisko*).

Chciałem zaprzeć się mojego nazwiska, gdy na moje szczęście lub nieszczęście porucznik zbliżywszy się właśnie do stołu i ujrzawszy moją kartę legitymacyjną, odezwał się do mnie:

---

*) Śp. Lelewel oświadczył mi, że przyszła dla mnie nominacja na majora i miał mi oddać bataljon dowodzony przez podpułkownika Grudzińskiego, niestety jednak otaczanemu bez ustanku przez Moskali, narażonemu na ciągłe marsze i kontrmarsze, na odbiór bataljonu zabrakło czasu. *(Uwaga autora.)*

— Ach! jak dokładnie nas poinformowano!

— Nazywam się tak w rzeczywistości, zaszczytnego jednak tytułu majora przyjąć nie mogę — odrzekłem — nie jestem bowiem wojskowym, tylko korespondentem dziennikarskim.

W tej chwili przerażony gospodarz wszedł do pokoju, przedstawił się jako właściciel majątku, a oświadczając, że jest gotowy na porucznika rozkazy, tłumaczył się, że mnie rannego przywiozły do niego jakieś zupełnie obce mu panie.

— Ja wiem — odezwał się porucznik — że pan musiałeś przyjąć majora, bo inaczej pierwsza lepsza szajka buntowników powiesiłaby pana, major twierdzi wprawdzie, że nie jest wojskowym, ale rana w nodze zaprzecza temu stanowczo.

— Ten pan — rzekł Kogutowski wskazując na mnie — jest podobnoś jakimś korespondentem dziennikarskim.

— A zkądżeż ta rana? — zapytał porucznik.

— Panie poruczniku — odezwałem się z powagą — chcąc coś widzieć i bitwę opisać należycie, musiałem przypatrywać się z bliska a dalekonośne kule wasze były niestety tak niegrzeczne, że jedna z nich bez względu na moją godność dziennikarską ugrzęzła mi w nodze.

Ta odpowiedź podobała się bardzo porucznikowi, uśmiał się z niej serdecznie, cieszył się, że kule moskiewskie niosą tak daleko, opowiadał mi o śmierci Lelewela, o rozbiciu oddziału i o zabraniu licznego jeńca.

— Czy pan mocno ranny? — zapytał nagle porucznik.

Odwinąłem kołdrę, zdjąłem zimny okład i szarpie i ukazałem mu ranę.

— O! — zawołał porucznik i dodał: — to fatalna rana! a jednak jakkolwiek bardzo mi przykro, to mam przecież rozkaz wyraźny dostawić pana żywcem lub trupem, muszę więc majora dostawić koniecznie. Niech się pan jednak nie boi, postaram się o wszelkie możliwe dla pana wygody. Pan Kogutowski każe zaprządz do powozu 4 dobre konie, pani da potrzebną pościel, wyścielemy powóz i pojedziemy co koń

wyskoczy, ażeby prędko dotrzeć do naszych, bo noga pańska bardzo zaogniona i opuchnięta jak najszybszego wymaga opatrzenia. My — dodał na końcu wskazując na siebie — nie jesteśmy takimi barbarzyńcami, jak nas malują polskie gazety. — I zwracając się do gospodarza, oświadczył mu porucznik:

— Panie Kogutowski! niechaj pan wyda stosowne rozkazy, a może major zechce coś jeszcze przekąsić lub wypić, może pan zresztą dla pana majora każe zapakować do powozu parę butelek soku, bo dziś upał wielki.

Oświadczyłem że tego wszystkiego nie potrzeba, bo gdy tak się już stało i odstać nie mogło, chciałem coprędzej przybyć na miejsce, gdyż w nodze mojej czułem żar wielki i lękałem się przez dłuższą zwłokę w opatrzeniu rany, narazić się na amputowanie. Gdy ubrano mnie już w czyjeś pożyczane suknie (mój uniform bowiem został gdzieś tam przechowany) i gdy miano mnie już wynosić do powozu, zawiadomił mnie porucznik, że w tych okolicach kręcą się liczne szajki buntowników, że obawia się napadu z ich strony, ma bowiem rozkaz wyraźny, w razie napadu przedewszytkiem zabić mnie na miejscu.

Zastanawiając się nad tem, co mi powiedział, uczyniłem mu propozycję tego rodzaju, a mianowicie: ażeby on z wyjątkiem czterech kozaków obok powozu zostających, jechał ze mną w powozie sam jeden, reszta zaś kozaków niechaj pozostanie w tyle najmniej o 800—1000 kroków, a ja mu ręczę słowem honoru za jego osobę i że mnie dostawi na miejsce mego przeznaczenia, w razie bowiem napadu ja sam miałem parlamentować z oddziałem powstańców.

Porucznik przyjął propozycję, poczem zapytał gospodarza, czy w jego domu nie ma ukrytego jeszcze jakiegoś innego powstańca, gospodarz zapewnił stanowczo, że nie ma, porucznik polecił kozakom przeszukać pokoje, a gdy nie znaleziono nikogo i nic podejrzanego, ciż dwaj kozacy z polecenia porucznika, ostrożnie wzięli mnie na ręce, wynieśli na dwór i w wygodnie usłanym złożyli powozie.

Porucznik wydelegował dla eskorty powozu czterech kozaków, asaułowi zaś wydał polecenie trzy-

mać się z całą sotnią kozaków w odległości tysiąca kroków od powozu. Następnie szepnąwszy coś do eskortujących mnie kozaków wsiadł do powozu tuż obok mnie z rewolwerem w ręku. Koło każdego konia stał jeden kozak, na dany znak na 4 konie niezasłużenie 4 spadło nahajek i konie jak szalone z miejsca ruszyły cwałem i tak mocno a niespodzianie szarpnęły powozem, że tak woźnica jak niemniej my obadwa omało nie wylecieli w powietrze.

Takim cwałem, taką szaloną jazdą pędziliśmy przeszło godzinę i w ciągłej obawie, że powóz nasz zataczający się ciągle to w prawo, to w lewo, lada chwila rozsypie się w kawałki. Po drodze widzieliśmy częstokroć zgliszcza tylko chałup i dworów i zgliszcza a raczej szkielety opalonych drzew, tu i owdzie nagi trup przy drodze, pokaleczony i jakby naumyślnie, w nieprzyzwoitej ułożony postawie, gdzieniegdzie zaś kołysało się na drzewie również nagie ciało wisielca.

Po upływie godziny zatrzymał się powóz w jakiejś wiosce przed dworem widocznie zamożnym.

— Hej! — zawołał porucznik na jakiegoś oficjalistę, kręcącego się po gumnie — powiedz pan w dworze, ażeby tu wynieśli ze dwie butelek soku, szklankę i karafkę z wodą, bo wiozę rannego.

Oficjalista chmurnie spojrzał na porucznika, ukłonił się lekkiem uchyleniem kapelusza i powolnym krokiem podążył do dworu. Po dłuższej chwili wyszedł oficjalista, ukłonił się tym samym sposobem i chmurnie jak poprzód oświadczył krótko, że w całym dworze nie ma ani kropli soku, że zaś po wodę wysłano służącego i zaraz przyniosą.

— Niech pan powie — gniewnie zawołał porucznik — niech pan powie w dworze, że żądam soku nie dla Moskala, ale dla rannego majora polskiego, a jeśli mi nie dadzą natychmiast, wówczas rozkażę soku poszukać moim kozakom.

Młody oficjalista rzucił na mnie okiem a ujrzawszy mnie z brodą i w czamarze, popatrzył na mnie z wyraźnem współczuciem, odwrócił się i w mgnieniu oka zniknął we dworze. W kilka minut później z jaśniejszem już obliczem wyszedł ten sam oficjalista,

podbiegł do powozu, ukłonił się grzecznie porucznikowi i mnie i rzekł z uprzejmością:

— Pan porucznik daruje, ale to stało się małe nieporozumienie, to stary kredencerz powiedział, że w całym dworze nie ma ani kropli soku, ale skoro pani dowiedziała się o tem, zburczała go mocno i zaraz przyniosą wszystko, co potrzeba.

Rzeczywiście prawie tuż po tych słowach przyszedł ugalonowany służący i na srebrnej tacy przyniósł parę butelek soku, parę słoików wybornej konserwy, parę butelek starego wina, szklanki i karafkę z wodą.

Porucznik mnie i siebie uraczył wodą z sokiem a wstawiając potem butelki i słoiki do powozu, polecił pani dworu podziękować uprzejmie. Tymczasem wypoczęły konie i znowu szaloną jazdą jak poprzód ruszyliśmy dalej.

Mniej jak po godzinie dotarliśmy do jakiejś wioski, gdzieśmy moskiewskie ujrzeli pikiety a po obu stronach drogi całe roty moskiewskiej piechoty rozłożone na ziemi. Wjechaliśmy aż do środka wsi i powóz zatrzymał się przed karczmą, a porucznik wyskoczywszy z powozu pobiegł do środka.

W ciągu podróży z porucznikiem rozmawialiśmy z sobą poufnie i on doradzał mi, ażebym przed pułkownikiem Miedlnikowem, do którego mię właśnie wieziono, nie ukrywał prawdy, on bowiem jest w posiadaniu mojej na majora nominacji, bo pugilares Lelewela wraz z wszystkiemi papierami po bitwie pod Batorzem w jego dostał się ręce. Oświadczyłem mu na to, że jemu t. j. porucznikowi pozostawiam do osądzenia, co on ma powiedzieć pułkownikowi, że ja jednak nie chcąc się gubić, nie mogę mówić inaczej, tylko jak mu mówiłem poprzednio.

Niespokojny wyczekiwałem niecierpliwie, co nastąpi dalej, cierpliwość jednak moja nie była na zbyt ciężką narażona próbę, w kilka bowiem minut po oddaleniu się porucznika powrócił on z pułkownikiem Miedlnikowem, który zbliżywszy się do powozu, powitał mię uprzejmie i zapytał, czy niepotrzebowałbym czego?

— Dziękuję uprzejmie za pamięć i łaskawe względy — odrzekłem — nie potrzebuję jednak nic, jestem bowiem słaby, nie mam pragnienia ani apetytu a to, czego bym pragnął, zapewne nieotrzymałbym od pana pułkownika.

— A jakież by było pańskie życzenie?

— Pragnąłbym wolności, a tą zapewne nie obdarzy mię pan pułkownik.

W tej chwili spostrzegłem, że pułkownik badawczo wpatrywał się we mnie, poczem nie odpowiadając na moje pytanie, zawołał rozpromieniony i przytykając palce do swojego kepi, jak gdyby salutował:

— A! sądzę, że nie mylę się, poznając pana po łysinie, pan to z otwartą głową w bitwie pod Panasówką z taką prawdziwą brawurą prowadziłeś swoich ludzi do ataku. Przyjemnie mi pana poznać i chociaż walczyłeś pan przeciwko nam, — proszę mi wierzyć — umiem to ocenić. Winszuję panu! Będę starał się, ażebyś pan nie był uważany jako jeniec, nawet nie dam panu straży, a po wyleczeniu się poczynię kroki, ażeby pana natychmiast wysłano za granicę. Tymczasem — rzekł z prawdziwą uprzejmością — może pan zechce wypić ze mną szklaneczkę herbaty, rozkażę znieść pana do pokoju i ułożyć wygodnie.

— Zbytek łaski, panie pułkowniku, byłoby to zresztą połączone z wielu kłopotami, a ja pragnę tylko, ażeby jak najprędzej stanąć w miejscu mego przeznaczenia, noga moja bowiem szybkiego wymaga opatrzenia.

— Słusznie, słusznie — zawołał pułkownik — zaraz panu wyniosą herbatę, a potem ponieważ ja wyjeżdżam naprzód, więc wydam polecenie, ażeby powóz z panem jechał wraz ze mną. Tym sposobem jeszcze przed wieczorem przyjedziemy do Lublina i jenerał Dr. Mścisławski otrzyma polecenie, dziś jeszcze opatrzyć pańską nogę.

Po tych wyrazach odwrócił się, poszedł do karczmy i po chwili przybył z szklanką wybornej herbaty.

Nareszcie pożegnawszy mię wyrazem: „Do zobaczenia dnia jutrzejszego!“ — odszedł. Po wypiciu herbaty wspomniony powyżej porucznik przysiadł

się do mnie, a gdy zaraz potem i pułkownik Miedlników wsiadłszy do powozu, poprzedzony małym oddziałem dragonów wyruszył do Lublina i mój powóz otoczony nielicznym konwojem kozaków, podążył tuż za nim. Równocześnie piechota, artylerja i kawalerja rozlokowane po wsi, szykowały się do pochodu. Konie nasze z Blinowa popędzane nahajkami kozackiemi, pędziły wprawdzie dość żwawo, zawsze atoli nieco przymęczone cwałową jazdą z Blinowa aż do wspomnionej karczmy, nie mogły podążyć za powozem pułkownika, pomykającym jakby przed pogonią.

Miało się już ku zachodowi słońca, gdy wjechaliśmy w miasto. W mieście wielki spostrzegłem ruch, a głównie snuło się po ulicach wiele pań czarno ubranych. Niedaleko wojskowego szpitala, gdzie wszystkich rannych umieszczano jeńców, stały liczne tłumy mieszkańców przeważnie kobiet, które zapewne uprzedzone o przybyciu jakiegoś rannego jeńca, wyczekiwały ciekawie na ujrzenie go i powitanie. To też z wszystkich stron witano mię z współczuciem to dłonią, to powiewaniem chustkami, to wzrokiem a częstokroć oczyma lśniącemi łzą. Nareszcie powóz wtoczył się poza mury szpitala, zamknięto bramę, zajechaliśmy przed gmach, zniesiono mię z powozu i w jakimś samotnym ulokowano pokoju na pierwszem piętrze. Porucznik żegnając mnie uprzejmie odezwał się do komisarza szpitala kapitana Bardałowskiego:

— Z polecenia pana pułkownika Miedlnikowa major nie będzie pod strażą i każ pan poprosić jenerałdoktora Mścisławskiego, ażeby natychmiast opatrzył nogę i bez zwłoki złożył mu raport.

Zamknięto drzwi i pozostałem sam jeden. W pokoju tym oprócz łóżka, na którem byłem złożony, stało jeszcze jedno ale próżne łóżko, tak jak moje świeżą pościelą zasłane. Stolik pod oknem, przy każdem łóżku jedna nocna szafka i wszystko jak zwykle w każdym z porządniejszych szpitali.

W pół godziny później rozwarły się drzwi i wspomniony już komisarz wraz z kilkoma posługaczami szpitalnymi wszedł do pokoju.

— Panie z miasta — rzekł — przysyłają tu panu rozmaite rzeczy potrzebne do wygody.

Posługacze przynieśli rzeczywiście bardzo wygodne materace, przepyszną pościel a oprócz tego cały zapas pomarańcz, cytryn, cukru, herbaty, szklanki, samowar i t. d., jakoteż kilka butelek rozmaitych soków i kilka słoików przepysznych konserw, na końcu pudełko cygarów i pudełko papierosów. Było to rzeczywiście wielką dla mnie niespodzianką, nie pojmowałem bowiem, czem mogłem zasłużyć sobie na takie względy, bo jakkolwiek znane mi były oddawna patrjotyczne uczucia szlachetnych Polek naszych, nie spodziewałem się nigdy, ażeby Moskale dozwolili korzystać jeńcowi z tych uczuć. Tem więcej byłem zdziwiony, gdy nadto odezwał się do mnie komisarz:

— Pan daruje, że muszę pana deranżować, muszę pana tymczasowo rozkazać przenieść na drugie łóżko, zapewne bowiem pani Zaruska zechce się zaraz przekonać, czy pana doszło wszystko, co ona przysłała. Przedewszystkiem więc łóżko pańskie musi być zasłane ofiarowaną dla pana pościelą.

Zanim zdołałem odpowiedzieć, dwóch posługaczy wzięło mię na ręce i przeniesiono na drugie łóżko, moje zaś zasłano pościelą od p. Zaruskiej przysłaną, na którą mię zaraz przełożono.

Komisarz i posługacze oddalili się, ja znowu pozostałem samotny, rozmyślając nad mojem położeniem. Doznane względy prawdziwą dla mnie były pociechą, czułem bowiem że jestem niejako pod opieką zacnych Polek naszych, że czuwają nademną. Znużony całodzienną podróżą, osłabiony trawiącą mnie gorączką, usnąłem prędko i dopiero głośne otwarcie drzwi i tem głośniejsze kroki kilku osób wchodzących do pokoju ocknęły mię ze snu. Pierwszym z przybyłych był jenerałdoktor Mścisławski w wieku 50—60 lat, wzrostu niskiego, dość szczupłej budowy ciała, nieco ostrych ale dość ujmujących rysów twarzy, za nim postępowało dwóch lekarzy pułkowych a mianowicie Dr. Sachs, Kurlandczyk miernego wzrostu, młody blondyn z tak miłym wyrazem na twarzy i z takiem zachowaniem całem, że wszystkich bez wyjątku pociągał, porywał ku sobie. Drugim z rzędu był Dr. Chrzanowski a może Krzyżanowski, wysoki,

przystojny blondyn, również młody, uprzejmy w postępowaniu ale snać więcej już nieco wojskowy, pełen powagi, wzniecającej nietyle może zamiłowania, ile poszanowania dla swojej osoby. Jenerał Mścisławski — jakto później przekonałem się osobiście — jeden z najzacniejszych ludzi i zdatny lekarz, pozdrowiwszy mnie uprzejmie, przystąpił do zbadania rany po poprzedniem wybadaniu mnie o wszystkie w tym względzie potrzebne szczegóły. Przy całej swojej niezaprzeczonej zacności i zdolności lekarskiej, posiadał on jednę wadę uznaną jednogłośnie przez wszystkich rannych jeńców, a mianowicie: że przy badaniu obchodził się z ranami bez litości, np. macając mi nogę koło rany silnemi swojemi palcami schwycił mnie tak silnie, że aż jasne gwiazdy mignęły mi przed oczy, zapuszczając zaś sondę, mocno rożkrwawił mi ranę. Po zbadaniu rany odstąpił na bok z opisanymi powyżej lekarzami i odbył z nimi naradę, poczem wskazał felczerowi, w jaki sposób opatrywać ma nogę.

IV.

Renegat.

Mniej więcej w godzinę po odejściu lekarzy otwarły się drzwi i wszedł do mnie wspomniony komisarz szpitala. Był to mężczyzna średniego wzrostu dosyć szczupłej budowy, ciemnych włosów, o małych, czarnych, uśmiechających się oczkach błyszczących a pod niewielkim dość szpiczastym nosem mały, cienki czernił się wąsik, niepokrywający cieniutkich warg, które w mówieniu to rozwijały, to rozciągały się elastycznie albo jak klapki metalowe na sprężynie zamykały się szczelnie. Cera twarzy biała a raczej blada, choć lekkim, jednak jakby chorowitym ożywiona rumieńcem. Cała twarz mimo młodości (p. komisarz bowiem nie liczył więcej jak lat 30) była zwiędła a wyraz jej niemiły i odrażający pomimo, że p. Bardałowski na pierwszy rzut oka mógł być nazwany przystojnym mężczyzną.

Pan Bardałowski wszedł do mnie z uśmiechem na ustach i z wyrazem dobrze udanej życzliwości, podał mi rękę, uścisnął serdecznie i poufnie na mojem usiadłszy łóżku, odezwał się z westchnieniem:

— Przychodzę do majora, bo wiem, bo czuję aż nadto dobrze nieszczęśliwe położenie, w jakiem się pan znajduje. Ale przedewszystkiem winienem się przedstawić — i powstawszy rzekł, podając mi rękę:

— Jestem komisarzem tutejszego szpitala, kapitan Bardałowski —, poczem zniżając nieco głos dodał z wyrazem znaczącym:

— Polak równie dobry, jak pan major i jak każdy prawy syn ojczyzny!

Po takiem oświadczeniu rozumie się samo przez się — wypadało przedstawić się i mnie, oddając więc uścisk dłoni, odezwałem się:

— Jestem N. N., ale nie jak pan kapitan mnie zaszczyca majorem, lecz tylko skromnym korespondentem dziennikarskim, — a powiedziałem to nietylko z przyzwyczajenia do przezorności, ale zarazem dla tego, ponieważ p. Bardałowski wydawał mi się być bardzo podejrzaną osobą.

— Mój panie — odezwał się do mnie pan Bardałowski — pan mi nie ufa, bo pan mnie ocenia tylko z uniformu moskiewskiego, tudzież że służę Moskalom. Ale pan myli się bardzo, jestem prawym Polakiem i przedemną nie potrzebujesz pan ukrywać nic, a przeciwnie jeżeli pan pragnie wolności, ażeby i nadal służyć jeszcze krajowi i narodowi polskiemu, powinien pan wyznać mi wszystko, nic nie taić przedemną i wyspowiadać się jak u konfesjonału, ja bowiem znając dobrze Moskali, znając ich sposób myślenia, zapatrywania i postępowania, prędzej panu doradzę a nawet i pomogę, ażeby pan został uwolniony, ja zresztą znam już dobrze całą niemal przeszłość pańską i czem pan byłeś dla powstania. Wiem dobrze, że pan byłeś majorem i nie należy zapierać się tego, bo ukrywaniem tego, o czem Moskale wiedzą dokładnie, tylko pogorszysz pan sprawę, a członkowie sądu wojennego w Lublinie nie są tacy źli, jak ich malują. W każdym razie, jeżeli wyznasz pan prawdę,

możesz pan liczyć na łaskę jenerała Berga, do którego wyrok pański wysłany zostanie do potwierdzenia.

Z oświadczynami przychylności tego rodzaju obznajomiony byłem dostatecznie w Karmelickim sądzie, tudzież w sądzie wojennym w Wiedniu, poznałem się więc łatwo na celu tych oświadczyn i dalszych badań, któremi Bardałowski męczył mnie w dniu tym może do dwunastej w nocy. Rozumie się samo przez się, że trzymałem się ściśle pierwszego mojego twierdzenia a mianowicie, że nie jestem wojskowym a tylko korespondentem dziennikarskim, i panu komisarzowi nie powiodło się wcale wydobyć na mnie jakie inne zeznanie. Odszedł więc dosyć niezadowolony i nie tak przyjacielski jak okazał się przy wejściu. Być może, że pan Bardałowski mógłby być może nawet dobrym sędzią śledczym, ale w obec ludzi mniej odemnie doświadczonych, w tym zaś wypadku nie powiodło mu się nawet, wydobyć co odemnie co do innych jeńców, o których badał mnie dość zręcznie.

Nazajutrz rano sługa szpitalny, żołnierz z pułku inwalidów, nastawił samowar i wypiłem herbatę. Mniej więcej w półgodziny później posłyszałem na korytarzu brzęk ostróg i pałaszy a zaraz potem zapukano do drzwi, i do mojego pokoju weszło kilkunastu oficerów, część sztabu jenerała Chruszczewa i pułkownika Miedlnikowa a między tymi pułkownik Sołohub i major Jołkin, reszta nieznani mi imiennie niżsi i wyżsi oficerowie piechoty i dragonów.

Zaraz na wstępie przepraszali, że weszli tak gromadnie i bez zawiadomienia mnie, czynią to jednak z całą swobodą w tem przekonaniu, że jako żołnierz pojmę i zrozumiem szczerość i prostotę ich postępowania, dalej, że nie przyszli oni wcale w zamiarze urągania się z mojego nieszczęścia a jedynie w tym tylko celu, ażeby swojem gremialnem odwiedzeniem mnie w pełnym uniformie galowym, złożyć mi niejako dowód, że chociaż Moskale umieją ocenić waleczność, jaką w bitwie z nimi okazać miałem pod Panasówką. Oświadczenie takie ze strony wrogich nam Moskali wprawiło mnie w zdziwienie i pomyślałem w duszy, że kto wie, czy w podobnym

wypadku znalazłoby się u nas wielu, którzy postąpiliby podobnie jak oni, a byłem tem więcej zażenowany tem oświadczeniem, gdy po tych wyrazach każdy z przybyłych przystąpił do mojego łóżka, podał mi rękę i uścisnął serdecznie.

— Moi panowie! — odezwałem się z nieśmiałością tem większą, gdy postanowiwszy nie zrzekać się mojej roli korespondenta, zmuszony byłem mówić nieprawdę, co jako żołnierzowi w obec żołnierzy przychodziło z trudnością i odejmowało pewność siebie i swobodę słowa, — zaprawdę, czuję się zawstydzonym łaskawemi względy, jakiemi panowie raczycie mię zaszczycać, nie będąc bowiem wojskowym a tylko korespondentem dziennikarskim, mam przekonanie, że nie zasłużyłem na tak łaskawe względy wasze.

— Ha! ha! ha! -- odezwali się niemal wszyscy z uśmiechem a jednak serdecznie i dodali:

— Niech pan sobie mówi, co się panu podoba, my panu tego nie możemy poczytywać za złe, nie mamy bowiem prawa, ażebyś pan zaszczycał nas swojem zaufaniem; bądź pan jednak pewien, że mamy czarne na białem iż pan byłeś majorem, że zaś w bitwie pod Panasówką dzielnie prowadziłeś pan swoich ludzi do ataku na nas, wiemy jeszcze z większą pewnością, bo w owej chwili widzieliśmy pana na własne oczy, a — daruje pan — łysiny pańskiej i rysów twarzy trudno nierozróżnić od innych.

Jednego z mówiących poznałem rzeczywiście, byłem bowiem świadkiem, jak rękojeścią od szaszki walił swoich uciekających przed nami żołnierzy i zatknęliśmy się z sobą na odległość najwyżej 8—10 kroków. Tenże oficer strzelił wówczas do mnie z rewolweru, a gdy chybił, zaśmiałem się głośno i zakomenderowałem: „Przyspieszonym krokiem marsz! marsz!“ a wówczas odezwał się sygnał moskiewski do cofania i Moskale acz w liczbie bardzo przeważnej pierzchnęli co tchu chociaż w porządku, a my puściliśmy się tuż za nimi i niemal wraz z nimi wpadliśmy do lasu.

Dla tego zaś nie zatrzymałem mojego oddziału przed lasem i naraziłem się na prawdopodobną klę-

skę, gdyż byłem pewny, że Moskale opanowawszy las, obrócą się na nas, a widząc nas na czystem polu wystrzelają jak kaczki.

— A my — rzekł do mnie z uśmiechem właśnie ten oficer piechoty i dodał: — my — znamy się osobiście, — bądź pan jednak pewien, że jakikolwiek los spotka pana u nas w skutek wyroku wojennego sądu, będziemy starać się usilnie, ażeby pan nie mógł użalać się na nas i na naszych kolegów.

Chciałem coś odpowiedzieć, gdy właśnie w tej chwili weszło do pokoju jeszcze kilku oficerów, a między nimi ujrzałem w cywilnych sukniach dobrze znanego mi Anglika, korespondenta „Timesa,“ który śmiejąc się powitał mię serdecznym uściskiem dłoni i lichą francuzczyzną: „Ach! jak się masz, kapitanie!“*)

Można sobie wyobrazić moje pomięszanie, w jakie wprawiło mię to powitanie Anglika. Oficerowie pojęli to od razu i byli tak delikatni, że udali, jakoby tego nie słyszeli i poczęli ze mną rozmowę to o bitwie pod Panasówką, to o bitwie pod Otroczą, to o bitwie pod Batorzem, o śmierci Lelewela, o jego waleczności, o jego cnotach i zdolności naczelnika partyzantów.

Mniej więcej po upływie półgodziny wszyscy serdecznie pożegnali się ze mną a przyrzekając odwiedzić mię, gdy tylko czas pozwoli im na to, opuścili pokój.

Zaraz po ich odejściu przyszedł do mnie usługujący mi żołnierz i wręczył mi małą karteczkę, w której wyczytałem następujące wyrazy:

„Zaraz przybędzie wizyta lekarska, proś pan jenerałdoktora, ażeby z tego pokoju rozkazał pana

---

*) Gdy podczas bitwy pod Batorzem otoczyli go Moskale, on zajadając jabłko, najspokojniej spoglądał na nich. To tak skonfundowało Moskali, że go nie tknęli, a dowiedziawszy się, że on jest korespondentem „Timesa“, z wszelkiemi dla niego byli względami. *(Uwaga autora.)*

przenieść pod nr. 8, tam bowiem gdzie pan jesteś obecnie, trudny dla nas przystęp do pana.

Szczerze życzliwa Polka
Z."

Zaledwie odczytałem tę kartkę, gdy powyżej opisani lekarze wraz z felczerem weszli. Nie wiedząc wprawdzie, od kogo pochodziła ta kartka, nie przypuszczałem przecież nic złego i prosiłem o wskazane mi w tej kartce przeniesienie.

Zaraz po odejściu lekarzy przeniesiono mię rzeczywiście do pokoju na dole pod nrem. 8m.

V.

Pod Numerem Ósmym.

Pokój pod nrem. 8m był dosyć obszerny, czysto utrzymany i zaopatrzony w ośm łóżek. Ja zająłem ostatnie opróżnione. Wszyscy w tym pokoju umieszczeni słabi należeli do inteligencji i dla tego mówili Moskale, że to jest: „Kamiera dworjańskaja.“ Dostanie się do tej kamery nie było tak łatwe, potrzeba było protekcji albo jakichś niezwykłych względów. Nie zamierzam wcale opisywać wszystkich osób, znajdujących się w tej sali, nadmienię tylko że był tam pan L., majętny dzierżawca dóbr, podobnoś z Piotrkowskiego, człowiek może zacny, ale któremu więcej może, niż należało, chodziło o swoje „ja“ chociażby nawet kosztem swojej osobistej godności szlachcica polskiego. Był on więcej niż grzeczny dla Moskali a niemal pełzający w obec takiego renegata, jakim niezaprzeczenie był komisarz Bardałowski, co do którego sprawdziliśmy później dokładnie, że w sposób podobny, jak czynił to ze mną, wybadywał wszystkich wybitniejszych jeńców przybywających do Lubelskiego szpitala i tym sposobem zdradziwszy ich następnie, wydawał co najmniej w rudniki sybirskie a nawet i na szubienicę. Dla niego to był pan L. z uległością niemal niewolniczą, zasługiwał się Bardałowskiemu przy każdej sposobności i przyjmował

go jakby jakiego wysokiego dygnitarza. Pan L. co do swych zasad politycznych był człowiekiem, jakiego dziś nazywają stańczykiem, był on niby patrjotą, mimo tego wiele razy zdradzał się z zasadą: „ibi patria ubi bene.“ Panu L. rozumie się samo przez się jak każdemu jeńcowi zależało wiele na wydobyciu się z niewoli, bo miał córkę podobnoś jedynaczkę. Była to panienka słusznego wzrostu, bardzo przystojna, wychowana dobrze, cała postać dumna, wspaniała. Dla miłości ojca, którego kochała nad życie, mieszkała w Lublinie, tym bowiem sposobem mogła częściej widywać się z ojcem i zaopatrywać go w niezbędne potrzeby do możliwych w więzieniu wygód. Oprócz pana L. był tam między innymi także pan B., właściciel dóbr ziemskich, obywatel o ile mogłem sądzić, wysoko wykształcony, zasad poczciwych i nigdy dwulicowy, dalej rejent z jednego z pobliskich miasteczek, nareszcie jakiś doktor medycyny pan W., który niewypowiedzianie rozmiłował się w opium i zażywał go nad miarę, następnie adjutant poległego pod Panasówką majora hr. Nyarego, pan D. pod nazwiskiem Wilkońskiego, potem jakiś prywatny oficjalista z okolic Biłgoraja a na koniec czternastoletni Krzyżanowski, istny dzieciak. który jednak mimo swojego wieku wsławił się w Lubelskiem nietylko wielką miłością Ojczyzny, ale zarazem swoją walecznością i wytrwałością. Zawzięty w boju bił się zwykle do upadłego, a ponieważ prawie zawsze jako jeden z ostatnich ustępował z placu boju, więc dostawał się często do niewoli moskiewskiej; przed mojem przybyciem na salę już po raz czwarty popadł w niewolę. Naczelnicy powstania nie chcieli przyjmować go do oddziałów, chłopak atoli tyle narobił krzyku i płaczu i rozpacz tak jawna malowała się na twarzy dzieciaka, nareszcie zapewnienia jego, że wytrwa i lekko przebędzie wszystkie trudy partyzantki, przyczem tak wielki zapał strzelał mu z oczu, — to wszystko razem taki wywarło skutek na dowódcach, że w końcu ulegano jego prośbom i Krzyżanowski wlókł się przy oddziale. Nie miał on wprawdzie dostatecznej siły, ażeby dźwigać mały swój sztuciec, mimo tego jednak dawał sobie rady w ten sposób, że chwyciwszy kara-

bin za rzemień, po największej części włóczył go za sobą, gdy zaś przyszło do boju, wtedy wzrastały siły chłopaka; pierwszy rwał on się do walki, wyprzedzał zwykle innych wśród boju, a gdzie największe było niebezpieczeństwo, tam należało na pewniaka szukać Krzyżanowskiego.

Gdy go uchwycili Moskale i zapytywali, dla czego walczył z nimi, odpowiedział śmiało:

— Jesteście wrogami Polski, dopóki więc nie przestanie płynąć krew w moich żyłach, nieprzestanę zaciętej z wami walki.

— A więc gdybyśmy cię puścili, bić się będziesz z nami na nowo?

— Rozumie się — odparł chłopak z całą otwartością i dodał: — natychmiast pospieszę do oddziału!

Moskale wstydząc się zapewne aresztować takiego dzieciaka, odwozili go do rodziców i nakazali strzedz pilnie. Rodzice strzegli jak oka w głowie a nawet trzymali pod kluczem, chłopiec atoli umiał zawsze korzystać ze sposobności, wymknął się z domu i co tchu starczyło, biegł do najbliższego oddziału.

Krzyżanowski w ogóle nienawidził Moskali i z nimi nie wdawał się w żadne rozmowy, najwięcej jednak nie cierpiał Bardałowskiego, gdyż znał dokładnie jego sprawki szpiegowskie i mówił o nim zawsze jako o najniegodniejszym z wszystkich renegatów. Gdy Bardałowski wchodził do sali, on odwracał się na łóżku, zamykał oczy i udawał śpiącego. Rozumie się samo przez się, że i Bardałowski nienawidził go także.

Pewnego dnia Krzyżanowski dowiedziawszy się o jakiemś zwycięztwie naszych, odniesionem świeżo nad Moskalami, w złoty wpadł humor i nadzwyczaj miłym a dźwięcznym głosem zaśpiewał sobie znaną pieśń obozową:

„Co to za gwar?
Wesoły car“ i t. d.

Nieszczęście chciało, że w owej właśnie chwili po przed drzwi sali przechodził Bardałowski, w szalonym więc gniewie wpadł zaraz na salę, a poznawszy głos Krzyżanowskiego począł go wymyślać ostatniemi

słowy. W młodym chłopcu i tak wartka zakipiała krew, odpowiedział mu więc z gniewem, że nie ma żadnego do niego prawa i że chociaż uwięziony, nikt nie może zabraniać mu myślić albo zanucić piosnki, która sama wyrywa się z serca. Od słowa do słowa przyszło do tego, że jakkolwiek Krzyżanowski mimo swojej młodości i mimo gorącej krwi odpowiadał dosyć taktownie Bardałowskiemu, tenże przecież kazał obić go rózgą, chociaż najmniejszego nie miał prawa do tego.

Cała ta sprawa po dziś dzień żywo przed memi stoi oczyma i wyznać muszę z żalem, że prócz mnie, na ten niegodny i bezprawny czyn Bardałowskiego nikt z wszystkich kolegów nie podniósł głosu oburzenia, i gdy jedni milczeli, drudzy byli tak bezwstydni, że dla zjednania sobie względów tego szpiega i renegata, oburzali się na mniemaną krnąbrność nieszczęśliwego dziecka, głośno pochwalając Bardałowskiemu ten mongolski czyn.

Od tej chwili straciłem zaufanie i serce do moich towarzyszów.

Na teraz tyle o moich kolegach.

*
* *

Przeniesiony do opisanej dopiero co sali, ujrzawszy tylu towarzyszów, byłem w pierwszej chwili mocno uradowany a osobliwie, gdy się dowiedziałem, że panie z miasta przychodzą do nich często w odwiedziny i wszelką możliwą otaczają ich troskliwością i opieką, tudzież że za ich pośrednictwem można komunikować się nawet z zagranicą.

Rzeczywiście jeszcze tego samego dnia jeden z towarzyszów wyglądając przez okno na podwórze, nagle odskoczył od okna i mówiąc: „Idą panie, idzie pani Zaruska!“ — oznajmił nam ich przybycie. Wkrótce potem drzwi się otwarły i oficer dyżurny (oficer służby) wprowadził na salę dwie panie. Obydwie czarno ubrane, wysokie, smukłe, a chociaż jedna młoda, druga dosyć wiekowa, obydwie postacie zaiste były wspaniałe i piękne w swoim rodzaju. Młodsza w wieku najwyżej 23 lat blondyna o bujnych popielatych

włosach, niebieskiem pięknie oprawnem oku, miała nosek zgrabniutki i małe ślicznego ukroju usta ponsowe; druga, jej matka, pani Majznerowa w wieku 50—55 lat włosa już srebrnego, pełnych wyrazu i ognia oczu czarnych, ust nieco przymkniętych, w ogóle rysów wydatnych, z wyrazem wielkiej dobroci i powagi na twarzy. Powitawszy wszystkich razem uprzejmym ukłonem, zaraz na wstępie zbliżyły się do mnie i przedstawiły się same. Młodsza była to pani Natalia Zaruska, małżonka jednego z wyższych urzędników podobno sądowych w Lublinie, a zarazem zamożna właścicielka dóbr ziemskich.

Oficer dyżurny był tyle delikatny, że nie podsłuchiwał wcale a przeciwnie chodził po sali albo rozmawiał z moimi towarzyszami. W czasie tego wzajemne zaznajomienie się nasze, t. j. moje z paniami nie trwało długo, pani Zaruska wypytywała mnie po niejakiej chwili, czy doszło mnie wszystko, co ona przysłała i czy nie potrzeba mi jeszcze czego a osobliwie, czy nie życzę sobie, ażeby kogokolwiek zawiadomiono o moim pobycie w Lublinie. Wiedziała ona już wszystko dokładnie, zkąd byłem, kiedy i przy jakiej sposobności zostałem ranny, oraz kiedy i w którym dworze uwięzili mnie Moskale. Przy tem wszystkiem objawiła mi tyle współczucia a przezacna zaiste godna czci matka jej tyle pocieszających mnie opowiedziała wiadomości, obydwie zresztą tak zapewniały mnie, że nieprzestaną nigdy czuwać nademną i dołożą wszelkich starań, ażeby mnie uwolniono, że zostałem temi zacnemi istotami zachwycony i nie mogłem wynaleźć dość słów mojej dla nich wdzięczności.

Wówczas gdy byłem w szpitalu lubelskim, było w nim około ośmdziesięciu naszych jeńców, to rannych, to słabych. Pani Zaruska z matką były to dwie w Lublinie postacie, które powszechną wzbudzały cześć nietylko u Polaków, ale nawet i u Moskali. Było wprawdzie więcej dam polskich, które także całem sercem opiekowały się naszymi braćmi w niewoli, jak np. panna A. K., panna M., trzy siostry panny S. i wiele innych, które także odwiedzały nas często i naszemi zajmowały się sprawami, żadna jednak

z tych pań nie złożyła tyle ofiar na tem polu jak pani Zaruska: niedozwalały im bowiem tego ani ich stanowiska, ani ich stosunki społeczne, ani nareszcie ich majątek; nie wymawiały się bowiem od niczego, co mogło przynieść korzyść, ulgę albo pociechę popadłym w niewolę braciom naszym. Każda z tych pań w miarę sił swoich czyniła wszystko ze szczerą i nieudaną serdecznością. Zakres działania pani Zaruskiej zaś bez porównania był obszerniejszy i lata 1863 i 1864 kosztowały ją co najmniej 3 a może i 4 folwarki, a nadto lata te wyczerpały jedynie tylko na tę sprawę całą, bez żadnej wątpliwości znaczną gotówkę. Pani Zaruska zaopatrywała wszystkich więźniów nietylko w szpitalu ale i na zamku w bieliznę, obuwie, w letnie i zimowe nbrania i we wszystkie niezbędne potrzeby; jej było zadaniem, każdemu z wysyłanych w Sybir dać należytą wyprawę, pomiędzy innemi także i pościel a zawsze jakąś gotówkę w dodatku, a ileż to tysięcy naszych braci mieściły mury lubelskich więzień, ileż to naszych braci, czasem naraz setka z górą, przeleżało w lubelskim szpitalu? A należy mi dodać, że każdy z naszych więźni w szpitalu otrzymywał oprócz herbaty, cukru, cytryn i papierosów pod dostatkiem, także i objad codziennie a mianowicie: rosół, sztukę mięsa i pieczyste z jarzyną, oprócz tego otrzymywali wszyscy sutą wigilię, tudzież obfite i wyborne święcone na wielkie nasze święta Bożego Narodzenia i Wielkanocy.

Ze składek w całem mieście i okolicy Lublina wpływało wprawdzie bardzo wiele do kasy, zostającej pod zarządem pani Zaruskiej, mimo tego ta niepospolitych cnót Polka może więcej jeszcze z swoich dokładała funduszów, a na ileż to ona narażona była przykrości i trudów przy zbieraniu tych składek, przy doręczaniu nieszczęśliwym braciom naszym, tudzież przy kontrolowaniu, czy wszystko doszło na miejsce swego przeznaczenia. Któż np. naliczyłby chociażby same tylko te przykrości, na jakie była narażona ze strony powyżej wymienionego renegata Bardałowskiego, ona bowiem znając dokładnie niegodne sprawki jego, nienawidziła go więcej niż innych Moskali a nie miała siły lub nie chciała

powstrzymywać się od objawiania mu na każdym kroku nietylko swojej niechęci, ale i pogardy. Nigdy nie prosiła go o nic, a zawsze przychodziła do niego z nieodstępną jej matką z rozkazem wyższej władzy w ręku. Rozumie się samo przez się, że i renegat ów nie cierpiąc jej także, o ile tylko mógł, dokuczał przy każdej sposobności. Odwiedziny na szpitalne sale były dozwalane wyjątkowo tylko w dnie powszednie, zwykle zaś udzielano pozwolenia tylko na święta i niedziele. Przy takiem pozwoleniu było zwykle wiele trudności, przykrości a częstokroć i upokorzenia, na jakie dla sprawienia nam ulgi narażały się zacne panie nasze, musiały bowiem nieraz przy staraniu się o takie pozwolenie znosić niegrzeczne docinki.

Bywały jednak wypadki, w których i bez pozwolenia można było dostać się do nas, zależało to głównie od oficera dyżurnego, jeżeli to był Moskal czystej krwi, rzadko kiedy paniom naszym odmawiał do nas wstępu, jeżeli zaś oficerem służbowym był Polak, w owym dniu brama szpitala była zamknięta i nasze panie nie kusiły się nawet o wejście do nas; jeżeli nawet miały pozwolenie na piśmie, to wolały raczej swoje odwiedziny odłożyć na dzień następny, niżli narazić się na sekatury wyrodnego rodaka.

Na parę dni przed wigilią Bożego Narodzenia 1863 r. była p. Zaruska znowu na naszej sali a rozmawiając z wszystkimi bez wyjątku, pocieszając każdego z osobna, przynosząc zawsze każdemu jakąś wiadomość od jego rodziny albo osób mu najbliższych, oświadczyła nam stanowczo, że wigilję Bożego Narodzenia przepędzić chce z nami, a przynajmniej musi z nami przełamać się opłatkiem, inaczej u siebie nie zasiądzie do wieczerzy.

W dzień wigilii padła służba na porucznika nazwiskiem Wołków. Wołków, rodowity Moskal, człowiek nie bez wykształcenia, oficer zdatny, wprawdzie hulaka, jakto mówią: „i do tańca i do różańca,“ ale człowiek honorowy, dla nas uprzejmy nawet serdeczny, wielkie okazywał nam współczucie, i zawsze w dniu, w którym on miał służbę, wszystkie sale szpitala były przepełnione odwiedzającemi nas paniami

i mężczyznami, noc zaś niemal do rana przepędzał z nami na gawędzie i przy kieliszku, którym nie pogardzał nigdy.

To też w dniu tym, w którym dla nas tyle łączyło się wspomnień przeszłości, w dniu, świętym dla każdego Polaka, cieszyliśmy się wszyscy, że pani Zaruskiej z łatwością przyjdzie dotrzymać słowa. Popołudniu rzeczywiście kilka pań przyszło do nas w odwiedziny i dosyć wesoło upływał czas, z nadchodzącym jednak zmierzchem jak zawsze opuściły nas panie i zostaliśmy sami. Ogarnął nas jakiś smutek, jakiś żal i zaczynało nas niepokoić jakieś niemiłe przeczucie, że pani Zaruska dla jakichś nadzwyczajnych powodów zapewne nie przyjdzie. Te nasze przeczucia zakomunikowaliśmy nawet opisanemu dopiero porucznikowi, ale on zaśmiał się na to i czynił nam wyrzuty, że chyba go nie znamy, jeżeli możemy przypuszczać, ażeby on nie wpuścił damy, którą poważają nietylko wszyscy więźniowie, nietylko całe miasto i okolica ale nawet wszyscy Moskale a między tymi jednym z najpierwszych jest on. Wszyscy podziękowaliśmy mu serdecznym dłoni uściskiem; po chwili jednak uchyliły się drzwi naszej sali i ujrzeliśmy głowę komisarza Bardałowskiego, który skinąwszy na Wołkowa wywołał go do siebie.

Jeden z naszych towarzyszów stał ciągle przy oknie starając się przeniknąć ciemnię na dworze i dostrzedz oczekiwaną z takiem upragnieniem panią Zaruskę: my zaś zachowywali milczenie wyczekując wiadomości to od towarzysza przy oknie, to od Wołkowa, którego powrotu do nas spodziewaliśmy się lada chwila. Niestety! minęła piąta, nareszcie szósta, nawet siódma i ósma godzina, a p. Zaruskiej jak nie było, tak nie było.

W kilka minut po ósmej dopiero wszedł na salę porucznik Wołków z oświadczeniem, że cały drży z oburzenia na Bardałowskiego, ten bowiem już przeszło od dwóch godzin wśród takiej słoty i zimna trzyma panią Zaruskę u bramy wraz z matką i służbą, niosącą wieczerzę i pod rozmaitemi pozory zwleka wpuszczenie jej do szpitala a dopiero teraz kazał jej oświadczyć, że nie mając pozwolenia na piśmie, pod

żadnym warunkiem ani jej, ani służby, ani nic od niej nieprzepuści przez bramę, porucznikowi zaś zagroził, że gdyby sprzeciwił się temu rozkazowi, to Bardałowski natychmiast doniesie o tem jenerałowi Chruszczewowi. Nakoniec dodał Wołków, że p. Zaruska oświadczyła komisarzowi, że nie zamyśla wcale błagać łaski renegata, ale postara się w innem miejscu i dotrzyma danego nam przyrzeczenia. Tą wiadomością byliśmy bardzo zmartwieni, bo nie tyle chodziło nam o opłatek i wieczerzę jak o to, że szlachetna kobieta, odesławszy do domu karetę i powóz, łatwo mogła zaziębić się wśród takiej słoty i zimna, wyczekując parę godzin przed bramą a zarazem, że znając dobrze panią Zaruskę czuliśmy aż nadto, jak mocno zmartwi ją cała ta sprawa.

Ponieważ pan L. przysługując się zawsze Bardałowskiemu, w tak dobrej z nim żył komitywie, więc uradziliśmy wszyscy, ażeby pan L. wyjednał u Bardałowskiego potrzebne dla p. Zaruskiej pozwolenie. Na prośbę pana L. przyszedł też do niego Bardałowski i dosyć długo szeptali coś ze sobą, a gdy wyszedł Bardałowski, dowiedzieliśmy się od pana L., że wszystkie jego przedstawienia były daremne, bo pan Bardałowski podobnoś otrzymać miał wyraźne w tym względzie polecenie, ażeby w dniu tym pod żadnym warunkiem nie dopuścił do szpitala p. Zaruskiej, ani żadnej od niej żywności.

Pełni oburzenia śmialiśmy się z tego oczywistego kłamstwa, ale pan L. uniósłszy się gniewem, wykrzyknął rozpłomieniony:

— Przyznam się moi panowie, że nie pojmuję, czego chcecie od tego poczciwego człowieka? Wszak on temu nie winien. Dał mi przecież na to słowo honoru, że otrzymał takie polecenie, a panowie nie wierzycie i śmiejecie się z tego. Pani Zaruska zresztą sama tak postępuje, że jak zapewnia pan komisarz, nikt jej nie cierpi.

To zapewnienie pana L. wywołało jeszcze większy śmiech wszystkich a ten jeszcze większe oburzenie pana L., zwłaszcza gdy dodałem:

— Nagana pana Bardałowskiego czyni zaszczyt p. Zaruskiej, a gdyby ją chwalił, nie mógłbym przebaczyć mu tak ciężkiego ubliżenia.

Pan L. uczuł się tem mocno dotknięty, a to wywarło pewną dysharmonję w sali i powszechne nastało milczenie. Tak upłynęło przeszło pół godziny. Rozumie się samo przez się, że wszyscy straciliśmy już wszelką co do przybycia p. Zaruskiej nadzieję i widoczny smutek na wszystkich zawisnął twarzach; poczciwy nawet Wołków widząc nas wszystkich tak pokwaszonych, już zabierał się do wyjścia, gdy wtem rozwarły się drzwi i na salę wszedł podoficer straży salutując i z raportem, że jakieś panie z rozkazem jenerała Chruszczewa czekają u bramy.

Porucznik pochwycił kepi i jak szalony wypadł ze sali. Wrażenia, jakie na nas wszystkich uczynił raport podoficera, opisać niepodobna, pamiętam tylko, że wszyscy leżąc na łóżku smutnie z podpartemi na ręku głowami jakby na komendę, ale nie, — jakby elektrycznym dotknięci prądem, — zerwali się nagle i usiedli na łóżku i pod tem wrażeniem u jednych twarz nieco przybladła, u innych zaś żywszym oblała się rumieńcem, wszystkie jednak twarze były rozjaśnione, kilka słów podoficera zdmuchnęło z nich smutek, a oburzenie przeciw renegatowi Bardałowskiemu zastąpił uśmiech pełnego tryumfu. Wkrótce potem posłyszeliśmy kroki licznych osób i gwar na kurytarzu. Z pośród wszystkich głosów rozpoznaliśmy z łatwością czysty jak dzwonek i miły głos bohaterskiej pani Zaruskiej:

— Przecież mówiłam panu, że takich ludzi jak pan niezwykłam prosić, takim jak pan rozkazuje się tylko. Przyniosłam rozkaz waszego pana, — czołem przed tym rozkazem i wykonać go!

Po tych słowach posłyszeliśmy usprawiedliwiający głos renegata Bardałowskiego, ale przerwany zaraz wyrazami pani Zaruskiej:

— Nie potrzebuję pańskiego usprawiedliwienia i otwórz pan drzwi, bo nie mam wiele czasu! — i p. Zaruska w szeroko rozwartych drzwiach z wyrazem tryumfu na twarzy ukazała się w całej swojej dumnej a pięknej postaci wraz z swoją matką; za

niemi postępował porucznik Wołków a za nim kilkoro z służby z licznemi koszami i półmiskami tudzież całym potrzebnym serwisem. Renegat zniknął z widowni.

Nie opisuję całej tej sceny, tej pamiętnej dla nas wieczerzy, wśród której przezacne Polki przeszło półgodziny zostawały z nami. Opowiedziałem ten fakt jedynie dla tego, ażeby tym sposobem zaznajomić czytające młodsze pokolenie z takiemi bohaterkami z 1863-go r., jak w sercach naszych nigdy niezapomniana Natalia Zaruska i tejże matka Majznerowa. Pierwsza z nich nie żyje fizycznie, duchowo jednak równie jak i jej godna czci matka, przekazana potomności powinna żyć w sercach naszych a pamięć o niej z czcią winna być podawana tradycyjnie z pokolenia na pokolenie.

Po opisaniu powyższego faktu przystępuję do innego, dowodzącego, jak ciężkie to koleje przechodziły w owych czasach te ciche i mało komu znane pracownice. Bez interesu, dalekie od wszelkich myśli i celów egoistycznych, chętnie i z dumą ofiarowały one swoje mienie, trudy, pracę wytrwałą i nieustającą a częstokroć narażały się nawet na upokorzenia, obelgi, na utratę życia a co gorsza na niesłuszne targnięcie się i podkopywanie ich sławy.

VI.

Zemsta Bardałowskiego.

Wypadkiem powyż opisanym uczuł się Bardałowski mocno dotknięty, upokorzony przez panią Zaruskę: przemyśliwał tylko nad tem, w jaki sposób mógłby zemścić się na niej, a na jego stanowisku nie przychodziło mu to z trudnością, gdyż p. Zaruska z tytułu opieki nad wszystkimi więźniami częściej od innych była zmuszona bywać w szpitalu. Przez dłuższy czas stykając się z Moskalami poznała ich dobrze a jako kobieta rozumna, przedsiębiorcza i odważna umiała słabą ich stronę wyzyskać dla siebie a na korzyść naszych braci.

Wydarzało się nieraz, że jeżeli młody a wykształcony oficer objął dyżur w szpitalu, o czem codziennie dokładny składano jej raport, a jej wypadło koniecznie być w szpitalu, wówczas nie mając czasu udawać się do kancelarji jenerała po potrzebne na to pozwolenie nazywane: „wid,“ w takim razie i bez widu udawała się do szpitala. W eleganckim powozie zajeżdżała przed bramę, ugalonowany lokaj wysadzał matkę i ją, podoficer stojący przy straży koło bramy śpieszył co tchu do oficera służby z doniesieniem, że jakieś przyjechały damy. Oficer śpieszył na ich przyjęcie, pani Zaruska uprzejmym ale poważnym a nawet nieco dumnym witała go ukłonem i oświadczeniem, że chce iść na salę pod tym lub owym numerem, i nie oglądając się wcale szła wprost do szpitala. Młody, delikatny oficer nie miał odwagi zapytać jej o wid, i tym sposobem nawet i bez pozwolenia dostawała się do nas; jeżeli zaś zapytał ją o wid, wówczas p. Zaruska uśmiechając się niby żartobliwie, wręczała mu złożony a do widu podobny papier czysty z oświadczeniem, że dla tak eleganckiego i wykształconego oficera jak on, zapewne wid ten będzie dostateczny.

Oficer służby rzuciwszy okiem na papier zawstydzony takim podstępem, chował papier jak wszystkie inne widy i z pełną uprzejmością zapraszał do wejścia. Rozumie się samo przez się, że p. Zaruska badała poprzednio dokładnie twarz oficera, ażeby z niej wyczytać, o ile może liczyć na jego uprzejmość i nie pomyliła się nigdy.

Pewnego razu młody, elegancki, świeżo mianowany praporszczyk objął służbę w szpitalu. Po południu koło trzeciej godziny poczęły schodzić się panie, gdyż za panią Zaruską szły wszystkie, młody bowiem praporszczyk wpuszczał wszystkie bez widu. Pierwszą, która przybyła, była p. Zaruska. Bardałowski, któremu zapewne nieraz już donoszono o podobnej praktyce, snać spodziewał się tego, polecił bowiem jednemu ze służby szpitalnej, ażeby mu doniósł, skoro przybędzie pani Zaruska.

Sala w tym dniu była prawie przepełniona, koło każdego łóżka było kilka pań, a co wydarzało

się rzadko i kilka panów. Młody praporszczyk był uradowany i wesoły, że mógł nam sprawić taką ulgę i tyle przyjemności.

Na sali było gwarno, wszyscy rozprawiali głośno i swobodnie i każdy w duszy swojej błogosławił grzecznego oficera. Już miało się ku zachodowi, gdy pani Zaruska wraz z matką wypytawszy się każdego z nas z osobna o jego potrzeby lub życzenia, powstała w zamiarze pożegnania się z nami. Wtem cicho otworzyły się drzwi, a w nich ukazał się Bardałowski z jakimś innym oficerem.

— A! — zawołał uśmiechając się złośliwie — jak tu dziś gwarno i wesoło, jakby w jakim salonie! — a potem zapytał: — czy jest tu i pani Zaruska? —

— Jest! — odparł jeden z usłużnych naszych kolegów.

Bardałowski postąpił naprzód suwając nogami, jak gdyby miał zapraszać do tańca, zbliżył się do pani Zaruskiej i rzekł:

— A! dobry wieczór pani!

Pani Zaruska lekko kiwnęła głową.

— Czy wolno zapytać o wid? — spytał Bardałowski.

Pani Zaruska odpowiedziała, że o to winien zapytać się oficera służby a nie jej. Na to zwrócił się Bardałowski, podszedł do oficera i zapytał o wid pani Zaruskiej.

Oficer zmieszany, widocznie niespodziewając się czegoś podobnego, nie wiedział sam, co ma począć z sobą, nie chciał bowiem kompromitować pani Zaruskiej a równocześnie obawiał się ściągnięcia na siebie ciężkiej odpowiedzialności, począł więc tłumaczyć się niewyraźnie: „da wot! każet sia, gdie to imiał ja, da wot nie znaju.“ Bardałowski, lis szczwany, korzystał z jego niepewności i pomięszania i domagał się ostro, ażeby mu natychmiast pokazał wid jeżeli go ma, w razie zaś przeciwnym niechaj powie mu prawdę a on z tego żadnego na jego niekorzyść nie uczyni użytku.

Oficer pomięszany zwiesiwszy głowę milczał, co było widocznym dowodem, że tem milczeniem

przyznaje się do winy. Bardałowski tylko tego pragnął, zaiskrzył oczyma i z uśmiechem złośliwym istnie szatańskim krzyknął do pani Zaruskiej:

— Proszę się ztąd wynosić, proszę zaraz opuścić salę, gdyż ja tu rządzę.

Milczenie całą zaległo salę, na chwilę grobowa panowała cisza, a z moich kolegów ani jeden nie podniósł głosu w obronie obrażonej kobiety. To oburzyło mnie jeszcze więcej, zawrzało, zakipiało w mem wnętrzu a nie mając nic pod ręką, ani żadnej broni, schywciłem jednę z kul, na której wówczas już poczynałem przyuczać się chodzić i krzyknąwszy w największym gniewie: „ty podły psie! renegacie! jeżeli będę kiedyś wolny, nie skonam spokojnie, póki tej krzywdy, wyrządzonej szlachetnej Polce, nie pomszczę na tobie!“ — rzuciłem kulą na niego z całej mojej siły. Bardałowski usunął się na bok, okucie kuli ugrzęzło w drzwiach, Bardałowski wybiegł z sali a pani Zaruska i jej matka, serdecznie uścisnąwszy mi rękę, opuściła salę nie żegnając się z nikim; czuła się bowiem obrażoną, że nikt więcej nie stanął w jej obronie.

Wieczorem późnym przyszedł Bardałowski na salę z gości opróżnioną i lisim zwyczajem swoim począł tłumaczyć się przedemną. Zbywałem go milczeniem i wzrokiem pogardy w nim utkwionym, a gdy to nie pomogło, rzekłem krótko: „jestem słaby“ i odwróciłem się do ściany; odemnie poszedł do moich kolegów i tłumaczył się przed nimi. Oni — czy uwierzy kto? — przyznawali mu słuszność!

Nazajutrz rano prosiłem doktora o przeniesienie mnie na inną salę i od tego czasu nie widziałem już więcej przyjaciół pana Bardałowskiego.

VII.

Junkier Kaszczejew.

Kaszczejew był to młodzieniec prześliczej urody, wysoki, smukły, kształtnie zbudowany, zręczny, istnie czarny brunet o prześlicznem, czarnem, cudnie

oprawnem oku, cieńkim ale aż w szafir wpadającym wąsiku, nosa rzymskiego, ust kształtnych, ponsowych z wyrazem prawdziwej inteligencji na twarzy, a obcisłe i piękne ubranie czerkieskie jeszcze więcej uwydatniało całą jego istnie piękną i wspaniałą postać. W całej jego postaci na pierwszy rzut oka uderzała prawdziwa inteligencja oraz waleczność, a każdy ruch jego i sposób wyrażania się, staranne dowodziły wychowanie.

Z tym junkrem zaznajomiłem się od kilku miesięcy a jego sposób myślenia, jego zasady i jego postępowanie pociągnęły mię bardzo do niego i między nami zawiązał się stosunek nieco ściślejszej przyjaźni. Gdy przyszedł na służbę do szpitala, cały dzień i noc całą przepędziliśmy na pogadance serdecznej. Czułem że Kaszczejew pokochał mnie szczerze.

Nazajutrz po wypadku Bardałowskiego z panią Zaruską na służbę do szpitala przybył Kaszczejew. Gdy opowiedziałem mu wszystko, zatrząsł się z gniewu, a namyśliwszy się nieco wezwał mnie, ażebym zaraz napisał do pani Zaruskiej, ażeby była łaskawa odwiedzić mnie popołudniu i ażeby nie obawiała się niczego, gdyż on poręcza za wszystko swoim honorem.

Napisałem i już koło godziny drugiej popołudniu Kaszczejew wprowadził do mojego pokoju panią Zaruskę i jej matkę. Chwaliły mnie bardzo, że przeniosłem się z tamtej sali, oraz oświadczyły mi, że noga ich nigdy nie postanie na sali pod nrem ósmym a nawet zapewniały mnie, że o ile słyszały, to i inne panie przestaną tam chodzić zupełnie, gdyż to co panią Zaruskę spotkało wczoraj, tamte mogłoby spotkać jutro.

Rozmawialiśmy długo swobodnie i układaliśmy plany co do ucieczki, jaką te zacne panie miały mi ułatwić i ani spotrzegliśmy, że od ich przybycia na salę już dwie upłynęły godziny. Nagle drzwi uchyliły się z cicha a w nich ukazała się lisia twarz Bardałowskiego, Ośmielony powodzeniem wczorajszem Bardałowski śmiało i tonem surowym zapytał pani Zaruskiej o wid, na co tonem jeszcze więcej surowym odpowiedział Kaszczejew: „Eto nie wasze dieło! Zdieś

ja diżurnyj, zdieś ja adwieczaju,“ (to nie do pana należy, tu ja oficerem służby, tu ja odpowiadam.)

Groźny ton mowy Kaszczejewa pomięszał trochę szyki Bardałowskiemu, który jak każdy podły, słynnym był tchórzem, wkrótce atoli przyszedłszy nieco do siebie, odezwał się z arogancją w języku moskiewskim: „Pan jesteś oficerem dyżurnym a ja komisarzem szpitala, rządy wiec tutaj należą do mnie,“ poczem zwracając się nagle do pani Zaruskiej krzyknął podniesionym głosem:

— Proszę ztąd wyjść, nie ma tu pani co robić! Wychodzić natychmiast!

— Ha! — jak wściekły wrzasnął Kaszczejew i dodał: „Skatina! mierzawiec! padlec!“ i z oka strzeliły mu pioruny, ręka chwyciła rękojeść kindżała i w mgnieniu oka stal czysta jak źwierciadło błysnęła w powietrzu, Kaszczejew zerwał się z siedzenia i z oczyma zabiegłymi krwią jak szalony rzucił się ku Bardałowskiemu; ten jednak dobrze poczuł co się święci, poznał że nie ma żartów z Kaszczejewem, wymknął się za drzwi i umknął coprędzej.

Kaszczejew powrócił wybladły z gniewu a przepraszając panie za napad Bardałowskiego, prosił ażeby nie zwracały na to uwagi i pozostały w pokoju, on bowiem swojem gwarantuje im życiem, że nic im się nie stanie, ja jednak znając służbę wojskową i wiedząc, jakie ztąd wyniknąć mogą następstwa, prosiłem panie, ażeby pod opieką Kaszczejewa bez zwłoki opuściły szpital.

Po odprowadzeniu pań poza bramę szpitala Kaszczejew powrócił do mnie z zapewnieniem, że temu jak on wyraził się pół psu a pół człowiekowi nieprzebaczy nigdy. Wkrótce został Kaszczejew wywołany, lecz znowu powrócił do mnie z wiadomością, że na oskarzenie Bardałowskiego przysłał podpułkownik jakiegoś oficera z rozkazem, ażeby Kaszczejew natychmiast udał się do aresztu.

— Wyśmiałem go — opowiadał Kaszczejew — musiałem pouczyć go, że przed aresztowaniem mnie musi przyjść tutaj inny oficer dyżurny dla odebrania służby odemnie a potem dopiero można mnie are-

sztować. Zapewne więc przyjdzie wkrótce inny oficer dyżurny a ja pójdę do kozy.

Wyraziłem mu moje ubolewanie, że z mojego niejako powodu naraził się na takie smutne następstwa.

— Raz przecież — odpowiedział na to Kaszczejew — należy im oczy otworzyć, moje postępowanie niechaj innym oficerom służy za przykład, postąpiłem honorowo i nie mam sobie nic do wyrzucenia a w takim razie choćby i szubienicy nie lękam się wcale.

W dobre półgodzinę później rzeczywiście przyszedł inny oficer, Kaszczejew oddał mu służbę, następnie pożegnał się ze mną i poszedł do kozy.

— Całe to zajście bardzo przykre na mnie uczyniło wrażenie tak ze względu na aresztowanie Kaszczejewa, jak niemniej dla tego, że z powodu tego zajścia zakażą może pani Zaruskiej raz na zawsze chodzić do szpitala.

Nowy oficer dyżurny rozważając zwycięztwo odniesione przez Bardałowskiego i ulegając jego wpływowi, nawet nie zaglądnął do sali. W tej sali miałem dwóch czy trzech tylko kolegów a każdy z nich ciężko był ranny i już od dłuższego czasu w szpitalu, wszyscy oni utrzymywali stanowczo, że to smutniejsze może pociągnąć za sobą następstwa, niźli przypuszczam; jakżeż wielkie atoli wszystkich było zdziwienie, gdy nazajutrz z uderzeniem dwunastej godziny jako nowy oficer dyżurny ukazał się na sali dzielny Kaszczejew z wesołym na twarzy uśmiechem.

Po przywitaniu się ze mną opowiadał mi Kaszczejew cały przebieg dalszych następstw sceny wczorajszej, rozumie się w języku moskiewskim.

— Dzisiaj rano przywołano mnie do raportu przed jenerała Chruszczewa. Jenerał zapytał mnie, czy to może być prawdą, ażebym ja polskie damy puszczał do szpitala bez widu?

— Tak jest — odpowiedziałem — puszczałem Ekscelencjo! —

— I pan — mówił Chruszczew — mówisz to tak bez ogródki i przyznajesz się pan do tego? dla czegoś to pan uczynił?

— Ekscelencjo — odparł Kaszczejew — mówię to bez ogródek i przyznaję się do tego otwarcie, gdyż uczono mnie, że otwartość jest cnotą każdego żołnierza a w obec tak wysokiego dygnitarza jak Wasza Ekscelencja nie miałbym odwagi mówić nieprawdy, czyniłem to zaś dla tego, że uwięzieni ranni pozbawieni wolności i tak są dosyć nieszczęśliwi a zarazem gdy nie mogą być szkodliwymi, co zapewne głównym jest celem naszego rządu, nie mogłem więc odmówić im tej jedynej przyjemności i inteligentne damy polskie odprawiać niegrzecznie. Mam przekonanie, że postąpiłem honorowo, osobliwie gdy komisarz Bardałowski okazując się gburem, kompromitował korpus naszych oficerów. Sądziłem że tym tylko sposobem naprawić mogę to złe, jakiego tak często dopuszcza się komisarz.

— A więc — zapytał jenerał — cóżbyś pan uczynił, gdybym pana znowu wykomenderował do szpitala? Czy znowu wpuszczałbyś damy polskie bez widu?

— Tak Ekscelencjo! — odrzekł Kaszczejew i dodał:

— Puszczałbym znowu, bo jakkolwiek z zimną krwią zwykłem iść do walki bez żadnej obawy, walczyć jednak z damami polskiemi nie mam odwagi ani serca. — Na to — opowiadał dalej Kaszczejew — zadzwonił jenerał, kazał poprosić swego adjutanta, któremu polecił odkomenderować mię jak z uśmiechem wyraził się jenerał „za karę na 48 godzin na służbę do szpitala,“ a gdy podziękowałem mu za tak łaskawy wyrok, jenerał widocznie zadowolony uderzył mię z lekka po ramieniu i rzekł na pożegnanie: „stupajtie z Bohom!“

Po opowiedzeniu całego zajścia oświadczył mi Kaszczejew, że zaraz po drodze wstąpił do pani Zaruskiej, opowiedział wszystko i zaprosił ją na popołudniu do szpitala. Podczas całych 48 godzin służby Kaszczejewa, Bardałowskiego nikt nie widział w szpitalu. —

VIII.

Autor Bardałowskiemu dotrzymuje przyrzeczenia.

W Maju 1864-go r., acz jeszcze rannego wyprawiono mnie w Sybir. Nie mam zamiaru opisywać tu ani mojej podróży, ani też pobytu mojego w Syberji, a rozdział niniejszy odnosi się jedynie tylko do opisanego powyżej renegata Bardałowskiego. Zanim atoli przystąpię do tego, nadmienię tylko pobieżnie, że w Syberji przerzucano mną jak piłką z miejsca na miejsce. Przeznaczony do Jenizejskiej gubernii, mieszkałem najpierwej w Krasnojarsku, następnie w Aczynsku, potem w Igince, dalej na Maruli, ztamtąd dostałem się w Arefiewy na samej północy Arczyńskiego okręgu, na koniec zaś zamieszkałem w Minusinsku i Bolszoj-Ini na samem południu Syberji niemal u stóp Sajańskich gór.

Dzięki zaś godnemu a tak wysoce zasłużonemu księdzu Ruczce na reklamację ck. rządu austrjackiego i dla mnie wybiła godzina wolności wśród najcięższej zimy 1868-go r., a w dniu 5-go Stycznia prawie jeden z ostatnich obywateli austrjackich wyruszyłem z powrotem do kraju.

Już na kilka miesięcy przed mojem uwolnieniem otrzymałem smutną wiadomość, że śp. przezacna Zaruska padła ofiarą strasznego wypadku. Nalewając naftę do lampy zdaje się, że zbliżyła się zanadto blisko do światła, bo nafta się zapaliła, butelka pękła, oblała nieszczęśliwą ofiarę, a w 48 godzin później wszyscy niemal mieszkańcy Lublina i jego okolicy szczeremi łzami żalu oblali grób tej godnej czci Polki, która najpiękniejszy wiek swojego życia na bezgłośnej a użytecznej dla naszych braci przepędziła pracy. Wszyscy, którzy ją znali, głębokim ogarnięci zostali żalem, ciężkim zdjęci smutkiem, gdyż i w Syberji czuliśmy jej dobroczynną opiekę, zasilała ona bowiem naszych braci pieniądzmi i za jej pośrednictwem łatwiejsza była korespondencja z naszemi

rodzinami i najdroższemi naszemu sercu osobami, pozostawionemi w kraju.

To też opuściwszy Minusinsk z powrotem do domu przezacna istota ta często stawała mi przed oczy, przypominała się myśli i sercu a i Bardałowski, niegodny jej prześladowca nieraz przychodził mi na myśl, nieraz dość długo suszyłem sobie głowę, w jaki sposób dotrzymać przyrzeczenia, jakie mu dałem publicznie w pełnej sali lubelskiego szpitala.

Mniej więcej w połowie drogi z Minusinska do Aczynska spotkałem się z partją naszych braci, którzy po odsiedzeniu kary w rotach aresztanckich, wysłani zostali na Sybir z przeznaczeniem w okręg Minusiński na posielenie. Od nich dowiedziałem się, że do Aczynska szli w partji wielkiej, że w Aczynsku gdy jednych wysłano dalej ku Irkuckowi a inni pozostali w Aczynsku, ich wysłano do Minusinska. Wypytując się o licznych moich znajomych i kto z tychże był w partji, dowiedziałem się między innemi o nieznanych mi dotąd a nowych sprawkach komisarza kapitana Bardałowskiego, i tak:

Bardałowski sprzeniewierzywszy w Lublinie około 30.000 rs. porzucił żonę i dzieci i uciekł z kochanką. Wysłana za nim pogoń schwyciła go na granicy Galicji, odstawiła do Lublina i sąd skazał go na 12 lat w podziemne rudniki Syberji.

W drodze z Tobolska do Aczynska idąc w partji graždańskiej, t. j. pospolitych zbrodniarzy, połączonej z partją naszych tak zwanych politycznych przestępców, wkrótce zaznajomił się z naszymi braćmi a będąc dokładnie obznajomiony z wypadkami powstania w całem królestwie jako szczwany lis umiał zręcznie odegrać rolę męczennika, który przez dobroć serca swojego, ratując naszych i dawając znaczne sumy na korzyść powstania, bez wyrzutu sumienia naruszył kasę rządową i tym sposobem stał się tem nieszczęśliwszą ofiarą, że go jako pospolitego zbrodniarza wysyłają do katorżnych robót; „ale — dodawał objaśniając naszym swoją sprawę — nie żałuję i tego, bo miłość ojczyzny przewyższa wszystkie inne uczucia; cierpieli inni sroższe odemnie katusze, mogę

cierpieć i ja, jestem dumny, że mogę cierpieć dla świętej sprawy narodowej.“

Tem zjednał sobie serca niemal wszystkich zwykle łatwowiernych braci naszych i doszło do tego, że za sto rs. zamieniał swoje nazwisko z jednym z naszych kosynierów, skazanych na posielenie w Aczyńskim okręgu. Tamtego zamiast Bardałowskiego wysłano w Sybir pod nazwiskiem Bardałowskiego do katorżnych robót, Bardałowski zaś pod nazwiskiem kosyniera jako polityczny przestępca pozostał w Aczynsku, a umiejąc dobrze po moskiewsku i umiejąc wyjęzyczyć się dobrze, w krótkim czasie zjednał sobie serca wszystkich i Polaków i Moskali. Bywał wszędzie, po najpierwszych domach jak najlepiej przyjmowany i zaufaniem obdarzany a odgrywając przy tem wszystkiem rolę kawalera starał się nawet o rękę jednej ze zacnych Polek naszych, która zeslana w Sybir szła w partji naszych, połączonej z graždańską partją Bardałowskiego. Od tej pani pod pozorem połączenia się z nią ślubem małżeńskim wyłudził nawet owe sto rs., jakie wypłacił wspomnionemu powyżej kosynierowi.

Bogaty w takie wiadomości pośpieszałem do Aczynska i w parę dni później przybyłem na miejsce upragnione. Pierwszy krok mój w Aczynsku był do tamtejszego burmistrza, rzadkiej poczciwości i nieskazitelności charakteru Prokopa Andrejewicza Bragina, u którego niegdyś jego dzieciom udzielałem lekcyj języków i nauk. W całej rodzinie tego zacnego człowieka byłem kochany, poważany i nieograniczonem obdarzany zaufaniem. Jemu więc pierwszemu opowiedziałem wszystkie łotrowskie sprawy zbrodniarza Bardałowskiego, prosząc o dołożenie wszelkich starań, ażeby sprawiedliwości stało się zadość, tudzież ażeby nie dozwolić na ukrywanie zbrodni i odniesienie zwycięztwa tejże. Zacny burmistrz nietylko przyrzekł poczynić wszelkie możliwe kroki, ale nadto wraz ze mną udał się bez zwłoki do jednego z moich przyjaciół mającego wielki wpływ na tamtejszego gorodniczego i tym sposobem w trójkę udaliśmy się do niego, gorodniczy zaś wraz z nami udał się natychmiast do isprawnika, który wysłuchawszy wszystko z uwagą, w drodze telegraficznej przeprowadził potrze-

bną korespondencję z Gubernatorem w Krasnojarsku, poczem rozkazawszy Bardałowskiego przyaresztować, zakuć w kajdany i zamknąć w ostrogu, wyznaczył dzień jego wysyłki.

Dowiedziawszy się o dniu i godzinie, w której mają Bardałowskiego wysłać w dalszą podróż do podziemnych kopalń, wysłałem mu bilecik następującej treści:

„Jeżeli pan dowiesz się, że nagłą zmianę zakupionego krzywdą nieszczęśliwego chłopka losu lepszego na gorszy spowodowałem ja, wówczas przyznasz pan zapewne, że dotrzymałem przyrzeczenia danego w Lublinie w chwili srogiej obelgi, jaką niegodnie wyrządziłeś pan godnej czci a dziś świętej dla nas pamięci Natalii Zaruskiej, a jak niegdyś spoglądałeś pan z tryumfem na wypraszaną przez pana z szpitalnej sali przezacną Polkę, tak ja jutro z uderzeniem 9-tej godziny spoglądać będę na pana, lecz nie jako na pokrzywdzonego rodaka, ale jako na najniegodziwszego zbrodniarza i renegata.“

W zapowiedzianej godzinie udaliśmy się w kilka osób naprzeciw bramy ostrogu. Wkrótce roztworzyła się brama, z której pomknął naprzód oddział kozaków, za nimi zaś kilka wysunęło się sań a na pierwszych saniach siedział w kajdany zakuty Bardałowski w aresztanckiem ubraniu. Spostrzegł mnie, jam bystro patrzył mu w oczy, on niedotrzymał mi placu, opuścił wzrok i tylko swe cieńkie jak klapki metalowe zacisnął usta. Wkrótce zniknął mi z oczu, ażeby jednak i tam jeszcze nie użył podstępu, ażeby i tam nowych nie gubił ofiar, rozpisaliśmy listy do naszych znajomych i przyjaciół po rozmaitych kopalniach z dokładnem opisaniem wszystkich sprawek tego renegata. —

Hołosko wielkie pod Lwowem, 16. Marca 1885.

Wł. Czaplicki.

Wymarsz hufców,

balada.

1.

O świcie — za wioską,
Gdzie w wzgórku krzyż biały,
Tam w pochód na boje
Hufcy się zbierały;
A dzielneż to hufce:
Husarja skrzydlata,
Co zda się, za dzionek
Przebiegnie pół świata.
Hełmami i stalą
Jak słońcem się lśni;
Mars zwiesa na czołach,
A w oku grom tli! —
A za nią znak lekki
Z sztandarem na przedzie:
„Hej! — czołem — rycerze! —
Niechaj was Bóg wiedzie! —
Gdzie orzeł ten biały
Na wroga nastąpi,
Wszechmocny — niech chwały,
Ni zwycięztw nie skąpi! — — —
A kiedy ustaną
Nareszcie już boje,
To wróćcie pod strzechy
Kochane te swoje; —
Tam sercem i duchem,
W radości niemali,
Serdecznym uściskiem

Będziem was witali!“ —
Tak kmiecie, w odświętne
Sukmany przybrani,
Żegnali rycerzy, —
A po nich kapłani
Żegnali ich krzyżem
I wodą kropili,
I ciche modlitwy
Ku niebu wznosili! —

2.

Znak dano; — wnet z koni
Junacy skoczyli
I szabel błyszczących
Jak słońca, dobyli.
Uklękli... patrz! — mówią
Ustami drżącemi
Ostatnią modlitwę
Na ojców swych ziemi! —
Bo iluż ich wróci?!...
Nikt zgadnąć nie zdoła! — — —
Niejedna tam matka
Zapłacze wśród sioła,
Niejedna dziewoja
Zaleje się łzami
Po lubym — co poległ
Gdzieś w walce z wrogami!...

3.

Skończono. —
Wnet surmy
Jak wicher zagrały;
Rozwinął się hufiec:
O! jakiż wspaniały! —
Hej! cudneż to wojsko! —
Wiatr rozwiał sztandary. —

Cyt! — oto zagrzmiała
Bojowa pieśń wiary! —
Ruszają! — tam matka,
Tu siostra znów szlocha:
„On idzie na boje —
A ona go kocha; —
On zginie, lub los go
Tam czeka tułaczy,
Nie wróci.... a ona
Tu skona z rozpaczy!“ —
Daremnie zaklina,
Daremnie łzy roni
I prosi, by rychło
Powracał tu — do niej;
Nie rychło ten wraca,
Co rusza na boje!....
Ej dziewczę!... pożegnaj
Złocone sny twoje!

Słoboda rungurska, 25. Września 1887.

Mieczysław Romanowski junior.

UPIORY,

POEMAT EPICZNY

Michała Groblewskiego.*)

Rodzina upiora.

Oleksa był chłop śniady olbrzymiej budowy.
Pracować — to mu nigdy nie przyszło do głowy; —
Natomiast nie pojmował wcale tego prawa,
By się gdzie odbyć miała wesoła zabawa,
A on by tam być nie miał; — także nie rozumiał,
Żeby grunt jego wielki rozpłynąć się umiał.
Myślał, że są to studni niezgłębione tonie;
Zastawiał więc pomału zagon po zagonie,
I kiedy mu do głowy przyszło szukać żony —
Już grunt w całości został żydom zastawiony.

---

*) Wydawca „Roczników Samborskich“ obznajamia niniejszem czytelników swoich z wielce cenną a nieznaną dotąd pracą nieznanego prawie autora, p. Michała Groblewskiego, zamieszkałego w Sanoczyznie, w Szczawnem-Kulasznem. Drugą pracę tegoż samego autora, wydaną jego nakładem, omówimy obszerniej w dziale bibliograficznym. „Upiory,“ poemat epiczny w X. pieśniach w formie humorystycznej i lekkiej omawia życie górali sanockich, ich obyczaje i przesądy. Rzecz wolno i swobodnie napisana; ale jak słusznie zauważa autor „Upiorów,“ „Rocznik Samborski“ nie jest wydawany dla podlotków.

(Uwaga wydawcy.)

Jednak bystry Oleksa znalazł radę na to: —
Ot — najlepiej się tylko ożenić bogato,
A powrócą do niego zastawione niwy.
Pomysł był niewątpliwie trafny i szczęśliwy —
Lecz o wiele trudniejsze było wykonanie:
Nie chciały go dziewczęta o bogatem wianie;
Więc w kawalerstwo swoje grzęznął coraz dalej.
Ludzie mu się ożenić ciągle doradzali,
Radząc mu te i owe, a że wszystkie „owe“
Razemby nie spłaciły długi Oleksowe,
Co było w ożenieniu jego punktem głównym —
Przepadła więc dewiza: „równy zawsze z równym!“ —
Boby musiał z fortuną srodze nadszarpniętą
Ożenić się gdzieś chyba — już z turecką świętą
I wyrzec się na zawsze odkupić swe pole:
Został więc kawalerem na ziemskim padole,
Twierdząc, że bieda jego z tej tylko przyczyny,
Że otrzymać nie może bogatej dziewczyny;
Zaś zmarnowanie gruntów i wszelkich zapasów —
Kładł na karb tak ogromnie dzisiaj ciężkich czasów,
Nie wiedząc, że czas ciężki zaczął się od chwili,
Kiedy Adama i Ewę z raju wypędzili.
Wówczas kiedy Oleksa na wsze strony świata
Rozmiótł grunta, została mu się tylko chata,
Był to wielki budynek; szczyt jej obszarpany
Obrosły mchy dokoła i leśne burzany.
Dom zdał się więcej górą, niż ludzkiem mieszkaniem,
Jeśliś z dala nań patrzył. Okropnem trzaskaniem
Odzywały się krokwie podczas każdej burzy.
Z jednej strony był stawek gnojowej kałuży,
A z drugiej wielka grusza rozpięła konary,
Z niej dobywał wiatr tonów, jak ze strun gitary,
Pośród nocy znów wrony — liczbą zawsze walną —
Dodawały w ten koncert swoją część wokalną.
Lecz w chacie cisza była pośród tej muzyki.
Na ławie siedział starzec. — Spłowiałe kosmyki
Bujnej niegdyś czupryny na plecy spadały;
Ręce i nogi starca niby w febrze drżały;
Lica były zmarszczone, zżółkłe, usta sine,
Pierś sapiąca tworzyła zupełną ruinę,
I tylko oczy same, płonące jak świeca, —
Żarzyły niby ogień z obdartego pieca.

Był to ojciec Oleksy. Znano go powszechnie
Z tego, że się twarz jego nigdy nie uśmiechnie;
Z tego, że mało mówił, ale pijał wiele;
Że miewał w swojem życiu niezbadane cele,
Zawsze coś rozmyślając. Górale wierzyli,
Że gdy się chmura z gradem z za wierchów wychyli,
To Dańko stary — jeśli w dobrym jest humorze —
Pędzi ją w puste lasy i dzikie bezdroże,
Wziąwszy pręcik leszczyny w dłoń słabą i suchą*).
Powszechnie sobie ludzie szeptali na ucho,
Że on będzie po śmierci niechybnie upiorem;
Bo kiedy w ciemnej nocy wrony wrzeszczą chórem,
On się nie lęka wcale i w tej wiejskiej gadce
Jest słychać, że dwa serca ma w piersiowej klatce,
Co oznacza, że również musi mieć dwie dusze**);
Inaczejby bez trwogi nie chodził pod gruszę,
Która w zapadłem miejscu stała tuż przy płocie,
I raz kiedyś tam błysły niby oczy kocie
Przed laty wprawdzie. Także nie w dzisiejszym [czasie
Dał się tam djabeł poznać w niezwykłym hałasie,
Co sprawdził pewien gazda, wszystkim z tego znany,
Że czasami był trzeźwy, czasami pijany,
Lecz pierwsze bardzo rzadko tylko się zdarzało:
Ten twierdził, że raz słyszał, jak w gruszy [wrzeszczało.
Tak wierzyli wieśniacy a Dańko z tej wiary
Korzystał często biorąc pieniądze za czary,
Za odpędzanie gradu, co po gruntów stracie —
Było jedynym środkiem, że wyżył w swej chacie.
Teraz Dańko się kiwał i drzemał chwilami,
A na piec siadło dziewczę z bosemi nóżkami,
Smagłą cerą i wielką czarnych włosów masą.
Dziewczę się odznaczało niebywałą krasą,
Drobną twarzą i smukłą, jak jodła — figurą;
Na tle ściany jej usta świeciły purpurą,

---

*) Wedle pojęć górali sanockich są ludzie, co pękiem leszczyny zdolni są rozpędzić gradowe chmury.

**) Tak sobie wyobrażają kandydata na upiora.

I migotały białka od tych czarnych oczów.
Jedna ręka tonęła wśród masy warkoczów,
Sunąc te czarne zwoje na drobniutkie lice; —
Drugą przytrzymywała rozprutą spodnicę,
To znów także niecałą zupełnie koszulę,
Kryjącą śliczne piersi niby dwie półkule.
Potem się przeciągała z nudy i ziewała,
To znów kotowi usnąć spokojnie nie dała,
Co chciał sobie zadrzemać na ciepłym zapiecku.
Chwyciła go udając, że chce ssać dać dziecku;
Wyprawiała z nim przy tem rozmaite grymasy;
Ale wtem zaskrzypiały drewniane zawiasy —
I do chaty wszedł chłopiec. Jasną miał czuprynę,
Z pozoru przypominał niewinną dziewczynę,
Co twarz biała i piękna także powiadała.
Wyglądał jak dziewczyna, co strój męzki wdziała
I wstydzi się naprawdę tej całej przemiany —
Zresztą był on „dziewczyną“ we wsi nazywany
Dla dziwnej nieśmiałości, choć i to prawdziwe,
Że dziewczęta w tej wiosce nie były wstydliwe,
Ale o to nie idzie... Chłopak wbiegł z pośpiechem,
Piersi mu się wznosiły tłumionym oddechem,
Bo widać pędził prędko, lecz stanął jak wryty,
Gdy dojrzał ten żar oczu wpół za włosy skryty
I dwie nóżki wiszące nad otworem pieca;
Jego to wstrzymywało, co innych podnieca; —
Ale szedł właśnie do pieca, by fajkę zapalić
(Bo na to jest najlepiej pretekst wejścia zwalić) —
Olejan syn bogacza, tęgi zresztą chłopak,
Ale mu z dziewczętami wszystko szło na opak
Dla owej nieśmiałości. — Choć sobie nakreślił
Plan działań, nie śpiąc w nocy — wszystko co wy-
[myślił
Zapominał natychmiast i stawał przed frontem
Jak kanonier przed działem zagaszonym lontem.
Olejan często chodził do chaty Dańkowej,
Lecz ledwie okiem rzucił na włos hebanowy
I na oczy ogromne, dziwnie weń wiercąco
Zwrócone, zaraz mu się robiło gorąco.
Wychodził więc natychmiast i biegł co miał siły,
Bo mu się zdało, że go te oczy goniły,

I kształt ust koralowych, na które włos spadał,
W jego myśli się w uśmiech pogardliwy składał.
Nie dziw więc, że i teraz na dobre się zmieszał,
Spojrzawszy na splot czarny, co się z głowy zwieszał,
Na rozpiętą koszulę i rozdartą z boku
I ten ogień szatański w tem ogromnem oku.
Nie patrząc na dziewczynę Olejan się zbliżył,
Do pieca i swą głowę do otworu zniżył,
Ale czuł, że dwie czarne źrenice dziewczęcia
Prosto weń wymierzone; niemal czuł dotknięcia
Jej nóżek, a już nawet mu się wydawało,
Że go ciepło oddechu w koło owiewało,
Ale wtem niby piekło pod nim się otwarło:
Czuje, że mu na karku dziewczę nóżkę wsparło;
Potem mu swawolnica rozburza czuprynę,
Chłopiec się zerwał, robiąc przerażoną minę;
Ale dotkliwsza kara spaść nań jeszcze miała:
Nóżka, co mu przy głowie jak młynek latała,
Palnęła go pod brodę.... Zęby silnie szczękły,
A on wyleciał z chaty drżący i przelękły.
Dodać trzeba, że Dańko śpiący legł na ławę,
Bo byłby nie pozwolił na taką zabawę. —
Dziewczę siedziało dalej na piecu, lecz chmurka
Osiadła na jej czole; już kota nie szturka,
Ani fika nóżkami, lecz duma. Z jej ustek
Rozległ się śpiew tak tęskny, jak z lesistych pustek,
A nie z dziewczęcej piersi. — Nagle się zmieniła
I piękną główkę swoją na piersi spuściła:
Bo trza wiedzieć że ona lubiła rozmowę,
I niedawno kobiety nabiły jej głowę
Opowiadaniem różnych przeznaczeń dziewczyny.
Mówiły, że bez męża to nie ma rodziny,
Że mąż ten kiedy dobry, to nietylko pieści
Swą żonę, lecz kupuje, co się tylko zmieści
Pod brodę purpurowych paciorek. Czasami
Pozwoli świat zadziwić nowymi butami;
Zawozi na jarmarki, na odpust prowadzi.
Mówiły, jak rozumne dziewczę sobie radzi,
Aby cel ten osiągnąć. Otóż gdy schylony
Olejan był tuż przy niej, cel ten osiągniony
Zdawał jej się w połowie, a gdy uszedł z chaty,
Zdało się jej, jakoby doznawała straty;

Bo wiadomo, że chłopiec ten będzie bogaczem.
— Czemuż on tak uciekał? — szepła nawpół z pła-
[czem.
Ależ kto jest to dziewczę? zapytać się godzi.
Otóż wiedziano ledwie tylko, kto ją rodzi;
Ale już nie wiedziano, gdzie dziecko zrodzone.
Było to literalnie dziecię znalezione;
Bo raz późnym wieczorem, wróciwszy z karczminy
Usłyszał nasz Oleksa płacz małej dzieciny
Na swem łóżku; opodal czarna postać stała:
„Masz! to twoje!“ — gwałtownym głosem zawołała,
I wyleciała z chaty. Ten krzyk pełen złości
Dał Oleksie rozpoznać niezwykłej piękności
Pewną młodą cygankę. Oleksa nasz zgłupiał
Na to dictum, lecz widać że nie zaskorupiał
Całkiem w swoich przywarach, bo kiedy cygankę
Nigdzie nie znaleziono, wziął na wychowankę
Podrzuconą dziecinę; i to naszej młodej
Dziewicy były wszystkie znane rodowody.
Imię jej było Fenna. Stary ojciec Dańko
Był w początkach dla dziecka z konieczności niańką;
W końcu tak się przywiązał do niej, że szczebioty
Jej jedne przerywały mu ciągłe zgryzoty
Z synem, co wszystko stracił; ale także Fenna
Była w swem przywiązaniu do starca niezmienna,
I starej żony Dańka często usłuchała —
Jedynie li Oleksę to najmniej lubiała.

Droga do Węgier.

Drogą, pnącą się w górę na Beskidów grzbiety —
Idzie wyżej sto ludzi — chłopcy i kobiety —
Mężczyźni nieco starsi, dziewcząt kupka spora.
Na wszystko wnet upadnie pokrycie wieczora,
Bo już słońce promieni zachodzących masy
Wsunęło w dziki parów i szpilkowe lasy;

Kładąc jodeł korony na ognistym stosie,
Odbijało się w sierpie i błyszczącej kosie.
Są to zatem żniwiarze, co z północnych stoków
Karpat sanockiej ziemi, idą w ślad obłoków,
Ciągnących od północy: obłok tnie purpury
Słońca, oni lasami obrośnięte góry.
Są to górscy wieśniacy, co rodzinną debrę
Opuścili, by zboża zarobić i febrę;
I ta ich chwyta zwykle w tej ciężkiej podróży,
Która chociaż ich ciało połamie i znuży,
Jednak ust nie zamyka; śpiew więc stu gardzieli
Porusza puste wierchy i lasy weseli. —
Fenna idzie na przedzie; na plecach tobołek,
A z niego sierp wygląda; — pierwsza na wierz-
[chołek
Wylazła i krzyknęła tryumfalnym głosem.
Opodal stał Olejan ze swym jasnym włosem
I gapił się na dziewczę. W las wysokopienny
Wstąpili, i wnet zagasł blask słońca promienny,
A w mroku drzew konary razem się splątały.
W koło miękkie murawy same zapraszały
Do świetnego noclegu. Stanęli z hałasem,
A księżyc co się wkrótce wytoczył nad lasem,
Pogasił wszystkie gwiazdy, te co mniej jaskrawe. —
Niedbale przewrócona na miękką murawę
Leżała sobie Fenna. Olbrzymia kaskada
Włosów przez palce drobne wszędzie się przekrada
I miesza się z trawami, bo wsparła na dłoni
Swą główkę; jej źrenica szatańsko się płonie,
A twarz bielszą się zdaje od księżyca blasku.
W dali huczało źródło z pobliskiego lasku,
A ona rzekła, ucho wsłuchawszy w szmer lekki:
„A! pić mi się zachciało z tej nieznośnej spieki;“ —
I powstała, pomału dążąc w źródła stronę,
W jar, gdzie sterczały głazy i kłody zwalone.
Poszła; — i gdy już znikła za jodeł koroną,
Za nią patrzał Olejan z gębą rozdziawioną,
Bo go parło, by poszedł w ślad owej gazeli.
Cóż kiedy mu odwagę znowu djabli wzięli.
Zdało mu się, że zamiast z jej cudownem okiem
Spotka się z jakimś strachem nad górskim potokiem;

Zresztą z młodą dziewczyną wśród nocy być w borze,
To już samo przestraszyć niewinnego może.
Ale kiedy pomyślał, jaki wzrok posłała
Wprost w niego, gdy do lasu zwolna wstępowała —
Bez żadnego jasnego wcale przedsięwzięcia,
Poszedł strwożonym krokiem prosto w ślad dzie-
[wczęcia. —
Jar ten miał poszczerbione kamienne pokłady,
Pośrodku się toczyły szumiące kaskady,
Pośrebrzając w księżycu swoich kropel krocie;
Po brzegach rosły krzewy i leśne paprocie,
A długie cienie jodeł jeden brzeg czerniły.
Widok to był cudownie wspaniały i miły
Przez te kontrasty świateł i cieni w obrazach,
Malowanych w wód pianie i sterczących głazach. —
Fenna siedziała niemo na skały odłamie;
Księżyc rzucał swe światło na jedno jej ramię
I pół głowy, zaś reszta ciała była w cieniu.
Jedną nóżką bezmyślnie biła po strumieniu,
Opryskując kamienie i własne kolana.
Zadrgnęła gdy dostrzegła oczy Olejana,
Niespokojnie patrzące z za wielkiego krzaka.
„Chodź bliżej!“ — niecierpliwie krzykła na chłopaka;
Bo miał się do odwrotu. Zbliżył się nieśmiało.
„Cóż to? i tobie chłopcze wody się zachciało?
Masz jej pełno — mówiła — lecz mnie weź za szyję
I potrzymaj — niech także wody się napiję —
Bo zapomniałam o tem, myśląc o kimś wiele;
Sama czerpiąc nie mogę przez splątane ziele —
Ale ty mnie potrzymasz, a ja w usta moje
Nabiorę tyle wody, że ciebie napoję
Z moich ust — słuchaj chłopcze — ty z takiego
[dzbanka
Jeszcześ nigdy nie pijał; — tak jedna cyganka
Przynosiła miłemu „palonej“ od żyda ....
Ciekawam, jak się tobie taki napój wyda;
Ale trzymaj mnie mocno; ty przecie masz siłę;
W potoku są gałęzie i liście przegniłe.
Zmącilibyśmy czystą — jak kryształ — krynicę —
I jabym sobie mogła zawalać spodnicę...

Trzymaj mnie we dwóch rękach“... — Wziął ja
[drżąc z wzruszenia;
Lecz nagle się ześliznął z mokrego kamienia
I upadł na pierś Fenny. Byłby w potok runął,
Padając mimowolnie ustami przesunął
Po jej ślicznej twarzyczce, i jakby nieczynny
Wulkan nagle wybuchnął — chłopiec stał się inny —
Bo całując dziewczynę ściskał ją co siły.
Zbutwiałe liście z szumem w potok się waliły
I krynica do szczętu została zmącona —
Fenna się pochyliła niby pół omdlona
Zarywszy drobne nóżki w burzan, potem dalej
Zsunęła je bezwładna ku spienionej fali. —
Oprócz szelestu wiatru, co błądził po borze
I głośnego chrapania w żniwiarzy taborze
Była cisza dokoła; wszyscy twardo spali —
Tylko para ócz, w których łza się dziś krysztali,
Patrzała w głębie lasu, lecz ciemne konary
Nie rozwarły swych ramion dla tej oczów pary.
Siedziało pośród śpiących dziewczę bez snu w oczach.
Było niezwykle piękne o jasnych warkoczach,
Cery dziwnej białości, z rumieńcem w owalu
Regularnej twarzyczki. Przez ubiór z perkalu
Dostrzegać się dawała budowa toczona,
Nóżki choć niezbyt małe i silne ramiona,
Ale mimoto dziwnie formy doskonałej. —
W wielkich, niebieskich oczach czyste łzy błyszczały,
I te wciąż ocierała lokiem barwy złotej.
Patrzała w las z wyrazem smutku i tęsknoty,
A ucho nadstawiała nad szmery strumieni;
Lecz nic nie zobaczyła wśród zmieszanych cieni,
Tylko lasy na dole, w górze twarz miesiąca;
Pozostała więc niema i rozpaczająca. —
W tej chwili wyszła Fenna wolno, cicho z lasu
I pomiędzy dziewczęta legła bez hałasu;
Później na brzeg parowu Olejan się wdrapał;
Upadł między kosarzy i niby zachrapał.
Białe dziewczę widziało ruchy strategiczne
Tych dwojga; skryło w dłonie swoje oczy śliczne
I tak siedziało długo, zanim sen z przerwami
Zapanował nad temi smutnemi oczami.

Dziewczę co tak tajemnie i cicho rozpacza,
Jest córką jedynaczką pewnego bogacza,
Gazdy o wielkiej chacie i dwóch parach wołów,
Waśka Guły; — jej głowa cięży niby ołów,
Piersi rwą się łkaniami, mimo że z pozoru
Tak szczęśliwą być winna; ale z głębi boru
Wyniósł młody Olejan jej smutek i troskę;
Całkiem szczęśliwa swoją opuściła wioskę,
A ten rebus jej smutków tak się rozwiązuje:
Na wzgórzu, co nad wioską niejako panuje,
Stawały od lat wielu dla owiec szałasy
Dwa zawsze blisko siebie; — tam paśli juhasy
Owiec ogromne stada; jedne Waśka Guły,
Drugie Hrycia Kaczana po debrach się snuły,
A pasał je Olejan, syn Hrycia jedyny. —
Często zaś od szałasów głośny śpiew dziewczyny
Rozlegał się wieczorem; (był to czas dojenia
I zwykłego co wieczór po mleko chodzenia)
Piękna Hania Waśkówna tak wyśpiewywała;
Ona prawie co wieczór po mleko chadzała,
I Olejan od dziecka był z nią razem zawsze;
A że do figlów dzieci bywają najżwawsze,
Więc ta młodziutka para aż do tego czasu
Żyła wśród wiecznych żartów, chodząc do szałasu,
Przewracali się tedy po świeżych pokosach;
Nieraz on gubił spinkę splątaną w jej włosach,
Czyniąc poszukiwania w bielutkiej koszuli.
Że dziećmi być przestali, nic tego nie czuli;
To jest: on nie uczuwał, bo Hanine zdanie
Zupełnie było inne o figlach na sianie;
Gdyż myśl dojrzała prędzej tkwi w głowie dziew-
[czyny;
Lecz on z równą swobodą plótł koszyk z łoziny,
Jak i figlował z Hanią za siostrę ją mając;
Do innych jednak dziewcząt był trwożny jak zając;
Omijał je z daleka, a młodziutka Hania
Sądziła, że on czynił to wszystko z kochania.
Ale nocleg ostatni na Beskidów grzbiecie
Zatruł jej całą młodość i szczęście na świecie;
Cały gmach jej marzenia i ozdoba życia
Runęły. Potok dalej wciąż dudnił z ukrycia.

A głos ten zdał się Hani nieszczęścia zwiastunem.
Na niebie biała chmurka niby owczem runem
Przesunęła przez księżyc, ciemniąc go na chwilę;
Hania chodem zmęczona opadła na sile.
Zwiesiła jasną główkę troskami ciężarną,
A swą miłość dla chłopca już teraz tak marną,
Utopiła w sen ciężki, a księżyc jej czoło —
Odbijając się w rosie, w srebrne ubrał koło. —
Rano zabłysło słońce, malując w kolory
Zielone w różnych cieniach — rozrzucone bory,
I oblewając światłem robotników twarze.
Rozległy się znów śpiewy huczące po jarze —
A oni poszli w Węgry, gdzie przy pracy w skwary
Mógłbym dalej spisywać dzieje młodej pary,
I ciche Hani smutki; — jednak tylko wspomnę,
Że Olejan w umizgach postępy ogromne
Zrobił, a kosą za to — nie tak zgrabnie machał;
Napadu młodych kobiet wcale się nie strachał;
Wychudł znacznie, choć jadał z dobrym apetytem,
Kosę szczerbił, bo ciągle zawadzał ze zgrzytem
O leżące kamyki, topiąc wzrok gdzieś w końcu
Łanów, gdzie krzywe sierpy migotały w słońcu.
Lecz często bystre oko wieczorem po żniwie
Daremnie swe spojrzenia słało niecierpliwie
Między tłum wracających żniwiarek z roboty.
Wtedy to szedł Olejan w stronę, gdzie namioty
Wielka banda cyganów zwykle rozbijała,
Aby spotykać Fennę, gdy ztamtąd wracała....
Ale niech ich tam licho; — zżęli i wrócili —
Fenna do swojej chaty, co się w ziemię chyli,
A Olejan do owiec ojcowego stada.
Hrycia trochę zdziwiła twarz chłopczyny blada
I jakieś roztargnienie, co się w tem odbiło,
Że raz mnóstwo baranów po szkodzie chodziło,
Bo pasterz gdzieś się podział. Gdzie chodził — nikt [nie wie;
Ale sygnał z gaiku w wytężonym śpiewie
Rozlegał się przed chwilą, dając znać, że krzaki
Nie tylko same dzikie zaludniały ptaki,
Ale jest tam istota ludzkiego rodzaju,
Chodząca za rydzami w zarośniętym gaju.

Czary.

„Cóż ty ciągle tak blady? — mówił Hryć do syna;
Powiedz, choć się domyślam, jaka to przyczyna? —
I uśmiechnął się przytem; — „wiem ja, chcesz mieć
[żonę;“
Lecz Olejan w tej chwili w ziemię miał spuszczone
Źrenice i zczerwieniał na te ojca słowa.
On wiedział, jaka pewnie będzie chęć ojcowa
W wyszukiwaniach wiana przez calutkie sioło,
Podczas gdy on chciał Fennę, choć zupełnie gołą;
Stał więc ciągle milczący, a Hryć ciągnął dalej:
„Wiesz chłopcze, jutro będziem swatów wyprawiali,
Bo tobie trzeba żony; ty dziś do roboty
Nie masz — nie wiem dla czego — chęci ani joty;
Jutro zatem, mój chłopcze, wyruszą swatowie.“
Olejan patrzył w ziemię, skrobiąc się po głowie,
A ojciec mówił dalej: „No, Hania zła może?
Dadzą za nią dwie krowy, a co ma w komorze
Chust białych — to nie zliczyć; jest tam i pierzyna
Ogromna. — Z Hani bardzo porządna dziewczyna.
Bo wiem, że i w pieniądzach coś dadzą nie mało;
Słyszę, że całą setkę. Co tobie się stało?
Mój synu“ — pyta stary — widząc z ócz chłopaka
Łzy kapiące na ziemię, jak woda z przetaka.
Olejan jąkająco wyrzekł: „Ojcze miły!
Z inną ja się na świecie żenić nie mam siły,
Tylko z Fenną Dańkówną.“ Hryć dłońmi obiema
Pochwycił się za głowę: „Co? ona nic nie ma!“ —
Wrzasnął nad uchem chłopca. „Ma oczy i usta,“
Zaczął bąkać Olejan. — „Ale kieszeń pusta“ —
Przerwał mu ojciec zaraz, — lecz z tropu niezbity
Chłopiec dalej rzekł: „Gdyśmy na Beskidu szczyty
Wyleźli, noc zapadła; ona przy potoku
Coś tak czarującego miała w swojem oku,
Żem był przy niej zgłupiały; potem nic już nie
[wiem,
Co się ze mną zrobiło, tylko jak zarżewiem
Ognistem do niej płonę, i gdy wieczór szary

Zapadnie, coś mnie ciągnie“.... „Wszystko to są
[czary,
Mój chłopcze — wyrzekł ojciec na syna wyznanie —
Pewnobyś legł niedługo na śmierci posłanie,
Lecz na wszystko jest rada.“ — Tej samej godziny
Wyszedł młody Olejan do starej Makryny,
Trudniącej się wróżbiarstwem, a jej specjalnością
Było, leczyć chorobę nazwaną miłością,
Która wedle pojęcia przesądnych górali
Najsilniejszego chłopa na łoże powali —
A jest to wynik czarów, bez których na pewno
Każdy byłby na piękność nieczuły jak drewno. —
Zaszedł tedy Olejan, i już w godzin parę
Wrócił, niosąc w zanadrzu jakieś szmaty stare,
A w nich były listeczki i spalone włosy.
Wróżka mu nakazała, że gdy kurów głosy
Oznajmią wiosce północ, ma wziąć swoją łyżkę,
W niej proch z ziela; — ten proszek rozsypie na ścieżkę,
Kędy przechodzi Fenna, łyżkę zaś w drzwi szparze
Umieści w domu Fenny. „Co ci wróżka każe,
To zrobisz zaraz dzisiaj,“ — rzekł ojciec surowo.
Chłopiec na to nie odrzekł ani jedno słowo;
W północ zaś, gdy koguty co siły się darły,
Olejan szedł przez wioskę niby pół umarły,
Miotając drżącą dłonią z zielem włos spalony.
Na rozłożystej gruszy trzepały się wrony,
A on drżąc cały w strachu, ledwie że oddychał
I ostatkiem swej siły łyżkę w szparę wpychał,
A gdy zaczął uciekać, dudniało mu w uszy
Niby wycie szatanów z pod Dańkowej gruszy. —
Chłopcze! wyleź na skałę i rzuć się w dół głową —
To się może wyleczysz i będzie ci zdrowo! —
Ale dziś to daremnie; w twem sercu choroba,
A tam także jest życie. Nie minęła doba,
A Olejan już leżał w łóżku, gorączkował;
Tak swój umysł wysilił. Ojciec nie strofował
Go więcej, tylko patrząc w źrenice zamglone,
Uspokajał chłopczynę, że już odłożone
Wszystkie plany żeniaczki na dalej zostały.
Po takiem zapewnieniu siły mu wracały;
Zwolna przyszedł do siebie. — Ojciec dzień radosny
Synowego wesela odłożył do wiosny,

Przewidując, że lekarz czas lepiej od wróżki
Wytrze z pamięci syna zgrabne Fenny nóżki,
Pałające źrenice i pierś utoczoną. —
Kiedy więc tak na długo rzeczy rozłożono,
I nam minąć wypada jesienne szarugi,
Bo ten burzliwy zimy czas nudny i długi,
Aby zaraz z wiosennem lodów odtajaniem
Zacząć was znowu bawić tem opowiadaniem.

Zaręczyny.

U Guły, co jest znanym od dawna bogaczem,
Siedzą goście za stołem nad białym kołaczem,
A kielich bez ustanku stół okrąża kołem,
Wszyscy w usposobieniu są bardzo wesołem,
Wszystkie twarze promienią wśród hucznej biesiady.
Olejan jest tam także, jeden tylko blady;
Przy nim usiadła śliczna niby róża Hania;
I ta ręką wstydliwie swe oczy zasłania,
Bo wedle rytuału zaręczynowego
Zmuszają ją całować w twarz narzeczonego;
A on ma ją znów potem, inaczej akt cały
Zostałby bez znaczenia całkiem nieudały
Wedle pojęć wieśniaków, jak znów po weselu
Ślub bez wspólnego życia zostałby bez celu.
To też mądre wieśniacze góralskie ustawy
Najprzód każą całować niejako dla wprawy,
A potem wśród obrzędów i przemówień masy
Dają naukę życia na późniejsze czasy,
Biorąc szczególniej wzory z tego przemówienia
W rajskim ogrodzie jeszcze, gdzie wykład mnożenia
Najpierw z matematyki został wygłoszony
Naszemu praojcowi wobec jego żony. —
Wezwana więc dziewczyna po krótkiem wahaniu
Powstała, a po czułem jej pocałowaniu
Olejan drgnął, i w jakiemś nastrojeniu świętem
Oddał jej pocałunek z lichwiarskim procentem,
I w chwili przelotnego tego upojenia

Ona tuliła główkę do jego ramienia,
A on czoło położył na bujne jej sploty; —
Z włosem chłopca się zmieszał lok dziewczyny złoty;
Ręce także oboje gdzieś w głębi pod stołem —
Bezwiednie sobie jakoś pomieszali społem.
Chwila to była piękna, jednak bardzo krótka;
Na jej cześć strumieniami popłynęła wódka. —
Ale chłopak przypadkiem rzucił wzrok zamglony
Przez okno na ogrodów miejskich drzew korony —
I mimowolnie wstrzymał go na wielkiej gruszy:
Dziwne się dwa uczucia zbiegły w chłopca duszy; —
Pobladł strasznie, jak ściana, twarz jego wesoła
Przed chwilą, patrząc na dach obrośnięty w zioła,
Nad którym swe konary grusza rozpostarła —
Zdawała się już teraz niby wpół umarła.
Puścił on z objęć Hanię, ręce swe rozplątał
Pod stołem; ale Guła zanadto się krzątał
Z wódką około gości, aby się poznali
Na tych przeróżnych uczuć Olejana skali.
Szła więc dalej zabawa; twarze się oblekły
W jeszcze większą czerwoność; jedli więc ser spiekły,
Przesolony, zgorżkniały (co mu wartość daje) —
Gospodyni przed gośćmi knysz serowy kraje
I stawia także serem nadziane pirogi,
Ogromne, niby chodak ze złodziejskiej nogi; —
Stawia kawałek uda zabitego cielca,
Którego wnet oprawią chociaż bez widelca
I noża, sądząc pewno, że dość dla cielęcia
Używania żelaza w chwili jego rżnięcia.
W czasie tego wszystkiego niby jak w kość sroka
Olejan się wpatrywał, gdzie grusza wysoka
Sterczała ponad domem z dachem w szacie mszystej. —
W tejże chwili na ścieżce wązkiej i spadzistej
Po przed Gułową chatą szła kobieta stara; —
Plecy jej okrywała wielka płachta szara
Nie pierwszej już czystości. Oku Olejana
Była widać ta postać całkiem dobrze znana,
Bo wyszedł na dziedziniec i krzyknął: „Makryno!“ —
Stara się zatrwożyła groźną chłopca miną,
Co był znany z dobroci. Olejan się zbliżył,
Szyderczym śmiechem zęby okropnie wyszczerzył,
A potem cedził: „Tak to? daliście mi ziela,

Przy którem zdechnę, nim się doczekam wesela. —
Dziś piłem go na wieczór. I cóż? przez noc całą
Polecieć mi do Fenny koniecznie się chciało!
Co ojciec ma zmartwienia" — tu już się zaperzył
I dłonią się na starą okropnie zamierzył;
Lecz wróżka widząc, że już krucho koło skóry,
Suchą ręką wskazała na dalekie góry,
Mówiąc: „tam twój ratunek!" — Olejan stał blady;
A Makryna mówiła: „Tam idź szukać rady
Za Beskid; jest tam wróżka silniejsza o wiele
Odemnie, ona takie uwarzy ci ziele,
Że zaraz wyzdrowiejesz od Fenninych czarów." —
„Gdzież to?" — pytał Olejan. — „Idź nad wielki
[parów,
Obrośnięty grabami, przerżnięty strumieniem,
Gdzie trzy wielkie iglice szarawym kamieniem
Wystrzelają do góry; tam po nad urwisko
Potoka, gdy kto idzie, to jest bardzo blisko
Od granicy węgierskiej." — „Źle, źle z mojem
[zdrowiem —
Mruczał chłopak — dziś pójdę, nikomu nie powiem
I wrócę zdrowiuteńki;" — tu Makrynie starej
Dał do ręki za radę trzy nowe grajcary, —
Poczem wrócił do chaty, gdzie wciąż było gwarno,
I siadł, zwieszając głowę myślami ciężarną.
Makryna zaś przebywszy szczęśliwie wypadki
Z pieniądzmi szła pośpiesznie przez wysokie kładki
Nad wężowym strumieniem, aby się pokrzepić
I jak najśpieszniej owe trzy grajcary przepić.
Tak idąc gdy stanęła przed Dańkowym domem —
Nagle jej znowu w uszach zagrzmiało jak gromem
Otwieranie gwałtowne drzwi z wyciem w zawiasie.
Wróżka wstała dziś widać w nieszczęśliwym czasie,
Bo w tej chwili drobniutka dłoń młodej dziewczyny
Trzymała silnie czepiec zgłupiałej Makryny.
Fenna to stała przy niej; lice miała zbladłe,
Oczy czarne już mocno do głowy zapadłe —
Mimo to jeszcze piękne lśniły się złowrogo;
Najpierw starą Makrynę silnie kopła nogą,
A potem, niby żmijka, mówiła sycząco:
„Ty bestjo stara! on mnie tak kochał gorąco,
A dziś przez twoje czary nagle mnie porzucił;

Ale ciebie nie proszę, by się znów nawrócił —
Znajdę mądrzejszą wróżkę; — no masz! to pa-
[miątka“ —
I wnet na twarz Makryny przylepła pieczątka
Z pięciu drobnych paluszków. Fenna rozszalała
Chustkę z głowy kobiety gwałtownie zerwała,
I ciągle swoje groźne czyniąc jej wymówki,
Trąciła starą babę w sam środek gnojówki
I krzycząc: „to dodatek do jego zapłaty“ —
Pobiegła całym pędem z dziedzińca do chaty;
Tam przebierając odzież niby do podróży
Mruczała: „znajdę taką, która mi powróży
I pomoże.“ — Dnia tegoż znikł Olejan z domu,
Słówka o tem nie rzekłszy z rodziny nikomu.
Ojciec przeląkł się mocno, a tu ani słowa
Nikt nie doniósł o chłopcu; że zaś chłopska głowa
Pełna zawsze przesądów, wnet mózgi wieśniacze
Widziały go na gruszy, kędy wrona kracze,
Rozdartego na sztuki, które Fenna w nocy
Miała na maź przemienić przy djabłów pomocy.
Później mówiono, że wiatr, który dął wieczorem,
Unosił jego ciało bezwładne nad borem,
Gdzie się wznosiła czartów niebezpieczna debra; —
Raz konar mu wyrywał — to kawałek żebra,
To głowę, to bezkształtne kadłuba kawały;
Duszę zaś mieli czarci pochwycić do skały.
Lecz nikt jeszcze nie wiedział, że w Dańkowej chacie
Zapłakano dnia tegoż po Fenninej stracie:
Dańko z żoną nie małej pełni byli troski —
Bo Fenna gdzieś zniknęła z swej rodzinnej wioski.

Węgierska wróżka.

Gdy przejdziemy węgierską górzystą granicę,
Nad spienionym strumieniem trzy wielkie iglice
Strzelają prosto w górę; z dołu gaj grabowy
Roztacza swą zieloność na dzikie parowy,

Wielkie progi granitu i rozdarte boki;
Dokoła bawią oko wspaniałe widoki
Cudnej tej okolicy mimo jej dzikości.
We mgłach ztąd widno z dala dachy jakiejś włości,
Lecz między nią a laskiem rosną jeszcze chrusty
I ciągnie się jar długi jałowy i pusty; —
Bo sądzę, że chacina do góry przyparta
Przedstawiać nam ludzkości zupełnie nie warta, —
Jar ten jest zatem pusty prócz tej chatki małej,
Z której krokwie jak żebra po bokach sterczały;
A okna widać tylko zbudowano na to,
Aby je pozatykać to deską, to szmatą.
Drzwi były ze szparami i tak w bok wygięte,
Że każdy kot wszedł śmiało, gdy były zamknięte;
Lecz miały tę zaletę, że przy otwieraniu
Wyły głośno, o gościu dając znać w mieszkaniu.
Jest to chata wróżbiarki. Ścieżka wydeptana
Świadczyła, że dość często była uczęszczana.
I teraz jest gość w izbie. — Na ławie przy stole
Siedziała Fenna niemo; na ładnem jej czole
Falowały uczucia; badawcze spojrzenie
Utopiła w wróżbiarce. Na nieba sklepienie
Wysunęły się chmury, a mrok wieczorowy
Wszystkie dzienne obrazy zatarł do połowy;
I tylko oczy Fenny migały. — Wróżbiarki
Błyszczały także, ale maleńkie, jak tarki
Wśród napiętrzonych zmarszczków, we wszystkich [możliwych
Kierunkach wyżłobionych, aż w las włosów siwych.
Noc ciemna zapadała; — stara zapaliła
Małą lampkę, a Fenna na góry patrzyła
Przez pozostałą szybkę, nie zatkaną szmatą.
Oprócz huku potoka, co dudnił pod chatą
Cisza była i parno. Jedną nieba stronę
Zajęły czarne chmury bezładnie skłębione,
I gdy z południa jeszcze jaśniejsze przestrzenie
Były w błękitach nieba, północ skryły cienie,
Łącząc się w jedną masę; — czasem wśród tablicy
Zczerniałej przelatywał wężyk błyskawicy —
Ale grzmot przez odległość ledwie z hukiem wody
Pędzącego strumienia iść zdołał w zawody.
Po chwili jednak głośniej usłyszeć się dawał;

Zczerniał ostatni nieba rozjaśniony kawał,
Ale ilość błyskawic rosła w każdą chwilę; —
Grzmoty do tego stopnia zyskały na sile,
Że pewnie by brzęczały szyby starej chaty —
Ale je zastąpiły niebrzęczące szmaty
I deszczułki rozliczne zatkane. W tej chwili
Powstała Fenna z ławy: „No, coście mówili,
To róbcie — rzekła — wicher będzie wył nad bory,
Pomyślniejszej niż teraz nie znajdziecie pory,“
I drżała z rozdrażnienia. „Dobrze — wróżka rzekła —
Dobędę siły choćby od samego piekła —
Ale musisz najpierwej zapłacić guldena.“
Bardzo krótko potrwała finansowa scena,
I gulden był u starej, która tak mówiła
Otrzymawszy zapłatę: „Wielka moja siła!
Potrafię ci kochanka ściągnąć wichrów lotem
Aż tutaj, ale piękna wiedz także i o tem,
Że gdy go wicher porwie i zamiesza w chmurach,
Może łatwo zawadzić o lasy na górach,
I wtedy twój kochanek rozszarpie się w sztuki.
Wiedz także, że i inne znają te nauki —
Mogą go zatem wstrzymać. No teraz spróbuję,
A jeśli nie doleci, niech cię Bóg ratuje,
Bo ja już nic nie zrobię.“ — Wzięła nóż ostrzony:
Nim machała w powietrzu w cztery świata strony,
I kiedy głośne gromy na dworze dudniły,
Zatknęła go do ławy z całej swojej siły.*)
Burza wyła na dworze, aż krokwie się gięły,
Lecz nim ze dwie minuty powolne minęły,
Fenna z niecierpliwości koszulę podarła;
Urywane przekleństwa leciały jej z gardła;
Rozburzyła warkocze, topiąc w nie kurczowo
Swe palce, a tu chwilę ucichło na nowo,
Jak gdyby dla zamachu, bo wnet nad urwiskiem
Oblały się trzy szczyty błyskawic odbłyskiem,
A grzmoty potrząsnęły na Beskidzie lasy;
W tej chwili zaskrzypiały drewniane zawiasy,

---

*) Wieśniacy w górach wierzą, że można przez pewną manipulację z nożem porwać kochanka powietrzem, byle tylko o lasy nie zawadził.

I kiedy Fenna drżała jak w śmiertelnym dreszczu,
Wbiegł do chaty Olejan przemokły od deszczu.
Chłopiec spojrzał na Fennę. O! gdyby grom owy,
Co ryczał głośnem echem pomiędzy parowy,
W niego uderzył, większej nie zrobiłby zmiany:
Olejan się zatoczył, czepiając się ściany, —
Oczy mgłą mu obiegły, a Fenna pomału
Przystąpiła doń bliżej; pierś jej drżała z szału
Dzikiego upojenia; z tryumfalną miną
Krzyknęła: „Podły zdrajco! nie żartuj z dziewczyną!
Przez rozległe urwiska i karpackie szczyty
Leciałeś na głos czarów tej starej kobiety,
Opiekunki dla biednych! — Znaj tę moc straszliwą!“ —
Tu błyskawica migła swą ognistą grzywą
I zatrzęsła się chatka od gromów, zaś Fenna,
Zwycięztwem nad chłopakiem szatańsko promienna,
Ruchem ręki zdumiałą wróżkę pożegnała,
I kędy jakaś wioska światełka rozsiała,
Poniosła szybkie kroki po ścieżkach urwistych
Pośród silnego deszczu i błysków ognistych,
Wiodąc ręką niemego ze strachu chłopaka.
Ulewa ciągle trwała na świecie jednaka;
Noc niesłychanie ciemna; ścieżki rozmakały,
Tylko światełka z wioski jak gwiazdy migały,
Ale bardzo daleko. Kiedy już przebyli
Część drogi, chłopak ciężko odetchnął; po chwili
Stanął i oprzytomniał; wiatr go widać krzepił,
Bo się silnie rękami do krzaka uczepił.
Nogi zarył do błota. „Co chcesz?“ nagle spytał; —
Lecz słowa jego piorun w stu echach rozchwytał,
A on się uczuł silnie za kołnierz ujęty. —
„Zdrajco — krzyknęła Fenna — próżne twe wykręty!
W przepaść cię zaraz rzucę.“ Głos gromy głuszyły,
A ona znów nim trzęsła z całej swojej siły,
Krzycząc: „Co chcę, ty pytasz? O głupie pytanie!
Czyś dotąd niedopatrzył, w jakim jestem stanie?
Chcę cię mieć mężem zaraz.“ Chłopak był struchlały,
Gdy groźne błyskawice twarz Fenny oblały —
Była wtedy okropną, z włosem rozburzonym,
Tym blaskiem fosforycznym jasno oświeconym. —
Chłopcu rozum się mącił. Pamiętał, jak we śnie,
Że wyszedł z domu rano, zbudziwszy się wcześnie

Przed innymi, ażeby pójść niepostrzeżony
Do wróżki, co mieszkała od węgierskiej strony
W Beskidach. Tam miał znaleźć lek na swoją miłość;
A tu wpadł w taką jakąś szatańską zawiłość,
Iż uwierzył nareszcie, że to czarów siły
U nóg go pięknej Fenny przez Beskid rzuciły.
Drżał więc jak liść osiki; biedna jego głowa
Była bezradną, dalej szedł za nią bez słowa. —
Nagle błysły przed nimi dwa jasne płomyki
I gwar jakiś doleciał; widać, że jar dziki
Zupełnie pusty nie był: wśród nocy i słoty
Rozeznać się dawały dwa szare namioty.
Przed nimi tliły ognie i rój nagich dzieci
Majaczył na tle dymu i iskier zamieci.
W namiocie leżał człowiek; miał twarz ogorzałą,
Włosy krucze, w dłoń ujął laskę z wielką gałą
Ze srebra wyrobioną, takiż rząd guzików
Odbijał się od jasnych ogniska płomyków;
Przy nim stała cyganka. O! gdyby dwie twarze —
To jest jej i Fennią umieszczono w parze —
Różnicy by nie było; chyba ta jedyna,
Że Fenna była bielsza o wiele dziewczyna
I młodsza bardzo znacznie, zaś w całej budowie
Nie było krzty różnicy. Właśnie po parowie
Płomień jaśniej rozbłysnął, gdy z mroku wieczoru
Weszli młodzi w sam środek cyganów taboru.
Zaraz zbiegły się dzieci, i starsi zdziwieni
Powstali, zkąd ta para wyszła z nocnych cieni;
Ale małżonka wójta, gdy się popatrzała
W twarz Fenny: „toś ty dziewczę!“ — głośno [zawołała —
„Chodź tu,“ — i pociągnęła Fennę pod namioty. —
Świat cały się utopił wśród nocy i słoty;
Błyskawice zrzedniały, a światełka włości
Znikły we mgle ukryte i nocnej ciemności.

Upiór.

W czasie tym umarł Dańko. Zaraz po zniknięciu
Fenninem zasłabł. — Świat swój widział on
[w dziewczęciu
I zmartwił się okropnie, gdy bez powiedzenia
Gdzie idzie, poszła z domu. Dańko zapalenia
Płuc dostał, chodząc za nią po sąsiednich wioskach,
I tak wychudł w dni parę przy tych swoich tro-
[skach,
Że tworzył kupkę kości i zżółkniętej skóry.
Oczy tylko błyszczące zawracał na góry
Przez otworzone okno, czy gdzie na kamiennej
Dróżynie, nie dostrzeże swojej drogiej Fenny,
Wracającej z nieznanej wędrówki. Z łzą w oku
I z jej mianem na ustach, dostawszy krwiotoku
Umarł, całą swą wioskę nabawiwszy trwogi,
Gdyż śmierć tę za wypadek uznano złowrogi;
Bo wiadomo, że Dańko w swe piersi kaszlące
Miał wsadzone dwa serca okropnie bijące
I dwie dusze miał także, co wieśniacze głowy
Ogłaszają za symptom czysto upiorowy; —
Gdy więc potem niedługo zdechła we wsi krowa —
Uznano, że to sprawka niechybnie Dańkowa.
Trwoga więc padła na wieś; a do tego jeszcze
Pewien gazda zobaczył zjawisko złowieszcze,
Wracając późno z karczmy; mówił że szedł nocą —
Słyszy, a tu wroniska skrzydłami łopocą
Na gruszy, zkąd zleciały cztery niedoperze;
W końcu wyjechał Dańko na czarnym ogierze
Z wrót swojej własnej stajni. Chłopak opowiadał,
Jak wtedy całą swoją przytomność postradał,
I kiedy oprzytomniał, widział, jak coś biało
Ubrane weszło w chatę, potem zajęczało,
Co również stwierdzić mogą cerkiewni wartnicy.
Mówili, że widzieli, jak postać dziewicy
Chodziła po cmentarzu i głośno szlochała,
A była dziwnie straszna; zaś mogiła cała
Była trochę ruszona, jak gdyby kto dłonią

Wzruszył jej świeżą glinę i czołem bił o nią. —
Fakt był wtedy niezbity, że upiór wojuje
I że prawdopodobnie dużo namorduje
Ludzi i bydląt we wsi; — również było faktem,
Że w nocy przyszła Fenna wprost węgierskim traktem
I jęcząc poleciała na Dańka mogiłę.
Tejże nocy skradziono Oleksie kobyłę,
Korzystając ze śmierci Dańka, co pilnował
Dobytku, — fakt był również, że się nie znajdował
Olejan dotąd w domu, choć Fenna wróciła. —
Dziewczyna teraz całkiem przed ludźmi się kryła,
Bo parę dni jej w domu nie bywało czasem,
A nie wracała drogą tylko gęstym lasem,
Unikając straszliwych spojrzeń ludzkiej złości. —
Niepokój wciąż się wzmagał w przerażonej włości,
A każda noc to inną przynosiła trwogę.
Tam owca komuś zdechła, tu wół złamał nogę,
Wszystkiemu zaś był winien Dańko — jego czynem:
Nieszczęście! — Hryć okropnie rozpaczał za synem —
Tylko te groźne rzeczy nieco przerywały
Jego rozpacz: u niego zawsze się zbierały
Sejmiki, i Hryć silny „pro publico bono“ —
Zakamienił na razie zrozpaczone łono
I oddał się zupełnie gminie do posługi;
Bo straszną rzeczą płacić upiorowe długi;
Przy tem niknie największe nieszczęście jednostki; —
A tu darmo zburzono od cmentarza mostki,
Nadaremnie Makryna rozdawała ziele;
Znów zdechło (chorujące od miesiąca) cielę,
A w końcu grom straszniejszy do wioski uderzył;
Pewien stary gospodarz — „tu żył i już nie żył,“
(Wprawdzie — mówią — od roku wprawie niedo-
[magał)
Jednak ludzie wierzyli, że Dańko ich smagał
Upiorowym oddechem. — Hryć poszedł gdzieś w
[góry, —
Ztamtąd przywiódł wróżbitę i gdy gęste chmury
Sciemniły noc do reszty, północną godziną
Poszedł z nim razem oraz dobraną drużyną
Na cmentarz; — tam pomiędzy chwasty i bzy białe,
Trącając szczątki trumien i kości spróchniałe,
Odkopano straszliwą upiora mogiłę;

Hryć poleźć do jej wnętrza znalazł w sobie siłę;
Tam rozwaliwszy trumnę siekiery obuchem,
Wyciągnął Dańka z jego dubeltowym duchem,
(Co mu nie przeszkadzało cuchnąć należycie.)
Teraz podano topór obcemu wróżbicie,
I ten, by pewną była upiorowa zguba,
Najpierwej mu odrąbał głowę od kadłuba,
A potem parę razy ciął po piersi suchej.
Adieu dwa jego serca i podwójne duchy!
Dańko runął do grobu, glina zadudniała
O wieko, i znów wielka mogiła powstała,
Poczem wszyscy odeszli do chaty Hrycowej,
Gdzie wróżbita otrzymał banknot stureńskowy
I opił się wódczyska jak bąk wraz z gromadą.
Ale Hryć z zakończoną tą całą paradą
Został się z wielkim smutkiem. Po zniknięciu syna
Cały świat mu się wydał jak gdyby ruina;
I gdy swoje znużone obrócił źrenice
Na skrytą w mgliste lasy węgierską granicę —
Po raz pierwszy zapłakał, wsparłszy na stół czoło.
Do tego różnych plotek pełne było sioło:
Powiadano, że w lasach od węgierskiej strony
Został podarty ubiór chłopca znaleziony,
Ciało zaś pewno wilcy po jarach rozwlekli;
Że Fenna czarownica, — wszyscy to orzekli.
Jej wielka chata jeszcze straszniejszą się stała;
Bo istotnie ponuro wcale wyglądała.
Oleksa zachorował na febrę i leżał,
Dla tego wiatr na dachu słomę ponajeżał,
Bo nie miał kto poprawić zgniłego poszycia.
Do nieszczęsnego zatem tej rodziny życia
Nędza się przybliżała pośpiesznymi kroki.
Na świecie bulkotały wesoło potoki,
Wiosną szumiały gaje, jak gdyby kontrastem
Chciały być do tej chaty porośniętej chwastem. —

Na św. Jura.

Wiosna więc swoje szumne rozpostarła skrzydła,
Myjąc deszczem śnieg z wierchów niby twarz [z bielidła,
I ciepło się zrobiło, jak w prawdziwe lato.
Po górach było wprawdzie porządnie srokato,
Bo w jarach śnieg pozostał, lecz za to w ugorze
To widno, jak pług parą małych byczków orze,
To brona jednoroczném źrebięciem ciągniona,
Faluje wśród grud strasznych stromego zagona. —
Pracujący wieśniacy zwracali swe oczy
Na lasek, co obrastał stok górskiej uboczy
I klęli, co się zmieści, kiedy dojrzał który
Między krzaki kobiecej postaci kontury.
Postacie te — okryte w płachty — to znikały
W zaroślach, to po brzegach stromych się drapały,
Szukając ziół. — Trza wiedzieć, że na święto Jura
Najwięcej się natęża czarownic natura:
Szukają one ziela, co krowom zadane,
W przerażający sposób powiększa śmietanę.
Jest inne takie, które kiedy zadasz krowie
Sąsiada, to ta krowa wnet służbę wypowie
I doić się przestanie, dając krew miast mleka,
Które do krów czarownic natychmiast ucieka.
Najstraszniejsze jednakże, kiedy w nocną porę
Podejdzie czarownica pod czyją oborę
I zdoła z drzwi stajennych wyłupać trzaseczkę.
Wtedy krowy nie dadzą mleka ni troszeczkę,
Bo się wszystko do stajen czarownic przeniesie.
Te to tedy osóbki błądziły po lesie
I po górzystych debrach; zresztą takie czyny
Już nieraz ukarało wiejskie prawo gminy.
Dodać także potrzeba, że po Dańku wdowa
Miała być wszystkim we wsi czarownicom głowa.
Noc ta tedy jest straszna. Wiele osób w siole
Nie pilnując obory pozostawia pole
Wolne dla dzieci nocy, ze strachu szczególnie;
Lecz są tacy, co czarów nie ścierpią potulnie,

Tylko pilnują stajen wziąwszy w ręce topór.
Nie łatwo jednak stawić czarownicom opór,
I każdy będzie prawie na pewne za słaby,
Bo one zwykłe chodzić, to w postaci żaby,
To w kociej, i tak w stajniach wyłupywać wrota.
Wasyla Gułę także zebrała ochota,
Pilnować swej obory. Wziął ostrą siekierę
I usiadł tuż pod stajnią, mając chęci szczere,
Utopić jasne ostrze w każdym śmiałym gadzie,
Który wierny powszechnej czarownic zasadzie,
Chciałby z odrzwia wyłupać czarodziejskie trzaski.
Cisza była; gwiazd z nieba miljonowe blaski
I daleki szum wody w noc bezksiężycową
Zmieszały się w obrazy nad Wasyla głową
Pełne widm fantastycznych w mglistej swojej szacie;
To widział czarownice, jak mkną na łopacie,
Trzymając w dłoniach mlekiem konwie napełnione;
To widział, jak te larwy różnie przemienione,
Suwają się po trawach; lecz kiedy przemykał
Lekki wietrzyk, ten obraz w jednej chwili znikał,
Bo Wasyl się ocucał i oprócz gwiazd błysku
I cichego jaskółek po swych gniazdach pisku
Nic wcale nie dostrzegał; wszystkie wstrętne larwy
Skryła noc roztaczając swoje ciemne barwy.
Lecz nagle Wasyl zadrgnął; widzi wśród obory
Postać jakiejś niepewnej okropnej potwory, —
Słowem żabę zobaczył; ta skacząc z pod płota,
Zbliżała się pomału pod stajenne wrota.
Czas więc działania nadszedł. Wasyl drżąc ze strachu
Podniósł ostrą siekierę w górę dla zamachu
I cisnął w stronę żaby, sam zaś do mieszkania
Uciekł; na jutro wszystkie odkładał sprawdzania
Co do celności rzutu; lecz zanim swe czoła
Góry w słońcu skąpały, już wieści wśród sioła
Latały piorunowo; już ludność zdumiona
Powiadała, że wdowa po Dańku raniona
Silnie w nogę siekierą. Wasyl rozpowiadał,
Że to on jej niechybnie taką ranę zadał,
Gdy mu szła zabrać mleko w swej żabiej postaci, —
Chwalił się, że on jeden nabiałów nie straci.
Wiara w czary dziś tworzy górali wyznanie,
W to wierzą więcej niźli w boskie przykazanie —

Zaraz tedy wieczorem wójt wytoczył sprawę;
Tłumem wielkim karczemną obsiędziono ławę,
I nim jeszcze przed siebie przywołano strony,
Już na ich koszt był garniec wódki wypróżniony. —
Wasyl Guła wniósł bardzo oskarzenie jasne,
Bo przecie widział żabę na swe oczy własne;
Stwierdzono również także, że żona Dańkowa
Leżała ciągle w łóżku, bo była niezdrowa,
A chorobą być miała jakaś w nodze rana.
Kiedy więc rzecz została dokładnie zbadana,
Uchwalono natychmiast wysłać do jej chaty
Ludzi kilku, fantując odzież albo graty
Na zapłacenie wódki, to jest kosztów sporu.
Wyszło czterech pijaków i ciszę wieczoru
Rozdarły cztery głosy pieśnią zachrypniętą.
My ich wyprzedzim, patrząc w tę chatę zaklętą:
Na prostem łóżku, płachtą podartą okryta
Leżała chora strasznie wychudła kobieta
I stękała biadając na nogę bolącą,
Którą wczoraj zraniła, stąpiwszy niechcąco
Na siekierę, przy progu przypadkiem rzuconą.
Na rogu pieca szczypy wprawdzie zapalono,
Ale te przygasały i zczerniałe ściany
Ponuro wyglądały. Gorączką złamany
Oleksa upadł na piec i leżał bezwładny;
Był to ostatni stopień tej febry szkaradnej,
Która naszych wieśniaków dość często napada
Po robocie na Węgrzech. Wieś corocznie składa
Pewien procent umarłych, którzy z lichej wody
I strasznego gorąca, czy stary czy młody,
Zapadają na febrę, a że po lekarza
Nikt nigdy nie poseła, śmierć często się zdarza —
Li tylko z prostej febry. Dobija połowę
Okropne ich lekarstwo, jak liście lulkowe,
Albo potężna łyżka sinego kamienia;
Oleksa więc spuchł cały od tego leczenia;
Leżał bez przytomności. Fenna siadła z boku,
Jakiś ogień niezwykły palił się w jej oku
Na jęk stłumiony starej, drżały u niej usta,
Ale twarz, która była wybladła jak chusta,
Znamionowała siłę. Fenna nie rozpacza;
Prędzej by rozbijała niżby do bogacza

Jakiego szła o pomoc, lub by płakać miała.
Poszła, i ze swej skrzyni resztki wybierała...
Wydobyła koszulę i wstążkę czerwoną;
Bo trza wiedzieć, że wczoraj ostatek zmielono
W żarnach ości owsianych i tem pożywieniem,
Co nabija jak szpilek w gardło z podniebieniem —
Posilono się trochę, a było to wczora;
Przecie do serca Fenny nie wejdzie pokora,
Oczy jej ostro świecą; płakać się nie przyda.
Poniesie więc ostatnią swą odzież do żyda —
Za to dostanie zboża, a dalsze swe losy
Na cóż jej teraz badać? — Groźne jakieś głosy
Doleciały z podwórza, nim próg przekroczyła.
Rzesza wron po nad dachem nagle się zbudziła,
Zwiększając smutek chwili dzikim swoim wrzaskiem.
Skrzywione drzwi od chaty rozwarły się z trzaskiem
I czterej pijanice wpadli z groźną miną.
Jeden z bezwstydną twarzą stanął przed dziewczyną,
A trzej poszli do starej i groźnie mówili:
„Ty stara czarownico! jużeśmy odkryli,
Kto nam czaruje krowy. Wasyla siekiera
Pewno, że ci zła duszo! porządnie doskwiera —
Ale to nie wystarcza; gmina już wypiła
Ze dwa garnce gorzałki; ty będziesz płaciła;
Wójt cię kazał zagrabić.“ — Tu jakby się wściekli,
Najprzód podartą płachtę ze staruszki zwlekli,
Potem widząc, że Fenna koszulę trzymała,
Zażądali, by zaraz dla wójta ją dała,
I chcieli jej z rąk wydrzeć. Wtedy Fenny oczy
Dziwnie się wywróciły; jak w bajce twór smoczy
Zmieniła się okropnie; zbielała jak chusta;
Biała piana wściekłości wyszła jej na usta. —
Rzuciła się na zbirów i swą dłonią małą
Chwyciła tak jednego, że mu dech zatkało;
Drugi upadł pod ławę silnie potrącony,
Trzeci za nos się złapał krwawo naznaczony.
Ale się siły Fenny przy tem wyczerpały,
Osłabła mocno, piersi okropnie sapały,
A ręce jej opadły; — wtedy słudzy gminy
Rzucili się jak wilki do bladej dziewczyny
I wnet ją przewrócili; swe ciężkie kolana
Tłoczyli jej do piersi; lecz krwią ich polana,

Co jej ciekła na usta, orzeźwiała nieco
I dziwną swą zwinnością djablą czy kobiecą
Zdołała sobie ulżyć (gdyż chłop miał łaskotki)
Lecz znów się wyczerpały jej wojenne środki,
I byłaby z pewnością zbitą niesłychanie, —
Oleksa jednak powstał z pieca niespodzianie
I takiem strasznem spojrzał na oprawców okiem,
Że opuścili chatę przyśpieszonym krokiem,
Potężnie wylęknieni. — Lecz w walki zapale
Fenna o swoich skarbach zapomniała wcale,
I jej białą koszulę i wstążkę czerwoną,
Upuszczoną na ziemię szybko pochwycono,
Zabierając do karczmy, gdzie znaczonych krwawo
Wódką wynadgrodziło mądre wiejskie prawo,
A ludzie się dziwili wielkiej ich śmiałości,
Że szli do strasznej chaty wśród nocnych ciemności.

Syn upiora.

Hryć stary tejże nocy, usiadłszy na ławie,
Głowę swą podparł dłonią i w takiej postawie
Siedział, myśląc o synie. Sen go się nie czepi —
Na cóż się kłaść do łóżka? — noc przesiedzieć [lepiej,
Patrząc, jak suche szczypy trzeszcząc, szybko płoną.
Pierwszy raz Hryć nie poszedł, chociaż go proszono,
Do karczmy sądzić czary. Siadł na wielką ławę
I zwracając na ogień swoje oczy łzawe,
Wzdychał; a tu na niebie miljony gwiaździste
I niebo bez obłoków, jako kryształ czyste,
Urągało boleści ojca — rozjaśnione!
Na niem się rysowały wierchy poszczerbione
I rozdarte jarami lesiste urwiska.
Tam może ze swojego żarłocznego pyska
Zrobiły grób synowi wilki wraz z krukami.
Hryć słucha, gdy nieznacznie coś skrzypnęło drzwiami,

I gdy zwrócił tam oczy, coś z czarciej krainy
Ujrzał we drzwiach. Stworzenie w rodzaju dziewczyny
Dziwnie straszne stanęło na progu od chaty;
Z głowy jej w kłębach zwisał włos czarny, kudłaty,
Zakrywając część twarzy i szerokie czoło;
Koszulę miała zdartą, pierś zupełnie gołą;
Była cała skrwawiona i zwalana gliną.
Stała jednak z zupełnie niepokorną miną,
Choć całego nie miała odzieży kawałka.
W czarnych oczach migały wyraziste białka,
A usta miała w koło świeżą krwią ociekłe;
Wyglądała jak zwierzę niepewne i wściekłe,
A od krwi twarz się zdała straszniejsza i bledsza.
Otwarła usta trochę, wciągnęła powietrza,
I zamiast wyrzekania i rzewnego płaczu
Hryć usłyszał te słowa: „Ty stary bogaczu!
Nie przyszłam po żebraniu; ale tam on kona;
Stara na twardem łożu leży poraniona
I osłabła od głodu więcej niż z choroby;
Jak nic nie miała w ustach minęło dwie doby,
A tydzień jak już jemy chwast i z owsa ości;
Alem was tu nie przyszła upraszać litości,
Choćby wszyscy pozdechać mieli w naszej chacie!
Hryciu! sprzedam wam syna! mówcie! co mi dacie?“ —
Lecz zanim Hryć przemówił, kończyła nerwowo:
„Zaraz zwróci wam syna jedno moje słowo,
I natychmiast obeschnie płacząca powieka.
Dajcie mi kawał chleba i garnuszek mleka
Dla starej żony Dańka; ona na toporze
Zraniła sobie nogę, że stąpić nie może,
A Oleksa spuchł cały i na piecu kona.“ —
Hryć pochwycił natychmiast dziewczynę w ramiona.
„Żyje! żyje!“ — wzruszone usta wyszeptały,
A łzy mu na podłogę gdyby groch padały.
Potem jakby oszalał, pobiegł do komory
I wyniósł pełen mleka jeden garczek spory
I duży bochen chleba, co widząc dziewczyna,
Rzekła: „Idźcie do Węgier po waszego syna,
Chodzi z bandą cyganów około Michali;
Na mą prośbę go oni ze sobą zabrali;
Znam tam jedną cygankę. Me domostwo stare
Miałam na zawsze rzucić i żyć z nim na wiarę!

Ale gdy miałam odejść, by nigdy nie wrócić,
Oni pochorowali. — Nie mogłam ich rzucić
I w chorobie i głodzie opuścić zdradziecko.
Hryciu! temu podziękuj, że ujrzysz twe dziecko!“ —
Hryć pochwycił dziewczynę i ściskał za szyję.
Płakał, mówiąc: — „Dziewczyno! mnie dosyć, że żyje;
Ty mi go z grobu wracasz.“ — Tulił ją w objęcia,
Zapomniawszy kto winien był tego zniknięcia.
„Ty dziś moja synowa“ — mówił dalej czule;
Potem wyniósł jej białą z komory koszulę.
Po swej nieboszczce żonie i tę dał dziewczynie.
Nagle uderzył w czoło. „O Dańkowym synie
Mówiłaś?“ — pytał Fenny, i gdy potwierdziła,
Że Oleksę ogromna niemoc powaliła,
Co z niej trudno wyzdrowieć, Hrycia przeszło mrowie
I zaczął ręką mocno skrobać się po głowie,
Mrucząc: „Straszliwe rzeczy! ojciec jego chodził
Po śmierci i on pewno, że się nie odrodził
Od Dańka; będzie tedy znów biedy nie mało,
— Pójdę do was — rzekł w końcu — widzieć, co
[się stało.“ —
I poszli razem z chaty. — Słysząc, że w karczminie
Huczało. Hryć rozkazał iść naprzód dziewczynie
Do domu, a sam wstąpił wewnątrz na naradę.
Zastał tam zgromadzoną na sądach gromadę;
Wszyscy byli pijani i w piekielnym gwarze
Sądzili czarownice. Mniej ponsowe twarze
Poszukał Hryć wśród tłumu; — Waśko, ojciec Hani,
Był także trochę trzeźwy. Ci tedy wybrani,
Zostali wywołani przez Hrycia do sieni;
Tam natychmiast z gorzałki byli wytrzeźwieni,
Jak ten im opowiedział, co ich znowu czeka.
„Śmierć Oleksy — Hryć mówił — jest już niedaleka;
Musimy tam iść zaraz. Mnie wróżbita stary
Nauczył, jakie robić nad upiorem czary,
By po śmierci nie chodził.“ — Tu gromadka cała
Natychmiast do Dańkowej chaty się udała. —
Gdy weszli, już Oleksie zwisły z pieca nogi,
Matkę zaś starą Fenna dźwigała z podłogi,
Bo upadła na ziemię, chcąc wlec się do syna.
Istotnie miała czego przerazić się gmina.
Oleksa był już martwy; wcale się nie rusza —

Ale jeszcze jest w ciele druga jego dusza,
Bo twarz wcale nie zbladła. Pod piersiową deką
Drugie serce upiora biło jeszcze lekko,
I nie był wcale sztywny, co jest symptomatem
Tego, co po umarciu nie zrywa ze światem,
Wiodąc na wieś nieszczęście, lecz jest rada na to:
Hryć przyniósł dzikiej róży gałązkę kolczatą
I okręcił nią trupa; lecz ten wciąż czerwony
Pozostał; Hryć więc kazał przynieść gwóźdź od brony;
I żeby raz zakończyć z tym upartym duchem,
Wbił go Oleksie w głowę siekiery obuchem.
To dopiero zostało skutkiem uwieńczone:
Lice upiora, dotąd okropnie czerwone,
Zbladło; w piersi ustało lekkie serca bicie;
Za chwilę nawet skostniał biedak należycie,
I już całkiem spokojnie na zapiecku leżał,
Lecz Hryć swojemu dziełu jeszcze nie dowierzał,
I wsypał w usta trupa białego nasienia
Z maku, i znów dwa gwoździe wbił mu do ciemienia:
Po czem koniec Oleksy we wsi ogłoszono,
I wnet się w chatę zeszło młodych ludzi grono,
Aby sobie wyprawić tę dziką zabawę,
Jaka się wciąż powtarza, gdy trup zaległ ławę.
Pod oknem koło stoła przy umarłym zawsze
Zbierają się dziewczęta i chłopcy najżwawsze,
I przerozmaite figle do rana platają.
Całą noc się szalone śmiechy rozlegają, —
Bo zwykle ktoś się przebrał w śmierć z kosiskiem
[w dłoni,
A mogli być spokojni: — z Oleksowej skroni
Sterczał wielki gwóźdź w górę, twarz czerwoną nie
[miał,
Podejrzany stuk serca na wieki oniemiał,
Owity pręciem róży i uśpiony makiem. —
W tydzień już się Hryć cieszył swoim jedynakiem,
Po którego do Węgier wysyłał posłańca.
Przywieziono go tedy, jak jakiego brańca,
Ale w nim teraz dziwna była jakaś zmiana. —
Wybladło i zmężniało lice Olejana;
Nawet się nie uśmiechnął, gdy mu Hryć powiedział,
Że go żaden od Fenny nie rozłącza przedział.
Chłopiec podczas tej swojej w domu niebytności

Widać, że się zupełnie wyleczył z miłości;
Więcej z trwogą spoglądał niżli z zachwyceniem
W twarz Fenny; już nie cieszył się swem ożenieniem,
Ale za to w mężatkach nagle zasmakował;
Jakiś szał go niezwykły teraz opanował;
Większą część życia w karczmie na zabawach trawił,
I jakby jaką pompę do siebie przystawił —
Tak pompował na wszystkie strony swe uczucie.
Dawną swoją nieśmiałość w dzikie zmienił chucie,
I gdy nie widział Fenny, co raz więcej szalał.
Ucieszony nim ojciec na wszystko zezwalał,
A tchórz dawny biegł wszędzie gdzie czuł liczka [gładsze;
Zmienił się aż do gruntu w tej cygańskiej szatrze,
Wypróbowawszy żywot wesoły i gwarny. —
Ale z pijackiej pieśni, z jego wargi czarnej
Widno było, że wszystko gorączkowo czynił,
I gdy go źrenic Fenny groźny błysk obwinił —
Stawał przed nią strwożony, tłumacząc się z drżeniem.
Jednak Fenna swem częstem z domu wychodzeniem
Ułatwiła mu zdradę. — Kobiety mówiły,
Że czas, by włosy czarne pod czepiec się skryły,
Ona jednak z lubością rozprawiała wszędzie,
Jak w dziewiczym wianuszku w cerkwi ślub brać [będzie,
W czem jej musi być pewnie nadzwyczaj do twarzy,
Jak się jej nie powstydzi pierwszy z gospodarzy
Hryć stary; — później znikła z rodzinnego grona
I w miesiąc aż wróciła dziwnie wychudzona.

W noc letnią.

Noc była ciemna; kwiatów zmieszane zapachy
Rozlewały swe tchnienie; dym, co wiązał dachy,
Rozszedł się gdzieś bez śladu, bo już późno było.
Wszystko się już do spania we wsi ułożyło —
Tylko echo potoka, który biegł z oporem

Po wystających głazach, zdwojone wieczorem
Szumiało jednostajnie; ale ktoby okiem
Kociej siły popatrzył nad owym potokiem —
Dojrzałby, jak człowiecza głowa raz po razu
Wychylała się z boku z za wielkiego głazu,
Który sterczał przy brzegu tuż pod wielką chatą,
Zdającą się z pozoru możną i bogatą.
Lecz to nas nie obchodzi, li tylko tragiczna
Scena w wnętrzu tej chaty, scena energiczna:
Nadobna gospodyni chce gdzieś iść z mieszkania,
Co mąż jej znowu również energicznie wzbrania
Dowodząc, że dnia światło lepsze jest o wiele;
Podczas tego żoneczki język szybko miele.
Mówi, że ma interes do chaty sąsiedniej.
„Pójdziesz — mąż odpowiada — kiedy się rozedni.“ —
I gdy mu nadto tego, zresztą podejrzywa,
Że się w tem nocnem wyjściu jakiś cel ukrywa,
Rozcina ten gordyjski węzeł, biorąc kija
I nim z głowy małżonki spacery wybija.
Poczem kobieta z płaczem idzie pod pierzynę.
Podczas tego noc kryła młodego chłopczynę,
A był nim nasz Olejan, który dzień pijacko
Przepędzony, chciał skończyć miłą nocną schadzką.
Stanęła tedy z jedną kobietką umowa;
On to czekał pod brzegiem, a gorąca głowa
Już myślą obrabiała te wszystkie pieszczoty.
Dumał, jak to przelezą przez wysokie płoty
Do znanej im zielonej milutkiej murawki,
Która nieraz widziała ich miłośne sprawki
Razem z wysokim płotem, co białą koszulę
Pięknej Jewki zakrywał, gdy księżyc swą kulę
Najniepotrzebniej nieraz, nad górą szczerbatą
Wytaczał, pokazując swą twarz głupkowatą.
Tego dnia jedna chłopcu źle poszła wyprawa,
Bezczynne pozostały płotek i murawa,
A księżyc także darmo pozostał za górą.
Olejan patrzał w chatę groźnie i ponuro,
A nieświadomy przejścia młodziutkiej kobiety,
Co raz jej dosadniejsze wlepiał epitety,
Mrucząc sobie pod nosem; nakoniec znudzony
Odszedł zły, że ten wieczór został dlań stracony. —
Szedł wściekły, oczy mając do ziemi zwrócone,

Gdy nagle przed nim błysły okna oświecone,
A Olejan bezwiednie zadrgnął, gdy przez szyby
Rzucił okiem do owej spokojnej siedziby.
On tam już za tym stołem siedział obok Hani;
Czuł że widok tych okien serce jego rani,
Lecz nie wiedział, dla czego. Wspomniał twarz Haniną,
Życie jego minione zdało się ruiną,
I w tym nastroju spojrzał w okno zachwycony,
I zapomniał natychmiast wszystkie cudze żony.
Widział w owem zjawisku już dojrzałem okiem
Roztoczony splot włosów złocistym potokiem
Na dziwnie białem czole, spuszczony na szyję;
Pojął ten blask cudowny, co jej z oczu bije,
I tę dziwną łagodność. Usiadła na ławie —
Niezgłębiona tęsknota była w jej postawie;
Nóżkę wsparła na konew, a główkę na ręku!
Słowem dojrzał Olejan, o nieznanym wdzięku
Postać Hani Gułównej. Na pół rozebrana
Siedziała jeszcze sama w nocy — zadumana. —
Teraz gdy się Olejan w jej postać wpatrywał,
Roje swych dawnych uczuć szlachetnych zdobywał.
Pierś mu się ścisła smutkiem, gdy dojrzał w jej [twarzy
Boleść. — O czem tak ona zasmucona marzy? —
Wnet sam siebie zapytał; a wtem piękna Hania
Powstała i przez wrota wybiegła z mieszkania.
Stanęła, patrząc w gwiazdek migających krocie,
I tak się zadumała oparta na płocie,
Że widać zapomniała o spania potrzebie.
Zadumana błądziła po gwiaździstem niebie,
Topiąc wzrok w bezgranicznym niebiosów obszarze.
Zobaczyła dwie gwiazdy, co chodziły w parze
Szlakami drogi mlecznej w wieczystej uciesze;
Usłyszała pisk ptasząt, co mieszkały w strzesze
I szmer polnych koników; dłonie załamała,
Bo wszystko było w parach, ona jedna stała
Nieszczęśliwa wśród lata pogodnego gwaru
Samotna wśród gór ludnych całego obszaru!
„Co dumasz?“ — rzekł głos do niej, cichszy niż [koniki
Szemrające po trawach, i gwiazdek promyki
Oświeciły twarz chłopca. Hania na ramieniu

Uczuła drżącą rękę. „Co chcesz? — w przerażeniu
Krzyknęła; — czego chodzisz wśród nocy pod płoty?“ —
„Haniu! — mówił Olejan — tak dziwnej tęsknoty
Jeszczem nigdy nie uczuł, jak dzisiaj. O! Haniu!
Wieczysta dla mnie pustka we własnem mieszkaniu
To mnie najwięcej boli, że myślisz, żem skłamał,
Żem zdradliwym człowiekiem, co swe słowo złamał.
Dziewczyno! popatrz na mnie i pociesz mą duszę.“ —
„Dobra noc — rzekła Hania — do domu iść [muszę;“ —
I chciała wejść do chaty; ale dłoń chłopczyny
Zdołała ją powstrzymać. „Daruj moje winy“ —
Mówił drżąco Olejan i chciał się ustami
Dobrać do twarzy Hani. „Z nikim wieczorami
Nie chodzę po pod płoty“ — rzekła rozgniewana;
I dłonią odepchnęła głowę Olejana
Prosząc, żeby ją puścił, bo będzie krzyczała.
Ale nagle uczuła, że dłoń zwilgotniała
Leżąc na oczach chłopca; to ją rozmiękczyło;
Odpychała go wprawdzie, ale z mniejszą siłą;
W końcu zgięła się ręka czułego dziewczęcia.
Olejan ją bezsilną pochwycił w objęcia
I całował po rękach, oczach i w pierś białą. —
„Dziewczyno — rzekł — ja nie wiem, co się ze mną [stało,
Żem się dostał do Węgier; w głowie mi się miesza,
Kiedy o tem pomyślę. Wzrok twój mnie pociesza;
Patrz na mnie, drogie dziewczę!“ — Hania popatrzała.
„Tyś nie winien — mówiła — że cię zczarowała,
Wsadzając jad pod serce i z czarów pomocy
Dobywszy, niosła w chmurach wśród burzliwej nocy.
Tyś nie winien; tyś dla mnie był zawsze tak dobry.“ —
Tu już się rozbeczeli oboje jak bobry,
Maczając usta we łzach, co po licach ciekły;
A chwile, które Hani powoli się wlekły
Dotychczas, teraz całym pędem uciekały. —
Ciemnej nocy ubieżał już kawał nie mały,
A oni nic o bożym świecie nie wiedzieli;
Ale nagle w tej chwili z rozdartej gardzieli
Masy wron, wrzask się rozległ, a skrzydeł łopoty
Leciały po nad sady, budynki i płoty.
I czarno się zrobiło w Olejana duszy,

Bo czuł, że owe wrzaski lecą z wielkiej gruszy,
A pod nią jest dach mszysty, a pod owym dachem
Dziewczyna, co go takim przejmowała strachem —
Tej siły, która rzuca kochanka niewiarę
Nad lesiste Beskidy i obłoki szare.
Puścił więc z rąk natychmiast swój skarb ukochany
I poszedł bezprzytomny, jak gdyby pijany
Wprost do swego domostwa, gdzie w stodoły cieniach
Upadł w słomę i w czarnych utonął marzeniach. —

Piorun.

Czyż mógł usnąć od razu Olejan w stodole,
Gdy mu serce szarpały niesłychane bole,
Zrodzone z tej niezwykłej wcale sytuacji?
Bo ta, którą tak dawniej kochał do warjacji,
Stała mu się zaporą i wiecznym ciężarem.
Zapomniał pierwszy całus nad karpackim jarem
I wśród gęstych paproci pierwsze upojenie;
Ale nie mógł zapomnieć o tej strasznej scenie,
Kiedy go prowadziła wśród nocy i burzy,
Później mu powiedziała, jak sobie zasłuży,
To każe mu robakom żywcem stoczyć ciało.
Ze strachu więc przed Fenną jego serce drżało;
Bo wierząc w zabobony jak wszyscy górale,
Za wprost zwykły przypadek nie uznawał wcale
Spotkania u wróżbiarki. Był zupełnie pewny,
Że to ona ściągnęła wiatr i deszcz ulewny
I w piersi jego takie wpakowała czary,
Że sam nie wiedział, kiedy leciał po nad jary
I nad lasy karpackie. Fenna sama zatem,
Choć była dla chłopaka dawniej całym światem,
Wyrwała z jego serca miłość, jaką płonął;
Bo zamiast tego jadu, co z jej ust wyzionął,
Powinna była swoje ramiona otworzyć
I na usta chłopaka taki całus złożyć,
Jak pierwszy u źródliska karpackich potoków,

Kiedy mu się zdawało, że dosięgł obłoków,
Otrzymawszy pieszczoty, o których nie marzył. —
Olejan nie mógł zasnąć. Radby się poskarżył
Przed kim na swoje smutki; a tu był sam tylko.
Przewracał się po słomie, a chwilka za chwilką
Wlokły się zbyt pomału; noc zdała się rokiem;
Jakieś dziwne obrazy stały mu przed okiem;
Myślał nawet się wieszać na belce stodoły;
Głowa go rozbolała i wśród tej mozoły
Usnął nad samem ranem; ciężką swoją głowę
Wbił do słomy, a góry już blaski różowe
Otoczyły i słońce lazło na błękity.
Olejan mocno usnął; leżał jak zabity,
Gdy nagle uczuł, że go coś w piersi dotyka.
Rozwarł oczy, i w świetle jasnego promyka,
Co się wśliznął na niego przez szerokie szpary,
Ujrzał Fennę. Przed chwilą śniły mu się czary,
Jakie mu uczyniła; zdała mu się wstrętną
Ze swą w niego zwróconą źrenicą namiętną,
I gdy ona do niego mówiła w tę chwilę,
Widział śnione obrazy w całej swojej sile,
I niemal słyszał gromy huczące po jarze;
Widział ognie cyganów i ich czarne twarze,
A w dali pośród nocy tumanów błyszczące
Światła wiosek, jak gwiazdy za chmurę niknące
Razem z jego miłością, co mu z serca głębi
Uciekała — jak ptaki przed dziobem jastrzębi.
On nie chciał takich oczu. Fenna obok siadła,
Na serce mu dłoń swoją i na czoło kładła;
A kiedy chłopak leżał z okiem przymrużonem,
Dotknęła jego twarzy licem rozpalonem,
I wziąwszy go za szyję uściskała czule;
Lecz Olejan, jak gdyby dostał w serce kulę,
Tak pozostał bez ruchu. „Co tobie się stało?“ —
Szepło dziewczę — i nóżką bosą go trącało.
A on mruknął, że na ból głowy zachorował.
„Ale cóż to przeszkadza, byś mnie pocałował?“ —
Rzekła Fenna namiętnie. — Więc by dać dowody
Swej miłości, przyłożył usta gdyby lody
Do drgających warg Fenny. W słomę się zaryli,
Bo słońce do stodoły wtargnęło w tej chwili
I jasność obie twarze rażąca oblekła.

Długo nic nie mówili, Fenna w końcu rzekła:
„Wiesz, po com tu przybyła?“ — On spojrzał [zdziwiony,
Jakby pytał: już przecież został wypełniony
Obowiązek kochanka: cóż więcej chcesz jeszcze? —
Fenna mówiła: „Wczoraj spadły silne deszcze;
Będziem sadzić kapustę, przyjdź mi zorać grzędę;
A teraz już spij sobie, budzić cię nie będę;“ —
I złożywszy mu na twarz znów całus gorący,
Poszła — a chłopiec został smutny i tęskniący. —
Olejan powstał zaraz, swe plecy przeciągał
Leniwie i do pługa wnet woły zaprzągał,
Idąc orać dla Fenny tuż obok jej chaty.
Gorąco było straszne, a sinawe szaty,
Co ubierały lasy, znikły w słońca skwarze.
Czarna chmura szła zwolna po niebios obszarze
Od południowej strony. Olejan pomału
Zaczął orać, osłabły całkiem od upału.
Ale podczas gdy słońce z jednej strony piekło,
Z za gór się jeszcze więcej czarnych chmur wywlekło,
I wszystkie groźnie warcząc kłębiły się razem
Niby tło dla malarza, gdzie piorun obrazem.
Przedstawiał się jak wężyk, a odbłysk niebieski
I białawe obłoczki, jak wspaniałe freski
Potężnego artysty — niebo malowały,
Później chmury się w jedną tablicę zrównały,
A słońce w bocznych strzępków utonęło puchu.
Chmura stała na niebie bez żadnego ruchu,
Niby jakaś równina czarna, niezmierzona;
Co chwila wąż ognisty wylatał z jej łona,
A ona się zwiększała straszliwa ogromem. —
Olejan orał ciągle pod Fenninym domem,
Na nic nie uważając; on większą miał burzę
W swej piersi; ale nagle pobielało w chmurze;
Kilka piorunów padło w lasy niedaleko;
Chłodny wiater zawionął, zrazu bardzo lekko —
Ale już w parę minut, z okropnem jęczeniem
Połączyła się ziemia z niebiosów sklepieniem
Straszną masą ulewy i wichru z gromami;
Schowały się jak dzieci domy przed domami,
A drzewa się zginały niby małe wiechy.
Olejan pobiegł szybko do słomianej strzechy,

Aby skryć się przed burzą; ale zadrżał cały,
Gdy oczy pięknej Fenny na niego spojrzały.
Otwarła ona okno i iskrzącem okiem
Patrzyła groźnie na deszcz, co lał się potokiem,
A Olejan w jej wzroku czuł strach chwili owej,
Kiedy go nocą wiodła pomiędzy parowy,
Po stromych górskich ścieżkach, z obtarganej chaty.
I dziś zwisały z nieba ogromne chmur szmaty,
A chociaż dzień był przecie — on siedział pod domem,
Lecz zdało mu się zawsze, że ona z tym gromem
Powiązana jest straszną jakąś tajemnicą;
Że oczy jej weń patrzą razem z błyskawicą,
Do której ona swoje białe zęby szczerzy;
Sądził, że z oka tego taki grom uderzy,
Jak i z czarnych niebiosów. Fenna i w tej chwili
Była jakaś zła dziwnie. „Wiesz co mi mówili? —
Rzekła do Olejana, hamując złość dziką; —
— Ty wciąż jak opętany — latasz za muzyką
I za żonami drugich; mężowie na warcie
Jak żołnierze stać muszą przez ciebie, lamparcie!
Popsułeś spokój we wsi; pełno wszędzie zwady;
Może chcesz jeszcze nowej dopuścić się zdrady?
Powiedz! — tu się głos Fenny stał głosem gadziny,
I zasyczała dalej: — Tej samej godziny,
Kiedy me oko zdradę u ciebie odkryje,
Ciało twoje za życia opadnie i zgnije,
A straszny ból wnętrzności rozrywać ci będzie;
Albo cię wicher porwie i o gór krawędzie
Rozerwie po kawałku! — wiesz dobrze, co umię!“ —
Lecz nim to domówiła, w strasznej burzy szumie
Razem z błyśnięciem dziko przy uszach im hukło;
Rozbite okno w tysiąc kawałków się stłukło,
A chłopiec się na ziemię przewrócił ze strachu:
W tejże chwili z mokrego, przegniłego dachu
Buchnęły słupy dymu, a burza je rwała; —
Fenna połową ciała przez okno zwisała
Z twarzą zupełnie siną; wtem iskier miljony
Rozdarły ciemne dymu gęstego opony,
I dach ogromnej chaty stanął w ogniu cały;
Iskry, płomień i dymy z burzą się zmieszały,
Waląc się aż ku ziemi w niesłychanej masie,
I w tym — niby od piekła dobytym hałasie —

Dał się wkrótce usłyszeć wrzask biegnących ludzi.
Ogień padał na Fennę, lecz jej nie obudzi,
Bo miała na wzdłuż szyi duże pręgi sine.
Olejan instynktownie pochwycił dziewczynę
I wyciągnął z płomieni. Ludzie nadbiegali,
Wśród masy rad i krzyku w ziemię ją wkopali —*)
Ale wszystko daremnie.... A po Dańku wdowa
Stała w strasznej boleści, jak posąg bez słowa,
Szklanne oko zwróciła w żywioł rozhukany,
Co zniszczył jej podporę i domowe ściany.
Chmura huczała dalej oddalonym grzmotem,
Gdy się dach wielkiej chaty zawalił z łoskotem,
I tylko szkielet gruszy sterczał opalony.
Olejan się wydawał niby zasępiony —
Ale łez jakoś nie mógł wycisnąć z powieki.
Zdawało się być pewnem, że w czas niedaleki
Zapomni o kochance z cygańskiego rodu. —
Zapomniał ją w istocie, i w ciszy ogrodu
Z Hanią stawał, nie trwożny na wron głośne wrzaski,
Starą wdowę po Dańku wziął do siebie z łaski;
A w kilka potem niedziel huczało wesele.
Hani z włosów złocistych wisiało wstąg wiele,
A dzień letni ozdabiał słoneczny blask złoty. —
Tegoż dnia po za wioską dwa szare namioty
Wielkiej cygańskiej bandy rozbite zostały;
Nagie dzieci po trawach kozły wywracały,
A w namiocie siadł człowiek z laską z wielką gałą
I czarna jego żona. — Wesele huczało
Przez trzy całe dnie z rzędu; Hania wyglądała
Jak róża, choć się ledwie na nogach trzymała
Z umęczenia; więc śpiąca nasza para młoda
Poszła spać do komory; lecz mała przygoda
Zatrzymała ich w progu: z pod wielkiej pierzyny
Rozległ się niespodzianie płacz małej dzieciny;
I kiedy róg nakrycia Hania odchyliła,
Twarz się Olejanowa rumieńcem pokryła....
Leżał tam smagły chłopczyk.... Rys twarzy choć [drobny
Był jak dwie krople wody do Fenny podobny.

---

*) Zwykle używane lekarstwo na porażonych piorunem.

Olejan mimowolnie rzucił wzrok ku stronie,
Gdzie się bandy cygańskiej popasały konie
I szarzały namioty — lecz cała murawa
Była pusta, gdzie stały i tylko kurzawa
Daleko na węgierskiej dróżynie dojrzana,
Przez chwilę przykuwała oczy Olejana,
Który w końcu sięgając do drewnianej klamki,
Rzekł swej młodej małżonce: „Pójdę szukać mamki.“

KONIEC.

Z Mirza-Schaffy

(Bodenstedta.)

Ani z anioły u niebios bram,
Ani z różami na polu tam,
Ani też z słońcem, co wiecznie trwa,
Ciebie porównać, Zulejko ma!
Miłość zamarła w aniołach już,
Ciernie u wonnych grożą nam róż,
Słońce też w nocnej gubi się mgle —
Wyższe są wdzięki, Zulejko twe!
Gdzie tylko baczyć na piękność lic,
Nic się nie równa Zulejce, nic —
Oczy jej wieczną miłością tchną —
Z sobą więc tylko porównać ją!

Sambor, 9. Kwietnia 1884.

G. Kohn.



O! ja pamiętam dom Wasz i ganek
I lipę starą . . . . .

(Bolesław Andruszewicz, Wspomnienie o Miodoborach, str. 183.)

Wspomnienie o Miodoborach,

przez

BOLESŁAWA ANDRUSZEWICZA.

Poemat opisowy z ryciną,

wykonaną przez autora.

Rzecz ofiarowana

Wielmożnym i Zacnym Państwu

Wandzie i Albinowi Poznańskim

w dowód niewygasłej pamięci.

Jak w dawne wieki Zbrucz fale toczy,
Jak w dawne wieki piętrzą się góry,
I po parowach tuman się mroczy,
Gdy słońce wschodzi na nieb lazury.
Tam ponad lasy też same kanie
Lot rozwijają i mkną w błękity —
Na łąki paść się wychodzą łanie
A wichry szumią ponad drzew szczyty:
W szumach tych płyną modły do Boga,
W szumach tych płyną żalu błagania:
Kiedyż cię ujrzę, ziemio ma droga?
Kiedyż mi błysną chwile świtania —
Chwile te drogie, co chybko mknęły
Jak te jaskółki czarne po niebie:
Jaskółki lotne skrzydła zwinęły,
A jam pożegnał ziemio ma ciebie!

O ziemio pełna cudów przyrody,
Pełna zamierzchłych wspomnień i baśni!
Gdzie teraz lasy — tam niegdyś grody,
Tam byli niegdyś bogowie właśni!
W zawiei czasów runęły grody,
Dzisiaj pamiątki tylko zostały:
Zostały góry, a orlik młody
Ponad nie wznosi bystro lot śmiały.
Duch mój się błąka między te góry.
Spotyka sobie duchy pokrewne —
Czasem zakracze mi orlik który,
Czasami słyszę śpiewania rzewne:
To słowik jękiem rozbudza echa,
To słowik tęskno kwili z wieczora,
A w serce płynie jakaś pociecha,
Przestaje gonić tęsknoty zmora.

O pomnę, pomnę krótkie, czarowne
Dnie, co mi chwilką ach jedną zbiegły —
O! bom ja dzisiaj jak ptak wędrowny,
O! bo przedemną dziś świat rozległy
I w wszystkie strony lecieć ja mogę —
Tylko zamknięto mi do Was drogę!

O Miodobory! bogów siedliska!
Klasyczna ziemio! cudzie Podola!
Gdzież te świątnice i uroczyska?
Jakaż przyświeca wam teraz dola?
Światowid runął w zbruczowe fale,
Lecz Bohot*) zawsze wznosi się dumnie:
Na szczycie drzewa zawodzą żale,
Szumią i płaczą, a duchy tłumnie
Jako ogniki błędne migocą
I znów znikają jak senne mary.
W porannem słońcu skały się złocą,
Mgły się podnoszą jak dym ofiary.

---

*) Na wyniosłym szczycie Bohotu miał prawdopodobnie Światowid swe siedlisko i kontynę.

Piękna dolina u stóp tej góry*)
Roślin kobierzec rozwija kwietny —
Po nad nią słońce, nieba lazury,
Po nad nią góry wierzchołek świetlny;
A w koło drzewa szumią i huczą,
A w górze czasem kruki zakruczą,
Czasem jaskółka przemknie polotem,
Czasami burza zaryczy grzmotem!
Lecz kiedy słońce na niebie świeci
I szczyty wzgórzy blaskami nieci,
Wszak pamiętacie — my wolne chwile,
Tam przepędzali wesoło, mile!
Dolinę wkrótce śnieg już zawieje:
Lecz wiosna przyjdzie i z nią nadzieje:
Nadzieja błoga Wam błyśnie z nieba,
Mnie ją pożegnać, porzucić trzeba!

Jest jedna góra o prostej ścianie**),
W ścianie tej otwór wiedzie do groty.
O! tam lubiałem iść na dumanie —
Tam cisza, spokój — tam promień złoty
Słońca czasami jasny zapłynie,
Błąka się, świeci i znowu ginie.
Jak się ten promyk po skale zwija,
Tak i mnie chwilka za chwilką mija
I ulatuje aby nie wrócić . . . .
Tam nieraz wieszcze miałem natchnienia,
O groto! ciebie musiałem rzucić —
Na pożegnanie szlę ci westchnienia!

Nigdy mi, nigdy nie wyjdzie z oczu
Postać Anioła jasna, świetlana,
Postać dziewicy na skały zboczu,
W bluszcze, w powoje leśne ubrana:
Ja ją widziałem na szczycie góry
Jakby nieziemskie, cudne widzenie:
Po nad nią nieba jasne lazury,
W koło niej słońca złote promienie,

*) Dolina ta nosi również miano Bohotu z tą różnicą, że dolina jest Bohotem pustołowieckim, a góra horodnickim.

**) Góra ta nosi na miejscu nazwę „Dziurawej skały.“

W ręku jej paproć, kwiat konwaljowy,
W oczach jej jasność anielska świeci,
A kiedy wzniesie ręce nad głowę,
Myślisz że Anioł do nieba leci.

Ja Ją widziałem w groty otworze:
Stała jak posąg bóstwa piękności,
Jakby królewna zaklęta w borze,
Uosobnienie czystej miłości.

O pomnę Ciebie w wieńcu kwiecistym,
W girlandach bluszczu, leśnych paproci!
O pomnę Ciebie w półcieniu mglistym
Przy wyjściu z groty, gdzie słońce złoci
Załomy skalne, kędy rośliny
Pną się po głazach między szczeliny
I kędy drzewa cienie rzucają,
W których gałęziach ptaszki igrają.
Ale tej chwili ni niebo jasne,
Ni słońce złote, ptasze śpiewania,
Ani te bluszcze i kwiaty krasne,
Ani w gałęziach wiatru szemrania
Myśl mą więziły — lecz lica Twoje,
Lecz płomienistych Twych oczu dwoje
I uśmiech luby, postać Anioła
I aureola, co z Twego czoła
Świeciła jasna i w serce moje
Słała nieznanych mi uczuć roje,
I duszę rwała aż tam, gdzie w górze
Słońce świeciło w jasnym lazurze,
Aż tam gdzie ptaszę swobodnie lata
Gdzieś ponad ziemię na kraniec świata!

Jest tam wśród lasów cudna „Polana“*)
W koło w festony, w wianki ubrana,
W około drzewa, góry w około:
Tam „Hołda“ dumnie wznosi swe czoło**),
Tam szumią w klombach świerki wspaniałe,

*) Polana Wielka.
**) „Hołda,“ piękna i wyniosła skała.

Tam rosną graby i brzozy białe.
Cudna dolina, łąka kwiecista!
Kiedy tam wrócę któż to odgadnie?
W koło otacza mię przyszłość mglista,
Wszystko to leży w przyszłości na dnie!

Jest „Jar“ głęboki w głazy usłany*):
Ściany ma proste, twarde, kamienne;
Kamień ten mchami, zielem ubrany,
A ponad jarem sklepienie ciemne,
Z drzew utworzone w bizanckie łuki.
W gotyckie szczyty mknie pod niebiosy:
Tam źródło tryska z kamiennej luki,
Takie przejrzyste jak krople rosy.
O! wody takiej nieznajdziesz w świecie!
Wody tej dzisiaj braknie poecie!
Jest jedno miejsce nie tak urocze**),
Ani tak piękne jak inne strony.
Po nad niem tylko niebios przeźrocze
I dąb wysoko w górę wzniesiony,
Gdzieniegdzie stoi. Lecz dołem za to
Krzew się zieleni przez całe lato,
Na krzakach owoc: orzech laskowy.
Tam codzień byłem, gdy świt różowy
Niebo okraszał — tam ja dumałem
I rojąc cudnie, orzechy rwałem,
Komu -- nie powiem. — Wy to zgadniecie,
Lecz to minęło jak wszystko w świecie.

W zamierzchłych wiekach, gdy jeszcze ludzie
Wierzyli szczerze, w pracy wytrwali —
To szli wypocząć po znojach, trudzie
Gdzieś na ustronie ku Boga chwale.
I dziś śród „Puszczy“***) znam miejsce takie:
Jest w skale grota, kuta w kamieniu,
Co podzielona w cele jednakie,

---

*) „Jar“ nosi nazwę w początku „Poprzecznego rowu,“ w dalszym ciągu miano „Parni.“

**) „Dąbrosiów porąb.“

***) Nazwa miejscowa śród lasów Rasztowickich, pochodząca od pustelni tu się znajdującej.

Ma w jednej celi krzyż na sklepieniu,
Wewnątrz ołtarzyk Bogarodzicy
Ubrany w kwiaty w firanek dwoje —
Tam światło płonie woskowej świecy
A w kratach okna leśne powoje,
Tu osiadł starzec na resztki życia;
Modli się Bogu, żyje w zaciszy,
Jemu nie straszne ni burzy wycia,
On w modłach tonąc burzy nie słyszy.

Rzuciłem progi małej świątnicy
I z myślą smutną obszedłem skały,
Minąłem biały krzyż na sklepieniu,
Ztąd mię uderzył widok wspaniały.
Spojrzałem okiem w przestrzenie świata:
Przedemną góry lasem porosłe,
Nad niemi orzeł wspaniale lata
I wicher huczy. Dęby wyniosłe
Zginają głowy, szeleszczą, szumią
Coś, jakby mówić, modlić się chciały.
Czasami głuche westchnienia tłumią,
Czasami milczą jakby zniemiały,
Oko me błądzi po sinych lasach
A dusza duma o dawnych czasach.
Niegdyś tu było Baby siedlisko*),
Niegdyś jej tutaj modły składano . . .
Babę strącono w rzeki łożysko,
Woda ją brudną okryła pianą.

Przestałem dumać—na cóż dumania?
Przeszłość nie wróci choć piękną była,
Przyszłość się czarno w myślach wyłania —
Nie będę dumać — zimna mogiła
Wszystko przykryje — wszystko zaginie —
Jak szczęście przeszło, tak życie minie!

Spojrzałem przed się. Słońce w zachodzie
Złociło góry, skały złociło;

---

*) Gdzie dziś pustelnia, stał posąg bogini Baby i było tu prawdopodobnie jakieś horodyszcze.

Potem skłoniło głowę w pochodzie,
Potem zniknęło — wszystko snem było.
Ptasząt ucichły gwarne śpiewania —
Las tylko szumi, sinieje w dali,
Mgła się podnosi, parów osłania,
Jeszcze się słońce w zachodzie pali,
Potem ciemnieje i noc osiada,
Tylko coś echo odbite gada.

Zeszedłem z góry — wtem dzwonek mały
Na anioł pański za mną zadźwięczał;
Na niebo księżyc wypłynął biały,
Pustelnik stary przed krzyżem klęczał.

Pamiętam dom Wasz, ganek i kwiaty,
Co klomby małe barwami kryły,
A postrojone jak w ślubne szaty
Szły do ołtarza, główki wznosiły.
Jak panna młoda lewkonia biała,
Aster jak młody głowę podnosi;
Koło nich dziatwa w szeregach stała,
A drużba goździk do tańca prosi
Szarletkę krasną. Za niemi stoi
Basista, skrzypek instrument stroi.
O ja pamiętam dom Wasz i ganek
I lipę starą, tam przed oknami
Ławkę kamienną, gdzie wiłem wianek
I gdzie wieczorem siadałem z Wami.
I tę przy drodze chatkę mą małą,
Pamiętam także figurę białą
Niepokalanej Bogarodzicy.
Ztąd widok piękny po okolicy
W dal się rozsłaniał na sioła, pola,
Na staw i rzekę, cerkiew na górze —
Przy lesie zbożem okryta rola,
Nad rolą ptaszek śpiewał w lazurze.

Mieliśmy tutaj świątyńkę naszą,
Gałęzie świerków sklep utworzyły,
Mieliśmy tutaj orkiestrę ptaszą,
Ptaszęta Matce Boskiej nuciły.
Tutaj się ona w wieczór modliła

I piękną wtedy jak Anioł była,
A na zachodzie słońce niknące
Ostatnie swoje promienie jasne
W koło jej głowy rzuciło lśniące
I ustroiło ją w koło krasne,
Że tak jaśniała jak Anioł Boski
Posłaniec nieba, Anioł-Stróż wioski.

Rzuciłem strony zawsze pamiętne,
Rzuciłem cienie lasów ponętne,
Których woń wiecznie do siebie woła,
Gdzie powiew chłodny pot ściera z czoła,
Gdzie szumy dębów do snu kołyszą,
Gdzie źródła szemrzą ukryte w cieniu,
Nad niemi krzewów gałęzie wiszą,
A słowik śpiewa gdzieś w oddaleniu.

O chciałbym dzisiaj orłem w błękity
Wylecieć szparko ponad gór szczyty,
Zobaczyć lasy, łąki, doliny,
Zobaczyć góry i ten Zbrucz siny,
Co szemrząc smutnie fale swe toczy
A wirem mąci wody przeźrocze.
Chciałbym sokołem lotnym kołować,
Chciałbym się wonią kwiatów lubować,
Zbierać je, składać, zwijać na wianki
I niemi skronie wieńczyć kochanki.
Chciałbym śród wichru, burzy i grzmotu
Ponad Podolem spróbować lotu,
Obejrzeć z góry wioski, osady,
Gdy ponad niemi tli księżyc blady.

Gdybym miał skrzydła, tobym wieczorem
Szybował długo nad ciemnym borem,
Potem bym zleciał, gdzie wszyscy kołem
Moi znajomi siedzą za stołem.
Ale jam dzisiaj jakby w więzieniu;
Widzieć Was mogę tylko w wspomnieniu
I tylko duchem rozmawiać z Wami,
Tylko się bawić przeszłości snami.

Więc żegnam wszystko: lasy i pola
I krasne góry tego Podola,

Gdziem przeżył lube, urocze chwile,
Co jak sen przeszły słodko i mile..
O! może kiedyś czasy te wrócą:
Wasze słowiki pieśń mi zanucą,
Wasze mi progi staną otworem,
Na ganku z Wami siądę wieczorem,
Przypomnim sobie dzieje minione,
Przypomnim chwile razem spędzone.
Więc do widzenia — ja do Was wrócę,
Skoro kajdany wiążące zrzucę!

OBJAŚNIENIA.

Równolegle z biegiem Zbrucza, ciągną się piękne podolskie Miodobory. Najpiękniejsze, najrozmaitsze i najwyżej wzniesione są na terytorjum gminnych wsi: Liczkowce, Horodnica, Postołówka i Rasztowce. O Miodoborach postołowieckich można powiedzieć, że są centrem całego pasma, zwłaszcza jeżeli w to wliczymy pograniczny „Bohot", który majestatycznie wzniósł się ponad wszystkie szczyty, a ramiona wyciąga do mniejszej braci—do gór okolicznych i woła je: „Boh-chot", do Boga chodź!

W zamierzchłych czasach poganizmu na ziemi naszej kto wie, czy nie tutaj miał swe siedlisko i swój kult bóg Światowid, bo w niewielkiej odległości ztąd płynie szparki Zbrucz, którego wzmożone fale mogły kamienny posąg poniżej zatoczyć w to miejsce, gdzie go znaleziono. Po dziś dzień zachowały się ślady wałów i okopów najwyraźniejszych poniżej góry na stoku jej północnym. Mogło tutaj być horodyszcze słowiańskie; wszakże i wieś o 3 Klm. ztąd odległa do dziś dnia nazwę „Horodnica" nosi.

Stok Bohotu zachodni jest nagły i urwisty, ściany jedna nad drugą prawie prostopadłe, mnóstwo w około oberwanych głazów i kamieni, a widok ze szczytu majestatyczny i rozległy i ztąd tylko swobodnie mógł Światowid rozglądnąć się po czterech

stronach świata. Stok wschodni do góry Sokolichy łagodny; północny i południowy równoważą stok zachodni z wschodnim.

Sam szczyt jest płaski i rozległy; od strony wschodniej prowadzi nań droga, którą przy szczycie zamykała niegdyś brama wchodowa i tutaj widać szczątki i rozwaliny dawnych murów z kamienia. Cały szczyt mógł stanowić horodyszcze wyższe. Znalezione tutaj dwa dłuta krzemienne złożyłem w Muzeum im. Ossolińskich.

Wspominano mi, że w części lasu: „Brześniak“ bliżej Zbrucza jest mniejsza góra, posiadająca coś nakształt starego ołtarzyska, nie miałem jednak sposobności naocznie się o tem przekonać.

Na północ od Bohotu rozsiadły się trzy góry, zwane na miejscu „Wysmalona-skała“ (tutaj może składano ofiary całopalne); w pośrodku i naprzeciw Bohotu wznosi się „Dziurawa-skała“, zwana tak od groty w niej się znajdującej—trzecia góra to „Dębowa-skała“ i tutaj mógł być święty gaj dębowy. Ściana północna „Dziurawej-skałki“ jest najzupełniej prostopadła do 15 mtr. wysoka, w niej na wysokość 2 mtr. od podstawy ściany zaczyna się wejście do groty. Grota to nie wielka, idzie równolegle do ściany a ku końcowi się zniża i zwęża—może jednak w sobie do 25 osób pomieścić. W grocie tej nie widać śladu ręki ludzkiej.

Równolegle ponad Zbrucz, o stromych ku niemu stokach, ciągną się góry: Sokolicha, Barwinczycha, Ciosowa góra (z kamieniołomem) i Borsuczyna (borsucze jamy). Dwie ostatnie góry są rozdzielone od siebie głębokim jarem, zwanym tu „Parnią“.

Na północ od Borsuczyny, poza „Ślepym-jarem“ na terytorjum już Rasztowieckiem, znajduje się „Puszcza“. —

Jak Bohot Światowida może, tak Puszcza była siedliskiem bogini „Baby.“ Południowa część góry od wierzchołka prostopadła, poniżej stroma aż do głębokiego parowu będącego przedłużeniem „Ślepego-jaru.“ Przy wierzchołku w ścianie prostopadłej znajduje się wykuta grota, podzielona na dwie części.

W jednej jest kapliczka, w drugiej mieszka pustelnik. Na wierzchołku skały dzisiaj krzyż jaśnieje w słońca promieniach.

Obchodząc skałę w około, dochodzi się do wysokiej ściany, przy której wznosi się naturalna kolumna, głaz, którego wierzchołek połączony ze ścianą skały innym poziomym głazem i tym sposobem powstaje tu rodzaj naturalnej groty. Przed tobą przepiękny widok na „Ślepy-jar,“ na górę Antkową, na wąwozy i skały, na poziomy grzbiet dalekiej Sokolichy i gór Podola Rosyjskiego — za tobą stoi trumna oparta o ścianę kamienną. Trumnę tę przygotował sobie pustelnik na ostatnią chwilę życia.

Idąc z „Puszczy“ ku Zbruczowi t. j. w kierunku wschodnim, dochodzi się znowu do przedhistorycznych okopów i murów kamiennych, z których ledwo szczątki widne i tutaj także znajduje się wejście do podziemi — dziś wejście to zawalone.

Jeśli gdzie, to tutaj wartoby robić poszukiwania, chodzi tylko o dobrą wolę, umiejętną rękę i małe koszta, a możnaby wiele odkryć z tajemnic bogini „Baby“ i z zamierzchłych czasów życia i kultu Słowian.

Pisałem we Lwowie na Cytadeli, 7. Listopada 1886.

Naukowość lita

w Anglii — i u nas

Napisał

SZCZĘSNY MORAWSKI.

Zdarzyło się, że Akademia nauk krakowska z grona swojego wysłała na zjazd europejski fizyków, profesora fizyki, który się tam przedstawił, jakim był i zdziwiony chłodem przyjęcia spostrzegł, iż jest między ludźmi, z których każden życie swoje poświęca li tylko małej cząstce nauki tej ogromnej: więc wrócił upokorzony, jak mi to sam opowiadał.

Zdarzył się znowu europejski zjazd orjentalistów w Szkocji, więc Akademia nasza znów wysłała profesora mowy chaldejsko-hebrejskiej, którego zawieziono do domu, kędy miał być gościem. Pani domu, żona konsula z Małej Azji przywitała go po chaldejsku, z czego nie rozumiał nic a nic. Potem córka jej starsza witała go uroczyście mową turecką, a młodsza jej siostra po arabsku: a on jak to mówią po rusku ani uryż! Orjentalizm skończył się na francuzczyznie jakiej takiej!

Otóż i obecny list pochodzi od angielskiego uczonego jednolitego, któren życie i mienie poświęca badaniu much, ale na tem polu znalazł u nas drużbę godnego w księdzu doktorze Grzegorzeku plebanie w Bochni i sądzi że znajdzie więcej — więc się odzywa do nauczyciela ludowego w Podegrodziu, którego imię wyczytał w ogłoszeniu wiadomości o kopalni węgla kamiennego tamże zaniechanej. W węglach

znachodzą muchy przedpotowe, więc prosi o onych opis lub o muchy same. — Źle się udał.

Za to w piśmie naszem umieszczamy list jego: może się kto znajdzie, co chce wejść w styczność z uczonym Anglikiem*).

129 Grosvenor Park Camberwell London England July 25. 1887. To Prof. Loew.

Drogi Panie!

Od około sześciu lat badam ściśle Europejską Dipterę i o tyle Exot. Dipterę, o ile mogę znaleźć chwilę wolną. Ponieważ środki moje są nadzwyczajnie szczupłe, nie jestem w stanie zakupić całego zbioru Europ. Diptery, więc mój zbiór obejmuje tylko około 750 gatunków, z których wiele nie nazwanych.

Gdybyś Pan mógł obejść się bez niektórych egzemplarzy Europ. gatunków, choćby nawet zwyklejsze byłyby dla mnie wielką pomocą, a niektóre byłyby prawdopodobnie nowymi w moim zbiorze.

Byłbym nieskończenie wdzięczny za każdą choćby małą pomoc, jakąbyś Pan zechciał mi udzielić, czy to w egzemplarzach, czy krótkich opisach (te byłyby dla mnie bardzo cennemi), czy w korespondencji.

Zamierzam pisać dzieło kompletne o całości Dipteryi europejskiej, które jak sądzę, zabierze mi około 15 lat pracy, a przeciągnie się na około XX tomów.

Gdybym się nie obawiał urazić Pana ofiarując Mu sprzedaż niewielu gatunków, brakujących w mym zbiorze, radbym bardzo zakupić takowe, jeżeli cena będzie słuszną lub niską.

Obecnie jestem zajęty koło dzieła o Conopidach całego świata, a otrzymałem egzemplarze tego działu

---

*) Przytaczamy w przekładzie p. Morawskiego list rzeczony. Tekst oryginału jako zbędny dla szerszej publiczności — opuściliśmy (Przyp. red.)

ze wszystkich stron. Czy nie zechciałbyś Pan wyświadczyć mi tej szczególnej łaski, pożyczenia mi swego zbioru co do tego działu, tak europejskich jak i Exotycznych?

Nie zatrzymałbym ich dłużej nad dwa lub trzy tygodnie, i dołożyłbym wszelkich starań, aby nie uszkodzić egzemplarzy.

Jestem w korespondencyi z Baronem Osten-Sacken, Baronem Roederem, prof. Jennicke, Mikołajem Bellards, Battendierem, Kowarzem, Begotem, Kucheldorffem, Verallem, Meadem i innymi w różnych częściach świata, i czułbym się bardzo zaszczycony, gdybyś Pan pozwolił mi korespondować i z sobą o Europejskich Dipterach. Pan A. Grzegorzek był tak łaskaw pożyczyć mi swe Conopidy, które teraz właśnie mu zwracam.

Spodziewając się paru słów od Pana, proszę etc.

E. Brunetts.

Bądź Pan łaskaw pisać po angielsku lub po francuzku, gdyż nie jestem dostatecznie w niemieckim mocny.

Myśli jesienne.

Słonko krwawe zsyła cienie,
Po poddaszach wicher huczy,
Pierś stęskniona śle westchnienie,
Dziwny lament — las tam mruczy.
Po kalinach coś szeleści,
Drżenia listków jesień wróżą,
Pewnie liść łodygę pieści,
Nim opadnie strącon burzą.
Czarne chmury krążą w koło,
Wir wiatrowy je pogania,
Ziemia łyse korząc czoło,
Resztką krasy się zasłania.
Nicość — martwość — cienie złudne:
To ostatnie marzeń krańce,
Panorama ich tak cudne,
Lecz to szczęścia oszukańce!

27. Września 1887.

Marja Bielewiczowa.

Piosenka.

Kiedy smutek serce tłoczy,
Kiedy umysł troska gniecie,
Kiedy łzą zachodzą oczy,
Kiedy źle ci, bracie, w świecie,

Wtedy pomyśl: nie ja jeden,
Nie ostatnim ja w niedoli,
Tyle moich gorzej cierpi,
Więcem nie sam, mniej to boli.

Stryj, 2. Grudnia 1886.

A. S. Olechnowicz.

Na cmentarzu.

Obraz posępny tu razi twe oczy
Marności świata — lecz razem uroczy...
Tu wszystko inne — tu cały świat inny!
Tu drzemią wspólnie: winny i niewinny!
Tu anioł śmierci skrzydła rozpościera
I sieje ciszę; ta nam stroi ducha,
Ale na nutę — co w piersi zamiera...
I tylko dziwnem westchnieniem wybucha.
Tu wietrzyk ledwie musnąć się ośmieli
Lica kwiateczków, co wychodzą z wiosną —
Lub smutnej brzozy, przyodzianej w bieli
Warkocza dotknąć — twarzą nieradosną.
I smutne ptaszki dziwne głoszą pienia,
Zda się umarłym sen umilić pragną...
Tu wszystko wzniosłe, pełne uwielbienia...
Ach! takie chwile do pokuty nagną!
Tutaj usłyszysz cichą modłę ducha
I łzę uronisz przeciągłym strumieniem —
Tu coś boskiego każdy widzi — słucha,
Obraz ten padnie na serce kamieniem.
Patrz właścicieli nagrobków imiona,
Jak różnych ludzi kryją te mogiły!
Śmierć wszystko zatrze — równości dokona,
Wszyscy tu bracia — wszystkim kącik miły!

Każdy tu zgodnie za cmentarną kratą
Czeka owego głosu Archanioła,
Którym go kiedyś do sądu powoła,
Gdzie sprawiedliwą mierzy Bóg zapłatą.

Franciszek Marzec.

Fantazja.

Leć mój duchu het wysoko —
Wzbij się wyżej ku przeźroczom,
Myśli z nieba czuj głęboko,
Łzy nie dozwól ronić oczom.
Licz tam gwiazdy na lazurze,
Splataj wstęgi z mgieł opony;
A choć ci się sprzykrzy w górze,
Nie zchodź k' ziemi unurzony!
Na lazurze księżyc świeci,
Twarz wybladłą kryje w chmury,
Słowik wprawdzie doń nie wzleci,
Lecz on piosnkę słyszy z góry.
On oddawna tam się zwiesił
Jak tajemnych scen skarbnicą —
On, rozpaczą zdjętych wskrzesił
Magnetyzmem swego lica,
W koło niego świateł krocie,
Jak pochodni słup ognisty —
Lecz cóż pięknu po pozłocie,
Gdy ma wdzięk swój osobisty? —

1. Października 1887.

Marja Bielewiczowa.

AFORYZM.

Kto za pieniądzmi, kto za zyskiem goni,
Kto przed szlachetnym zapałem ucieka,
Kto od ofiary dla Ojczyzny stroni,
Ten nie wart mianem szczycić się człowieka!

A. S. Olechnowicz.

Bóg tak chce.

Słońce szczęścia się uśmiecha,
Miło płynie życia zdrój,
Sama radość i pociecha
Wieńcem zdobią żywot twój;
Jakże w tak pogodne dnie
Łatwo wyrzec: — Bóg tak chce! —
Naraz groźne ciągną chmury,
Niebo czarny kryje strój,
Świat wprzód śliczny, dziś ponury,
Gorycz truje żywot twój;
Jakże w tak dotkliwe dnie
Trudno wyrzec: — Bóg tak chce! —
A jednakże, mój ty drogi!
Gdy ku niebu chcesz się wznieść
I mieć w drodze spokój błogi
I pielgrzymkę słodką wieść,
Musisz w wszystkie życia dnie
Mówić chętnie: — Bóg tak chce.

Józef Chmielewski.

Wycieczka do Oleska.

Opowiadanie.

Pożegnałam Podhorce i zapuściłam się w las bukowy i grabowy, ciągnący się dobrą ćwierćmilę. Droga tam zawsze zła, a szczególnie w czasach słotnych przez kałuże, po których się jedzie jak po madejowem łożu. Ale oto i las rzadnieje, i droga się ściela małym wąwozem i konie skręcają naraz; przedemną otwiera się nieprzejrzana okiem płaszczyzna, i tylko po lewej stronie półkolem wybiega łańcuch romantycznych wzgórz. Kto pierwszy raz jechał tą drogą, jeżeli miał w duszy iskierkę poetyczną, niepodobna aby nie kazał był stanąć i nie nasycił się widokiem kobierca, utkanego zielonemi łany, grupami starych drzew, malowniczymi dworcami, błękitniejącemi dwory.... a nadewszystko tym Oleskim zamkiem, co wśród obszernych trzęsawisk wznosi obdrapane swe czoło na wysokim kopcu i w szybach lśniących się blaskiem światła, wschód i zachód słońca odbija. Szyby w oknach — to jeszcze nie ruina, nie trup — tam jeszcze drgają szczątki życia, trzyma się całość, zamieszkują ludzie. Serce podróżnego bije silniej: za półgodzinę już dotknie on stopami swemi tych historycznych prochów, obejrzy te mury, pamiętające czasy Świdrygełłowe — tę kolebkę domu sławnego Daniłłowiczów — tę komnatę, w której po raz pierwszy Jan III. ujrzał światło dzienne. Takie uczucie budziło się i we mnie, kiedym zjeżdżała z białej góry; tak bowiem ją nazywają od śnieżnej białości wapiennego kamienia, którym spadzista droga usłana, a którą widać na mil kilka wijącą się między krzewy i las zielony. Widok

roztaczający się ze szczytu tej góry, bywa czasami jeszcze bardziej uroczy, jeszcze bardziej zachwycający, a mianowicie w pierwszych dniach wiosny, kiedy jadąc ze stron podolskich brniesz przez zaspy miękkiego śniegu i łajesz słońce, że go jeszcze nie stopiło a w tym samym lesie wóz twój turkocze po twardej zamrozi. Po tej tedy drodze spuściwszy się z białej góry, jechałam pagórkiem, po za którym powitało mię miasteczko Olesko.

Podupadłe dzisiaj, ogołocone z wszelkiego przemysłu i handlu świadczy ono o świetniejszej niegdyś przeszłości swemi kościołami: farnym św. Katarzyny i klasztorem OO. Kapucynów, leżącym u stóp zamkowego wzgórza. Pamiątek historycznych nie znajdziesz tu prócz chyba kilka nagrobków Daniłłowiczów we farze, natomiast spytawszy się starych ludzi, dowiesz się, że miasteczko Olesko obwiedzione niegdyś było murem, że były tu bramy ze zwodzonemi mostami, że po obu stronach tej grobli, prowadzącej do zamku, stały domy, tworzące ulicę Ormiańską..... Wszystko to, wszystko minęło, i to co stworzyła natura, i to co ludzie zrobili. Na prawo i na lewo rosną stare drzewa, ale wiele poobalanych przez czas i ludzie. Równolegle z tą widać drugą, kasztanami wysadzaną ulicę. Obie prowadzą do zamku; ale tamtą, acz taka wspaniała i piękna, nikt nie jeździ, bo dyszel i koła byłyby w niebezpieczeństwie. Jest podanie, że ją Jan III. zasadził. Przekonałam się, że z historycznych naszych postaci dwie tylko przeszły w pamięć ludu: królowa Bona i Jan III. Jeżeli gdzie zobaczysz jaki zamek a spytasz się prostego człowieka, kto go fundował? niezawodnie ci odpowie, że królowa Bona. Zadziwisz się odwiecznym kasztanem lub orzechem włoskim: zaraz ci powiedzą, że je król Sobieski swą ręką zasadził. Na końcu grobli stoi schludny kościół i klasztor OO. Kapucynów, a z pośród zielonych drzew rosnących na cmentarzu, malowniczo przeziera jego czerwona dachówka. Miejsce to zaciszne oddycha świętą prostotą. Lubiłam tam bywać na nabożeństwie, odprawianem z wszelką skruchą przez poważnych i ubogich zakonników. Klasztor ten niezbyt dawno istnieje, i

o ile mnie się zdaje, założył go Rzewuski, wojewoda wołyński.

Ale czas już pośpieszyć na zamek, do którego nie dalej nad paręset kroków, tylko że droga wije się dość stromo popod górę, i zasłaną jest kamieniami, niegdyś stanowiącemi bruk. Póki się skutkiem niedbalstwa i niezamożności ludzi niezawaliły arkady, po których idzie droga, póty można było powozem wjechać aż na szczyt do bramy zamkowej — dziś nietylko że ogromna rozpadlina broni przejazdu, ale sklepienia tak są wątłe i osłabione, że nikt się na tę próbę nie naraża. Przyznam się, że zawsze wolałam piechotą wchodzić na zamek, za każdym bowiem krokiem szerszy i powabniejszy odsłaniał się krajobraz, a bliżej drzewa owocowe i stare świerki zaniedbanego ogrodu, na które patrzałam z wysoka, wabiły mię pod cień swego liścia i zdawały się niby wtajemniczać w dawne dzieje.

Wchodzę teraz przez bramę, która niegdyś, gdy możny i gościnny pan mieszkał w tym zamku, zamykała się pewnie na wrota, okute grubemi szyny, a dziś wiecznie otwarta, bo chociaż zdaje się zapraszać wszystkich, to jednak rzadko tu gość wstępuje, a o zjazdach i festynach nawet i podanie nic już nie umie powiedzieć. Zapewne, że za czasów gdy ten zamek przychodził w ręce książąt Oleskich, za czasów gdy w nim stał załogą Świdrygełło, musiał inaczej wyglądać i mieć daleko warowniejszą postać, zwłaszcza gdy wspomnę, co pisano o nim w dziele zatytułowanem: „Lwów Stryjowi,“ że Jagełło, wyprawiwszy ze Lwowa wojsko przeciw Świdrygelle, zdobył najprzód Olesko, poczem się reszta zamków wołyńskich z łatwością poddała. Wnosićby można z tego, że to był klucz Wołynia. Zbudowany na górze, dziwnym sposobem wznoszący się wśród trzęsawisk, tworzy on front o jednej baszcie z bramą wjazdową. Od niej idą po obu stronach pawilony, a wszystko to ma formę klamry, która także i z czwartej strony zamkniętą być miała. Ale jeden z ostatnich dziedziców Oleska, chcąc sobie otworzyć widok na miasto, kazał ten mur zwalić: odtąd zyskał na widoku i na dziennej jasności, ale niemniej też i na sile wiatrów, które

wpadając w ten kąt zacieśniony, wyprawiały szatańską muzykę po wszystkich kurytarzach i kominach. Od wschodu lewa strona zamku nic nie przedstawia godnego uwagi; zdaje się, że była zawsze przeznaczoną dla sług i domowników, bo izby jej są małe i bez ozdób. Prawa strona i front noszą jeszcze ślady, lubo bardzo zatarte wspaniałej niegdyś przeszłości. Wszedłszy po nowożytnych drewnianych schodach na pierwsze piętro, widzisz dość gustowny salon o mozajkowych kolumnach z widokami malowanemi na ścianie, ale omijasz go skwapliwie jako pomnik nowożytnego a zepsutego już smaku. Za to komnata obok z wielką alkową swoją wita cię zrozumialszym już dla ciebie, bo językiem przeszłości. Wysokość jej dwa razy taka jak bocznego salonu, ogromny kominek z niezmiernie wielkim piecem róg jeden zalegają, okap kamienny przedstawia w rzeźbie Parysa, dającego jabłko Wenerze. Powały okrywa wielkie płótno w złoconych ramach, na niem wymalowane olejnemi barwami porwanie Europy. Ściany zamazane na zielono mieszczą portrety Jana III. i Marji Kazimiry. Miało tych portretów być więcej, ale jedne wzięto do Podhorzec, drugie dostały się do rąk prywatnych. Przed alkową stoją dwa sążniste drewniane posągi, podobno Apolina i Diany, suto niegdyś złocone, dzisiaj tylko biały gips tu i owdzie z nich przegląda. Z tem wszystkiem najwspanialsza to komnata z całego zamku. Nie wątpię, że w dawniejszych nawet czasach, jeszcze za Daniłłowiczów za pokój bawialny służyć musiała.

Wdrapuję się na drugie piętro. Przeszedłszy jakiś mały kurytarzyk, sionkę i kilka drobnych klatek, wejdziesz do komnaty obszerniejszej, ale w najopłakańszym znajdującej się stanie. Pokój ten niegdyś musiał być wielce wspaniały, znać to jeszcze teraz po mozajkowych ścianach, po świecącej gdzieniegdzie pozłocie a nadewszystko po płaskorzeźbach, umieszczonych w kształcie medaljonów na suficie, gdzie jeszcze można odczytać napisy: Horatius, Virgilius, Naso etc. Zapewne jakiś wielbiciel arcydzieł poetów rzymskich, jakiś muz przyjaciel, wypoczywając po krwawych harcach z Tatarami, upiększył sobie ten

kątek do rozmyślań poobiednych. Próżno byś tu pytał o szczegóły, mogące cokolwiek wyjaśnić: jeżeli były jakie, to w przeciągu czasu, wśród kolei rozmaitych, jakie ten zamek przechodził, musiały się zatracić a nakoniec pogrążyć w niepamięć. Jeden tylko, jeden ocalał, i to już nie wiem, jakim sposobem.

Z izby rzymskich poetów prowadzą wąziutkie, kryte schodki na wyższe piętro: udawszy się niemi na górę, wejdziesz do szczupłego pokoju, którego ściany fioletowe błyszczą jakby szkłem, w izdebce tej król Jan się rodził! Zabiło mi serce gwałtowniej, kiedym pomyślała, że o te ściany obił się pierwszy płacz dziecięcia, co miało dzwigać później tak ciężkiej korony brzemię. O żeby też ślad jaki się pozostał po nim! — tak dumałam — ale nic, nic nie pozostało się, tylko puste kąty, kurz i pajęczyna! W zamku podhoreckim pokazują jeszcze do dziś dnia marmurowy stół, na którym mały Jan chrzest przyjmował, choć nie w Podhorcach, ale w Olesku miejsce mu się należy, by zwiedzającym zamek opowiadał legendę o chrzcie małego Janka.

Limanowa, w Sierpniu 1887.

Aniela Weyde.

Łza żalu.

(Legenda.)

Ów sławny Mahomet żył jeszcze na ziemi,
 A często zaglądał do nieba —
Co widział, wiadomo — lecz między innemi
Nadmienić nam jedno potrzeba.
 Raz kroczy do raju i w bramie spotyka
 Człowieka w bogatem okryciu,
 Człowieka smutnego, co łzy swe połyka,
 Choć pewnie szczęśliwym był w życiu.
„I czegóż on płacze? — Mahomet się pyta
Przy bramie klucznika świętego —
Czy jasność mu boża nigdy nie zaświta?
I cóż on uczynił tak złego?
 Snać jemu do raju zamknięte są wrota,
 Gdy stoi wciąż biedny na dworze —
 Jeżeli złym człekiem, jeżeli niecnota,
 Przewiny mu daruj, o Boże!“
A klucznik mu na to odrzeknie w te słowa:
„Sprawiedliw Bóg zawsze i wszędzie....
Piątego już wieku ubiega połowa,
On stoi tu biedny — stać będzie.
 Bo nigdy nie kochał ni brata, rodzica,
 Nikogo, nikogo krom siebie —
 Toż jasność niebieska nie olśni mu lica,
 Bo kochać... Bóg kazał nam w niebie.
Samolub nikczemny drwił sobie z miłości;
Wszak złoto przyjaciół dostarcza —
Nie wspierał bliźniego i nie znał litości...
Więc sroga go kara obarcza.

A serca że nie miał, nie kochał nikogo,
Więc nikt go nie kochał nawzajem —
I tylko pokutą mu martwić się srogą
I wzdychać daremnie za rajem.
A niebo, zamknięte dla tego człowieka,
Po którym nikt płakać nie może —
Po którym się żadna nie zwilży powieka...
Bo takie to prawo jest boże.“ —
Na głos ten Mahomet, litością wiedziony
Nad dolą nieszczęsną człowieka,
Łzę żalu uronił — że szczęścia korony
Ów biedak nie zazna, choć czeka.
I anioł bieluchny natychmiast się zjawia,
Z radością człekowi tak prawi:
„Bóg tobie na wieki już szczęście objawia,
Bo oko za tobą się łzawi.“ —
Jak w każdej powiastce, i w tej też nauka
Dla ludu, co pojąć ją zdoła:
Cnót serca, litości niech w sobie człek [szuka,
A miłość dla siebie wywoła.

Franciszek Marzec.

Do Józefy K.....

Tyś tak się wysoko wzbiła,
Że okiem sięgnąć do ciebie
Zachwytu byłaby chwila,
I o niej śniłbym aż w niebie.
Nie przylgnie do ciebie, pani
Ni gorycz, ni rozpacz świata;
Z ócz twoich prawdy świtanie
Wyziera, w niebo ulata.
Wzrok zatapiając w błękicie,
Nie znasz życia namiętności,
Na ziemi twoje jest życie,
Lecz duch w objęciach boskości.
Jedno ja żywię życzenie:
By cię z cudnego zachwytu
Rzeczywistości zbudzenie
Nie zwróciło k' ziemi bytu.

Bohdan Brzuszczanin.

Tęskno w sercu.

Tęskno w sercu bez opieki,
Folgę dałem łzom,
Ronić trzeba je przez wieki,
Kląć przecudnym snom:
Snom, co barwą tak ułudną
Świat wskazały mi
Pełen cudów, że aż trudno
Odmalować ci!
W górę, w niebo ja się wzbiłem,
Uwisłem u chmur,
I w zapale pieśń nuciłem,
Pieśń rodzinnych gór.
Pieśń oddźwiękła ma w dolinie
Tam gdzie ludny kraj;
Ale w błocie pieśń ta ginie,
Stracon serca maj.
I w rozpaczy serce targa
Własne czucie mi,
Że nic więcej jak ta skarga
Świadkiem moich dni.

Bohdan Brzuszczanin.

WYROBNICA*).

Zdarzenie prawdziwe,

wzięte z życia robotników fabrycznych

NA KRESACH ZACHODNIEJ GALICJI.

Urodziła się w nędznej, zapadłej chacie, stojącej na krańcu wsi pod lasem. Do snu kołysały ją drzew szumy i szmery; w płaczu wtórowały melodje burz leśnych a w dniach wiosennych śpiewały słowiki. Była czemś nieokreślonem, wpół sierotą prawie: pieszczot nie znała żadnych, chyba ją szczenię polizało po brudnym policzku, gdy się z niem odrobiną swego mleka lub chleba podzieliła. Chyba czasem kot szary, wpół dziki połasił się koło niej.

Ojciec jej — pił, pił tak długo, póki nie dostał delirjum i w świat się nie powlókł po chleb żebraczy. Matka pracowała ciężko, toż się jej pieścić

*) Zarzuci może ten lub ów niniejszemu opowiadaniu, że treść jego jest niemoralną, nieestetyczną, słabą i t. d., ponieważ zbrodnia nie została ukaraną, ani cnota wynadgrodzoną, ale stało się przeciwnie. Pytamy się jednak, czy w życiu rzeczywistem nie dzieje się prawie zawsze przeciwnie zasadom wyższej etyki, czy niejeden obłudnik, który jawnie kpi z ludzkich i boskich przykazań, dotąd nie stoi u steru opinji publicznej, poważany i czczony przez ogół, podczas gdy niejeden sumienny i zacny pracownik terać się musi i poniewierać po kątach! Zresztą jaki w tem sens moralny, że się wzywa prosty lud do cnoty imieniem nadgrody, która go czeka! Wzywajcie raczej myślących

ani gwarzyć nie chciało z dziecięciem, a i choroba ją często trapiła. A dziecko to ładne było bardzo — rzekłbyś aniołek z nieba, tyle niewinności, dobroci, wdzięku i rozumu jakiegoś, prawie mądrości jaśniało w tych oczętach czarnych, wielkich, otoczonych brwią czarną i długą ocienionych rzęsą.

Z obawy przed karą posłała ją matka do szkoły. Bez książki, bez żadnych przyborów przepychało się biedactwo z klasy do klasy, to pożyczywszy, to wyprosiwszy zeszyt, pióro, ołówka kawałek.

A nie prosiła nigdy słowami. Okiem, łzą cichą, rumieńcem mimowoli, bezwiednie prawie zdobywała współczucie i pomoc u nauczyciela i współuczniów. Z ukończeniem szkoły poszła na chleb własny, którym się nieraz z matką podzielić wypadło.

W bliskości było wielkie. miasto fabryczne. Liczne fabryki dawały zajęcie mieszkańcom z okolicy, żywiły cały proletarjat wyrobniczy.

W szeregi takich fabrycznych robotnic zapisała się także 12-letnia zaledwie Tereska i od piątej z rana do siódmej wieczorem pracowała przez tydzień cały.

---

do pełnienia obowiązku imieniem prześladowań, które ich za to czekać będą, a ten który czoła nie ugnie pod podwójnem jarzmem ubóstwa i poniewierki ludzkiej, ten tylko zdobędzie prawo do nazwy cnotliwego! Ale i o to nie rozchodzi nam się: czynniki sprawiedliwości literackiej mogą być ważne dla poematu, dla powieści, dla tragedji; w zdarzeniach z życia wziętych, ważną jest tylko prawda życiowa. Autorka „Dumań wieczornych“ przedstawia nam w „Wyrobnicy“ zdarzenia codzienne co prawda nie wyidealizowane z życia proletarjatu fabrycznego, zamieszkałego na kresach Galicji. Ale trzeba znać te stosunki nieznośne wśród roboczej klasy, w Bilsku, Białej i Lipniku zamieszkałej, aby pojąć znaczenie takiej „Wyrobnicy.“ Jest to skarga stara jak świat, że kapitał wyzyskuje pracę. Jeśli zaś wyzyskuje pracę nawet inteligentnego robotnika, świadomego swego celu, to cóż dopiero mówić o pracy chłopa galicyjskiego, stojącego dotąd na najniższym szczeblu inteligencji. Obok wzbogaconych fabrykantów-miljonerów widzimy w Bilsku, Białej i Lipniku, szczególnie w tym ostatnim, tłumy jakiejś pijackiej hałastry roboczej, żyjącej z dnia na dzień i oblegającej zwłaszcza w dnie wypłat szynki i propinacje. Takie stosunki nienaturalne, ucisk z góry, upodlenie z dołu, rodzą też podobny proletarjat, podobnych „Wyrobników“ i „Wyrobnice.“

(Przyp. red.)

Lata mijały; mimo pracy, nędzy, głodu i chłodu wyrosła Tereska na śliczną dziewczynę. Anibyś poznał z jej lica rumianego, iż kawałkiem chleba, ziemniakiem lub mleka odrobiną się żywi. A czysto było koło niej, schludnie, świeżuchno zawsze. I dziwna zkąd się u niej to wzięło, bo matka nigdy o porządek nie dbała. W szkole jeszcze nieraz gorżkiemi zalewała się łzami, gdy rówieśnice dla jej brudnych łachmanów ze wstrętem się od niej odsuwały. Na czynione jej nieraz z powodu nędznego ubrania zarzuty, odpowiadała:

— Poczekajcie, jak wyrosnę, to ślicznie ubierać się będę.

I dotrzymała słowa.

A chata ich, ta istna nora przedtem, dziś zupełnie inaczej wyglądała. Lubiano ją powszechnie, zapisano do różańca, córki najzamożniejszych gospodarzy łączyły się z nią chętnie, pozwalały jej nosić obraz Matki Boskiej w uroczyste święta na procesji a i na zabawę nieraz lub na wesele tu i owdzie ją zapraszano. Lecz od zabaw stroniła, czuła się tam zbyt samą, opuszczoną, biedną, więc w święta po nieszporze odczytywała matce ustęp z biblii lub żywoty świętych, spisywała sobie piosenki albo kościelne pieśni, oczyszczała kwiatki, i tak czas jej przechodził. Matkę rzuciła niemoc ciężka na łoże, ubezwładniona zupełnie ani się poruszyć nie mogła.

Siostra jej starsza jeszcze, błąkająca się gdzieś po świecie, na starość z sił ostatnich wysiłkiem o kiju się tu przywlokła, żeby powolne rozpocząć konanie. Niepodobna jej było przytułku odmówić.

I tak dwie te stare, ubezwładnione niemocą kobiety potrzeba było wyżywić, doglądnąć, oprać i niemal nakarmić.

Na wszystko stało czasu pracowitej, niezmordowanej Teresce.

O czwartej z rana szła do fabryki, bo było daleko, a wracała po ósmej wieczorem. Rozpalała ogień, gotowała jedzenie na dzień następny, prała, umiatała izbę; prasowała strojne swe, kwieciste spodniczki, fartuszki i ledwie o północy kładła się na ten czterogodzinny spoczynek.

Dziwiono się jej, za wzór stawiano i żałowano powszechnie.

Dziewczęta mówiły, że jej tam strasznie przykrzyć się musi pod lasem tym czarnym z dwiema choremi staruszkami. Ale Teresce nie przykrzyło się nigdy, bo dziwnie się z losem godzić umiała, a tem mniej od czasu, gdy dziarski Franek z wojska powrócił. Syn zamożnego gospodarza, otarty w świecie, jak młody dębczak piął się do góry i junacko nosił głowę na karku, jakby świat cały do niego należał.

Tereska wpadła mu w oko i pokochał się w niej na zabój. Zrazu dumna dziewczyna i patrzeć na niego nie chciała, bo wiedziała, że ich dzieli cała przepaść prawie: jego bogactwo i jej nędza.

Lecz nie dorosła do walki takiej. I inni byli już tacy, co walczyć próbowali, silniejsi od niej a ulegli uczuciu, cóż ona dopiero, prosta dziewczyna, niedoświadczona, młoda!

Kochali się tedy już od kilku miesięcy, i dobrze im z tem było. Tereska z dniem każdym piękniejszą się stawała.

Ludzie po wiosce zaczęli już o nich mówić, doszło to i do uszu rodziców Franka.

Rozsierdził się gospodarz stary na dobre, klął na czem świat stoi, że Franka wydziedziczy, że go na próg domu nie puści, jeżeli mu włóczęgę jakąś przyprowadzić się ośmieli, jakby już córek gospodarskich nie było.

Wynaleźli mu też wkrótce dziewuchę starszą od niego, zezem nieco patrzącą, brzydką, ale bogatą i rozpoczęły się namowy i swaty.

Franek kochał Tereskę, ale był też zepsuty trochę, do ciężkiej pracy ochoty nie miał, nędza i ubóstwo przerażały go niezmiernie; chociaż się więc bardzo zrazu oburzył, począł powoli ostygać, namyślać się, rozważać.

Brzydka, ale zalotna i bogata Kasia poczęła się doń umizgać, nęcić go do siebie, a że była dowcipną i wygadaną, więc się i oswajał z nią nieco i począł Tereskę zaniedbywać.

Biedna Terenia w lot całą przejrzała intrygę, odczuła chłód wiejący od Franka, poznała że już owo

nieokreślone jakieś tchnienie lodowe, zwiastujące bliski rozdział, mroźnie ją owiewa, że szczęście jej gasnąć poczyna.

O jakże jej strasznie było, jak smutno, gdy późną już jesienią czarną nocą wracała z fabryki. Ile tam łez potoczyło się po twarzy przybladłej od cierpienia, jak się serce ściskało na myśl o stracie tego, którego kochała nad wszystko!

A jeszcze zachodził do niej choć coraz to rzadziej, ale zerwać nie mógł stanowczo, czy nie chciał.

Aż ona sama się na to zdobyła; nie czyniąc mu żadnych wyrzutów, nie skarżąc się wcale, prosiła go, by nie chodził już wcale do niej, ale posłuchał rodziców i ożenił się z Kasią.

Franek próbował się tłumaczyć ale dosyć niezręcznie, znać było że rad z tej zwróconej mu wolności, pokręcił się trochę po izbie i w końcu mnąc czapkę w ręce, uścisnął jej palce, chciał ją jeszcze pocałować na pożegnanie, ale go odepchnęła i takim zimnym zmierzyła wzrokiem, że ledwie się zdobył na mruknięcie jakiegoś pozdrowienia i pierwszy raz w życiu może, straciwszy pewność siebie i junacką fantazję wyszedł.

Za dwa tygodnie wygłoszono już pierwszą jego zapowiedź z Kasią a w miesiąc odbył się ślub.

Tereska długo opamiętać się z żalu nie mogła, ale mimo to obowiązków swoich ani na chwilę nie zaniedbała. Znikły rumieńce z twarzy, przygasły trochę źrenice od łez ciągłych, wychudła i czasem lekko pokaszliwać zaczęła. W rok potem wyszła za mąż za biednego jak ona sama wyrobnika, który sprowadził się do niej, do tej chaty pod lasem, bo mieli ją darmo, a gdzie indziej musieliby byli opłacić komorne. Zdawał się z początku dość dobrym człowiekiem, nie młody już wdowiec. Tereska rada była, że nie będzie tak samą na świecie, bo kiedyś gdy matki nie stanie.... strach ją zbierał na samą myśl o tem; więc bez miłości, bez żadnych materjalnych widoków nawet, wyszła za niego. Nie spodziewała się snać Terenia, że w życiu nie zawsze się kończy na jednym zawodzie, ale że składa się ono czasami w ten sposób, iż jeden zawód po drugim jak ogniwo za ogniwem się wle-

cze i łączy, aż z szeregu tych ogniw długi się łańcuch utworzy i u nóg się splącze dzwoniąc i brzęcząc i wlec się będzie aż do kresu wszelkich zawodów — do trumny. Nie myślała o tem, nie przeczuwała, bo weselszą była teraz i lepiej wyglądać poczęła, a parę razy nawet piosnka zabrzmiała w jakiś wieczór niedzielny. Weselej się jej szło przy pogadance z małżonkiem, ochotnie ubogą zastawiała wieczerzę, uśmiechała się do matki a czasem nawet sama do siebie dziwnie jakoś, tajemniczo.

Tem smutniejsze było rozczarowanie. Jak długo chodziła do fabryki i pracowała i mąż był dobry. Skoro jednak za przyjściem na świat malutkiego chłopaczka, zmuszoną była w domu pozostać, wnet zaczął się zachmurzać pokój domowy. W pierwszej chwili zaraz ojciec powiedział:

— Teraz to będzie nędza.

Zdziwiona spojrzała na niego! Ona tak szczęśliwą, tak dumną, tak bogatą się czuła z posiadania tego chłopaczka małego, iżby go za żadne królestwo nie oddała, a on — jej mąż — ojciec ślicznego chłopczyny — tak się odzywał!

I coraz było gorzej, aż raz śmiertelnie się Tereska przestraszyła — mąż jej przyszedł do domu pijany!

Odtąd coraz się to częściej powtarzało. Tereska musiała pięciomiesięczne niemowlę odłączyć, by znów robotę w fabryce rozpocząć, by siebie, dziecię swe i dwie schorzałe kaleki ochronić od śmierci głodowej. Teraz się dopiero rozpoczęło życie nędzy prawdziwej. Już jej ta praca nie szła jak dawniej: to sił brakowało, to łzy ostatek zdrowia zabierały, to rozpacz czarna wszelką odbierała energię. Mąż wyrzucał jej ciągle, że musi na matkę i ciotkę pracować, chciał je z chaty wypędzać niepomny na to, iż on właściwie Teresce prawdziwym był ciężarem. Zapominał się czasem tak dalece, że się do bicia porywał, nieszczęsna kobieta ledwie już utrzymać na nogach się mogła a obie staruszki we łzach błagały Boga o śmierć jako o wyzwolenie dla siebie i umniejszenie ciężaru Teresce, bo gdyby nie one, mogłaby sobie łatwiej dać radę.

Raz szła Tereska z roboty sama, bo mąż jej już dawno z nią nie chodził, lecz późną nocą przychodził do domu a zwykle nietrzeźwy, i spotkała się z Frankiem. Tereska unikała go zwykle, ale mimo to kilka razy ze sobą mówili, a tego wieczora on ją aż do domu odprowadził, bo też noc już była a zimno i ciemno bardzo. Nieszczęściem spotkali na drodze jednego z wyrobników i przyjaciół szynkowych jej męża, który był dawniej wielbicielem Tereski, lecz pogardzony przez nią, śmiertelnie jej nienawidził.

On to popychał teraz męża jej w przepaść złych nałogów, on go przeciw niej podburzał, on też teraz pozdrowiwszy ich oboje szyderczo, pobiegł do szynku do jej męża i powiedział mu, że podejrzywa Tereskę, że w zmowie z Frankiem oszukuje swego męża.

Okropne chwile miała teraz Tereska. Mąż ją zbił tak nieludzko, że trzy dni odleżeć musiała. W sobotę z rana zwlokła się dopiero z pościeli i poszła na robotę, bo już nic w domu nie było. Ale wytężenie to było nad jej siły. Rumieńce gorączkowe na twarz jej się wybiły, oczy świeciły dziwnie a usta płonęły jak korale. Była w tej samej fabryce, w której i mąż jej i ów godny jego przyjaciel pracowali.

— Tereska pijana — szepnął ten wróg jej zacięty jednemu i drugiemu, i wnet te słowa kołem między robotnikami obiegły. Z ust do ust podawano sobie wiadomość: „Tereska pijana,“ a niejedna z wyrobnic szyderczo ją okiem mierzyła, te szczególniej, które zepsute same, jej cnoty i uczciwości darować nie mogły i dla których ona była solą w oku od dawna.

Gdy zeszła ze schodów i przez długi przechodziła kurytarz, zatoczyła się i omal nie upadła, o mur się tylko zatrzymując.

Śmiech szyderczy się rozległ w około.

— To sobie użyła nasza Tereska — wołano.

W oczach jej się zaćmiło, ledwie przejść mogła dalej nie odpowiadając nikomu. Czuła się bardzo osłabioną, chciała by mąż z nią poszedł. Ten jednakże brutalnie jej odpowiedział, „że może sobie Franka poszukać.“

Na tę straszną obelgę nowa krwi fala napłynęła jej do głowy, zebrała ostatek sił i odeszła.

Dostała dziś 1 złr. 50 ct., bo zarobiła 3 złr. na tydzień a 3 dni w tym tygodniu opuściła.

Po drodze zakupiła jeszcze żywności i powlokła się zwolna do domu.

Noc była ciemna bardzo. Luty się srożył, zawieje śnieżne poprzerywały komunikacje po drogach, tu i owdzie bielały całe pagórki śnieżyste, wicher dął ostry z północy a wielkie płaty śniegu wciąż leciały z obłoków. Po owej gorączce ogarnęło ją teraz zimno straszne; zęby dzwoniły, trzęsła się cała, po kolana trzeba było brnąć w śniegu. Wpadła kilka razy i z trudem, z najwyższem sił wytężeniem podniosła się i wlokła się dalej, dopóki nie osłabła zupełnie i nie mogła już powstać, gdy wicher znów ją na ziemię powalił.

Straciła przytomność.

Kilka razy przychodziła do siebie, lecz nie mogła się podnieść, usypiała znowu a nad nią dął wicher lodowy północy, płynęły czarne obłoki po niebie i majaczyły w powietrzu duże płatki śniegowe, otulając ją miękko do snu przedśmiertnego. Nad ranem a już dzień był prawie, poruszyła się raz jeszcze, warstwę śniegu z twarzy zgarnęła, lecz podnieść się nie mogła.

Dzwony kościelne witały poranek donośnym dźwiękiem, srebrne ich echa rozlegały się w około, śnieg leciał ciągle a niebo ciemne i szare ani promyka słonecznego nie przepuszczało.

Dwie pobożne kobiety śpieszyły na mszę poranną gościńcem i w tej chwili właśnie, kiedy Tereska usiłowała śnieg z twarzy odgarnąć, przechodziły koło niej.

— Jakaś kobieta leży — rzekła jedna.

— A prawda, zapewne pijana — odezwała się druga spojrzawszy na twarz Tereski, zaczerwienioną w tej chwili z wysilenia i gorączki.

I poszły dalej pobożne kobiety nie troszcząc się o nią.

A słowa ich, były to ostatnie słowa, jakie słyszała Tereska na tej ziemi. Na ten wyraz „pijana“

drgnęła cała, jeszcze gorętszy opłynął ją rumieniec i zbladła po chwili tak, że drobna, wychudła jej twarzyczka jak śnieg w około leżący zbielała, westchnęła, śliczne oczy zawarły się znowu — ale tą razą, na zawsze.

Do dwóch tygodni pomarły obie staruszki, boć ich nie było komu pielęgnować, chłopczynę dobrzy ludzie zabrali do siebie, a wdowiec nie długim oddając się żalom, w krótce się po raz trzeci ożenił.

Janina Antonowiczówna.

Do Skowronka.

Skowronku! polatuj nad niwą,
Podzwaniaj piosenką wesoło;
Piosenką miłośną i tkliwą,
Rozwesel tu niwy w około.
Skowronku! — czy widzisz jutrzenkę,
Jak wschodzi nad szczytem krępaku?
Jutrzence twą poświęć piosenkę,
Wesoły, wiosenny śpiewaku! —
Nim ona ojczystą siedzibę
Promykiem ci złotym oblała,
Tyś milczał ukryty pod skibę,
Milczała przyroda tu cała. —
A dzisiaj, gdy brzask porankowy
Ocucił uśpioną przyrodę,
Gdy dzionek pierwotny, majowy
Zwiastuje nam boską swobodę;
Gdy w słońcu rozwija się ziele,
Gdy brzęczy wesoło tu pszczółka,
Ludarka gniazdeczko swe ściele,
I lepi swą chatę jaskółka:
Ty wzlatuj skowronku! nad niwą,
Podzwaniaj piosenką wesoło;
Piosenką miłośną i tkliwą
Rozwesel tu niwy w około! —

Pius Nałęcz z Witoszyna.

Bogini Słońce*).

(Z „Prawdy," czasopisma ruskiego naukowo-literackiego.)

We wszystkich kolendach przedstawia nam się słońce jako księżniczka, matka, wdowa, a nawet jako piękna panna. Otoczoną jest tak błyszczącemi barwami, że można ją łatwo po tych znamionach poznać. Wyobrażali zaś sobie Rusini boginię ową w sposób następujący:

Mieszka bogini za złotą ścianą, za czerwonozłotem niebem na wschodzie. Rano w niedzielę ubiera się panna w drogie szaty, a powierzchnia ich jest ze złota i srebra. Ubranie swe złote zrobiła ona ze złotej tkaniny.

Raz leżała bogini owa na białej pościeli w sadzie i strzegła riasy [1]) na drzewach. Przyleciały zaś rajskie ptaszki i strzęsły ją. Panna zebrała riasę w zapaskę, zdjęła z drzewa złotą korę i poniosła do złotników, by jej zrobili złotą szubę [2]), złotem kuty pojazd, takiż pierścień i perłową kamkę [3]). Ubrawszy się, przywdziała żółte buty ze srebrnemi podkówkami i wyszła z za ściany na podwórze. Tam suknia tak od niej jaśniała, że się aż dąbrowa zapaliła. Służebnice

---

*) Autor, któremu niniejszą pracę zawdzięczamy, zbiera już od dłuższego czasu materjały do „Zarysu mitologii wszech Słowian;" nie możemy na razie wyroku wydać o jego pracy, tem bardziej, że nie jest dostatecznie zaokrągloną i wykończoną i że praca rzeczona zapewne jeszcze wypełni długi szereg lat. Tymczasem podajemy jednak próbkę, urywek o „Bogini Słońcu." (Przyp. red.) [1]) Riasa na drzewach, jest to piękne, zielone drzew okrycie. [2]) Szuba (okrycie zewnętrzne.) [3]) Kamka (rodzaj płaszcza.)

poczęły znosić wodę i gasić dąbrowę. Tymczasem panna weszła do sieni i natychmiast te zajaśniały, weszła do chaty, aż tu chata zajaśniała, wstąpiła do cerkwi a świece się same zapalały. Panowie wstają przed nią i zdejmują czapki — jedni z nich twierdzą, że ona królewna, inni że carówna.

Przystępujemy teraz do wyjaśnienia:

Złota ściana, za którą bogini się ubiera, — to czerwono-złote niebo przed wschodem słońca, złota riasa, — to kora na drzewie, ognista, szeroka suknia, od której pała dąbrowa, — to błyszczące promienie słońca, oblewającego światłem swem lasy i dąbrowy i okrywającego świat cały, jakby szeroką, błyszczącą odzieżą. W tej części, gdzie panna zapala, można wnioskować, że jest to letni żar nad lasami i sadami, który bywa gaszonym od deszczu, lejącego się z chmur.

W wiośniankach nazywa się bogini Słońce dziewczyną Różą albo czerwoną Różą. Przykład tego mamy w pieśni, w której matka wysyłając córkę Różę na taniec, czesze jej włosy, przytem mówiąc:

„Doczko moja, Różeczko!
Oj jak pidesz u tanec,
To ne stawaj kraj tumanu,
Tuman dytja zdradływe.“

Dziewczyna Róża — to obraz wiosennego słonka, a tuman — to zimowe chmury albo sama zima jako zdradliwy wróg słońca.

W pieśni węgierskiej nucą w wiośniankach o róży czerwonej:

„Czerwona róża horiła,
Pid neu biła diwka sydiła,
W reszeti wodu nosyła
I czerwenu rożu hasyła.“

Zamiast dziewczyny Róży widzimy tutaj słońce w obrazie czerwonej Róży, którą gasi z rzeszota biała dziewczyna — letnia chmura białego kwiatka co zalewa deszczem żar letniego słońca. W późniejszym czasie, kiedy chrześciaństwo wywarło wpływ na pogan Rusinów, przenieśli oni cześć bogini Słońca na św. Paraskewę. Naród ruski piątek w szczególności, jako dzień śmierci Pańskiej, poświęcał

Słońcu. Obecnie jeszcze na Ukrainie kobiety mają sobie za wielki grzech, w piątek szyć lub prząść. Że zaś naród ruski przeniósł w istocie atrybuty bogini Słońca na dzień piątkowy, można to poznać z jednej halickiej pieśni:

„Ej skarzyło sja świtłe Soneńko,
Świtłe Soneńko myłomu Bohu:
Ne budu Boże rano schodżaty,
Bo źli gazdowe ponastawały,
W nediliu rano drowa rubały
A meni do łyczka triski porskały,
Bo źli gazdyni ponastawały,
W piatnyciu rano chusty zwarjały,
A meni na łyce zołu wyływały:
A meni do łyczka wołosi metały.“ —

Z tych słów widzimy, że dziewczęta uważały za grzech w piątek roboty ciężkie wykonywać, mniemając, że kurzawa nieczysta, para może zapruszyć i zamazać jasne oblicze bogini Słońca.

B . . . . z nad Bystrzycy.

Co nas rozdzieli?

Jam z tobą razem, a jednak w duszy
Spokój mi nie chce zamieszkać stale,
Zawsze się jakiś wicher poruszy
I myśli moich zamąci fale.
Choć mi twe oko miłość zwiastuje,
Choć obok siebie gwarzym weseli,
Jednak po duszy wciąż mi się snuje
Trwożne pytanie, co nas rozdzieli?
Czy śmierć mi ciebie weźmie, mój luby
I serce w piersi starga na ćwierci?
Czy ja wprzód z wyższych zrządzeń rachuby,
Pójdę w żałobne królestwo śmierci?

Czy świat mi ciebie zwodnym urokiem
Odbierać będzie zwolna, pomału,
Łudzić twe zmysły, aż krok za krokiem
Między nas rzuci przepaść rozdziału?
Gdy śledzę bacznie życia koleje,
Nic tu w niem nigdy stałego niema:
Dziś nas kołyszą złote nadzieje,
Jutro zwątpienie w swych szponach trzyma.
I ptak rodzinne opuszcza gniazdo,
Liść gdzieś daleko od drzewa leci,
I człowiek dąży za swoją gwiazdą,
Gdzie mu takowa drogę rozświeci.
Najświętsze węzły rwie los okrutny,
Najdroższych sercu z objęć wydziera,
A gdy ty tęsknisz za nimi smutny,
Nowe ci życia drogi otwiera.
Nawet pomiędzy małżonków dwoje
Wdziera się nieraz przepaść straszliwa,
Nemezis weto zakłada swoje
I targa złote szczęścia ogniwa.
Jednych grób zimny wcześnie rozłącza,
Inni za życia już rozdzieleni,
Nienawiść w serca jady im wsącza,
Życie jak ciężar wloką zmęczeni.
Więc nic dziwnego, o mój jedyny,
Gdy mną zwątpienie straszne owładnie;
Człowiek dnia nie wie ani godziny,
Kiedy na niego nieszczęście spadnie!
Wszak nie dla ziemi szczęście wieczności!
Rozstać się z sobą będziem musieli —
Więc ja się srogiej lękam przyszłości
I pytam smutno: „co nas rozdzieli?“

Lipnik, 18. Stycznia 1888.

Janina Antonowiczówna.

VI.

Z podań legendy żydowskiej.

Stary świecznik

(podług Samuelego.)

— Ani złoto, ani drogie kamienie, ani żadne bogactwa nie stanowią szczęścia człowieka — tylko iluzja, wiara i nadzieja! — tak mawiał nieraz rabi Hirsch. Był to mały, szczupły mężczyzna wiecznie pochylony nad leżącemi przed nim staremi foljałami, a z których — snać — powyższe mądre zdanie wyczytać musiał, bo częstował niem zawsze zrzędną swą połowicę, gdy się zbyt natarczywie pieniędzy od męża swego domagała. I zaiste! zdanie owo nie było czczym tylko frazesem w ustach rabi Hirsza, ale świętym dogmatem wiary, a to tem bardziej że odpowiadało jak najzupełniej jego usposobieniu. Wszakże dla niego iluzja z nędznej i brudnej mansardy stworzyła strojny a bogaty pałac, — czarna, przedziurawiona i głębokimi zmarszczkami poorana powała, to dla niego arcydzieło sztuki rzeźbiarskiej, ozdobione malowidłami al fresco, którędy słońce zbawienne słało we dnie swe promienie a w wieczór błękit mu jaśniał tysiącem gwiazd; wiatru poświsty, to cudne brzmienia pieśni żałośnych Izraela a rzęsiste deszczu krople — to perły płynne, które się jeszcze kiedyś dla niego skrysztalą. Ściany powleczone warstwą brudu i wilgoci przetwarzały się w drogie makaty, a miękka z gliny podłoga w bogate kobierce. Pięcioro półnagich dzieciątek — to zastęp aniołów, ćwiczących przeraźliwym krzykiem głosy do przyszłego hymnu wolności;

znosiły bowiem li tylko na to teraz głód i chłód, by się przysposobić do walki o równość i wolność, o wyzwolenie Izraela. A żona? o żona konieczna do uzupełnienia obrazku, bo jakżeżby inaczej odczuć tak żywo te wszystkie boskie chwile, jakżeżby tak cudnie lśniła harmonja barw tęczowych, gdyby tło ich cokolwiek ciemniejsze nie było? O tak, żona, to kontrast potrzebny dla uwydatnienia szczęścia, jakiego tylko rabi Hirsz doznawał na tym świecie, szczęścia zupełnie uzasadnionego na ulubionem zdaniu rabi Hirsza, że ani , ...

. . . .

— Cóż mi z wszystkich twych słodkich snów, cóż mi z pięknej iluzji, kiedy głód dokucza! Czyż mię wiara nasyci? czyż mi nadzieja dzieci nakarmi? Przestań stary głupcze ślęczyć nad zbutwiałym pergaminem: chociażbyś wieki całe nad nim siedział, przecież centa z niego nie wydobędziesz! Ot sprzedaj lepiej te szpargały a dzieciom chleba kup! Słuchaj, jak krzyczą, jak im ząbki dzwonią od zimna — idź rabi Hirszu, bądź najemnikiem, bo dzieci twe zginą od głodu i chłodu, a pergamin twój ani nie odzieje ich, ani nie ogrzeje! Na nic wszystka twa nauka o jakiejś tam iluzji, wierze i nadziei, — to dla bogaczów takie zabawki, nie dla nas biedaków! Chleba, chleba nam daj, bo ani ksiąg twych, ani iluzyj gryźć nie możemy. —

Oto codzienna muzyka, dźwięcząca w uszach rabi Hirsza, oto otucha, jakiej w każdej chwili doznaje od anioła domu swego, od szanownej i czci godnej swej połowicy. A rabi Hirsz przyjmuje wszystkie te przymówki ze swym wiecznie stereotypowym uśmiechem dobrodusznym, pokręca głową to w tę, to w ową stronę, a w chwili z wypogodzonem obliczem zatapia się na powrót, powtarzając wśród harmonijnej muzyki krzyku dzieci i matki ulubione swoje zdanie: Niczem wszystkie bogactwa na świecie — iluzja, wiara i nadzieja, oto skarb prawdziwy, to szczęście człowieka.

. . . .

Mijały dnie i tygodnie, mijały lata, a w domu rabi Hirsza coraz gorsza bieda i nędza, coraz gorsze

narzekania, a rabi Hirsz jak przed laty tak i teraz pochylony nad swemi księgami, czasem tylko wyszepnie ulubione swe zdanie, jakby na zaspokojenie małżonki i dzieci, lecz niestety! było ono tylko powodem gorszych jeszcze narzekań pani Hirszowej. Ponieważ jednak wszystko na świecie ulega pewnym zmianom, to i tu nie mógł wiecznie trwać ten sam stan rzeczy.

Pewnego razu, a było to właśnie w dzień nowego roku, rabi Hirsz ustrojony w świąteczne szaty, poważnym krokiem zbliżył się do swej żony i uroczystym głosem w taki do niej przemówił sposób:

— Słuchaj mię, żono, i zważ dobrze, co ci mówię, i każde słowo moje wyryj dobrze w twej pamięci, bo dziś zwiastować ci mogę zmianę losów naszych, dziś nadszedł nareszcie ów długo upragniony dzień, który mi pozwala, powierzyć ci tajemnicę rodu naszego, tajemnicę setnych lat — otóż słuchaj i wierz, co ci w tym dniu świętym powierzam — jesteśmy bogaci!

I słowa te z taką wyrzekł powagą, z taką uroczystą miną ujął w rękę długą, siwą brodę swoją, że żona prostując zwolna ogromnej długości członki, podniosła się ze swego siedzenia a wpatrując się osłupiałym wzrokiem w twarz męża swego, zgięła się jak łuk nad jego maluczką postacią.

Rabi Hirsz zdawał się nie widzieć wrażenia słów swoich, bo ze spuszczonym w ziemię wzrokiem głaskał wciąż brodę swoją, jak gdyby chciał zebrać myśli dla wypowiedzenia ważnej tajemnicy. I nastąpiła długa chwila milczenia.

— Czyś oszalał?! — zawołała nareszcie zniecierpliwiona szanowna połowica Hirsza, — my bogaci?! Zkąd ci takie myśli? czy sądzisz, że ja się przejmę twemi niedorzecznemi mrzonkami? Wstydź się, stary człeku, że się w takim wieku oddajesz jeszcze podobnym marzeniom!

Rabi Hirsz spokojnie pozwolił przejść po sobie potokowi słów, a gdy cały zasób ich już był wyczerpany, wtedy ujął jeszcze uroczyściej rękę żony i rzekł:

— Usiądźmy, a opowiem ci wszystko: jestem pewny że mi uwierzysz, skoro usłyszysz — lecz nim

do opowiadania przystąpię, musisz mi święcie przyrzec, musisz mi nawet przysiądz, że zachowasz to wszystko w tajemnicy, bo inaczej będziesz musiała wyrzec się bogactwa, którego tak bardzo pragniesz.

Mimowoli żona Hirsza położyła rękę na sercu, lecz słowa wyrzec nie mogła, taki potężny wpływ wywierała na nią uroczysta powaga męża i nadzieja bogactwa.

— Słuchaj więc — ciągnął dalej rabi. Niejednokrotnie słyszałaś już o najmądrzejszym z praojców moich, o bogatym i pobożnym rabi Eli. Jego pamięć dotychczas żyje w uściech ludu naszego, bo już po nim nikt tak światłym nie był, nikt nie potrafił za łaską Boga tyle cudów dokonać, co on. Ze wszech stron przybywali do niego o radę i pomoc, a nikt nie odszedł bez rzeczywistego pocieszenia — wszyscy znaleźli to, czego pragnęli. Jedno dotknięcie się jego uzdrowiało ciało, jedno słowo jego uzdrowiało duszę. Rabi Eli tak umiał w przyszłości księdze czytać, jak ja w tałmudzie lub kabale. Otóż pewnego razu, gdy już czuł zbliżającą się śmierć, zawołał do siebie żonę i dzieci i rzekł do nich: Ja już opuścić was muszę, zobaczymy się chyba, gdy Mesjasz na świat przyjdzie, tymczasem słuchajcie ostatniej woli mojej. Oto ten pająk mosiężny, który tu w kącie leży, przechować musicie w rodzie naszym aż do czwartego pokolenia — jemu dopiero wolno będzie przeczytać ten pergamin, który również ma być przechowanym. Oto ostatnia wola moja. A teraz żegnam was, a gdy Bóg już duszę moją do siebie przywoła, nie narzekajcie i nie płaczcie tak bardzo, bo jej tam będzie dobrze, wasze narzekania zaś spokój jej zakłócą.

Rzekłszy to, odwrócił się i Bogu ducha oddał. I minęły wieki od tego czasu, a w czwartem pokoleniu Bóg mię przeznaczył do wypełnienia ostatniej woli rabi Eliego. Dziś w dniu Nowego Roku przeczytałem testament mego praojca: oto masz, przeczytaj go.

Żona Hirsza drżącą rękę wyciągnęła po zżółkły pergamin, lecz naprożno siliła się odczytać treść jego — litery jakby żywe skakały jej przed oczyma.

— Nie mogę czytać -- szepnęła, cóż tam jest? opowiedz!

-- Rabi Eli tu pisze — rzekł Hirsz głosem podniesionym, że dla czwartego pokolenia, które wieszczem okiem w nędzy widzi, pozostawia on kilkucetnarowy pająk ze szczerego złota, jednak mosiądzem z wierzchu powleczony, by nie obudzić chciwości swych potomków. Pająk ten przetopić wolno dopiero w trzy lata po przeczytaniu ostatniej woli nieboszczyka. Więc za trzy lata, za krótkie trzy lata ten brudny stary świecznik zamieni się dla nas w bryłę złota, zamieni się w piękny, bogaty pałac, moja żona w jedwabiach i złocie, w pięknym powozie jeździć będzie, a moje dzieci, moje drogie, ukochane dzieci, jak dzieci książąt zadziwią świat swem wykształceniem, a siłą ramienia i umysłu wyzwolą naród mój z pod ciężkiego jarzma niewoli.

Tak mówił rabi Hirsz, a wzrok mu się iskrzył i policzki pałały. I jakby za dotknięciem rószczki czarodziejskiej zmieniło się wszystko w biednej jego chacie, spokój zapanował na miejscu wiecznego krzyku, bo żona rabi Hirsza, mniemając się w posiadaniu przyszłem tak ogromnego majątku, pocieszała się nadzieją, że rychło miną owe trzy lata, dane jakby na prośbę jej wytrwałości. Nadzieja zmieniła krzykliwą i zrzędną córę Ewy w kobietę łagodną i pełną wytrwałości. Gdy jedno z dzieci krzykliwie: „chleba!“ zawołało, nie obrzucała już jak przedtem męża swego wyrzutami i przekleństwami, lecz koiła jak mogła i uspokajała. A jakiemże szczęściem napawało się jej serce, gdy w piątek wieczór zapalała drobne świeczki w starym, pogiętym pająku, teraz już pięknie wyczyszczonym.

I tak mijały dnie i lata w spokoju a nawet i szczęściu. I minął już prawie trzeci rok — wtem zachorowała raptem żona Hirsza, a wkrótce śmierć zawarła jej powieki. Lecz nawet ostatnie jej chwile opromieniały jej nadzieja i wiara, bo gasnącym już wzrokiem spojrzała ona jeszcze na spuściznę rabi Eliego, potem na swe dzieci, i z błogim uśmiechem przestąpiła progi wiecznego żywota. Rabi Hirsz długo się wpatrywał w zimną twarz zmarłej żony, potem

przystąpił, nachylił się nad trupem i szeptał coś długo, długo w jego ucho. Co takiego szeptał, zapytacie? Oto opowiadał mu o zmyślonej historji złotego pająka i zakończył swem ulubionem zdaniem: Nie złoto, nie bogactwo, lecz iluzja, wiara i nadzieja są jedynem szczęściem człowieka.

I. T.

Ustęp z poematu:

„POWOŁANIE PIEŚNI."

Liro moja, liro ty tkliwa!
W znak miłości dał mi cię Pan...
Kiedy dusza w bolu cię wzywa
Do kojenia serdecznych ran...
Kiedy z piersi jęk się wyrywa
A myśli rozpierzchłe
W światy zamierzchłe
Bieżąc, puszczą się w piekielny tan....
Tyś liro jedyną pociechą!
A twych tonów srebrne echo
Pada na samotne me serce,
Jak rosa na kwiatów kobierce,
I orzeźwia je i koi
I z ran serce biedne goi!
Liro moja! Tyś mistrzynią!
Liro moja! Tyś potęgą!
A ludzie — karły,
Duchy wpółzmarłe
Nic ci złego nie uczynią! —
Darmo człowiek się sprzysięga,
Darmo struny twe rozprzęga....
Bo co nie jest dziełem świata,
Tylko Niebios — w Niebo wzlata,
Ztamtąd siłą, co głaz kruszy,
W moich braci wpada dusze.

Piosnko moja! W tych dusz głębiny
Skrzydłem natchnienia mego leć!
Jak anioł-stróż śpiącej dzieciny
Strzeż ich — aż w sercach zacznie dnieć!
Wtedy zmień dźwięk tonów w czyny,
W piersiach iskry zapału wznieć!
Wtedy, piosnko, stań się aniołem,
Co pogardza ziemi żałobą,
Co w świat leci z sercem wesołem,
Unosząc dusze w Niebo . , . z sobą!
Wznieś dusze do błękitu
Ponad brudu obszary....
Podnieś ludzi do szczytu
Świętej, za prawdę, ofiary.
Myślom nadaj trwałość granitu
A sercu siłę wiary...
Piosnko moja, bądź piastunką
Wielkiego Polski imienia!
Piosnko moja, bądź zwiastunką
Wielkiego dnia Odkupienia!
Dobroczynną Ty bądź rosą
Dla godnych potomków Przodków!...
Śmierciodajną ty bądź kosą
Dla nikczemnych ich wyrodków!...
A w potrzebie, piosnko moja,
Jako stara Ojców zbroja,
Ostrzem Prawdy zaświeć w oczy
Tłuszczy, do fałszów ochoczej...
Wtedy wrodzy przerażeni
Twym blaskiem, się upokorzą,
A z dzikości rozzbrojeni
W Twą uwierzą moc i bożą.

. . . .
. . . .

Lwów, dnia 2. Sierpnia 1884.

Wilhelm Feldman.

ECHA
Z WYSTAWY KRAKOWSKIEJ.
Z PIĘCIU WIDOKAMI
WYSTAWY ROLNICZO-PRZEMYSŁOWEJ NA BŁONIACH,
WYKONANEMI WEDŁUG FOTOGRAFIJ
STANISŁAWA BIZAŃSKIEGO Z KRAKOWA,
oraz
Z PLANEM SYTUACYJNYM WYSTAWY
SZTUKI POLSKIEJ W SUKIENNICACH.

I.

Ogólna wystawa rolniczo-przemysłowa w Krakowie na Błoniach.

Sero venientibus ossa, czyli po polsku powiedziawszy: „Gościom zgłaszającym się zbyt późno, zostaną się ogryzki," i z tego też powodu niniejszy artykuł uważany być może tylko jako słabe echo z wystawy; opóźniłem się bowiem z powodów nie odemnie zależnych tak na uroczystość otwarcia nowego uniwersytetu, jak i na odsłonięcie pomnika Zyblikiewicza i na pierwsze przyjęcie Węgrów, ale nie opóźniłem się jeszcze o tyle, aby się naocznie o tem przekonać, że bogini zazdrości, kłótni i swarów, eufemicznie przezwana Famą czyli wrzawą, jeszcze żyje i działa w jak najlepsze w starym grodzie Krakusa.

O tem jej działaniu rozpiszemy się może obszerniej w trzecim rozdziale, poświęconym specjalnie wystawie sztuk pięknych w Krakowie. Tu jednak wolimy się ograniczyć na omówieniu bodaj pobieżnem działu wystawy rolniczo-przemysłowej w Krakowie. Wystawa ta na Błoniach umieszczona a rozpadająca się na rozmaite oddziały i pododdziały, co do rozmiarów o wiele jest mniejszą od lwowskiej i od czerniowieckiej a przypomina obszarem swoim nawet cokolwiek przemyską.

Niedaleko od miejsca rozprzedaży katalogów po prawej stronie widnieje chata huculska chłopa ze stron tarnopolskich. Sama chata tak dalece może nic niema szczególnego w sobie, gdyż podobnych chat włościańskich widzieliśmy już wiele; ale co od razu każdego zastanowi, to piec kaflowy z bohomazami różnorodnemi, wykonanemi na pstro na pojedyńczych kaflach, przeważnie w kolorach żółtym i zielonym. Cały układ tych rysunków wielce oryginalny, przypomina nam żywcem figury na puszkach herbacianych, albo pierwsze próbki rysownicze dziecka pięcioletniego. Tu jeździec z strzelbą ku żółtym niebiosom skierowaną, harcuje na koniu zielonym o dwóch brunatnych i dwóch zielonych nogach; tam znowu gość o niewiadomym charakterze i pochodzeniu wali w kark pocztyljona, nad którego końmi unosi się w powietrzu nie wiedzieć, czy sęp, czy gołąb, czy krogulec; trzecia kafla przedstawia parę zielonych kogucików z brunatnemi skrzydłami, przymilających się bardzo czule krzyżowi, z którego spływają zielone strumienie niezbadanej chemicznie cieczy, a pod którym swobodnie rozchylają kielichy swoje pęcze róż, witając kolorem szmaragdowo-zielonym światło dzienne, przystrojone w kolor nieokreślony brudnej koszuli i t. d. Olbrzymiemi rozmiarami uderza garnuszek Urbańskiego z Płotycz, zakupiony przez muzeum Dzieduszyckich. Wyroby z drzewa uczniów szkół ludowych w pow. sokalskim prawda że dosyć skromne, ale znamionują przecież pewną wprawę; natomiast miseczki na popiół mniejsze i większe wystawców z Toustego pow. skałackiego, już cokolwiek więcej znamionują artystycznego poczucia, zgrabniutkie a przy tem tanie. Inne rzeczy

wystawowe w dziale przemysłu domowego jako mniej więcej znane publiczności, omijam na razie.

Gwarectwo jaworznickie wystawiło w osobnym pawilonie całą kolekcję najrozmaitszych okazów kopalń tamtejszych, jakoto: krystalizowaną sodę, ług, natron bicarbonicum, koaks, węgiel kamienny i t. d. Na szczególną wzmiankę zasługuje bogaty zbiór fauny jaworznickiej. Widzimy w wypchanych starannie okazach dzięcioła, bociana, dudka, sowę, czaplę, wilgę żółtą, dziką gęś i t. d. W samym środku nad grupą ptactwa rozprzestrzenia potężne skrzydła orzeł, król ptaków. Że po nad nim umieszczono jeszcze jastrzębia, górującego niesłusznie nad orłem, — to uważamy za rzecz wielce nieestetyczną mimo przeciwnego twierdzenia górnika, mającego powierzoną sobie straż nad tym pawilonem a utrzymującego, że się nad orłem pierwszeństwo należy jastrzębiowi, ponieważ z góry uderza na orła i rani go bez obawy, nie zaś orzeł jastrzębia. Grupę zwierząt obejmującą 44 okazów, uzupełniają dwa czworonożne a mianowicie zając szarak, umieszczony w samym środku i wiewiórka, wyszczerzająca ząbki na szarym końcu stołu.

Wielu zamożniejszych wystawców zdobyło się na zbytek wystawienia osobnych pawilonów, ale widać, że się ten zbytek nieźle im opłacić musiał, ponieważ pojedyńczych takich wystawców jest o wiele więcej, niżli na wystawie przemyskiej lub czerniowieckiej było. Pominąwszy cukierników, piernikarzy, właścicieli browarów, których i tu jak wszędzie nie brak, wystawiają osobno niektórzy bogatsi rzemieślnicy okazy swoje. Między tymi wyróżniają się od innych korzystnie wytwornością swoją wyroby blacharskie Karola Markusa z Krakowa (grupa 22-ga, nr. 26-ty), wyszczególnionego dyplomem honorowym. Są to wanny, piece do ogrzewania, wychodki domowe, umywalnie i t. d.

Zarząd Hugona Löbeckego z Wrocławia wystawia w osobnym pawilonie okazy bieli cynkowej z Niedzielisk (pow. Chrzanów.) Z tych niektóre okazy są nawet rzadkie, ale nie w tym stopniu zajmujące jak okazy gwarectwa jaworznickiego. Natomiast odznacza się katalog Löbeckiego nadzwyczajną sta-

rannością i poprawnością języka, choć widocznie w Wrocławiu wydrukowany.

Dochodzi druga godzina popołudniowa, a ja opuszczam na chwilę wystawę z zamiarem powtórnego zwidzania jej; na pożegnanie chwilowe wypada jednak nabyć bodaj jaką taką pamiąteczkę z wystawy. Nabywam więc medal wystawowy, starannie zawinięty w mały zeszycik. Powróciwszy do domu, rozwijam rzeczony przedmiot starannie I cóż znajduję? W małym zeszyciku mały kalendarz kieszonkowy p. Wincentego Żenczykowskiego, majstra kunsztu introligatorskiego w Krakowie przy ulicy Sławkowskiej, l. 22. Każda nieparzysta strona książeczki mieści krótki kalendarzyk dzienny, tygodniowy i miesięczny, każda parzysta szumną reklamę wyrobów p. Wincentego Żeńczykowskiego. Utile cum dulci! czyli, aby rzecz oddać w języku chińskim:

Przybył Anglik do Chin i celem przekonania się naocznego o doskonałości kuchni chińskiej, kupił sobie ptaka na rożnie upieczonego. Rozkroiwszy go znalazł w jego wnętrzu żabę jako nadziewkę, a żaba była znowu nadziewana surową cebulą. Zachciało mi się ptaka upieczonego: dostałem w dodatku jeszcze żabę i cebulę. Niech żyje królowa reklama!

*
*   *

Po kilkogodzinnej przerwie wracajmy znowu do przeglądu wystawy. Właśnie w chwili, kiedy wstępuję do pawilonu głównego, mieszczącego u wejścia niektóre prace kobiece (patrz na rycinę odnośną, przedstawiającą rzeczony pawilon), jury tamże zgromadzona przyznaje nagrody wystawcom z działu przemysłu domowego. Nie przeszkadza to jednak publiczności, przechadzać się po sali dosyć obszernej, oglądać przedmioty wystawowe i czynić uwagi swoje. Pójdę i ja za przykładem innych.

I tak uderza w tym dziale oryginalnością pomysłu wystawa sztucznych kwiatów p. Teofili Pachulskiej (gr. 27, nr. 20), a mianowicie róże z widokami, które za otworzeniem się odsłaniają nam portret historyczny postaci, odgrywającej wybitniejszą rolę w dziejach i życiu społecznem i literackiem Polski

WYSTAWA ROLNICZO-PRZEMYSŁOWA W KRAKOWIE NA BŁONIACH.



Główny pawilon (według fotografii Stanisława Bizańskiego z Krakowa.)

przed- i porozbiorowej, jakoto: Dąbrówki, Kilińskiego, Mickiewicza i t. d. Cena 1 złr. za mniejsze a 1½ złr. za większe okazy nie wabi jednak publiczności kupującej, która cokolwiek realistyczniejsze ma wymagania i niekoniecznie lubuje się w ideałach. Wyroby uczennic seminarjum krakowskiego odznaczają się także pewną elegancją: są to różnorodne koszyki i koszyczki, notesiki, poduszki, aparaty kościelne, malowane olejnemi farbami. Co do tych ostatnich, to trzeba się jednak mieć na ostrożności, chcąc ocenić pracę; jeden bowiem z panów sprawozdawców malowidła rzeczone uważał za szyte jedwabiem. Bardzo stosownie do swego nazwiska wystawia p. Ewelina Zabawska z Krakowa (gr. 16, nr. 5) cały szereg zabawek w kształcie lalek dla dziatwy zamożniejszej. Mówimy naumyślnie: zamożniejszej, gdyż nabycie gustownie ustrojonych tych świecidełek nie dałoby się zapewne uskutecznić tanim kosztem.

Pouczającą wielce jest wystawa nauczyciela Wojciecha Wójcika, uzmysławiająca dla dzieci okazy zwierząt i minerałów. Praktyczny także w pewnym stopniu jest pomysł Ferdynanda Napsa z Bilska, wystawiającego puszki blaszane, pięknie lakierowane a posiadające kształt książek. Puszki te specjalnie są przeznaczone dla użytku dziatwy szkolnej. Wiadomo bowiem wszystkim, że dzieci, biorąc z domu chleb z masłem na drugie śniadanie do szkoły, często walają sobie odzienie; otóż wkładając w puszki blaszane śniadanie swoje, nie brudzą dzieci sukien, a cena wyrobu przytem bardzo przystępna, wynosi bowiem tylko 40 ct. Obok Napsa gromadzi się cały szereg wystawców z Bilska i Biały, których towar często obok praktyczności wyszczególnia się taniością i elegancją. Są to wyroby optyka Frydryka Kohna, druciarza Karola Mücke, fabrykanta powozów Fuchsa i innych.

Ale wróćmy do galicyjskich wystawców, którym się na galicyjskiej wystawie pierwsze miejsce należy. Tu ściągają na siebie uwagę publiczną wyroby huty szklannej w Majdanie górnym (pow. Kołomyja); są to medale rozmaite, talerzyki, miseczki, kubki białe i kolorowe po bardzo przystępnych ce-

nach. Obecnym właścicielem rzeczonej huty szklannej jest p. Zygmunt Piwko z Majdanu górnego, obecnym zaś kierownikiem artystycznym zakładu fabrycznego, jednego z najstarszych w Galicji, bo funkcjonującego od roku 1782-go — jest p. Ignacy Styrnał, technik szkła. Pobieżna bodaj wzmianka należy się także fabryce wyrobów z drzewa, żelaza i drutu Geo. E. Delavala (widocznie jakiegoś francuskiego cudzoziemca, zamieszkałego i osiadłego w Grybowie), a obszerniejsza o wiele katalogowi fabryki, wydrukowanemu wbrew wszelkim obowiązkom należącym się od mieszkającego w kraju przemysłowca przemysłowi krajowemu — w Hamburgu u jakiegoś Adlera. Wątpimy bowiem, czyby nawet ostatniorzędna drukarnia polska w Galicji mogła się zdobyć na podobne dziwolągi stylistyczne i językowe, jakie w katalogu p. Delavala znachodzimy a z których bodaj parę przytaczamy ku rozweselaniu naszych czytelników: „Raty mają być punktualnie wedlug umowy spłacane w razie niedotrzymania zobowiązania się, traci Debent prawo placinia ratami,“ albo: „Łózko z ciąglego okrąglego zelaza“ i t. d. Dodajmy od siebie, że znaki pisarskie, jakiemi pospolicie oznaczamy ą, ę, ł, ż i t. d., w kształcie rozmaitych kropek i kresek musiał pododawać atramentem sam pan Delaval; bo tego wszystkiego nie było w katalogu hamburskim.

W grupie 17-tej (papier i wyroby z papieru) panowie Schrott i Żeńczykowski z Krakowa i Wincentowicz z Czerniowiec wystawiają w trzech szafach ozdobnych wyroby swego kunsztu idąc w zawody, kto najzdolniejszy w sztuce introligatorskiej.

Cukrowarnia w Sędziszowie wystawiła pouczające wielce okazy fabrykacji cukru z rzepy; zakłady górnicze i hutnicze hr. Potockiego okazy galmanu i rudy, ale w jakim celu dyrekcja zakładu wystawiła tak zwane „szajngrajcary“ jako pieniądze z 17. i 18. stulecia, znalezione w kopalniach galmanu w Łgocie, tego nie pojmuję wcale. Jeśli jeszcze wymienię prześliczne okazy gliniane i kaflowe Maurycego Barucha z Podgórza, potężnego niedźwiedzia wypchanego, trzymającego w jednej łapie odpowiednio wielką miskę a w drugiej futrzaną czapkę a pochodzącego

z pracowni futer Antoniego Jachimskiego z Krakowa (gr. 14, nr. 8), dalej niezbędne na wszystkich wystawach wyroby cukiernicze i piernikarskie Litwińskiego, Czyńskiego i Zimmera, wyroby perfumerji Ihnatowicza, fortepiany i organy Śliwińskiego i Woronieckiego (gr. 24, nr. 9 i 11), stosy książek i fotografij z Krakowa i z Warszawy, a mianowicie bardzo udatne fotografje Bizańskiego z Krakowa i Bahrynowicza z Czerniowiec (gr. 18, nr. 2 i 3), kwiaty ogrodnika miejskiego Karola Freege i zasługujące na szczególną uwagę prześliczne okazy towarzystwa rybackiego i łowieckiego, między niemi potężnego jesiotra, wypchaną wydrę, trzymającą w pysku rybę ułowioną i złote rybki w żywych okazach, to w najmniejszej części zaledwie będziemy mieli wyobrażenie o tem, co się mieści w pawilonie głównym.

W chwili, gdy to piszę, mniej więcej o w $^1/_2$ do piątej popołudniu dnia 30. Września minister Gautsch, oprowadzany przez komitetowych zwiedza wystawę, zacząwszy od pawilonu głównego; wkrótce może z gazet dowiemy się o tem, jakie wrażenie nań wywarła całość.

Oprócz pawilonu głównego zasługują nietylko na krótką wzmiankę, ale i na obrazowe objaśnienie jeszcze: pawilon Götza z Okocima nad sztucznem jeziorkiem położony i wyszczególniający się piękną powierzchownością (patrz na rycinę odnośną) i akwarjum barona Gostkowskiego.

Ogromne to akwarjum wystawił własnym kosztem i całkiem odrębnie baron Gostkowski z Tomic (pow. Wadowicki.) Nie wchodzimy w to, czy koszta tej wystawy tak były wielkie, że wystawca bez obcej pomocy wydołać im nie mógł, czy też coś innego stało na przeszkodzie, dosyć że wystawca każe sobie osobno płacić, co bądźcobądź trochę dziwnem się wydaje; ale pominąwszy ten szczegół, to w rzeczonem akwarjum, mającem kształt romantyczny groty, rzeczywiście widzieć można bardzo ciekawe okazy najrozmaitszych ryb, pląsających po mokrym żywiole z wszelką możliwą swobodą. I tak wystawione tu między innemi w osobnych oddziałach

Wystawa rolniczo-przemysłowa w Krakowie na Błoniach.



Pawilon Götza (według fotografii Stanisława Bizańskiego z Krakowa.)

pod szklanną szybą: łosoś, lin, karaś, węgorz, miętus, narybek karpia, karp zwyczajny i złoty, szczupak, okoń zwyczajny, płoć, jelec, złoty lin, sandacz, okoń amerykański wielkoustny, wszystko w nadzwyczajnie pięknych i zdrowych okazach. Dla urozmaicenia umieszczono w sztucznej tej grocie, na zewnątrz upiększonej rozmaitem zielskiem a liczącej 12 oddziałów czyli okienek, gdzieniegdzie wypchane okazy dzikiego ptactwa. (Patrz na rycinę odnośną, przedstawiającą wejście do akwarjum.)

* * *

WYSTAWA ROLNICZO-PRZEMYSŁOWA W KRAKOWIE NA BŁONIACH.



Akwarjum barona Gostkowskiego (według fotografii Stanisława Bizańskiego z Krakowa.)

W osobnym pawilonie mieści się wystawa etnograficzna, obejmująca w licznych okazach wszelkie możliwe wzory ubioru naszych włościan, z tych przedstawione z łudzącem podobieństwem strój i kształty cyganki i dziewczęcia wiejskiego z nad Czeremoszu. Ta ostatnia zdaje się prawie przemawiać do widza. Wzorów tych, umieszczonych w osobnych szafach a stojących wolno dwoma szeregami wpośrodku pawilonu, naliczyłem 34, osobno zaś mieszczą się wzory stroju męzkiego i kobiecego w gablotkach wzdłuż ścian, a stoliki oszklone, jakoteż silnym drutem zaopatrzone sztelaże mieszczą rozmaite narzędzia do użytku naszych włościan niezbędne, jakoto: talerze, miski, garnki, dzbanki, koszyki, rogóżki i t. d., jak niemniej wyroby z sukna, jedwabiu, płótna, wreszcie model chaty wiejskiej z Politanek, pow. Jampolskiego.

Bardzo rozległy jest dział maszynowy, reprezentowany na wystawie krakowskiej, gdyż osobno przeznaczono dlań pawilon maszyn i powozów, osobno występują ze swojemi wyrobami niby spółka jakaś liczni niemieccy i polscy wystawcy, produkując wyroby swoje pod otwartą a obszerną remizą, a osobno swoją drogą wystawiają w własnych pawilonach inni znowu wystawcy każdy na swoją rękę okazy swe. W pawilonie maszynowym widzimy gdzieniegdzie bardzo ciekawe przedmioty; ale widzimy także brak systematyczności rażący, ponieważ wśród wozów i maszyn, wśród wynalazków najrozmaitszej kategorji umieszczono także wiktuały, jakoto: ser i masło krajowej i zagranicznej fabrykacji, których rozprzedaż powinna się odbywać w głównym pawilonie a nie tutaj, i wyroby wychowanek zakładu hr. Skarbka w Drohowyżu, których najwłaściwsze miejsce byłoby w pawilonie przemysłu domowego, a nie tu. Panuje zresztą niesystematyczność w tym pawilonie i pod innym względem a chaos językowy jak rzadko: widzimy między wystawcami Bośniaka, kaleczącego okropnie język polski, Wiedeńczyka i nibyto Amerykanina rozmawiających tylko po niemiecku z gośćmi, mało w ogóle swojskiego żywiołu. Z rzeczy wystawionych tu zwracają na siebie uwagę niepo-

spolitą elegancją, wytwornością i dobrocią swoją wyroby Zygmunta Janaszewskiego, majstra ślusarskiego z Gostynia w wielkiem księztwie poznańskiem; są to dwa wrota z lanego żelaza o arabeskach bardzo pięknie wykonanych. Wrota u samego wejścia pawilonu maszynowego ustawione, zdają się tworzýć rodzaj bramy wchodowej, co bardzo korzystne wywołuje wrażenie. Odznaczają się także bądźto pomysłem oryginalnym, bądźto pięknością roboty dwa ołtarze rzeźbione Walentego Lisińskiego z Brzeska, (gr. 21, nr. 22) odznaczone medalem przez komitet, wozy z warstatu drohowyzkiego, wóz Adolfa Meissnera z Krakowa (gr. 23, nr. 14), mogący służyć równocześnie także w charakterze sań, wyroby blacharza Kosydarskiego (gr. 22, nr. 24), służące dla domowego użytku, jakoto: rezerwoary, wanny i t. d. Pseudoamerykanin, urodzony prawdopodobnie na Podgórzu wystawia przyrząd do zbadania świeżości lub nieświeżości jaj, czy praktyczny rzeczywiście, to zostawiam innym do oceny, Wiedeńczyk wynalazek mający ułatwić rysowanie, Bośniak w stroju narodowym całą swoją wielce oryginalną kolekcję wyrobów specjalnie bośniackich, jakoto: noży z krzywą klingą i drewnianym futerałem, cygarniczek najrozmaitszych, wielce prymytywnych maszynek do robienia kawy i t. d. W osobnych zaś pawilonach wystawiają bądźto maszyny i narzędzia rolnicze, bądźto wzory wyrobu specjalnie fabrycznego: L. Zieleniewski (machiny i narzędzia rolnicze), Rozmanit (fabryka cykorji), Kohn i Reich (gięte meble), M. Zieleniewski obok Kohna i Reicha pod gołem niebem wyroby betonowe, oraz gazownia miejska krakowska w pawilonie bocznym, przytykającym do głównego pawilonu maszynowego, wyroby swoje, a osobno bądźto na wolnem miejscu, bądź pod długą a krytą remizą: Szklarski z Podgórza, Cegielski z Poznania, Wenke i Rożen z Krakowa, Schlee z Białej, Umrath z Bubny, bracia Kohlhaupt z Ustronia i inni. Widzimy tu wszelkie możebne wzory młocarń i sieczkarń, kas ogniotrwałych, wozów, pługów, welocypedów i t. d.

W pawilonie, zaopatrzonym napisem: „Komisja krajowa dla spraw przemysłu domowego i ręko-

dzielniczego“ widnieją przedmioty specjalnie przeznaczone dla uzmysłowienia postępu nauki rysunku, malarstwa i rzeźby, oraz przemysłu kołodziejskiego, koszykarskiego, garncarskiego, koronkarstwa, haftu i t. d. Szczególnie odznaczają się wytwornością i przepychem roboty snycerskie szkoły zakopańskiej, taki ołtarz przedstawiający Chrystusa na krzyżu a zajmujący całe okno pawilonu, rzeźby w ramkach gustownych przedstawiające twarze Matejki, Szopena, Pola, biusty, torsy, kasetki z drzewa, stolik o składanej robocie z szachownicą w środku umieszczoną i figurami sztucznie wyrzeźbionemi. Jest to praca niezmiernie skomplikowana i trudna, gdyż malarstwo na szkle, rzeźbiarstwo i snycerstwo w jedną złączyć się musiały całość celem stworzenia pracy, stanowiącej w swoim rodzaju prawdziwe cacko. Zasługują także na szczególną uwagę piękne wyroby szkoły garncarskiej w Kołomyi, warstatu naukowego garncarskiego w Toustem, krajowej stacji doświadczalnej Edmunda Krzena ze Lwowa i szkoły koszykarskiej z Jarosławia.

Szczególna rzecz, ile mamy skarbów artyzmu w kraju, na które nikt nie zwraca uwagi dla tego, że to krajowe! A to wszystko lepiejby się podobało i więcej znalazłoby nabywców, gdyby twórcy fabrykatu krajowego mieli tyle zaparcia się swego ja, aby firmę obcą, wiedeńską lub paryską kłaść na krajowych wyrobach. Smutne, ale prawdziwe!

Jeśli wyroby szkoły zakopańskiej lub jarosławskiej tak pojedyńczo, jak i w grupach całych bardzo korzystne robią wrażenie, to nie można tego samego powiedzieć o pomniejszych wyrobach szkoły garncarskiej w Kołomyi lub Toustem, które pojedyńczo umieszczone nie zwróciłyby może na się uwagi publiczności, i tylko w grupach całych ściągają na siebie uwagę publiczną. Wyroby jarosławskie przytem bardzo tanie, ale zakopańskie nie grzeszą zbytnią przystępnością.

„Nasze zdrojowiska“ pod zarządem Dra Lutostańskiego, na wystawie rolniczo-przemysłowej zdobyły się także na luksus wystawienia osobnego pawilonu. W pawilonie tym figurują wody mineralne

z Iwonicza, Rymanowa, Żegestowa, Krynicy, Morszyna, Szczawnicy, Lubienia, Rabki, Wysowej, Swoszowic, Szczawnego, Czygielki. W tym samym pawilonie mieści się osobna kolekcja wód, przez muzeum przemysłowe krakowskie wystawionych. Są to wody z Buska, Pustomyt, Solca i t. d. Nie brak też w tym pawilonie katalogów, oraz broszur i książek, objaśniających działalność rozmaitych zdrojowisk krajowych i opowiadających obszernie genezę ich powstania. Oto w głównych zarysach to, co się mieści na wystawie na Błoniach po potrąceniu tego, co przeoczyłem, albo z braku czasu i miejsca nie mogłem opisać.

* * *

„Italia fara da se!“ — pod tem hasłem powstały zjednoczone Włochy i pozbyły się może nie długów państwowych, ale bodaj miana poniżającego narodu co do języka a nie co do formy rządowej jednolitego, bo rozpadającego się na przeliczne rozłamy i rozłamki rozmaitych państw i państewek. Zdaje się, że tego „Italia fara da se“ nie wszędzie z jednakowym skutkiem można było zastosować; bo pominąwszy rozmaite inne okoliczności, nie dopisało już przy wystawie krakowskiej, gdzie Italia nie powstała sama z siebie, czyli mówiąc po polsku: nie zdołała pokryć deficytów groźnych wystawy i musiała się uciec do wylosowania publicznego przedmiotów wystawowych, a gdy i to (ogłoszone pierwotnie na dzień 29. Września a odłożone następnie na 9-go, potem zaś na 11-go Października) okazało się bezskutecznem, do tomboli, urządzonej w dzień 1. i 2. Października. Parturiunt montes, nascitur ridiculus mus! Ile to wrzawy o nic zaraz w pierwszy dzień zabawy! Każdy z kupujących myśli już na pewno, że jego ambo wygrać musi, a tu często terno i kwinterno nie wygrywa! A co za rozczarowanie dopiero jeśli kto wygrywa przedmiot nieodpowiedny, co się często gęsto wydarza. Ale z tem wszystkiem trzeba przyznać, że się publiczność znakomicie bawiła i że do kasy wystawowej bądźcobądź wpłynęło bodaj kilka czy

kilkanaście złr. A to grunt!*) Na tomboli, urządzonej na dniu 2. Października jako w dzień świąteczny jeszcze ludniej było niż przedtem, przygrywała muzyka wojskowa, odzywały się strzały, przechadzały się po placu wystawy tam i nazad „żywe rogóżki“ Czyńskiego; ale niejednego zawiodły może nadzieje, a co pocznie szczęśliwy zdobywca terna, zapewniającego mu 5 losów wystawy krakowskiej, jeśli na wszystkich pięciu nie wygra ani jednego przedmiotu, co się bardzo łatwo wydarzyć może!

II.

Wystawa prywatna Jana Kruszyńskiego.

Kraków jest miastem, lubiącem nietylko przepych i wytworność, ale wybrednem i wytwornem także w swoich wymaganiach artystycznych i lubującem się w sztuce tak plastycznej, jak i malarskiej. Dowodem tego prywatne wystawy artystyczne, urządzone odrębnie i niezależnie od ogólnej wystawy sztuk pięknych w Sukiennicach.

O takiej wystawie prywatnej wypadło nam w artykule niniejszym cokolwiek pomówić. Mamy na myśli wystawę artystyczną obrazów p. Jana Kruszyńskiego, urządzoną podczas sezonu wystawowego przy ul. Wolskiej w pałacu hr. Krasińskich w dwóch parterowych salonach. Według prospektu, ogłoszonego przez artystę, wystawa otwartą została dnia 9. Września i ma być zamkniętą 5. Października.

Na tej wystawie mieszczą się rozmaite dzieła sztuki tak starożytnej, jak i nowożytnej. Obok malowideł stanowiących własność prywatną hr. Krasińskiego, jakoto: portretu autora „Irydiona,“ obrazu

---

*) Niestety! i tombola urządzona na korzyść kasy wystawowej, jak na dotąd okazała się bezskuteczną, a dosyć głośno szeptają sobie w ucho wszyscy, że deficyt jak na Kraków znaczny będzie rzeczą nieuniknioną.

starożytnego Andrea del Sarto i innych, zwracają na siebie specjalną uwagę artystyczne utwory samego Kruszyńskiego. Są to przeważnie obrazy historyczne, często z głębszą, społeczną tendencją. Tematy poważne, nie nęcące wesołością barw i przedmiotów, ale takiem jest i życie nasze, a zresztą indywidualność każdego artysty maluje się w jego obliczu, zkąd tendencje artystyczne, kierujące nim, prędzej jeszcze wyczytać można, niż z jego obrazów. P. Kruszyński przeszedł szkołę cierpień, nie chcąc się sprzeniewierzyć ideałowi prawdy, przezeń urojonej, choć może nie zgodnej z rzeczywistą prawdą; cechę tę smutną nosi też jego obraz: „Powrót Platona do Aten,“ nieszczęście ogólno - ludzkie, odźwierciedla nam „Giełdzista“ tegoż samego artysty, inne obrazy historycznej treści wzięte są przeważnie z historji Polski i odźwierciedlają nam wielkie i doniosłe chwile walki i odrodzenia narodu.

Na samym wstępie uderza obraz historyczny o kolosalnych rozmiarach, przedstawiający Sobieskiego pod Wiedniem, otoczonego liczną świtą towarzyszów broni. Sobieski na koniu wskazuje szablą na łunę krwawą pożaru, widniejącą w dali. To Turcy po ucieczce dzikiej zostawili ślady swego pobytu w kraju w pożodze, chłonącej ich namioty wraz z łupem bogatym, mieszczącym się wewnątrz. Przed wojskiem zwycięzkiem ułożono na tapczanach rannych. Za królem Jabłonowski, hetman korony, również spieszy konno, w dalszej perspektywie kroczą piechotą Jakub Sobieski, Procki, Kulczycki i inni. Grupę osób, umieszczonych na tym obrazie zamyka kardynał, modlący się do Boga o zwycięztwo wojska chrześciańskiego. Obraz ten wyszczególnia się żywością figur, umieszczonych na nim.

Do rodzaju historycznych obrazów należy także odczytanie złotej ramoty w r. 1863-m przez jednego z uczestników powstania. Rzecz odbywa się pod gołem niebem. Uroczysta cisza, jak na uroczysty akt ten przystało, towarzyszy jego słowom. Przysłuchują się tymże obywatele i obywatelki, przysłuchują się włościanie i włościanki. Szczególnie fizjognomie tych ostatnich, klęczących na murawie, odznaczają się wyra-

zem prawdopodobieństwa. Mniej zadowala nas wyraz twarzy obywatelki, stojącej poza plecami czytającego i patrzącej przed siebie zamrużonemi oczami jak gdyby we śnie.

„Bolesław Krzywousty, wybierający się z Sieciechem na wyprawę wojenną“ przedstawia nam chwilę z dziejów Polski, bogatych w walki i czyny bohaterskie. Władysław Herman błogosławi synowi, wybierającemu się na wyprawę wojenną w towarzystwie zasłużonego i starego wojaka Sieciecha. Zapał młodzieńczy maluje się w twarzy młodego królewicza, męzkość rycerska i hart wojenny w duszy starego Sieciecha. Król zdaje się wahać z pozwoleniem: wtem biskup szepce mu do ucha niezrozumiałe dla widza wyrazy. To pewnie wskazówka, aby się stary ojciec nie sprzeciwił woli syna, który dzielnemi czynami swemi wkrótce zdobędzie nietylko dla siebie, ale i dla ojca poszanowanie u ogółu i zatrze pamięć niemiłą o pretendencie Mieczysławie. Rzecz wzięta z dzieła historyka Göhringa.

Ponad tym obrazem umieszczony mniejszy szkic kolorowy do „Balladyny“ Słowackiego.

„Powrót Platona do Aten“ przedstawia mędrca w chwili, kiedy wraca do kraju, sprzedany w niewolę przez Spartańczyka. Lichwiarz w głębi po za nim umieszczony, toczy właśnie układy z Spartańczykiem o cenę żywego towaru, nabytego przezeń. Twarz wstrętna lichwiarza przykładającego palec do czoła i zastanawiającego się nad wartością przedmiotu nabytego, cynizmem swoim niemiłe budzi wrażenie, niemniej wstrętne — twarz Spartańczyka. Nad całem otoczeniem swojem góruje powagą głęboką myśli i spokojem Platon. Zagłębiwszy się w jakichś ważnych zagadnieniach filozoficznych, nie zdaje się zważać na otoczenie swoje. Jego nie łudzi dym kadzideł unoszący się ku jego chwale, jego nie wabi ziemski pokarm, na klęczkach podany mu przez niewolnika; myśl jego buja daleko, może w obłokach, może w niebieskiej ojczyznie, może w kraju rodzinnym, od którego oddalony jest morzami i lądami a do którego powrócić ma w niedalekiej może przyszłości. Cały ten

obraz, który uważamy za jeden z lepszych p. Kruszyńskiego, odznacza się klasyczną powagą i spokojem.

„Giełdzista“ przedstawia nam scenę smutną z życia naszych obywateli. Do skrachowanego giełdzisty przychodzi w odwiedziny niemiły gość: lichwiarz w asystencji sekwestratora, mającego zasekwestrować resztki mienia podupadłego obywatela. Haec sunt lacrymae! To też płaczą niewiasty i ronią gorżkie i krwawe łzy nad lekkomyślnością głowy domu. Żona, kobieta czarnowłosa, mogąca liczyć czterdziestkę, stojąc obok męża, chustką ociera łzy, puszczające się obficie z oczu zamglonych, córka młodsza, urocza blondynka o rozpuszczonych na ziemię włosach, siedzi w smętnej i bolesnej zadumie. Biedna! ona może marzyła o szczęściu przyszłem, o jaśniejszej doli u boku kochanka. A teraz rzeczywistość okrutna rozwiała urocze marzenia. Któż zechce połączyć swój los z losem córki bankruta, człowieka potępionego według wszelkich zasad kodeksu społecznego? Odpowiednio do smutnej chwili i rzecz sama oddana w kolorycie rembrandtowskim. Bardzo udatnie od ciemnego tła odbijają się twarze żony i córki młodszej, w mniejszym stopniu twarz córki starszej, odwróconej plecami od ojca.

Kolekcję tę uzupełniają między innemi także portrety pani Bałabanowej, Szajnochy, ks. Robaka, wystawcy i brata tegoż, znanego cukiernika Kruszyńskiego, oraz i inne.

Na wystawie tej jako na prywatnej było według zapewnień samego wystawcy, bardzo mało tylko odwidzających. Zastanawia nas ten szczegół tem bardziej, iż mimoto, że wystawa rolniczo-przemysłowa i wystawa w Sukiennicach absorbują wszystkie umysły, Kraków bądźcobądź powinien liczyć jakie takie grono artystycznie usposobionych mieszkańców, mających czas i pieniądze na oglądanie chociażby nawet prywatnej tylko wystawy. Kto zechce, ten znajdzie we wszystkich a więc i w dobrych pracach, same tylko ujemne i czarne strony. Ale choćby się i tak rzecz miała, czyż już nikt nie miał na tyle ciekawości, aby za pomocą własnego, naocznego poglądu przekonać się o tem, co dobre a co złe? Prawda, podnosząc

dodatnie strony, nie możemy milczkiem ominąć ujemnych. Ujemną stroną zaś jest indywidualność autora samego, którego pewność siebie przekracza dozwolone granice; ujemnym jest szczegółem, jeśli się słyszy o cenach obrazów niepomiernie wygórowanych, a którym nasz kraj materjalnie wyniszczony, kraj, który miesiące i lata potrzebował na zakupno „Unii“, nie wydoła; ujemną stroną wreszcie jest niewłaściwa a zbyt szumna nomenklatura niektórych obrazów. I tak obraz przedstawiający Jana Sobieskiego pod Wiedniem zatytułowany tutaj jako: „Tryumf Sarmatów“, drugi obraz, przedstawiający odczytanie złotej ramoty, jako: „Jedyny głos do naszych.“ Co to znaczy i kto to zrozumie? Czy chwila zwycięztwa Jana Sobieskiego nad Turkami była jedynym tryumfem Sarmatów? A gdzie się podzieli zwycięzcy pod Grunwaldem i Płockiem? A gdzie znikły postacie historyczne Łokietka, Batorego, Czarneckiego i tylu innych znakomitych wodzów, którzy Sarmatów wiedli od tryumfu do tryumfu? Wyraz: „Tryumf Sarmatów“ za ogólny i za ogólnikowy. A drugi wyraz: „Jedyny głos do naszych“ jeszcze gorszy według mego zdania i loicznie nieumotywowany. Co to znaczy: „Jedyny głos do naszych?“ Napróżno zastanawia się czytelnik nad fatalnym tym wyrazem. Będzie to głos Mickiewicza, kiedy wołał: „Litwo! Ojczyzno moja! tyś milsza nad zdrowie!?“ Będzie to głos Wybickiego: „Jeszcze Polska nie zginęła?“ Będzie to głos natchniony i proroczy Jeremiasza wołającego:

„Rozgłaszajcie! nie tajcie nikomu!
W górę wznoście sztandar rozpostarty!
Na Babylon dzień przyjdzie pogromu!
Padnie, runie, na proch będzie starty!“

Będzie to wreszcie głos Skargi, piorunującego z ambony i wzywającego naród do pokuty? Bo głosem rzeczywistym tylko do nas przemawiać może, kto wprost przemawia do nas duchem i sercem swojem, kto mówiąc porywa tłumy swoją wymową, a więc mowca wielki lub prorok, kto pisząc porywa tłumy myślą z nieba mu daną, a więc wieszcz narodu, nigdy zaś odczytający choćby głosem gromu nie swoje myśli!

III.

Wystawa w Sukiennicach.

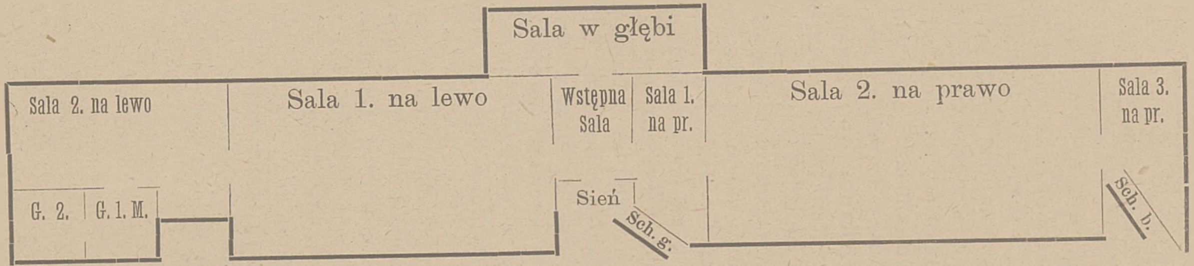
Pisano już tyle za i przeciw o wystawie sztuk pięknych w Sukiennicach, że artykuł mój co do wartości i znaczenia zrówna się może z kropelką wody w morzu. Nie miałem też zamiaru, nicować wyższych odemnie, gdyż do tego nie czuję się powołanym, nie miałem również zamiaru, dać treściwy i wyczerpujący pogląd wystawy sukiennicznej, gdyż to uskutecznili lepiej odemnie prawdziwi rzeczoznawcy; ale chociaż praca niniejsza uchodzić może tylko za pracę niefachowca, to chciałbym przecież bodaj pobieżnie skreślić niektóre uwagi ogólne co do wystawy sztuk pięknych w Sukiennicach.

Wystawa rzeczona mieści się na drugiem piętrze Sukiennic, a wchodzi się do niej przez sień bogato w kwiaty ustrojoną, której widok boczny, ze schodów głównych widziany i zdjęty, przedstawia nam jedno z illustrowanych pism warszawskich. Oprócz tego rozpadająca się na 4 działy, a mianowicie wystawę sztuk pięknych, wystawę Muzeum Narodowego, wystawę zabytków po Mickiewiczu i wystawę sztuki zastosowanej do przemysłu oraz i starożytności, wystawa w Sukiennicach obejmuje jeszcze salę wstępną, do której przytykają z prawej strony 3, z lewej zaś 2 większe lub mniejsze sale, od drugiej lewej sali w bok prowadzą dwa mniejsze gabinety, z których pierwszy przeznaczony na przechowanie pamiątek po autorze „Grażyny“, z wstępnej zaś sali środkowemi drzwiami wchodzi się do obszerniejszego gmachu w głębi, zamykającego szereg apartamentów sukiennicznych wystawowych i przeznaczonego na wystawę sztuki zastosowanej do przemysłu.

Aby zaś czytelnikowi ułatwić rozgląd, umieszczamy tuż obok plan sytuacyjny rozkładu sal wystawowych w Sukiennicach. (patrz str. 244.)

Jak się na początku niniejszego artykułu rzekło, to kreśląc go nie miałem zamiaru, dać wyczerpujący

WYSTAWA SZTUK PIĘKNYCH W SUKIENNICACH.



PLAN SYTUACYJNY, ZDJĘTY NA MIEJSCU PRZEZ AUTORA.

(Objaśnienia: Z wstępnej sali boczne drzwi na prawo prowadzą do pierwszej, drugiej i trzeciej sali na prawo. Największa co do rozmiarów jest druga sala na prawo. Z trzeciej sali na prawo wyjście do kancelarji muzealnej i schody boczne na ulicę prowadzące. Drzwi boczne na lewo prowadzą do pierwszej i drugiej sali z lewej strony. Z drugiej sali na lewo boczne drzwi prowadzą do gabinetu pierwszego Mickiewicza, ztąd boczne drzwi do gabinetu nr. 2, tworzącego wraz z gabinetem Mickiewicza appendix Muzeum Narodowego. Drzwi w głębi wstępnej sali prowadzą do sali w głębi. Tak wystawa sztuk pięknych, jak i połączona z nią muzealna podczas trwania wystawy, t. j. od $^1/_9$ do $^{15}/_{10}$ 1887 stały otworem od 9-tej z rana do 6-tej z wieczora, o 6-tej wieczorem zamknięto całkowicie wystawę muzealną wraz z appendixami a na godzinę wystawę sztuk pięknych. O godzinie 7-mej wieczorem powtórne otwarcie wystawy sztuk pięknych przy elektrycznem oświetleniu, które trwało do 10-tej w nocy. Z oświetlenia tego nie korzystały jednak sala 2-ga na lewo, zamknięta całkowicie i sala 3-cia na prawo, zwana „senatorską.“)

obraz skarbów artystycznych, nagromadzonych w Sukiennicach, gdyż uczynili to już inni przedemną lepiej i gruntowniej niżbym ja potrafił, a nie jestem zresztą fachowcem. Wybiorę tedy z nawału dzieł sztuki, nasuwających się mimowoli, małą tylko stosunkowo liczbę.

Na samym wstępie do świątyni sztuki witają nas rzeźby i obrazy artystów polskich jako żywy dowód, jak żywotnym jest ten naród, przeznaczony na zagładę powolną, na wymieranie za życia przez wrogów myśli polskiej! Honorowe miejsce — zdaje się — naznaczono tworom sztuki rzeźbiarskiej we wstępnej sali. Tu cały ich szereg w najrozmaitszych kształtach wita gościa, przekraczającego ze czcią progi, przeznaczone dla zabytków sztuki, choć i w bocznych salach po lewej i po prawej stronie nie brak najrozmaitszych rzeźb i odlewów gipsowych a niektóre nawet w sieniach są umieszczone. Kto jednak z prawdziwie artystycznem poczuciem pragnie korzystać z wystawy sztuk pięknych w Sukiennicach urządzonej, ten niech ją we dnie zwidza, a nie wieczorną dobą. Inne jest oświetlenie naturalne, dzienne, a inne wywołane sztucznie elektryką. Nie chciałbym ją może wykluczyć całkowicie, ale ograniczyć bądźcobądź do pewnych rozmiarów. Światło elektryczne, niebieskawe, nieprzyjemne, sztuczne, może się z dobrym skutkiem tylko nadać do obrazów o ponurem, niebieskawem, ciemnem tle; używane jako środek upiększenia przy malowidłach jakichkolwiekbądź innego rodzaju niekorzystne wywołuje wrażenie, a razi nadto przy bladych twarzach, które jeszcze więcej trupiej bladości nabywają za pomocą oświetlenia elektrycznego. Niekorzystniejsze jeszcze o wiele wrażenie wywołuje hałaśliwa i niekoniecznie zachwycająca muzyka wojskowa, bez którejby się snadnie obeszło, a która nieznośnym hałasem swoim tok myśli przerywa. Muzyka dobra dla tańców, ale nie w świątyni sztuk pięknych, gdzie skupienie myśli jest prawdziwą muzyką duszy, której fałszywy akord niechaj nie przerywa!

Wypowiedziawszy ogólne te uwagi, przystąpmy

teraz do przeglądu poszczególnych dzieł sztuki, wystawionych w Sukiennicach.

I tak, jeśli na chwilkę opuścimy salę wstępną, zawierającą głównie dzieła sztuki plastycznej i udamy się do sali przyległej na prawo, to zwracają od razu na siebie uwagę naszą rysunki Piotra Stachiewicza, zakupione przez ks. Sapiehę, a do których nieodżałowanej pamięci nasz Kraszewski tekst dopisał. Całość ma tytuł zbiorowy: „Zimowe wieczory“ i składa się z pięciu obrazków. W „Prologu“ stara wieśniaczka, otoczona gronem ciekawych słuchaczów i słuchaczek zdaje się opowiadać im coś wielce ciekawego; bo oczy słuchaczów nieruchomie skierowane są ku jednemu przedmiotowi, a tym przedmiotem opowiadająca legendy babka. W drugim obrazku: „Babie lato“ przedstawione są lekkie pajęcze tkanki jesienne, które sobie wyobraźń ludu przedstawia w kształcie przędzy Najświętszej Panny, rozerwanej lada wiatru powiewem. Białe aniołki u stóp jej daremnie usiłują na powrót spleść nici cudownej tkanki, którą wiatr psotnik bez ustanku rozrywa. Trzeci obraz zatytułowany: „Kaganki żywota.“ Rzecz zarówno z innemi wzięta z podań i baśni ludu. Lud przedstawia sobie przeznaczenie ludzkie w kształcie kaganka. Gdy jasno tli, wtedy ma wybraniec losu żyć i w pełni całej używać darów bożych, gdy płomyk zagaśnie, jest to znakiem zbliżającej się śmierci. To pogańskie podanie ludowe w całej naiwności swojej illustruje słowem Kraszewski a kredą Stachiewicz. Jeśli przedmiot ten ludowy mimowoli uderza dziwactwem fantazji, to nie wolno nam przecież powtarzać w ślad za niefortunnym krytykiem: „Temat nie nadaje się stanowczo do obrazu. Największą fantazją obdarzonemu artyście trudno by było z tego cokolwiekbądź innego stworzyć prócz dziwactwa.“ Największym bowiem artystą jest właśnie fantazja ludu: idąc za jej popędem dziwactw tworzyć nie można. Czwarty obraz: „Plamy na księżycu“ wypadł — zdaje nam się — trochę niewyraźniej. Widzimy postać, mającą przedstawić Boga rozgniewanego zepsuciem ludzkiem i kreślącego obraz bratobójczej tej walki w kształcie obrazka na księżycu. Tarcza księżyca jednak tak przyćmiona, że

i śladów tego obrazka nie widać. Najudatniejszym obrazem w grupie pięciu przez nas wymienionych zdaje nam się mimo przeciwnego zdania Bieszczada być: „Omen, czyli Homen.“ Mary, uzbrojone w piszczałki, w bębny, w trupie kości zdają się zapowiadać śmierć i zarazę. Jest to coś stworzonego na kształt i podobieństwo tańców czarownic na łysej górze. Puhacze i sowy wtorują dzikiem echem akordom pieśni zniszczenia, a noc, której ciemności nie przenika światło księżyca, grozą swoją zdaje się uzupełnić obraz ponury.

W tej samej sali mieszczą się także liczne akwarelle Juliusza Kossaka, sławnego artysty na polu hipologii, między akwarellami Kossaka zaś odznacza się żywością ruchów przedstawiający szarżę kawalerji numer 294, zatytułowany: „Tuhaj Bey.“ Nr. 310: „Powozik babuni“ przedstawia nam starego poczciwego stangreta, wyczekującego cierpliwie na koźle odwiecznej landary na powrót państwa zapewne również jak on starego. Para białych koni, stojących w zaprzęgu, oddana z łudzącem prawdopodobieństwem. Z niemniejszym humorem krajobraz, zatytułowany: „Omnibus“ a zaopatrzony numerem 510-m, przedstawia nam grupę gości, wysiadających z omnibusu hotelowego. Wnętrze powozu napchane gośćmi, wierzch tłumakami, tak że konie zmęczone zaledwie wydołają ciężarowi podwójnemu. Z omnibusu wysiada hoża panienka, bacząc na to, aby sobie nóżek nie zawalała, po za nią wyziera twarz zmarszczona starej dewotki, trzymającej modlitewnik w ręce, a na koźle siedzi wesoło uśmiechnięty filut hotelowy, zaopatrzony tablicą z nrem 25-m. a mający przy boku towarzyszkę godną w kształcie służebnicy, trzymającej w lewej ręce flaszkę, napełnioną zapewne ulubioną anyżówką, ponieważ oczy zamrużyła do snu błogiego, a i stangret uśmiechnięty zdaje się z wewnętrznem zadowoleniem odczuć smak ulubionego napoju.

Udatne także w wysokim stopniu są akwarelle Sozańskiego, a mianowicie nr. 313 i 314. Pierwszy obraz, zatytułowany: „W zakrystji“ (cena 50 złr.) przedstawia nam zakonnika, oczywiście polskiego, siedzącego w swoim fotelu w błogiej zadumie. Rysy

jego — to rysy starego wiarusa i wojaka polskiego. Wszakże możliwość niewykluczona, że stary niegdyś walczył w powstaniu i wałęsał się po rozmaitych kątach, aby wreszcie pod koniec życia swego znaleźć spokój upragniony w celi klasztornej. Nie brak dla uzupełnienia obrazka także tabakierki charakterystycznej, którą staruszek obraca w palcach. Akwarella nr. 314 (c. 40 złr.), pod zakonnikiem umieszczona, całkiem odmienny przedstawia nam typ. To żywy kontrast z obrazkiem poprzedzającym. Tam panuje spokój i refleksja, tu życie. Tam myśl nabożna zdaje się ulatać ku niebiosom a wzrok skierowany ku nim; tu wzrok z namiętnością włoską ku ziemskim zwraca się przedmiotom. Rysy ogorzałe i włos czarny znamionują Neapolitankę, wyraz twarzy żebym się tak wyraził pospolity, ubiór pstry i krzyczący znamionują córę gminu.

Nadzwyczajnie udatny jest obraz Tepy nr. 330 (c. 100 złr.), przedstawiający „starego wójta z Poturzycy“ (pow. Sokalski.) Że udatny, to twierdzę nie dla fantazji, ale na podstawie własnych doświadczeń i obserwacyj zrobionych wśród ludu, zwłaszcza ruskiego, bo to widocznie rysy ruskiego chłopa. Nieokreślonego koloru szarawo-zielonawo-żółty kożuch z ciemno-brunatnemi manszetami i kołnierzem, bardzo korzystnie odbijają od twarzy pofałdowanej wiekiem, pooranej bruzdami, od wzroku niedowierzającego i przenikliwego.

Utalentowany malarz Juliusz Fałat z Warszawy przedstawia nam w szeregu akwarell typy i ubiory litewskie i warszawskie. Nie znamy wyżwymienionych okolic i dla tego nie możemy sądu wydać o wierności utworu, ale bądźcobądź, to taka „Żmujdzinka“ albo tacy „Węglarze“ budzą pewne zajęcie, gdyż odźwierciedlają nam życie i obyczaje ludu w okolicach tradycją wiekową z nami złączonych, choć granicami politycznemi rozdzielonych. Szczególnie tacy „Węglarze“ budzą żywe zajęcie, i podziwiać należy się cierpliwość artysty, który należycie namęczyć się musiał, aby z taką skrupulatnością oddać te rozmaite odcienia najbrudniejszych barw i płatków, któremi się odznacza ubiór pod względem czystości i harmo-

nii kolorów zupełnie zaniedbany naszej klasy robotniczej, a który jak wiadomo składa się z samych tylko szmat i łatek.

Tak jak we wstępnej sali przeważa rzeźba, usuwając inne gałęzie sztuki na drugi i trzeci plan, tak tu przeważa rysunek kredą, akwarella i pastel nad innemi. Aby się zbytnio nie rozszerzać, wymienimy jeszcze z akwarell: Walerego Eljasza „Bitwę pod Racławicami“ (c. 600 złr.) i „Obóz powstańców pod wodzą Bończy.“ Szczególnie ostatnia ta akwarella odznacza się żywością scenerji. Portrety, zaopatrzone nrami 250, 306 i 514 są to pastele, pochodzące od rozmaitych autorów i autorek. Nr. 306 Reyznera przedstawia nam pannę M., nr. 250 Anny Bilińskiej portret p. Marcinkowskiego, rzeźbiarza z Krakowa, nr. 514 portret znanego artysty Mierzwińskiego, wykonany przez Stykę. Rysy p. Marcinkowskiego bardzo sympatyczne robią wrażenie w obrazie, świadcząc o męzkości i otwartości duszy.

Styka, po którym my dotąd tylko nawykli do obrazów religijnych, daje nam w portrecie Mierzwińskiego także małą próbkę swoich zdolności portrecisty, przedstawiając nam Mierzwińskiego w stroju teatralnym, zdaje się hiszpańskim, zapewne odnoszącym się do jednej z najbardziej ulubionych jego ról. Jeśli w osławionem dziele: „Dokładny przegląd krytyczny“ Tomkiewicza i spółki, p. L. St. autorowi obrazu wyrzuty czyni z powodu, że przedstawił nam w ten sposób głośnego artystę i że jego figura „niemiłe czyni wrażenie teatralnym kostjumem, który dobry na scenie, ale nie na obrazie“, to nad takiem ograniczeniem czy też zboczeniem umysłowem, możemy tylko wzgardliwie wzruszyć ramionami. Każdy przedmiot artystyczny czyni miłe i harmonijne wrażenie, jeśli z konsekwentną harmonją barw i uczuć bywa przeprowadzony, i nie czytaliśmy dotąd w żadnym kodeksie sztuki, aby to było rzeczą zakazaną lub gorszącą, przedstawić naszych artystów scenicznych w chwili pełnienia ich zawodu. Jeśli w obrazach często przedstawiamy najwstrętniejsze postacie z życia wzięte, i te jeszcze mimo obszarpania i zaniedbania zewnętrznego budzą w nas zajęcie, to

czemuby nas w obrazie miał odstraszyć artysta, choć w teatralnej pozie i w teatralnem ubraniu? Prawda! loika nie była i nie jest silną stroną redaktora „Dokładnego przeglądu“, ani jego współpracowników. To też widzimy w rzeczonem dziełku wszędzie nie mistrzostwo wyrazów i stylu, ale „majsterstwo“ ciężko i niezgrabnie ukute, a styl i język zaniedbany srodze.

Przypuszczamy, że Mierzwiński, przedstawiony nam z bokobrodami Anglika, z szeroką twarzą i z wyrazem bulldoga, a w stroju, w którym widnieje na obrazie Styki, okropne zrobiłby na nas wrażenie. Ale z wysokiem i wyrazistem czołem, z jakiem go nam artysta przedstawia, z wyrazem oczu, przypominającym rycerzy 17-go stulecia, z twarzą podłużną, ozdobioną krótkim wąsem i hiszpanką, uzupełnia nam Mierzwiński bardzo charakterystycznie strój, na pierwszy rzut oka może troszeczkę za afektowany i teatralny.

Dla uzupełnienia działu akwarell i rysunków w sali tej umieszczonych, przytaczamy jeszcze rysunki, z wielką ścisłością i dokładnością według wzorów starożytnych przez profesora Maksymiliana Cerchę z Krakowa wykonane, a za które też autor medalem został odznaczony. Są to rysunki z pomników Krakowa, a mianowicie: Zofia Bonarowa (z r. 1532, c. 100 złr.) Filip Kallimach (z. r. 1496, c. 90 złr.), Michał Gedrojć (z r. 1485, c. 100 złr.) Frydryk Jagiellończyk (z r. 1510, c. 200 złr.), Piotr Kmita, (c. 120 złr.) Piotr Salomon, (c. 60 złr.) oraz drzwi z kaplicy Wazów, (ostatnie 3 obrazy umieszczono w katalogu wystawy sukiennicznej bez podania daty.) Praca Cerchy tem większego nabierze znaczenia, skoro uwzględnimy, że to emerytowany profesor rysunków, staruszek liczący 70 lat, który już przeszło od czterech dziesięcioleci z niezmordowaną, mrówczą gorliwością, nieraz z narażeniem własnego zdrowia i życia po klasztorach i kościołach krakowskich zbiera pamiątki przeszłości z zamiarem przykazania ich przyszłym pokoleniom, że jako prawdziwy konserwator zabytków starożytności w przedziwnie udałych i delikatnych rysunkach takich wzo-

rów nagromadził dotąd przeszło 400, a między niemi i takie, których ślad ostatni znajdujemy jedynie li tylko w pracowitem dziele jego dłoni, ludzie bowiem, którzy powinni byli czuwać nad zachowaniem zabytków starożytnych, pozwolili im, rozpadać się w gruzy. W każdym innym kraju znaleźliby się księgarze, znaleźliby się nakładcy, starający się urzeczywistnić marzenie artysty wydaniem wzorowem cennej jego pracy; bo Cercha, ambitny i dumny na swoją pracę jak zresztą każdy prawdziwy artysta, nie zgodziłby się z pewnością na wykonanie byle jakie. Tu w Galicji nie można nawet o czemś podobnem marzyć; bo kraj nasz ubogi — nietylko w pieniądze. Mimoto podnoszę w łamach mego rocznika kwestję rzeczonego wydawnictwa, którego (a choćby nawet po śmierci autora) jeden z naszych większych zakładów naukowych w kraju koniecznie podjąć się powinien.

Przechodźmy do działu rzeźby, w tej samej sali umieszczonego. Tu zwraca na siebie uwagę figurka rzeźbiona z terracoty p. Marcinkowskiego: „Moja gosposia.“ Jest to coś niewymownie miłego i przemawiającego do serca niewybrednością i rzewnością pomysłu. Autor przedstawia nam w „swojej gosposi“ zapewne córeczkę swoją, ukrywającą w spodniczce kwiaty, zebrane z ogródka. Postać przedstawiona siedząco, w lewej ręce trzyma pręcik łozy. Zawiejski przedstawia nam w dwóch figurkach z terracoty, noszących nra 34 i 35 postacie Tunetańczyka i Tunetanki. Twarze ich rażą brzydką jakąś zmysłowością, wyrazem chińsko-tatarskim, szczególnie twarz Tunetańczyka. Korzystniejsze o wiele wrażenie wywołuje już Zawiejskiego „Wieśniak“ (nr. 431), choć i tego wieśniaka rysy niekoniecznie grzeszą idealizmem. Idealniej przedstawia się nam numer 397 Marcinkowskiego, (posążek z bronzu, przedstawiający nam hr. Ludwika Mycielskiego w pozycji stojącej.) Rysy twarzy szlachetne, wyraz marsowy i rycerski przypomina nam żołnierzy polskich z 17. i 18. stulecia, zwycięzców pod Chocimem i Wiedniem. Grupę rzeźb uzupełniają niejako medaljony w bronzie i odlewy rozmaite, przedstawiające nam hr. Adama Potockiego, Sewerynę Duchińską, Dra. Ksawerego Ga-

łęzowskiego, Władysława Mickiewicza i inne głośne w literaturze i historji naszego kraju postacie.

W drugiej sali na prawo przeważają malowidła olejne większych lub mniejszych rozmiarów. I tak w pierwszym rzędzie zajmując niejako miejsce honorowe po prawej stronie, zwracają na siebie uwagę publiczną dwa kolosalne obrazy historyczne, zaopatrzone nrami 136 (c. 4.000 złr.) i 90 (c. 600 złr.) I jeden i drugi obraz historyczny, stosownie do poważnej chwili, wykonany na szarem tle, trzymany niejako w półcieniu. Autor pierwszego obrazu Włodzimierz Łuskina przedstawia nam mnicha Savonarolę, głośnego demagoga i reformatora, który później na stosie zginął, w chwili, kiedy trzymając w jednej ręce krzyż, wzniesiony w górę, drugę wyciąga ku Medyceuszowi, piorunując przeciwko zepsuciu dworskiemu i zapowiadając możnowładcy bliski a okropny koniec. Dworzanie w rozmaitych pozycjach otaczają księcia. Więcej w ich twarzy zdziwienia i niedowiarstwa niźli przestrachu i skruchy. Jedna tylko dama, na pierwszy plan wysunięta, czuje coś jakby głos sumienia niepokojonego, bo spuściła bladą główkę trwożliwie, jeden tylko błazen, umieszczony na szarym końcu poza księciem, zdaje się mieć jakie takie wyobrażenie o sytuacji, zdaje się przeniknąć przyszłość, przewidzieć przewroty, jakie w niedalekiej przyszłości nastąpią: wygnanie Medyceuszów, śmierć Wawrzyńca, powstanie republiki z Savonarolą na czele; ale o takich rzeczach w obec dworu — i błaznowi mówić nie wolno. Obraz Łuskiny wywołuje potężne wrażenie i uzasadnia pod każdym względem wybitne miejsce, jakie mu na wystawie obrazów w Sukiennicach naznaczono. Zarzucają jednak jako kardynalną wadę temu obrazowi, że rysy i cera pojedynczych figur są polskie a nie włoskie, szczególnie zaś Savonarola wygląda na polskiego zakonnika; mniej raziłaby już bladość u Włochów rzadka w twarzy dworzan i dworzanek wymuskanych, ale Savonarola jest synem ludu. Cera jego twarzy koniecznie powinna być inną.

Pod Savonarolą figuruje mniejszy cokolwiek rozmiarami, ale nie mniejszy co do treści obraz

Wojciecha Kossaka, wzięty z dziejów powstania. Artysta sam, pragnąc wytłumaczyć niejako i usprawiedliwić wystąpienie swoje na polu malarstwa historycznego, dodaje do swego obrazu objaśnienie następnej treści: „Jenerał Chłopicki, były naczelny wódz, na zaproszenie księcia Adama Czartoryskiego Członka Rządu Narodowego przybywa dnia 25. Lutego 1831 r. pod Grochów, podczas szturmu na Olszynkę, z nim oficerowie posyłkowi i adjutant dywizyi i kawaleryi Hr. Mycielski, Maurycy hr. Potocki, August hr. Potocki, Leon hr. Rzewuski, (aby swą radą poprzeć ks. Radziwiłła naczelnego wodza). Pomimo przedstawień oficerów, jenerał Chłopicki zbliżył się tak do linii nieprzyjacielskiej, że wkrótce ciężko raniony spadł z konia. — Przybycie jenerała podniosło jednakże ducha żołnierzy; Olszynka po raz trzeci została zdobytą. Dybicz zaczął odwrót ku Siedlcom.“ — Sądzę, że niniejsze objaśnienie jest zbędne: ktoby nawet nie chciał, ten patrząc na obraz Kossaka, od razu uwierzy w jego talent artystyczny i naznaczy mu miejsce pomiędzy najwybitniejszymi malarzami historycznymi. I trzeba się tylko dobrze zastanawiać nad układem fizjognomij tych starych wojaków, aby przyznać, że artysta, który ten obraz stworzył, głębokie musiał poczynić studja przedwstępne. Tu w przednich szeregach żołnierz, który strzela, pozanim drugi, chwytający za karabin, żołnierz trafiony na śmierć, wiarus stary podkręcający wąsa, żołnierz młody z ręką na temblaku, wojak wznoszący dłoń w górę, — to wszystko są typy, z życia wzięte. Scenerja zimowa, przedstawiająca śnieżną drożynę, mającą służyć za miejsce wiecznego odpoczynku poległym i las, przyczyniają się bardzo dodatnio do podniesienia zalet obrazu. Przy tej sposobności zwracam jednak uwagę tych, którym na tem zależy, na okoliczność, że reprodukcja obrazu Kossaka w „Katalogu illustrowanym pierwszej wielkiej wystawy sztuki polskiej w Krakowie“ nieudatne i chybione tylko daje wyobrażenie o niektórych wybitniejszych typach obrazu a wcale niewierną kopję obrazu we wszystkich tegoż częściach składowych przedstawia.

Całość rozdrobniona na fragmenty i ułamki — to bardzo nieszczęśliwy pomysł!

Po prawej i po lewej stronie obrazu Kossaka wiszą dwa historyczne obrazy Wojciecha Gersona, zaopatrzone nrami 44 i 45. Są to: „Widmo królowej Barbary“ (c. 2.500 złr.) i „Królowa Jadwiga i Dymitr z Goraja“ (c. 2.000 złr.) Król Zygmunt widzi we mgłach postać zawcześnie zgasłej Barbary. Postać nieutulonego w żalu króla-kochanka dosyć wiernie i charakterystycznie oddana, paziowie, o których krytyk „Przeglądu“ twierdził, że są teatralnemi tylko akcesorjami, nie sądzę także, żeby tu zawadzali, bo królowie w ubiegłych stuleciach mieli zawsze paziów w najbliższem swojem otoczeniu, ale kotara o kolorze nieczystym rzeczywiście niedobre robi wrażenie. Czy nie dałoby się to zastąpić czem innem?

„Jadwiga i Dymitr z Goraja“ przedstawia nam historyczną chwilę uplanowanej przez królowę Jadwigę a udaremnionej przez jej opiekuna, sędziwego Dymitra z Goraja, tajemnej ucieczki. Królowę, chcącą uchodzić z pałacu boczną furtką, aby się połączyć z kochankiem Wilhelmem, zawraca stary wojak od progu i upomina do pełnienia obowiązków w obec narodu, który pragnie jej związku z Jagiełłą i ma prawo żądać, aby ofiarę uczyniła z najdroższych swoich uczuć dla narodu. Bardzo dobrze oddana powaga w wyrazie twarzy starego, niemniej i godność królewska w obliczu Jadwigi.

„Wróżka“ Kozakiewicza (nr. 103, c. 1500 złr.) jest to rodzajowy obrazek, robiący na widzu dosyć miłe wrażenie; ale patrząc na trupio-bladą twarz, na oczy z czerwonemi brzegami młodej osoby, zadajemy sobie mimowoli pytanie, czy to mieszczka, czy włościanka, która rad cyganki zasięga. Otoczenie bowiem dziewczęcia wiejskie, ubiór też, twarz delikatna i wybladła nie zdradza jednak wiejskiego pochodzenia, chyba że to jakaś pacjentka, która rekonwalescencję odbywa, o czem nas jednak autor obrazu uwiadomić zapomniał.

Nadzwyczajnie wdzięczny i miły temat wybrał sobie p. Wacław Szymanowski w swoim obrazie

rodzajowym, zatytułowanym: „Rozmowa górali,“ (nr. 231, c. 800 złr.) Widzimy siedzącego na stołku starego górala mazura, jakich obserwować można wszędzie w powiatach nowosądeckim i nowotarskim, zajętego żywą rozmową w kole znajomych dziewcząt, a zdaje się, że rozmowa dziewczęta ugrupowane w jednym rzędzie na ławce, nadzwyczajnie ubawić musiała, bo przysłuchują się z niezwykłem zajęciem. Siedząca w środku, widocznie najstarsza z trzech, opuściła na chwilę szycie swoje i śmieje się do rozpuku, siedząca z prawej strony zakłada ręce jednę w drugę i wyszczerza perłowej białości ząbki również do wesołego uśmiechu, a zdaje nam się, że woła przyjętym, czy w smutnej, czy wesołej doli u góralek zwyczajem: „O la Boga!“, trzecia po lewej stronie podparła ręką podbródek i śmieje się oczami i twarzą, a góral sam, zajęty wyłącznie przedmiotem swego opowiadania, zapomniał widocznie o tem, że mu fajka zagasła, trzyma ją bowiem nieruchomie w prawej ręce i patrząc prosto w oczy dziewczynie, szyciem zajętej, śmieje się razem ze słuchaczkami swemi. W dziale obrazów rodzajowych jest to jeden z lepszych, a krytyk „Przeglądu,“ który o tym obrazku twierdził: „Sam typ górala nie przypomina nam zupełnie naszych górali, jakiejkolwiekbądź okolicy,“ chyba że nigdy nie widział górala nowotarskiego. Nie sądzę także, żeby płótno, obrabiane przez dziewczynę w środku siedzącą, miało podobieństwo „z pianą mydlaną.“ Zarzucić możnaby przecież jako błąd obrazowi, że wcięcie u gorsu, czyli zagłębienie piersiowe u siedzącej na prawo dziewczyny cokolwiek za wysoko zaznaczone, wygląda na ranę świeżo zabliźnioną.

Antoniego Kozakiewicza: „Żydzi w bożnicy“ (nr. 102) i Samuela Hirszenberga: „Jeszyboth“ (nr. 67, c. 2500 złr.) przedstawiają nam żydów przy modlitwie. Stosownie do poważnego usposobienia narodu tego, który szczególnie przy modlitwie unika wszelkich radośniejszych i weselszych alluzyj, rzecz sama trzymana w ciemnych i ponurych kolorach na tle rembrandtowskiem. W obrazku, zatytułowanym: „Żydzi w bożnicy“ autor przedstawia nam grupę

Chusydów, modlących się w dzień sądny w bożnicy. Nabożeństwo zdaje się być jeszcze w pełnym toku; jeszcze twarze modlących się nie zdradzają tego znużenia, towarzyszącego zazwyczaj aktowi nabożnemu w chwili przed końcem właściwego postu. Czarnowłosy żyd w sile wieku, owinięty koszulą śmiertelną a przedstawiony tu w profilu, wzrok zatapia w swój „machzor,“ bijąc się w piersi. Stojący przy nim z prawego boku starzec w sobolowej żupicy, jedną rękę położył na modlitewnik, podczas gdy druga gubi się w fałdach sukni, a wzrok śledzi — zda się — postępu dalszego modlitwy, śpiewu chazana; poza nim stoi rudowłosy żyd ze wzrokiem również ku górze wzniesionym. Czwarty żyd z lewej strony umieszczony, wspiera czoło na rękę a wzrok spuścił na dół, piąty tyłem odwrócony od innych, stoi zawinięty całkowicie w swój „tałes.“ Akcesorja wszelkie tego obrazu oddane z wielką sumiennością, szczególnie dodatnio odźwierciedlają się postacie nad innemi górujące żyda staruszka, stojącego z boku i żyda modlącego się, przedstawionego w profilu.

Jeśli Kozakiewicz w swoich „Żydach w bożnicy“ przedstawia nam akt nabożeństwa w całej pełni, to p. Samuel Hirszenberg w obrazie swoim: „Jeszyboth“ w sąsiedztwie poprzedniego obrazu umieszczonym, przedstawia nam tak zwanych „Jesziwebucherów,“ czyli uczniów zakonu, ślęczących w dzień sobotni w „besmidraszu“ nad księgami świętemi. Już w krótce, za godzinę może skończy się nauka świąteczna, zmroki wieczorne bowiem zapadły i osłaniają wszystko dokoła, wywołując tak zwane clair-obscur, panujące w całej izbie; ale jeszcze księżyc, ni też tradycyjne trzy gwiazdy nie okazały się na niebie. Jeszcze nie wolno zaświecić świateł, ani końcowem nabożeństwem zaokrąglić nauki świątecznej. To też współdziałacze jej pod wpływem podwójnie osłabiającym kilkogodzinnego postu i modlitwy, w rozmaitych pozycjach objawiają znużenie swoje. Jeden, siedzący po prawej stronie najbliżej okna, głowę zmęczoną oparł na dłoni, wzrok nibyto spoczywa na martwem piśmie, ale myśl jest gdzie indziej; drugi z głową złożoną na książce, z ramionami

rozkrzyżowanemi a których palce prawie bezwiednie splatają się do uścisku, zdaje się spać; trzeci i czwarty zdają się rozmawiać z sobą półgłosem, jeśli w ogóle rozmowa świecka dozwolona w dniu tak uroczystym, poświęconym wyłącznie nauce i kontemplacji; piąty drzemie. Trupia bladość okrywa lica modlących się; bo post męczy. Wieczorne zmroki szarawo-niebieskawemi tonami swemi bardzo szczęśliwie i naturalnie kontrastują z wybladłemi twarzami wygłodzonych i zmęczonych żydów. Nie pojmujemy zatem żadną miarą zarzutu krytyka „Przeglądu“: „Obraz ten znakomite wywołałby wrażenie, gdyby nie nieszczęśliwy koloryt, w wielu miejscach wpadający przeważnie w jakieś atramentowe tony“. Pan Bieszczad, pisząc rzeczone słowa, chyba sobie samemu nie zdał sprawy z tego, co pisał.

Na przeciwległej ścianie obrazek: „Nowinki z nad brzegu morza“ Józefa Wodzińskiego (nr. 244) mógłby nas zadowolić jako obrazek rodzajowy, gdyby nie tytuł nieszczęśliwy. Dwie panienki szczebiocą w salonie o nowinach, najbliżej ich obchodzących. Ale gdzie ten brzeg morza? po czem poznać alluzję do czegoś nieuchwytnego dla nas, gdyż nawet listu nie widzimy, któryby nas mógł naprowadzić na pomysł, że go skreśliła jakaś osoba droga, przesyłająca morzami i lądami życzenia swoje równie szczerze kochającej ją istocie? Czyż to nie w delikatniejszej formie wznowiony pomysł żydowskiego malarza, który namalowawszy żabę, ropuchę, czy inne tam jakieś nieboskie stworzenie — pod pracą swoją pseudo-artystyczną umieścił napis: „Zojs fajgałe!“, (to jest ptaszek).

Jacek Malczewski w szeregu obrazów patrjotycznych, zatytułowanych zbiorowo: „Na etapie“, (chłopczyki, dzieci, dorośli, nr. 142, 143 i 144) przedstawia nam życie wygnańców syberyjskich, eskortowanych na miejsce przeznaczenia przez kozaków. Tegoż samego autora: „Dwa pokolenia“ (nr. 146) wskazuje nam na tle odpowiednio do poważnego tematu ciemnem i ponurem dwa pokolenia męczenników idei polskiej, pracujących w podziemiach syberyjskich. Starzy widocznie stracili nadzieję wy-

swobodzenia doczesnego, a cała ich myśl zdaje się skupiać tylko w jednej modlitwie — o śmierć. Młodzi, zmęczeni pracą w kopalniach, spoczywają chwilowo. Jeden przygrywa na skrzypcach jakąś pieśń rodzinną, dwaj inni przysłuchują mu się. Jest to spoczynek lwa, więzionego chwilowo. Biada gnębicielowi, skoro król zwierząt więzy rozerwie.

Weselszy przedmiot zdaje się nam zapowiadać obraz wzięty z epoki rokoko: „Gra w kości" (nr. 242) Józefa Wodzińskiego. Chłopcy, pozostawieni chwilowo bez nadzoru, zabawiają się grą w kości, a muszą to być dzieciaki zepsute, synowie zamożnych i szlacheckich rodzin, świadczą o tem ubranie wykwintne, pełne rumieńce, minka wesoła. Książki, zapewne szkolne, walają się na dywanie, inne opuszczone zajmują stanowisko na stole, a chłopcy hultaje w liczbie trzech przycupnęli się pod stołem, zajęci jedynie nie nauką, ale zabawą w kości. Dwaj — to gracze, trzeci przyklękający przy nich i przypatrujący się z powagą, należną tak uroczystemu aktowi, ich grze — to zapewne sędzia polubowny i rozjemczy. Czwarty chłopiec stoi o kilka kroków za nimi i z ciekawym uśmiechem nachyla się ku nim. Wtem otwierają się drzwi a w głębi okazuje się postać starego, czy ojca, czy też nauczyciela młokosów w towarzystwie jednej starszej i dwóch młodszych pań. Uciekajcie co tchu, smarkacze! bo skóra będzie w robocie. Obraz ten, z niewymownym humorem namalowany, świadczy o wielkich zdolnościach autora w dziedzinie obrazków rodzajowych.

Tuż obok wisi inny obraz, którego układ zdradza także działanie epoki rokoko, ale dla odróżnienia go od obrazu poprzedzającego, jest to obraz historycznej treści. Obraz rzeczony ma w katalogu numer ósmy, oceniony na 1500 złr., pochodzi od Władysława Bakałowicza i przedstawia nam według łokciowego zaiste tytułu: „Lorda Buckinghama, ambasadora angielskiego, wysłanego przez swego króla Karola I. na dwór francuzki Ludwika XIII., gdzie jest zaprezentowany jego siostrze, która została żoną Karola I. Lord Buckingham jest wydelegowany do towarzy-

szenia swojej nowej królowej w podróży do Londynu.“ Autor obrazka rzeczonego daje nam w grupie osób zręcznie umieszczonych dowód, że wiernie przestudjował kostjumy i obyczaje epoki, którą nam jego obrazek odźwierciedla. Nie jest to jednak ani tak ważna chwila historyczna, ani pod względem narodowym nie przemawia tak do serca i ducha widza, jak inne obrazy historyczne, omówione przez nas. Pozostaje zatem ten obrazek mimo wszelkiego wdzięku w ugrupowaniu figur i mimo żywości ruchów, — raczej studjum historycznem, niżli właściwym historycznym obrazem.

Potężniejsze o wiele wrażenie wywołuje natomiast Styki olbrzymi, wiszący na tej samej ścianie obraz: „Hulda, prorokini nieszczęść swego narodu“ (nr. 216.) Widzimy olbrzymią postać kobiety-wieszczki, wznoszącej ku niebiosom karzącą dłoń zemsty i prorokującej narodowi swemu nieszczęście; bo oto synowie Izraela zapomnieli o wierze ojców, bo zepsucie szerzy się wśród starców i młodzieży, bo bałwochwalstwo, bo cześć, oddana Baalowi i Astarcie zastępuje wiarę w prawdziwego Boga, a tam, tam z niebios, zasłoniętych obłokami zemsty, grozi jego dłoń potężna, tam zawisł piorun nad głowami winowajców, tam pali się ogień wieczny, aby pochłonąć ich i całe ich mienie, jako pochłonął synów Izraela, buntujących się przeciw Mojżeszowi. Więc czyńcie pokutę, grzesznicy, póki jeszcze pora! — Przysłuchuje się z odznakami niemego przerażenia — zdaje się jeden z dowódców historycznych dwunastu pokoleń, zrywający się z miejsca starzec, przysłuchują się z trwogą starsi narodu, stojący za nim młode pacholę, nieświadome przyszłości a spoczywające u stóp starca, oczy z biernym wyrazem ciekawości wytęża ku prorokini.

Wrażenie potężne, jakie ten obraz wywołuje, nie zatrze się w duszy myślącego!

Natomiast obraz Chełmońskiego: „Wnętrze kościoła wiejskiego“ (nr. 30, c. 2000 złr.) wprost niefortunne i śmieszne robi wrażenie, i dobrze, że go w kącie umieszczono, gdzie go niekażdy od razu zobaczy. Grupa włościan klęczy w kościele z odwró-

coną od widza twarzą. Nie widzimy ani jednego oblicza, ale tylko obcasy klęczących i sukmany piętrzące się do góry, recte tylne oblicza nabożnej gromady. Co za dziki i nieestetyczny pomysł! Budaici uważają za rzecz wielce zbawienną i pobożną, spożyć ekskrementa swoich świętych. Nie sądzimy jednak, żeby się znalazł malarz, chcący pędzlem uwiecznić podobny akt pobożności. Modlitwa do Boga, pokora i skrucha objawiona na klęczkach, to rzecz bardzo piękna i pochwały godna; uwiecznienie jednak podobnego aktu z lekceważeniem wszystkich zasad estetyki i piękna, które dla prawdziwego artysty powinne być pierwszem i najświętszem przykazaniem Bożem — nie zasługuje z pewnością na pochwały.

Jeśli jeszcze wymienimy Roztworowskiego „Tannhäuser i Wenus“ (nr. 204, c. 1000 złr.), przedstawiający nam w żywych barwach znaną scenę z niemieckiego podania, oraz mitologiczne obrazy Franciszka Daniszewskiego: „Andromeda“ (nr. 36, c. 300 złr.) i „Prometeusz“ (nr. 37, c. 300 złr.), niebardzo korzystnie umieszczone u samej góry, a przy „Andromedzie“ zwrócimy jeszcze uwagę na potwór morski, niebardzo szczęśliwie wymyślony, bo łażący w postaci żaby, czy ropuchy u stóp bohaterki, — to na razie wymieniliśmy bodaj kilka z główniejszych obrazów, w sali tej umieszczonych, na omówienie wszystkich nie starczy nam bowiem ani miejsca, ani czasu.

Rzeźba w sali tej dosyć słabo jest reprezentowana. Ściągają jednak na siebie uwagę: Piotra Wojtowicza: „Po kąpieli“ (nr. 424), mały posążek z gipsu, przedstawiający nam młode dziewczę, które opuściwszy kąpiel, z upodobaniem w lusterku przypatruje się wdziękom swoim; dalej Brodzkiego: „Ucieczka z Pompei“ (nr. 350) i nr. 343 (c. 300 złr.) Tadeusza Błotnickiego, zatytułowany: „Poza służbą“ i przedstawiający młodego wojaka, obejmującego jednem ramieniem dziewczynę, usiłującą mu się wydrzeć i wyciskającego na pulchniutkich jej policzkach całus „poza służbą.“

Sala końcowa w tym samym rzędzie apartamentów, tak zwana: „Sala senatorska“ mieści przeważnie portrety. Na pierwszy rzut oka uderza portret

artystki Anny Bilińskiej (nr. 15), wykonany przez nią samą, a za który autorka otrzymała już medal na wystawie paryskiej, a na wystawie krakowskiej dyplom honorowy. Obraz z wielką śmiałością i precyzją wykonany, przedstawia nam artystkę z pędzlami w prawej ręce, pełniącą swój zawód. Rysy energiczne, więcej męzkie niż kobiece, ale przyjemne.

Z szeregu portretów wymieniamy dalej:

Matejki portret Zyblikiewicza (nr. 153), tegoż portret hr. Alfreda Potockiego (nr. 154) i Szujskiego (nr. 160), Rodakowskiego portret hr. Włodzimierza Dzieduszyckiego (nr. 193), tegoż portret ks. Leona Sapiehy (nr. 194) i ks. Aleksandra Czartoryskiego (nr. 195), Pochwalskiego portret rektora Teichmana (nr. 183), Siemiradzkiego portret hr. Ludwika Potockiego (nr. 210), Horowitza portret ks. Sapieżyny (nr. 69) i hr. A. Potockiego (nr. 70) i inne.

Postacie te, które ongiś bardzo znaczną odgrywały rolę w życiu publicznem, a z których niejedna dotąd jeszcze żyje i działa, przedstawione tu, żebym się tak wyrażał, en pleine parade, z wszystkiemi odznakami swej godności. Rektor Teichman w lśniącym się ornacie, w czerwonym, aksamitnym płaszczu z białemi wyłogami, przedstawiony siedząco z książką w ręce; hr. Ludwik Potocki w czarnym żupanie, opasany bogatym w kosztowne materje pasem, stoi wsparty o rękojeść karabeli, a twarz zdradza nadzwyczajne podobieństwo z twarzą posła Dra Walerego Waygarta; Zyblikiewicz stoi z buławą marszałkowską w dłoni wyprostowany; Szujski, z twarzą lekko pochyloną na prawy bok, również przedstawiony z odznakami rektorskiej godności; hr. Włodzimierz, założyciel muzeum Dzieduszyckich we Lwowie, podparł się pod boki i wysyła w świat wzrok wyzywający, ale to widocznie obraz z dawniejszych lat, Ekscelencja teraz bowiem podstarzała się znacznie. Jeden tylko wyróżnia się skromnością ubioru (a mamy jeszcze dodać od siebie, że bardzo korzystnie od całego swego otoczenia?) Oto książę Aleksander Czartoryski, tak niewikwintnie i niewybrednie ubrany, że wygląda na prostego mieszczanina.

Oprócz portretów zwracają jeszcze na siebie uwagę dwa małe obrazy z historji polskiej, naszkicowane przez mistrza Matejkę: to „Władysław Biały“ (nr. 152) i „Maćko Borkowicz“ (nr. 164.) Władysław Biały przedstawiony tu w chwili, kiedy znużony ciężarem panowania koronę rzuca, aby wstąpić w zakon Benedyktynów, o czem świadczy napis: Uladislaus albus, dux Poloniae, hodie frater ord. Benedictas (czy się w tem miejscu nie wkradł przypadkowo błąd do pisowni?) Memento mori A. D. 1361.“ Cisza grobowa panuje dokoła; głęboki spokój i powaga rozlały się po twarzy księcia-pokutnika, przed którym stoi pełen uszanowania braciszek zakonu. Jeśli w „Władysławie Białym“ przeważa spokój klasztorny, to natomiast żywą akcją odznacza się „Maćko Borkowicz.“ Słynny rabuś skazany na śmierć, za wyrokiem króla żywcem ma być zakopany w ziemię. Rzecz oddana z wielką siłą wyrazu.

Honorowe, pierwszorzędne miejsce na samym środku pierwszej sali na lewo zajmują dwa kolosalne historyczne obrazy, umieszczone na dwu przeciwległych ścianach. Są to: „Świeczniki chrześciaństwa“ Siemiradzkiego, ofiarowane przez autora dla Muzeum Narodowego w Krakowie i „Hołd pruski“ Matejki. Rozpisywać się o tych arcydziełach sztuki, sądzę, iżby było rzeczą zbędną. I jeden i drugi obraz, odźwierciedlający nam dwie ważne chwile w życiu narodów: rzymskiego i polskiego, mają swoją tradycję wiekową. W ponurych barwach i na ponurem tle przedstawia nam mistrz Siemiradzki rozpasany Rzym, skazujący za wolą despoty Nerona na stos czcicieli Ukrzyżowanego; na jasnem tle, w jasnych i żywych barwach, idących w zawody o lepsze z kolorytem Rubensa i Mackarta przedstawia nam mistrz Matejko chwilę najświetniejszego tryumfu Polski nad przodkami obecnych „kulturtregerów i cywilizatorów.“ Matejko pod obrazem swoim kładzie napis: „Si deus nobiscum, quis contra nos!“ My pod obrazem Siemiradzkiego kładlibyśmy jako najodpowiedniejszy — napis: „Ex tenebris lux!“ Że obrazy o tak wybitnej tendencji wywołać musiały zazdrość i niechęć słabszych — niedziwota. Dziwi nas jednak niepomiernie,

że jeden z tych słabszych i najsłabszych nawet, — p. Stanisław Tomkiewicz w świeżo przez siebie wydanym „Dokładnym przeglądzie krytycznym pierwszej ogólnej wystawy sztuki polskiej“ o Siemiradzkim pisze: „Całość nastraja nas rozmyślaniem i smutkiem, ale nie przeraża. Nie większe budzi ten obraz wrażenie na widzach, jak ongi scena owa na zniewieściałym i przygnębionym dworze despoty.“ A dalej: „Ocenić siły własne i poznać swoje przeznaczenie, to tajemnica powodzenia. Tę tajemnicę posiada Siemiradzki w innych wielu znakomitych obrazach, które choć mniej sławne wolimy niż „Pochodnie.“ Czy też p. Tomkiewicz należycie ocenił własne swoje siły, kiedy napisał artykuł rzeczony? Albo czy sobie też przypomnieć raczył chwile błogie artystycznego zachwytu, spowodowane widokiem arcydzieła Siemiradzkiego, a które obecnego naszego krytyka, wynajdującego plamy „nietylko na księżycu, ale i na słońcu,“ natchnęły do napisania jednego z nielicznych lepszych wierszów swoich na temat „Pochodni?“ Prawda! tempora mutantur et nos mutamur in illis. Ale pytamy się i mamy nawet prawo się pytać: kto się zmienił na gorsze? czy Siemiradzki w obrazach, czy p. Tomkiewicz w zapatrywaniach swoich? Zazdrość na mniejszych, to rzecz bardzo niepiękna i niegodna prawdziwego artysty, zazdrość na większych, — to rzecz wprost ośmieszająca. Nie przypuszczamy zatem, że Siemiradzki się cofnął o krok wstecz, ale mamy wszelką rację przypuszczać, że p. Tomkiewicz się o krok wstecz cofnął, naśladując chwalebny przykład raków, a to nietylko pod względem zapatrywań, ale także stylu i języka, który niezmiernie wiele pozostawia do życzenia.

To samo słowo w słowo, co się rzekło o krytyce Tomkiewicza względem Siemiradzkiego, można także zastosować do jego krytyki Matejki. „Chcąc w naszym przeglądzie mówić o Matejce i jego wystawionych tylko pracach, to wydaje nam się tak, jakbyśmy morze chcieli na poczekaniu wyczerpać.“ Ależ to nie po polsku! Polak bowiem pisałby: „Chcącym w przeglądzie tym mówić o Matejce i jego pracach, wydaje się to zadanie tak niezmiernie trudnem i nie-

wykonalnem, jak gdyby morze mieli na poczekaniu wyczerpać.“ (Mieli, a nie chcieli!!) A dalej pisze autor: „Mimo to nie możemy choć w kilku zdaniach nie wypowiedzieć uwag nasuwających się bez względu na autora, a tylko patrząc na jego obrazy.“ (Czy uwagi patrzyły na obrazy mistrza, czy niefortunny autor uwag, p. Tomkiewicz?) „Portret Dra. Mikołaja Zyblikiewicza Nr. 153 jest podobny, widać majsterstwo.“ (Jakie? szewskie, czy krawieckie?) Widzimy rzeczywiście majsterstwo nielada w uwagach redaktora „Przeglądu,“ ale jest to majsterstwo wcale niepożądane dla kraju, majsterstwo bardzo wątpliwego charakteru.

Gdyby p. Tomkiewicz i spółka chcieli wypowiedzieć krytykę choć najniesprawiedliwszą i najmniej uzasadnioną o tworach naszych mistrzów i arcymistrzów, którzy przyszłym pokoleniom jeszcze wskazali drogę, po której kroczyć mają ku pożytkowi i chlubie narodu, — toby nas to jeszcze nie dziwiło, ani nie zastanawiało; bo „wolno Tomku w swoim domku.“ A jeśli wolno jakiemuś tam Tomku czy Tomkowi, to czemuż nie także Tomkiewiczowi? Nie dziwi, ani nie zastanawia nas, że redaktor „Przeglądu“ na końcu pamfletu swego umieszcza „spis możliwie dokładny artystów polskich, którzy nie wzięli udziału w Wystawie,“ umieszczając w rzeczonym „spisie“ także dostojną swoją figurę; bo pominąwszy i to, że „spis dokładny“ jest bardzo „niedokładnym,“ (nie umieścił bowiem imion takich artystów, jakimi są: Juliusz Makarewicz, Maksymowicz akwarellista, Obst, Rauchinger i Schiller de Schildenfeld, którzy również nie wzięli udziału w wystawie,) — to cóż zresztą udowodni ten szczegół? Artyści polscy nawet, którzy z niezależnych od siebie przyczyn nie obesłali wystawy w Sukiennicach, na ich czele Obst, — w gremjalnej deklaracji wystąpili przeciwko samozwańczym uroszczeniom kilku śmiałków, mających pretensję przemówić w imieniu sztuki polskiej, a „Pierwsza Wystawa Sztuki Polskiej w Sukiennicach,“ obesłana przez takich mistrzów, za których świat cały słusznie uważa Matejkę, Siemiradzkiego, Kossaka, Gottlieba, Malczewskiego, Stykę i innych, -- nie straci swego

charakteru ogólnie - narodowego i nie przestanie być „Pierwszą Wystawą Sztuki Polskiej“ w kraju, chociaż jej nie pozwolili zajaśnieć — lucus a non lucendo — światłem swojem mistrze jak Tomkiewicz, Bieszczad i im podobni. Mówiliśmy już poprzednio, że wszelkie aspiracje i dążenia artystyczno-literackie, oraz cała pseudo-krytyka p. Tomkiewicza i spółki nas nie dziwią, ani nie zastanawiają. Ale co nas do homerycznego śmiechu pobudza, to ton pouczający i patrjarchalny, z którym się wyrywają jak Filip z Konopi ci młodzi w obec starszych i zasłużeńszych. Przypomina mi to następną anegdotkę:

Żył sobie końcem 18-go stulecia za czasów Wielanda w Niemczech chłop - samouk imieniem Gottlieb Hiller, który miał pasję rymowania i pisania przy ladajakiej okoliczności, a który nam w swojej autobiografii zostawił cenne wskazówki, jakiemi drogami roztropny człowiek kroczyć nie powinien. Rzeczony samouk i rymarz z profesji (przepraszam jak najuroczyściej za ten gminny wyraz wszystkich składaczy rymów) zetknął się raz przypadkowo z Wielandem, liczącym podówczas już może jakichś lat 70, a oświadczył mu, iż dziwi go to niepomału, że znalazł w „Oberonie“ jakieś rytmiczne, czy nawet stylistyczne błędy. Na to oświadczył mu również, uśmiechając się dobrodusznie Wieland: „Dziękuję panu serdecznie za uczynione mi uwagi. Rzeczywiście! musiałem się doczekać tak sędziwego wieku i stać się autorem tylu prac rozgłośnych, aby się pod koniec życia swego dopiero dowiedzieć od p. Gottlieba Hillera, że moje prace nie zdobędą jeszcze stopnia doskonałości bez łaskawych i życzliwych jego poprawek.“ Gottlieb Hiller w bezmiernem zaślepieniu i zarozumiałości swojej zaznacza wyżwymienione słowa jako wyraz najwyższej pochwały; my — zaznaczamy je jedynie jako wyraz ironii najwyższej.

Dołączyłem naumyślnie te uwagi przy sposobności omówienia tworów takiego Matejki i Siemiradzkiego; bo im nieprzychylniej, im z większą zarozumiałością i zawziętością występują zojle przeciwko koryfeom sztuki, w tem pełniejszem i jaśniejszem

świetle okazują się zalety mistrzów! A takimi mistrzami po wieki wieków pozostaną Siemiradzki i Matejko!

Wysyłajmy chciwy wrażeń wzrok w dalszej pogoni za skarbami sztuki!

Jeśli nietylko to uwzględuimy, co pierwszorzędni mistrze stworzyli, ale także i to, co stworzyła ręka umiejętna mniej głośnych, tworząc jednak i kształcąc na podstawie życia społecznego, jego cierpień i walk i nędzy, wtedy milczeniem ominąć nie będziemy mogli obrazu noszącego nr. 126. Artysta, p. Edward Lepszy, uczeń mistrza Matejki, zatytułował obraz swój, oceniony w katalogu wystawy na 350 złr. a namalowany bezpretensjonalnie, ale z wielką prawdą życiową: „Z potrzeby.“ My nadalibyśmy mu raczej tytuł: „Z dziejów nędzy ludzkiej.“ Dziewica w kwiecie wieku, zmuszona ostateczną nędzą, poświęca bujny swój włos, aby zarobić bodaj kilka szóstaczków na opędzenie najgwałtowniejszych potrzeb. Rysy dziewczęcia widocznie żydowskie, a i perukarz, obcinający jej włos, przedstawia się nam w postaci rudobrodego żyda. Smutek w obliczu dziewczęcia, siedzącego w ponurem zamyśleniu, po mistrzowsku oddany, a niemniej wyraz twarzy żyda, który trzymając w ręce nożyce i obcinając włos zakupiony przezeń, w duchu snać kalkuluje, ile na tym interesie będzie zarobku.

Tadeusz Ajdukiewicz w swojej „modlitwie na pustyni“ (nr. 501) przedstawia nam Arabów znużonych długą drogą i odpoczywających chwilowo, by do Stwórcy słać wyraz dziękczynienia: modlitwę. Słońce na zachodzie: ostatnie jego promienie otulają w krwawe jakieś światło, gdyby łunę pożarów obszar cały. Na szerokim obszarze puszczy modlą się Beduini. Jeden, owinięty w burnus szary, stoi z wielką powagą, koło niego stojący chłopak rękę wznosi w górę, trzecia postać syna puszczy dorosłego uklękła na dywanie wpatrując się weń, jak gdyby celem odgadnienia i odczytania kabalistycznych znaków, na dywanie wyrażonych — wyroków przyszłości.

Malczewski w swoim „portrecie panny G.“ (nr. 504) przedstawia nam — zdaje się — pensjonarkę zamożną w białym stroju balowym, z białym wachla-

rzem i wesoło uśmiechniętą twarzyczką, obraz w swoim rodzaju nie złe robiący wrażenie; ale wolimy bądźcobądź Szyndlera portret pani W. (nr. 234), przedstawiający nam rysy poważne, ale sympatyczne tej pani, przedstawionej w obrazie Szyndlera w profilu, w czarnym, aksamitnym stroju z założonemi rękami. Z obrazu, bardzo delikatnie nacieniowanego, poznać można od razu, że pani W. dawno już przekroczyła lata, w których kobiety wabią jeszcze wdziękiem młodości (zdradza to jasno i dobitnie siwy włos), ale pozostały się jeszcze ślady dawnej piękności, jakiś wdzięk i słodycz niewymowna, rozlana po całem obliczu.

Wzmianki godne są także dwa mniejsze portrety, umieszczone w tej samej sali z prawej strony: jest to „portret Kotsisa" (nr. 19. według katalogu Muzeum Narodowego), przez św. pamięci artystę wykonany i „Ahaswerus" (nr. 6. według katalogu Muzeum Narodowego, nr. 47 według katalogu wystawy), studjum śp. Maurycego Gottlieba. Widzimy w ostatnim tym obrazku głęboką melancholję, rozlaną po wszystkich tworach artystycznych autora. Zdaje się, że jego Ahaswer, znużony walką ziemską, rozgoryczony życiem, woła:

„Smutno, o smutno, i w duszy łzawo,
I na świat patrzę oczy nie swemi,
Smutno dokoła i w sercu krwawo,
Bom ja wygnaniec na obcej ziemi!"

Ale co to za Ahaswer? czy to żyd wieczny tułacz, prześladowany głosem sumienia, gnany furjami zemsty? Chętnie uwierzylibyśmy, gdyby nie diadem na czole, znamionujący jakiegoś świeckiego króla i gdyby nie szczegół, żeśmy dotąd zawsze tylko nawykli, przedstawiać sobie żyda tułacza wiecznego w wiecznym ruchu, a nie w pozycji kontemplacyjnej. Będzie to król perski Ahaswerus? W takim razie czemuż z takim boleśnym i smutnym wyrazem przedstawiony? A może artysta myślał o sobie samym jako zapoznanym za życia i biednym królu sztuki?

Żywością barw kontrastuje z obrazem Gottlieba obraz Kotsisa, w którym artysta siebie samego przedstawia. Wyniosłe i silnie zbudowane czoło świadczy

o twórczości i sile, oko ciemne patrzy w świat z wyrazem przenikliwym i badającym w głębi duszy, a gęsty zarost o ciemnoblond barwie okala twarz całą. Obydwa obrazy są własnością Muzeum Narodowego.

Malczewski w obrazie swoim, przedstawiającym „śmierć Ellenaj“ (nr. 145), obrabia przedmiot ze Słowackiego. Ellenaj przedstawiona w kształcie dziewicy w bieli o rozpuszczonych na ziemię włosach o kolorze jasnoblond, wpadającym w żółtawo-białawy. Jest to kolor włosów bardzo rzadki, ale istniejący wbrew wszelkim przeciwnym twierdzeniom krytyka „Przeglądu.“ U łoża umierającej przedstawiony Anhelli w smętnem zadumaniu. Tło obrazu ciemne. I ten obraz jest własnością Muzeum Narodowego.

„Przygotowania do procesji Bożego Ciała“ Hipolita Lipińskiego (nr. 131), — jest to obraz odznaczający się wielką świeżością kolorytu i figur. Widzimy tłumy nabożnych, śpieszących na procesję. Chłopi i chłopki, mieszczanie i przedmieszczanie, damy, należące widocznie do arystokracji i przekupki, bractwa kościelne, księża, zakonnicy, dzieci, paupry, — to wszystko zeszło się na schadzkę przed kościołem św. Barbary w rynku krakowskim. Obok poważnych nie brak także w tym obrazie wielce charakterystycznych a komicznych w wysokim stopniu scen. Z jakim niezrównanym humorem np. oddana grupa pauprów, walających się na ziemi i mocujących się ze sobą, pauper na ziemi leżący, który dziewczynkę nadbiegającą za rękę chwycił i puścić nie chce, kościelny, który dziewczynkę, walającą się na ziemi podnosi, wreszcie braciszek z proporcem, na którym widnieje trupia główka, a który jakąś babę-przedmieszczankę, rozkraczającą się na bruku, do porządku wzywa. To są wszystko obrazki z życia ludu dla ludu skreślone, z tą tylko różnicą, że autor te obrazki kreśli piórem, a malarz-artysta pędzlem!

„Uczta z wieku odrodzenia“ Władysława Bakałowicza (nr. 9.) przedstawia nam z wielkim wdziękiem w układzie pojedynczych figur wesoły bankiet z rokokoepoki, uzmysławiając niejako słowa Lutra:

„Wer nicht liebt Wein, Weib und Gesang,
Der bleibt ein Narr sein Lebenlang.“

Temat zresztą nie nowy.

Paweł Merwart w swoim „Mojżeszu“ (nr. 166) przedstawia nam chwilę, kiedy młodzieniec Mojżes wychowany na dworze egipskim, zabija czy dobi Egipcjanina, katującego synów Izraela, Matejko swoim „Wernyhorze“ illustruje proroctwa wieszcz Witold Piwnicki w swojej „bitwie pod Cecorą“ opowiada nam dzieje ubiegłe Polski, walki jej z Tatarami i Turkami, a Tadeusz Ajdukiewicz przedstawia nam w portrecie naturalnej wielkości artystkę Helenę Modrzejewskę.

Z działu rzeźb, w tej samej sali umieszczonych, wymieniamy jeszcze medaljony z marmuru, przedstawiające Matejkę, Siemiradzkiego, Innocentego X. i Canovę, Piusa Welońskiego „Gladjatora“ (nr. 429) z podniesioną w górę ręką i podpisem: „Ave Caesar! morituri te salutant!“, grupę Brodzkiego, przedstawiającą Wenerę, której amorek tajemnice szepce (nr. 352), wreszcie Lewandowskiego „Słowianina, zrywającego pęta“ (nr. 391, c. 5000 złr.) Szkoda tylko, że ostatnia ta, zresztą dość udatna figura, spoczywa na odłamie skały, tak niezręcznie umieszczonym, że robi wrażenie trzeciej nogi, sztucznie przyprawionej.

Druga sala na lewo, należąca do Muzeum Narodowego, mieści wyłącznie starożytności. Do tego działu należą stare obrazy, rzeźby, numizmaty, kamei jako dar Schmidta-Ciążyńskiego i t. d. Wymieniamy z tego zbioru: ołtarzyk kapliczny ze XVI. wieku z b. klasztorku przy ul. Stolarskiej pochodzący, miniatury z XVIII. stulecia, monety i medale z czasów Batorego, Sobieskiego, jakoteż i prywatne, stary obraz przedstawiający wjazd ks. Józefa Poniatowskiego do Krakowa i t. d. Sala ta nie wymaga obszernego a osobnego opisu na tem miejscu, gdyż jako należąca właściwie do Muzeum Narodowego w Krakowie, nie stanowi integralnej części wystawy Towarzystwa przyjaciół sztuk pięknych.

Ztąd na bok udajmy się do dwóch małych pokoików, z których pierwszy zawiera pamiątki po

autorze Grażyny. Te pamiątki nie zostały jeszcze dotąd uporządkowane, gdyż według zapewnienia zarządu muzealnego, katalog dopiero po uorganizowaniu odnośnych działów ogłoszony zostanie.

Widzimy tu portrety Mickiewicza i jego przyjaciół lub równoczesników z najrozmaitszych epok, portret Adama, wykonany według akwarelli z r. 1824, list Mickiewicza bez daty, wystosowany do Odyńca, sztych Kurowskiego z Paryża, przedstawiający autora Grażyny i zaopatrzony francuską datą i rokiem 1834-m, kartkę zawierającą w pięciu wierszach drukowany formularz, na którym „Polacy w liczbie trzydziestu siedmiu dnia 25. Grudnia 1840 r. w gronie spólnem z Adamem Mickiewiczem zebrani przechowają w sercach swoich drogą pamięć chwili górnie z nim przeżytej a imiona swe tu zapisują w hołdzie uwielbienia i miłości.“ Znajdujemy pod temi oryginalnemi oświadczynami dozgonnej przyjaźni między innemi imionami Szopena, Ludwika Platera, Ludwika Nabielaka, Napoleona Ordy, Stefana Zana, Ludwika Orpiszewskiego i innych. A tu znowu z przeciwnej strony widnieją portrety równoczesników lub przyjaciół Mickiewicza: Towiańskiego, ks. Hieronima Kajsiewicza, Franciszka Zana, Puszkina, a przy oknie wisi sztych, przedstawiający Mickiewicza w stroju polskim spoczywajacego na marach, rzecz wykonana przez Antoniego Oleszczyńskiego, nosząca datę r. 1861-go, zaopatrzona pod spodem potrójnym medalem, mieszczącym wizerunki Mickiewicza, Quineta i Micheleta i poświęcona „zacnej i nieodrodnej młodzieży naszej.“ W gabinecie, przez nas opisanym, mieszczą się także biusty, przedstawiające naszego wieszcza, widoki Kowna, widoki Zaosia, miejscowości, w której się urodził, rycina przedstawiająca „pokój, w którym Mickiewicz w 1822 r. wykańczał Grażynę na zaułku Bernardyńskim w Wilnie,“ (dom ten jest obecnie własnością p. Mikołaja Pisani), dalej własnoręczny list Adama Mickiewicza z datą 1817, $^{9}/_{9}$ Wilno i t. d.

Widok tylu drogich pamiątek po naszym wieszczu z pewnością w sercu każdego Polaka wzbudzi

rzewne wspomnienie i tęsknotę, oraz pragnienia żywe, aby pamiątki tak drogie dla narodu coprędzej przez zarząd muzealny zostały uporządkowane!

Wróciwszy przez gabinet Mickiewicza i przez obie sale na lewo do wstępnej, przejdźmy się teraz na chwilkę salą wstępną do sali, w głębi po za nią umieszczonej a zawierającej przeważnie wzory sztuki do przemysłu zastosowanej, t. j. rzeźby, prace snycerskie, majoliki, hafty i t. d., oraz i starożytności, jakoto: malowidła na szkle z 18. stulecia, stare sztychy i oprawy książek, i między innemi nie należący tutaj jako prywatny, bogaty zbiór numizmatów Ryszarda i inne liczne osobliwości. Ztąd pozostaje nam jeszcze wyjście na wstępną salę a ztamtąd sieniami na ulicę. Nim jednak rzeczony odwrót uskutecznimy, wypada nam nadmienić jeszcze bodaj kilku słowami o talencie rzeźbiarskim nieznanego nam artysty, pod którego utworem umieszczono napis: „Michał Majda, sierota, rodem z Prokocima pow. Wieliczka, lat 25, nieumiejący czytać ani pisać, wyrobnik samouk rzeźbiarski, wykonał robotę w czasie od 1. do 23. Sierpnia 1887. bez narzędzi rzeźbiarskich li tylko nożykiem.“ Rzeczona rzeźba przedstawia: „Śmierć Napoleona I. na wyspie św. Heleny 5. Maja 1821 r.“ i została z wielką dokładnością i precyzją na drzewie wykonana. Ale czy to tylko nie mistyfikacja? Samouk, nie umiejący ani pisać, ani czytać, zkąd wziął podobny przedmiot, illustrując go na drzewie z historyczną niemal wiernością? Czy według opowiadań innych? czy kopiując obraz stary? Podpis pod rzeźbą Majdy umieszczony, nie rozprasza i nie rozwiązuje wątpliwości, nasuwających nam się mimowoli.

Wstępna sala, jak się już poprzednio rzekło, mieści przeważnie rzeźby. Tu widnieje górująca na wielkim postumencie w samym środku sali, Pleszowskiego figura naturalnej wielkości: „Nad grobem“ (nr. 407), przedstawiająca kobietę w żałobie, do wybitniejszych zaś figur zaliczamy Gadomskiego: „Zachwycenie Parysa“ (nr. 364), Barącza „Geniusza wolności“ (nr. 333), oraz Alfreda Dauna biusty Skargi (nr. 359) i Czarneckiego (nr. 360), jakoteż Gadomskiego „Dziewczynę z dzbankiem“ (nr. 368), przedstawiającą dzie-

wczynę wiejską w chwili, gdy dzbanek wypuściła z ręki. Widzimy nawet ucho dzbanu obłamane, ale dzban stoi i nie wywrócił się. Jest to dla nas rzecz, prawidłowym biegiem niewytłumaczona. Może autor ją nam objaśni. Tombiński, uczeń Zumbuscha, przedstawia nam w numerze 423-m „Matkę boską z dzieciębciem,“ a Lewandowski, illustrując słowa Mickiewicza:

Tak mię ostatnia natchnęła ochota.
Jeszcze do lutni ośmieliłem rękę;
Niech wam ostatni w Litwie wajdelota
Nuci ostatnią litewską piosenkę,“ —

przedstawia nam „Zgon Wajdeloty“ (nr. 388.)

W sieniach, przy samej ścianie, przypierającej do schodów widnieje rzeźba z gipsu Holtza: „Młodzieniec walczący z rybą“ (nr. 375, c. 250 złr.); „hors concours,“ temi słowami odznacza się rzeźba Błotnickiego, przedstawiająca Samsona spoczywającego, podczas gdy „Niewolnik“ Piotra Wojtowicza (nr. 425, c. 250 złr.) okazuje nam młodzieńca czy męża w sile wieku, wyprostowanego a okutego z tyłu do słupa. Franciszek Flaum w biuście z natury wykonanym, przedstawia nam zdaje się jakiegoś Tyrolczyka, a panna Antonina Rożniatowska wystawia cały szereg rozmaitych bądźto biustów, bądźto figur w całości wykonanych a odznaczających się wielkiem prawdopodobieństwem. Do tych zaliczam: nagą kobietę, wykonaną jako studjum w naturalnej wielkości a opierającą się o odłam skały (nr. 410, c. 300 złr.), biust kobiecy (nr. 414) i figurkę Madonny (nr. 412, c. 100 złr.) W imponujących rozmiarach wykonał Gadomski postać Piusa IX. z gipsu (nr. 366), przedstawiając go siedzącego z wzniesioną w górę ręką, z tiarą na głowie, z wszelkiemi odznakami godności kościelnej. Rygier produkuje przed publicznością biust swojej żony, Chodziński wystawił więźnia z terracotty (nr. 356, c. 100 złr.), przedstawionego w skurczonej w pół leżącej, w pół siedzącej postaci, Daum biust Janka, wynadgrodzony medalem (nr. 362), a publiczność przychodzi i wychodzi, a muzyka przygrywa, a księżyc sztuczny w kształcie

lampy elektrycznej, zawieszonej nad balkonem, oświeca ciemności Krakowa, odźwierciedlając jak gdyby w czarodziejskiej jakiejś panoramie wysokie domy i wieże i szczyty kościołów starożytnego miasta! Nie długo już potrwa zabawa, i „sic transit gloria mundi!“ powiedzą o wystawie w Sukiennicach!

IV.

Kościuszko pod Racławicami, przedstawiony w Krakowie na cześć gości węgierskich (101. przedstawienie.)

Jest to cechą wielkiej żywotności i popularności sztuk ludowych, jeśli się setnych doczekają przedstawień. Taką sztuką nigdy nie zużyjącą się i wiecznie nową jest „Kościuszko pod Racławicami“ śp. Anczyca. To też przedstawieniem wyżwymienionej sztuki ludowej postanowiono uczcić gości węgierskich z powodu powtórnych odwidzin tychże w grodzie krakusowym na dniu 9. Października.

Przeciw zwyczajowi przyjętemu, sztuka zapowiedziana na siódmą wieczorem (od 1. Października bowiem odbywają się przedstawienia teatralne w Krakowie już o godzinie 7-mej), zaczyna się dopiero po w ½ do ósmej, ponieważ właśnie o tym czasie oczekują Węgrów, wracających z Wieliczki.

Podnosi się kurtyna. Występuje na scenie znany zdrajca i tchórz Lichocki, osławiony Prezydent miasta Krakowa, prototyp wszystkich Stańczyków (Przybyłowicz), pragnący krewną swoję, Annę Lichocką wydać za równego mu charakterem Laszkiewicza. Wiadomości o zbrojeniu się narodu (chamów, jak go wzgardliwie nazywa), o powstaniu Kościuszki przyjmuje zniewieściały pieczeniarz drwinkami; aż go okoliczności zmuszają do uwierzenia w wolę narodu, która wyższą i świętszą jest od woli carycy. Lichocki za zdradę kraju pociągnięty do odpowiedzialności, usiłuje się ukrywać przed wzrokiem prześladowców.

Zapóźno! Wojsko Kościuszki nadciąga, wkracza do Krakowa. Prezydent sam chcąc nie chcąc musi uledz woli silniejszego, chcąc uniknąć skutków groźniejszych, i daje się odprowadzić na ratusz, aby zdać sprawę z niecnych czynów swoich wodzowi.

W chwili tej spuszczono kurtynę znowu i dłuższa przerwa nastała w przedstawieniu; bo goście węgierscy nie wrócili jeszcze z Wieliczki. Publiczność, żądającą niecierpliwie przerwania przedługiej tej pauzy, uspokoił jeden z artystów wzmianką o gościach oczekiwanych. O ósmej dopiero kontynuowano z powodu przybycia Węgrów sztukę, której interwale wypełniono marszem Rakoczego, zaintonowanego na cześć gości.

Nie będziemy się silili na omówienie z osobna wszystkich scen i aktów znanej tej i bogatej w efekty sceniczne sztuki ludowej, odgrywanej po raz setny i pierwszy przez artystów stołecznych. Zapisujemy tylko na tem miejscu głębokie wrażenie, jakie wywarła na publiczności, zapełniającej teatr po brzegi, scena ludowa w pierwszym obrazku: „Przysięga,“ w którym Kościuszko przemawia: „Nie ma zdrajców w Polsce, ale są tylko wierni synowie Ojczyzny,“ dalej sceny charakterystyczne, w których pisarz ludowy Anczyc tak wiernie odźwierciedlił nam życie, obyczaje i mowę ludu, śpiew pijanych Moskali, napadniętych znienacka przez wojsko polskie, pieśń lirnika, kończącą się zwrotką: „Kochać Polskę nie połową, ale całą duszą,“ które to słowa wywołały grzmot oklasków, pochód po scenie chłopów kosynierów i modlitwę ich do Matki Boskiej w trzecim rozdziale, zatytułowanym: „Bartosz Głowacki,“ w czwartym rozdziale słowa: „Chłopskie i mieszczańskie ręce uwolnią Polskę“, oraz scenę udatną, malującą bojaźń tchórza Lichockiego, zaciągniętego wbrew woli swojej w szeregi ochotników polskich i walkę z Moskalami, wreszcie w piątym, końcowym rozdziale, zatytułowanym: „Nobilitacja,“ wyniesienie w stan szlachecki Bartosza Głowackiego, wypowiedziane słowami głównie-dowodzącego: „Kto szlachetnie służy Ojczyznie, ten jest prawdziwym szlachcicem.“

Są sztuki, napisane dla pewnej warstwy słuchaczów i są sztuki, napisane dla ogółu. Do rodzaju tych ostatnich należy bez wątpienia „Kościuszko pod Racławicami.“ Wrażenie, jakie ta prawdziwa sztuka ludowa wywoła, będzie zawsze i wszędzie porywające, choć może nigdzie w tak wysokim stopniu, jak w Krakowie. Śp. Anczyc nie posługiwał się w „Kościuszce“ sztucznemi efektami, nie pisał jak niektórzy artyści francuzcy czynią, tę lub ową rolę specjalnie dla tego lub owego wybrańca lub wybranki, ale pisał dla wybrańca najukochańszego swego, dla narodu polskiego, i dla tego też naród pisarza zbyt wcześnie zgasłego otacza taką czcią serdeczną, a sztuki ludowe Anczyca nie zestarzeją się nigdy, koroną zaś tych sztuk po wsze czasy zostanie „Kościuszko pod Racławicami!“

Nie efekty sceniczne, nie historyczna wierność tego obrazka ludowego nadają mu wartość tak niepospolitą w oczach czytającego, ale wartość prawdziwą zdobywa „Kościuszko pod Racławicami“ głównie swą tendencją. Jest to tendencja wszystkich umiarkowanych demokratów. Per aspera ad astra! czyli po polsku: „Przez ciernie do światła! przez pracę do czci!“ Polska ubiegłych stuleci, ubezwładniona samowładztwem zdenerwowanej, zfrancuziałej lub zmoskwiconej szlachty, zdemoralizowana gangreną społeczną, strupieszała i rozpadła się. Odbudować Polskę duchem i dłonią może tylko mieszczaństwo. Sam Kościuszko twierdzi: „Nie nadajemy Bartoszowi szlachectwo, aby okazać wzgardę dla stanu kmiecego, ale mianujemy go szlachcicem właśnie dla tego, aby uczcić jego waleczność, tak jak ongiś w wiekach ubiegłej chwały królowie nasi ludzi z gminu za czyny waleczne wynieśli do stanu szlachectwa!“

W tych kilku słowach jaka potężna nauka dla nicponiów i próżniaków, dla gogów i karjerowiczów wszelkich kategorij. Jedna tylko jest karjera, o którą wolno ubiegać się bez rumieńca a nawet z pewnem zadowoleniem wewnętrznem: to karjera poświęceń dla ogółu. I właśnie dla tego sztuka w rodzaju „Kościuszki“ nigdzie tak bardzo nie może być pożądaną, jak w Krakowie, gdzie duch Stańczykowstwa

i usłużności, duch abnegacji moralnej, protegowany z ujmą dla prawdziwego dobra przez Wielmożnych i Jaśniewielmożnych tak głębokie zapuszcza korzenia!

V.

Ostatnie echa.

Posypcie skroń popiołem, gdyż oto skończył się wielki karnawał, skończyła się wystawa. Niejednego ona wzbogaciła i wsławiła; ale też niejeden błogie jej skutki w kształcie odpowiedniego deficytu, długo jeszcze czuć będzie w kieszeni swojej, a jeśli pod względem materjalnym zbadamy rezultaty wystawy krakowskiej dla samych wystawców, to niezawodnie przekonamy się o tem, że taki piernikarz jak Czyński, taki restaurator jak Oleksa, taki fabrykant słodowych cukierków jak Rummel, taki piwowar jak Götz z Okocima, lub John z Krakowa, którego browar parowy przedstawia załączona tuż obok illustracja, — sto razy lepsze interesa robili, niż baron Gostkowski z pięknem akwarjum swojem, którego okazy po zamknięciu wystawy na publiczną licytację puścić musiał, aby bodaj drobną część swoich niedoborów pokryć, lub Pachulska ze swojemi sztucznemi kwiatami albo Woroniecki z fortepjanami krajowej fabrykacji, jednem słowem, że i na krakowskiej wystawie rolniczo - przemysłowej jak zresztą na wszystkich innych, materja przeważała nad duchem. Ale bądźcobądź nie chybiła wystawa swego celu, gdyż wykazała jasno i dobitnie, ile chęci do pracy, ile artystycznego pomysłu i poczucia piękna istnieje u nas. Nie powinniśmy jednak jedyne znaczenie przywiązywać do wystawy rolniczo-przemysłowej w Krakowie, w niej szukać punktu kulminacyjnego działań artystycznych i pracy kraju, punkt ten kulminacyjny bowiem spoczywa w wystawie sukiennicznej.

Ona to mimo niektórych braków i usterek wykazała w obec kraju i zagranicy, ile jest artyzmu

Wystawa rolniczo-przemysłowa w Krakowie na Błoniach.



Browar parowy Johna (według fotografii Stanisława Bizańskiego z Krakowa.)

wrodzonego w nas; wystawa na Błoniach wykazała głównie, ile jest pracy, a obok niej, czasem i.... nędzy. Taką nędzą w zmniejszonych rozmiarach, czy, aby się eufemicznie wyrażać, deficytem, obejmującym 30.000 złr., a z których magistrat miasta Krakowa 10.000 umorzyć się obowiązuje, — skończyła się też wystawa na Błoniach. Wystawa czerniowiecka spowodowała deficyt, skromniejszy o wiele, bo wynoszący tylko 2000 złr.

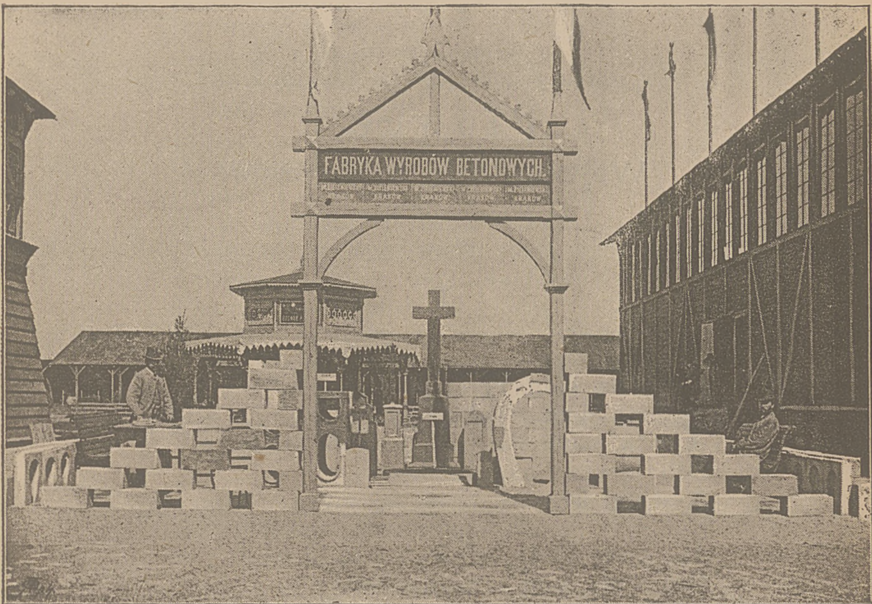
Wystawa czerniowiecka była na sposób prakty-

czniejszy, ale więcej jarmarczny urządzona; wystawa krakowska nie odznaczyła się jak tamta ogromnym napływem obcych handełesów, ale wyszczególniła się niekorzystnie pod względem odległości od śródmieścia, pod względem niesystematyczności katalogu i pod względem cen.

Widzieliśmy na wystawie krakowskiej dążności wszędzie jak najlepsze; starano się o ile możności jak najwięcej wyszczególnić wyrób krajowy przed obcym, nie zawsze nastąpiło to jednak w odpowiedny sposób. Nie wątpimy wprawdzie o tem, że niektóre wynalazki i fabrykaty krajowe rzeczywiście bardzo były praktyczne i nie bez powodu zostały odszczególnione medalami i dyplomami honorowemi. Do tych należy zaliczać w pierwszym rzędzie wyroby betonowe na parkiety, posadzki i tretoary p. M. Zieleniewskiego w Krakowie, przedstawione w naszej illustracji, a które nietylko w Krakowie coraz więcej się rozpowszechniają, ale już i w licznych innych miastach są poszukiwane. Mniej praktycznym wydaje mi się pomysł p. Fenza, za który mimoto medalem został wyszczególniony: na nieprzemakalnej materji, fabrykowanej i przesłanej z Wiednia, umieszcza ten pan rozmaite w esy i floresy rysunki swego pomysłu. Wolelibyśmy poprostu, żeby wynalazcą uprzywilejowanym tej nieprzemakalnej materji był on, a rysownikiem ktobądź, choćby i obcy. A zresztą i te tapety widziałem dotąd tylko w Krakowie, gdyby rzecz zaś rzeczywiście była tak praktyczną, widziałbym ją wszędzie. Życzymy p. Fenzowi jak najlepszego powodzenia w jego zawodzie; ale wątpimy równocześnie o tem, żeby firma mniej znana, mniej poważana od jego firmy, wprowadzając podobny pomysł w użycie, w Krakowie jakimkolwiek mogłaby się zaszczycić rezultatem.

A na końcu także jedno jeszcze otwarte słowo nietylko do komitetu wystawy, ale także i do panów wystawców w ogóle. Wystawę urządza się nie na to, aby wszystkich wystawców bez różnicy uzdolnienia i zasługi, wyszczególnić medalami i dyplomami, ale aby wszem w obec zaprodukować i pokazać bogactwa kraju, literat zaś i sprawozdawca czy to dziennika

Wystawa rolniczo-przemysłowa w Krakowie na Błoniach.



Fabryka betonów Zieleniewskiego (według fotografii Stanisława Bizańskiego z Krakowa.)

czy rocznika, nie na to dzierży pióro i nie na to ostrzył i hartował umysł w zapasach codziennych z życiem, aby reklamę robił komukolwiek, który sobie tego życzy, albo błotem obrzucał komitetowych za to, że tego lub owego nie wyszczególnili medalem. Niech raczej każdy sam pracuje według najlepszej chęci i wiedzy swojej, a przekonanie, że nie jest trutniem w społeczeństwie, wynagrodzi go sowicie za brak medali i orderów.

Kraków, napisano w dniach między 30m Września a 15m Października 1887 r.

G. Kohn.

Płowce.

Wspomnienie historyczne

z 27. Września 1331-go roku.

I.

Smutna i pusta pruska ziemica,
Ponure ludu, rycerzy lica,
Spalone sioła, zwalone grody,
A w więzach wzdycha kraj do swobody.
Ach uleciała ona daleko,
A strugi krwawe toczą się, cieką.

Jak orzeł kiedy, zamknion w niewoli,
Rzuca się, bije o więzień kraty
I łzy krwawemi płacze swej doli,
Że mu zamknięte przestwory, światy:
Tak i lud pruski jęczy, pierś krwawi,
Przekleństwo rzuca rycerzom krzyża —
Ach któż ich, któż ich z więzów wybawi,
Czy się wolności gwiazda już zbliża?....

Och jak daleko lśni tam z południa
Od bram Krakowa i Częstochowy —
A tu łzy ścina mroźny wiatr Grudnia,
Choć pożar pali serca i głowy!
Krzyżowy zakon, hydra niesyta,
Niedość krwią naszą, łzami opita:
Bezcześci żony, córki porywa,
Piersi obrońców stalą przeszywa!....
O ból to straszny, ból to nad bole,
Widzieć tak chmurną dni swoich dolę,

Niepewnym jutra, niepewnym życia,
Trzeba dnie gorzkie wieść od powicia.

Rodzisz się synu, by żyć w niewoli,
By znosić jarzmo wciąż w poniżeniu
I zawsze milczeć choć serce boli,
I być wesołym chociaż w cierpieniu....
O twój straszniejszy córko, dziewico
Los się urodzić na pruskiej ziemi:
Od pierwszej chwili piętno na licu
Nosisz nieszczęsna, co życie ciemi.
O tyś skazana żyć tu bez cześci
I dnie najpierwsze wieść masz w boleści:
Ty ojca nie masz, a matka biedna
Też potępiona, bo sama jedna!
O kiedyż szczęścia zjawią się gońce?
Kiedyż jaśniejsze błyśnie nam słońce?....

II.

Od północy krwawa łona
  Ogniem jasno lśni,
Cała Wisły lewa strona
Kąpie się we krwi.
    Zbrojne szyki w stalne szczyty
    Ciągną popod bór,
    Ziemia jęczy pod kopyty
    I odbrzmiewa wtór.
Jadą w stali, w płaszczu białym
Śród kurzawy, mgły —
Na ich hełmie wybujałym
Strusia kita drży.
    A na płaszczu krzyż czarnieje,
    A przy boku kord,
    W oczach rządza bitw jaśnieje,
    W piersiach gore mord.
A przy mieczu krzyż, różaniec,
Kajdan, sznurów pęk,
Co poniesie je skazaniec,
Głuchy dając jęk!

III.

Od południa szyk ściśniony
Wojska wiedzie król:
Idzie mścić swój kraj rodzony,
W krwi utopić ból.
Garść rycerzy i bez zbroi
Stawi wrogom wał,
Za żelazo im ostoi
Zapał, zemsty szał!
Król nie wątpi w sprawy Boże,
Bóg go zawsze wiódł,
Więc i teraz mu pomoże
Jego święty cud!
Wszak trzy razy bez korony
I w koronie znów,
I trzy razy z obcej strony
Sam powrócił zdrów.
Bóg powiedzie jego szyki,
Strugi spłyną krwi:
W niej krzyżacki zapał dziki
Rozpłynie się, ściemi.

IV.

Król do boju dał znak dłonią:
Wnet rycerze w cwał pogonią,
Lecz krzyżackie szyki stoją,
Od natarcia się nie słonią.
Król szle drugi huf orężny,
Zbrojny w młoty, w kute miecze;
Wre w rycerzach zapał mężny
I już stal się z stalą siecze.
Lecz krzyżackie hufy stoją
Jakby wryte, skamieniałe —
Czoła im się potem znoją
I krwią płyną płaszcze białe.
Król do Boga podniósł dłonie:
„Boże! wspomóż mię w potrzebie,

„Niech wróg dumne zegnie skronie.
„Boże, Panie! błagam Ciebie!“
Bój wre srogi. Dzika wrzawa:
Ranni jęczą a rżą konie —
Górą wieńce niesie Sława,
A król w niebo wznosi dłonie.
Tuman kurzu w niebio leci,
Ziemia zryta kopytami,
Krwawo tarcza słońca świeci,
Jęk zmieszany z przekleństwami.
Chaos dziki, burze wściekłe,
Szczęk oręży, zamęt bitwy,
Wyją, ryczą gardła spiekłe,
Harce w koło i gonitwy.
Straszny, straszny bój natury:
Lecz gdy huf się z hufem ściera,
Gdy miecz błyskiem spada z góry,
Kiedy tłumy śmierć zabiera:
Czyjeż piersi lęk nie przejmie,
Któż spoglądnie okiem śmiało,
Pole walki któż obejmie
Orlim okiem w krąg zuchwało?
Już złamany mur z żelaza,
Niemców szyki już zmięszane
I los walki już się zważa,
Już krzyżaki rozegnane.
Sława wieńczy króla skronie,
A król myślą błądził w niebie,
Boskiej zwierzył się obronie
I Bóg strzegł go w tej potrzebie.
Dumny zakon zwyciężony,
Radość lica rozpromienia,
Bój na długo ukończony,
Nadszedł, nadszedł dzień zbawienia!

V.

Po tle ciemnem nieba płynie
Księżyc blady w dal —
Blaski sieje po równinie,
Srebrzy koła fal.

Fale wietrzyk lekki goni,
Gwiazda jasno tli;
Gdzieś daleko w modrej toni,
Gdzieś w głębinie lśni.
Płynie księżyc, górą płynie,
Nagle ściemnił twarz:
Bo z przestrachem na dolinie
Ujrzał z duchów straż.
Ujrzał czarne trupa lice
I kałużę krwi,
Co przez całą okolicę
Jedną strugą lśni.
Potem przejrzał się w potoku
I tam ujrzał krew,
A więc skrył się śród obłoku
I zaciemnił brew.
Wszędzie trupy ludzi, koni:
Straszna, straszna błoń!
I trup jeszcze dzierży w dłoni
Potrzaskaną broń.
A na sinem licu bole,
Pod powieką łza,
I zakrzepła krew na czole
Jak czerwona rdza.
Płaszcze białe — purpurowe,
Krzyż się czerni wzdłuż,
A pancerze ich stalowe
Nie błyszczą się już.
Straszny, straszny widok błoni!
Księżyc znika w mgłach,
W czarny obłok już się chroni:
Bo mu patrzeć strach!

VI.

Rada, wesoła pruska ziemica,
Szczęściem promienią Prusaków lica:
O! bo dzień jasny błysnął zbawienia!
Już się jutrzenka im rozpromienia
I już im gwiazda wolności świeci,
Anioł pokoju po niebie leci.

Szczęsna rodzina gdy syn powraca
Z dalekiej strony po długich latach.
Lecz większe szczęście życie ozłaca,
Kiedy skruszeje żelazo w kratach!
Rozkosz niebiańska największa w świecie,
Co serca wszystkich tak szczęściem poi,
To kwiat miłości — rozkosz jej przecie
W wolności chwile złociste dwoi.
Anioł wolności skrzydły złotemi
Rozświecił niebo smutne nadzieją,
Dzień już zaświtał dla pruskiej ziemi,
Niebiosa złote promienie sieją,
I kwiat pokoju wykwita biały,
Gdzie krwawe boje za wolność wrzały!

We Lwowie, 15. Marca 1885.

Bolesław Andruszewicz.

Cztery pory roku,

allegorja.

Znam ja dziecinę pogodną jak kwiatek —
Ciekawie ze snu główkę wychyla,
I wabi ludzi z zimowych chatek
I trawką świeżą ziemię zaściela...
Bo słonko z ciasnych dźwigło ją kratek;
Znam ja dziecinę pogodną jak kwiatek.
Znam ja dziewicę cudnej urody —
Hoża, wesoła, jak jaskółeczka,
Gdy piersią muska zwierciadło wody.
Z piosnką po lesie pląsa dzieweczka
I z krzaczków zbiera piękne jagody...
Znam ja dziewicę cudnej urody.

Znam ja kobietę zdrową i krasną —
Ciągle przy pracy — zbiera i nosi,
Jak długo niebo przyświeca jasno,
I tęskną dumkę po polach głosi...
Bo liść więdnieje a kwiaty gasną;
Znam ja kobietę zdrową i krasną.
    Znam ja staruszkę starą jak dzieje —
    Na plecach dźwiga uschłe gałęzie...
    Ostry, północny wiatr z śniegiem wieje,
    I we śnie twardym przyrodę więzi.
    Ach! żyć jak smutno, gdy schną nadzieje!
    Znam ja staruszkę starą jak dzieje. —

Marceli S...... ze Śniatyna.

Nie budź mię, proszę!

Nie budź mię proszę, bo dziwnie błogi
Jakiś niebiański owiał mię sen:
Pierwszy raz w życiu los dotąd srogi
Zesłał mi szczęście i spokój ten.
    Pozwól mi marzyć i snuć tęczowe
    Pasmo rozkosznych rojeń i snów,
    W tych marzeń moich wianki różowe
    Nie wplataj kolców i cierni znów.
Niech to co wdzięczna piosnka ludowa
I wieszczów cały opiewa chór,
Z tem co w mej duszy trwożnie się chowa,
Zabrzmi w przecudnej harmonii wtór.
    Niech duch mój buja, niech sny me złote
    Lecą po falach słonecznych w dal,
    Niech sobie z marzeń wieniec uplotę
    I wśród błękitnych podumam fal.
Ty nie wiesz może, jak dziwnie błogo
O jasnem szczęściu w zachwycie śnić,

Iść tak świetlaną lazurów drogą,
Wśród gwiazd i kwiecia marzeniem żyć.
Więc ty mię nie budź aż życie przejdzie,
Niech w upojeniu rozkosznem śnię,
Niech mię obudzi śmierć gdy nadejdzie,
A ciebie proszę, ty nie budź mię!

Lipnik, 18. Stycznia 1888.

Janina Antonowiczówna.

Rzecz
o prawdzie historycznej.

Napisał

KS. SADOK BARĄCZ.

Amicus Plato, magis amica veritas.

Historja, matka wszechwiedzy, pochodnią gorejącą rozpędza pomrokę przeszłości, utrzymuje nieprzerwanym prądem uchodzące dzieje świata. Nic się jej nie wymknie! Zbiera skrzętnie po całej kuli ziemskiej szczątki zdarzeń i w żelazne spaja ogniwa i przekazuje następnej przyszłości nie bez celu wszakże, gdyż zadaniem onej jest, pomocną podać rękę rozwojowi umysłowemu i do dalszej pracy skutecznie zachęcić lękliwego człowieka. —

Kto ma zdolności, kto wzbogacił swój rozum zdrowym poglądem, kto może wolne chwile szlachetnej poświęcić pracy: ten niech pisze. Ale pisząc niech pamięta o tem, że na nikim słowo psalmisty: Omnis homo mendax, tak nie uwydatnia się jak na historykach, bo jeżeli sam fałszu nie napisze, to kłamstwo

niejedno bezwiednie powtórzy. Chcąc co napisać o zdarzeniach, od nas zbyt odległych, trzeba się koniecznie myślą przynajmniej przenieść do nich, zbadać dokładnie ich obyczaje, trzeba widzieć w duchu te postacie, które czas ubiegły zapełniały, trzeba poznać te zbroje, któremi w zapasach wojennych ręce ich władały, trzeba z wielką zręcznością wykryć wszystkie tajniki przyjaznych, lub wrogo usposobionych okoliczności, które na nich z naciskiem nieprzezwyciężonym działały. Lecz do tego zabierać się należy z największą flegmą, z przeświadczeniem wspaniałomyślnej otuchy, że ta praca przyczyni się do wykrycia prawdy, której prostaczkowie i nie mający czasu do wycieczek naukowych z wielkiem upragnieniem wyczekują. Mnóstwo pisarzów, porywczo a jednostronnie, w dobrej i złej wierze, rzuciło się na pole badań historycznych. Co który uchwycił, z tem na harc wyjechał, zamiast poważnych brodaczów ogolonych niewieściuchów na widownię wprowadził i typy starożytności w szaty wieku obecnego przystroił.

Ztąd też wyłoniło się wielkie zbiorowisko bałamuctwa i fałszu. Mamy tedy fałszywe monety, fałszywe dyplomy, a dlaczegożby nie było fałszywych kronik, zwłaszcza że to popłacało. Zresztą fałsz się częstokroć wciska pod pióro piszącego mimowoli. Autor ani się spostrzeże, jak strzeli bąka, a wszyscy szanując powagę piszącego wtorują mu dziwnym zapałem, powtarzając kłamstwo drukowane. Jeżeli nikt nie przystąpi do sprostowania usterek historycznych, natenczas stanie się to, co z rolą nieuprawioną, na której dzikie porasta ziele. Prawda historyczna przytłumioną zostanie od fałszów i naleciałości pisarskich, a z czasem wpośród zamętu ludzkiej wyobraźni zupełnie ulotni się. Będziem mieli błyski same rozumu i dowcipu artystycznego, będziem podziwiać blask nauki i lekkość pióra, ale prawdy historycznej nie będzie. Przyjdzie nam wołać z Goethem konającym: „Światła! więcej światła!“ Mniej tomów, a więcej prawdy! Precz z powagami! Nam prawdy potrzeba.

Wielce poważam naszych Ojców historyków, bo nam nieocenione skarby narodowe zachowali. Ale

gdy mi wypadnie ich porównać szukając zgodności opowiadania, natenczas formalna rozpacz mię porywa. Widząc bowiem istny chaos przed sobą, słabnę, upadam na duchu i zwątpienie mię przenika: ażali będziem kiedy mieli prawdziwą historję? Gdybym chciał wszystkie usterki wyliczać, stałbym się nieskończonym. Dla udowodnienia zaś tego, co powiedziałem, przywiodę tylko dwa przykłady, a każdy mi przyzna, że żale moje nie są bezpodstawne. Nikt nie zaprzeczy, że pisarze żywota Mikołaja Kopernika astronoma, byli wielkich zdolności ludzie, mający spore zapasy biegłości literackiej, a jednak nie mając żadnej pewności, siłą się domysłami kłamliwemi, że był księdzem udowodnić.

Pierwszy z nich Adrjan Krzyżanowski, profesor emeryt byłego królewskiego Warszawskiego uniwersytetu w roku 1843. w rozprawie: „Kopernik w Walhalli,“ umieszczonej w dziele zbiorowem ks. Polkowskiego: „Kopernikiana,“ Gniezno 1873, t. II., stron. 117. pomimo tego, że starsi pisarze bardzo troskliwie wymijają tę okoliczność, apodyktycznie twierdzi mówiąc: „W Krakowie, po roku 1502-m, w którym tu stanął z Rzymu, obrał Kopernik stan duchowny i tu wziął święcenia. Tu także, jak się okazuje z astronomicznych prac jego, napisał między wspomnionym a 1509-m rokiem swoje nieśmiertelne dzieło „de revolutionibus orbium coelestium.“ Jeszcze żyjącego zastał on w Krakowie przyjaciela zmarłych swych rodziców, Jakuba z Bydgoszczy Zarembę, który ich z potomstwem podczas ich bytności w Krakowie przyjął był r. 1469-go jako prowincjał do tercjarstwa, to jest do uczestnictwa dobrodziejstw duchownych zakonu Dominikańskiego prowincji polskiej (provinciae Polonae), jak wiemy pergaminowego oryginału zaświadczającego to duchowne spowinowacenie rodziny Koperników z Dominikanami polskimi. Tego Zarembę r. 1502-go wyniósł na Sufraganją Krakowską Jan Konarski biskup krakowski, a w r. 1503-m na imienne biskupstwo Laodycejskie papież Pius III. Są ślady, że z rąk Zaremby i Konarskiego wziął nasz Kopernik święcenia kapłańskie.“ Słów tych bezpodstawnie wyrzeczonych gorliwie bronił, a odwo-

łując się na to, że Europa nie jest Azją, gdzie historją mitologia, prozę poezja a prawdę kłamstwo zastępuje, i prosi, żeby to pismo jego powtórzyły wszelkie czasowe krajowe i zagraniczne pisma.

Wiele pism współczesnych zadosyć uczyniło żądaniu czcigodnego profesora, a nawet Antoni Oleszczyński, wydając w Paryżu 1843. dzieło swe uronione ze stołów literackich pod napisem: „Wspomnienia o Polakach, co słynęli w obcych i odległych krajach,“ na str. 149. prawie dosłownie powtórzył zdanie Krzyżanowskiego. Obacz Kopernikiana Polkowskiego t. II., stron. 125. Ale jakże niemiał powtarzać, kiedy Adrjan Krzyżanowski tak był pewnym siebie, że po raz drugi w rozprawie: „Wspomnienie jubileuszowe w 300 lat od skonu Mikołaja Kopernika,“ umieszczone w dziele księdza Polkowskiego: „Kopernikiana“ t. II., str. 141. nie wahał się to zdarzenie opowiedzieć. Ostrożniejszym wszakże był Julian Bartoszewicz, który wielką skarbnicę wiedzy narodowej zgromadziwszy, przystępną uczynił szukającym nauki i pokrzepienia ducha w doli ucisku i poniżenia. Napisawszy bowiem wspomnienie o Koperniku *) w r. 1852. nie twierdzi stanowczo, przez kogo był Kopernik na księdza wyświęconym. Oto są słowa jego: „Obrał sobie stanowczo stan duchowny i przyjął w stolicy święcenia kapłańskie, zdaje się z rąk sufragana Jakuba Zaremby i biskupa Jana Konarskiego.“ Przerobiwszy zaś to wspomnienie w r. 1854. pod napisem: „Życiorys Mikołaja Kopernika“ **), śp. Radwański wcale niezłym był szperaczem, dochodził wszystkiego według słabych sił swoich, nie dawał nikomu uczuć swej powagi autorskiej. To też z wielkiem powątpiewaniem powiada: „Kopernik obrał stan kapłański. Pierwszy profesor Rzymu staje się teraz skromnym uczniem wykładu kapłańskiej nauki; poczem w Krakowie wziął święcenia pono z rąk Konarskiego biskupa krakowskiego i Zaremby suffragana.“ —

---

*) Kopernikiana t. II. str. 185.
**) Kopernikiana t. II., str. 201.

Po tych i wielu innych rozprawach ukazał się wreszcie obszerny żywot Mikołaja Kopernika, napisany przez ks. Polkowskiego, drugie wydanie, Gniezno, 1873. Autor starannie zgromadził prawie wszystkie materjały odnoszące się do działań wiekopomnych sławnego astronoma naszego. Jak zaś był przejętym ważnością tego wzniosłego zadania, sam w przedmowie to wyraża i do najśmielszych oczekiwań czytelnika upoważnia. Oto słowa jego: „Uczeni pisarze wielu ucywilizowanych narodów, oddając cześć należną współziomkom swoim, stokroć więcej spisali o nich tomów, niż uwielbiani od nich mężowie zostawili po sobie dzieł i prac umysłowych. Mam tu na myśli Schillera i Göthego, i to, co o tych dwóch potęgach umysłowych napisali ziomkowie ich, Niemcy. Przywodzę tu dalej na dowód Dantego i owe przez Włochów zadrukowane i drukujące się foliały. My nie doszliśmy jeszcze do tych wielkich rozmiarów komentatorstwa, dla tego może, iż tem jedynie rządzimy się przekonaniem, że wyraz sprawiedliwości dla najdroższych uczuć spoczywa nie w wielości słów i w setkach arkuszów zadrukowanego papieru, lecz w wyrazie prawdy bezstronnej i w krytycznie na dokumentach opartej opowieści. Ztąd w zamierzonej pracy starać się będziemy wyczerpać możliwe źródła i dziejowe materjały dotyczące żywota Mikołaja Kopernika, dowodząc niemi naszej wdzięcznej pamięci, jaką Polak każdy żywi w duszy swej dla wielkiego astronoma Polaka.“

Jak zaś śliczny ten program został wykonany, niech posłuży ku temu stronica 158-ma, na której powiada odwołując się na Krzyżanowskiego wspomnienia jubileuszowe str. 24., Czyńskiego Kopernik et ses travaux pag. 35, i na Figuiera pag. 364. „L'évéque de Cracovie, Jean Konarski et le suffragant Jacques Zaremba lui conférerent les ordres sacrés.“ Z tego tu pobytu w Krakowie inne jeszcze notujemy zdarzenie, a mianowicie: „że tu przygotowawszy się z teologii do święceń kapłańskich, subdiakonat i diakonat mógł wziąć z rąk Jakuba z Bydgoszczy Zaremby, suffragana krakowskiego, niegdyś ojca jego przyjaciela, a ostatnie kapłańskie święcenie z rąk Jana

Konarskiego, biskupa krakowskiego. Dalej zbijając zdanie Wattericha, który mimo fałszywej daty, najwięcej może zbliża się do prawdy dowodząc, że Kopernik w Frauenburgu odebrał święcenia kapłańskie z rąk wuja swego, że dopiero będąc księdzem, został kanonikiem, przy swojem obstaje i do obszernej odprawy dodaje: „A zatem wcale to nieprzeszkadza, aby Kopernik wziął święcenie kapłańskie w Krakowie między rokiem 1504. a 1507. z rąk biskupa Zaręby i Konarskiego jak to wyżej powiedzieliśmy.“

Ja zaś na to wszystko odpowiadam: że płonna jest pisanina o tem święceniu pisarzów naszych, że szamotanie się za dowodami z palca wyssanemi do celu niedoprowadzi i nikogo nieprzekona. Jak mógł Jakub z Bydgoszczy święcić Kopernika, kiedy go już wtedy wcale nie było? Jan Długosz w dziele: „Liber Beneficiorum dioecesis Cracoviensis tomo III. Cracoviae 1864 pagina 453“ powiada: „Frater Jacobus de Bidgostia sacrae theologiae professor natione nobilis de domo Godzyamba, prior Cracoviensis anno Domini 144 .... concorditer electus (provincialis) in capitulo generali in Syradiensi conventu tento, apud Cracoviam paraliticatus anno Domini 1478 tertia Mai moritur et sepelitur in monasterio sanctae Trinitatis ordinis praedicatorum, die dominica infra octavas Corpori Christi.“ — Ma toż samo Abraham Bzowski w dziełku: „Propago divi Hyacinthi thaumaturgi Poloni venetiis 1606. pag. 60.“ z podaniem pewniejszej daty dnia śmierci: „Frater Jacobus de Bydgoszcza magister in capitulo Siradiensi electus anno domini 1447. ex provinciali Episcopus Laodicaenus, et suffraganeus Cracoviensis. Hic 30 annis gloriose rexit provinciam. Eo anno, quo creatus est suffraganeus obiit 1478 die 30 maji.“ Ma toż samo: Series Fratrum, Sororum et Benefactorum ad beneficia Ordinis susceptorum in Domino defunctorum provinciae Poloniae Ordinis Praedicatorum. Rękopism in 4-to własność Dominikanów krakowskich: 30. Maji 1478. Magister Jacobus de Bidgostia 24 annorum Provincialis mortuus Cracoviae. — Wszystkie te trzy źródła w tem jednem się zgadzają, że Jakub z Bydgoszczy

umarł w r 1478. Kopernik zaś miał wtedy lat 5 i nie znał nawet Jakuba z Bydgoszczy; kłamstwo tedy na jaw wychodzi, tem mniej przebaczenia godne, zwłaszcza gdy te źródła przezemnie przytoczone nie były argusowem okiem nieuczynnych kustoszów strzeżone, wolny był do nich przystęp. Ale pisarzom naszym nie chciało się szperać i prawdy dochodzić, woleli przy fałszu stać upornie i drugich w błąd wprowadzać. —

Pierwszy ten przykład z tysiąca innych jasno dowodzi, że fałsz mimochodem gdy się wkradnie, wnet się usadowi a z czasem nabędzie prawo obywatelstwa w literaturze narodowej. Teraz przystąpię do drugiego przykładu, czyli określenia faktu, o którym każdy pisał to, co mu się podobało. —

Adam Pociej urodził się dnia 12. sierpnia 1541. r. w Rożance, włości województwa i powiatu brzeskiego z ojca Lwa Pocieja, podskarbiego litewskiego i Zygmunta I., króla polskiego pisarza, którego rodowód od Włodzimierza, całej Rusi jedynowładcy przez książąt kijowskich wyprowadzono i z matki Anny Łuszczanki. Niemowlęctwo i lata dziecinne strawił pod okiem rodziców, którzy wzniecając w nim zarzewie przyszłego światła, nie szczędzili kosztu na wychowanie odpowiedne stanowi i zdolnościom młodzieniaszka wiele obiecującego. Początkowe nauki odebrał w akademii krakowskiej, które wszakże z śmiercią ojca jego Leona w Krakowie 1550-go roku nastąpioną, miały być przerwane. Zygmunt August, król polski słysząc o jego pięknych przymiotach, przywołał go atoli do boku swego i kazał mu się kształcić w naukach wyzwolonych i przypatrywać się obyczajom znakomitszych dworaków. Szlachetne tedy pacholę pod opieką królewską wzrastało w rozumie, pobożności, w odwadze rycerskiej i wzniecało wielką o sobie nadzieję w otoczeniu swojem a nawet i samego króla, który przypatrując się dziwnej jego czynności, korzystne o nim powziął wyobrażenie. Gdy bowiem królowa Barbara śmiertelnie zachorzała, porwawszy Adam z kościoła trybularz, a upatrzywszy czas, którego wszyscy się byli rozeszli, począł uśpioną w boleściach królowę w około kadzić i ceremonje

egzekwialne po rusku odprawiać. Król wszedłszy do komnaty, pyta o przyczynę tego obchodu. Adaś zmieszany wskazywał na popęd jakiś wewnętrzny i niezbadany. Zrozumiał król bliską śmierć żony swej ukochanej i prorokowi w zamian przydał proroctwo, że będzie wielkim biskupem obrządku ruskiego, a królowa Barbara z tej przestrogi niewinnego młodzieńca korzystając, uzbroiła się sakramentami do szczęśliwej wieczności. Sławny też Nuncjusz apostolski Kardynał Franciszek Komendoni widząc Adama zanurzonego w modlitwie i bolejącego nad ciemnotą braci Rusinów, przepowiadał mu też, że będzie biskupem, lubo do tego jeszcze nie było żadnej pewności, gdy skoligacony z wielkim domem Ostrożęckich przez ożenienie się z Anną, córką Teodora Ostrożęckiego szedł przez rozmaite urzędów w województwie brzeskiem stopnie, jakoto pisarstwa i sędstwa.

Jako sędzia ziemski odznaczał się sprawiedliwością niezrównaną. Lecz potrzeby krajowe wywołały go z ogniska domowego. Porzuca zwadliwą gromadę szlachty, która dom jego codziennie najeżdżała. Wziął się do szabli i poszedł walczyć z nieprzyjacielem. Wtedy bowiem Iwan Wasilewicz zabrał resztę Inflant prócz Rygi wydawszy Polsce wojnę, a król Stefan Batory szlachtę litewską pod dowództwem księcia Radziwiłła na obronę Litwy i Rygi w r. 1578. wysyłał. Adam na czele domowników i przyjaciół zaciągnął się w poczet obrońców kraju, porzuciwszy dom, urząd i wszystko, co miał najmilszego dla dobra Ojczyzny. W zawodzie rycerskim szczęśliwszy, należał do pamiętnego zwycięztwa pod Kiesi albo Wenden dnia 21. października, w którem Jędrzej Sapieha 6000 nieprzyjaciół na placu położył. W r. 1579. Adam w obliczu króla pierwszy wdzierał się na mury Połocka, potem używany do rozhoworu z Moskwą, znajomością dziejów tego narodu, jego charakteru, bystrością w wykonywaniu planów rozhoworu, rzetelnością i uczciwością zobowiązał sobie króla Stefana, iż go mianował kasztelanem brzesko-litewskim, dając onemu za warunek, ażeby życia w wojnach nienarażał a swoją radą Litwie służył.

Lecz niestety! krzesło senatorskie niedługo mu służyło. Zmieniła się cała postać rzeczy, gdy Hanka jego, zostawiwszy mu trzech synów: Jana, Krzysztofa i Piotra i tyleż córek: Annę, Aleksandrę i Katarzynę, przeniosła, się do wieczności i pogrążyła serce jego w żalu nieutulonym. Straciwszy żonę, resztę życia w zupełnej wstrzemięźliwości przepędzić postanowił. Ażeby zaś tem łatwiej zamiar swój do skutku przyprowadził, wstąpił do zakonu Bazylianów w r. 1590., gdzie też imię Adama na Hipacego zamienił. Przesiedlony senator z gwaru i wrzawy światowej do zakonnej celi, nie miał nawet tyle czasu, żeby mógł dokładnie przejąć się duchem zakonnym, gdyż właśnie wtedy była umowa o jedność wyznań ruskich z rzymskim kościołem, a Zygmunt III., król polski życzył sobie tę jedność do skutku przywieźć. Długo też szukał na Litwie światłego męża, coby rzecz całą na siebie przyjął, prowadził i uskutecznił. Za poradą panów litewskich, Hipacego z prostego mnicha na godność władyki włodzimirsko-brzeskiego i pierwostolnika metropolii w r. 1593. wyniósł, poleciwszy onemu staranie koło unii. Na zdolnościach władyce nie zbywało, ale brakowało mu to namaszczenie duchowne, które przez długoletne ćwiczenia ascetyczne nabywa się. We wszystkich jego pismach widać rozum, wielki rozum, a jako człowiek prawdziwie genjalny mógł na sejmach i po trybunałach wywalczyć stanowisko legalne i polityczne unii, ale zawsze był to żołnierz, prawnik w mitrze biskupa.

Pasterską działalność sprężyście rozpoczął ugruntowaniem kapituły włodzimirskiej przez nadanie wioski Janów zwanej. Po różnych miastach zjazdy duchowieństwa wprowadził, panów i szlachtę ruską do unii nakłaniając. W czem gdy mu się szczęściło, wmięszał się list Jeremiasza, patrjarchy carogrodzkiego, który mając wielką urazę do metropolity kijowskiego, że mu nie dał pieniędzy tyle, ile chciał, złożył go z urzędu metropolity. O co słusznie obrażeni prałaci ruscy, zwołali synod do Brześcia, który dnia 2. grudnia 1594. r. przy obecności wielu prałatów obrządku łacińskiego rozpoczął swe urzędowanie. Na którym

Hipacy osobiście stanąwszy, najzawziętszych nieprzyjaciół Rzymu łagodził a duchowieństwu ruskiemu z zamierzonej unii najdzielniejsze zapowiadał skutki. Jednych wymową, drugich głęboką nauką, innych łagodnością ujął, pojednał, rozbroił i tyle dokazał, że taż unia utworzoną i przyjętą została. To też synod brzeski w r. 1598. nie mając wymowniejszego i światlejszego duchownego, wyznaczył go do Rzymu wraz z Cyrylem Terleckim, władyką łuckim, ażeby w imieniu Rusi polskiej uroczysty hołd zjednoczenia się i posłuszeństwa stolicy apostolskiej w osobie Klemensa VIII., papieża złożył. Potem udał się do króla Zygmunta III. w celu złożenia sprawozdania z całej ugody brzeskiej, za co mu król dziękował i do stolicy apostolskiej za nim pisał, który to list wziąwszy wraz z drugim od wszystkich władyków podpisanym, wyjechał do Rzymu.

„Dojechaliśmy tu do Rzymu, powiada, w 7 niedziel z Krakowa wyjechawszy, spieszno i ustawicznie jadąc, a wyjechaliśmy nowembra pietnastego. We środę byliśmy u Jego Świętobliwości przywitani dwakroć. Listy J. K. Mści, Ichmść panów Rad. Jego Świętobliwości oddaliśmy. Przyjął nas jako ojciec łaskawy dziatki swoje łaskawością nieskażoną. Na mieszkanie dano nam pałac niedaleko zamku, ochędożnie obiciem i wszelkiemi potrzebami ozdobiony, dostatki też wszystkie, co jenokolwiek do żywności należy. Sześć niedziel tu mieszkamy, niechciał nas jeszcze Jego Świętobliwość słuchać posłuszeństwa naszego mówiąc: „Wypocznijcie sobie dobrze po tej drodze.“ Aleśmy często prosili i uprosiliśmy, że nas słuchał miesiąca decembra dwudziestego trzeciego dnia na sali wielkiej, którą zowią Konstantynową, gdzie najwyższych książąt przyjmuje. Tam raczył na majestacie swoim świątytelskim zasiąść, a przy nim senat Kardynałów, Arcybiskupów, Biskupów, posłów króla francuzkiego i innych państw. Mnóstwo było panów duchownych, książąt rzymskich i szlachty. Tamże gdy nas uczciwie przyprowadzono, ucałowawszy nogi Jego Świętobliwości, listy oddaliśmy, które w głos czytał ksiądz Eustachi Wołowicz po rusku i po łacinie, a po przeczytaniu Ojciec św. radość swą

wynurzył przez podkomorzego swego Sylwiusza Antoniani i wszelkie przywileje w całości zachować przyobiecał.“

Potem wyznanie wiary katolickiej czynili i na ewangelię przysięgli i tak do jedności katolickiego rzymskiego kościoła z metropolitą, biskupami, oraz ze wszystką Rusią im poddaną byli przyjęci. Na pamiątkę zjednoczenia kazał papież bić medale a Hipacego prałatem asystentem mianował, pozwolił mu w Sakosie*) metropolitalnym liturgię odprawiać, darował mu 4 lichtarzy kryształowych z krzyżem piątym wielkim w złoto oprawnych, które Szwedzi w Wilnie pokruszyli i lampę wielką kryształową, tudzież krzyżyk mały, kamienia nieznanego, ilekroć ma kto umrzeć pocącego się.

Potem wziąwszy od Ojca św. potwierdzenie tejże jedności, z przywilejami i błogosławieństwem do Polski wrócił. Poselstwo wszakże nie od wszystkich było dobrze przyjęte. Książę Konstantyn Ostrogski i książe Jerzy Drucki Horski sprzeciwiali się unii i nastawali na złożenie z godności biskupiej Hipacego. Ale król stanąwszy w jego obronie, kazał zwołać synod do Brześcia w celu potwierdzenia tego, co było w Rzymie ułożonem. Jakoż dnia 6. października 1596. r. zjechali się nie tylko biskupi ruscy, ale też posłowie papiezcy: arcybiskup lwowski z dwoma biskupami obrządku łacińskiego, tudzież posłowie królewscy: książę Mikołaj Krzysztof Radziwiłł, hetman W. Ks. Lit., Lew Sapieha, kanclerz W. Ks. Lit., Dymitr Halecki, podskarbi litewski i wielu innych. Metropolita z biskupami zasiadł w cerkwi sobornej św. Mikołaja, gdzie Hermogenes, arcybiskup połocki list papiezki głośno czytał. Potem była msza św. ruska, na której miał kazanie sławny Piotr Skarga Jezuita o jedności. Dnia 8-go to odnowienie w sposób wyroku synodalnego na piśmie wyrażone, podpisami rąk własnych stwierdzili a dnia 9-go października cały akt uroczyście wszystkim przytomnym z ambony ogłosili.

---

*) Sakos — saknia jako odznaczenie wyższego kleru ruskiego.

Tegoż samego czasu Gedeon Bałłaban, biskup lwowski i Michał Kopystyński, biskup przemyski złączywszy się z Grekiem Niceforem, protosyngielem za powodem księcia Konstantego Ostrogskiego w jakiejś kamienicy w Brześciu litewskim zasiadłszy, nieroztropnie metropolitę wraz z jego biskupami wyklęli. O czem dowiedziawszy się metropolita nawzajem Bałłabana i Kopystyńskiego wraz z przeciwnikami od cerkwi bożej wyłączył. Rozprószywszy się tedy to przeklęte zborzyszcze po całem prawie królestwie polskiem, fałszywe i potwarcze rozsiewało wieści na metropolitę, że wszystkich Rusinów zlatynizować pragnie. Dla większej zaś siły złączyli się z heretykami i pod opieką księcia Konstantego Ostrogskiego najeżdżali cerkwie unitów, łupili i zabierali; zaostrzyli pióra przeciw unii, na kościół i papieża nieznośne miotając obelgi. Bóg atoli w samą porę posłał Arkadjusza Piotra Greczyna, człowieka poczciwego i wielkich zdolności, którym opiekował się Hipacy i wystarał się dla niego o przywilej 1598-go r., tudzież o potwierdzenie onego w r. 1599-m od Zygmunta III., króla polskiego na dobra torokańskie, które miał sobie nadane na założenie szkół w Brześciu. Prócz tego zrobił go dziekanem pińskim i wiele innych łask onemu świadczył. Wielu odwzajemnienia się za te dobrodziejstwa będąc w językach greckim i łacińskim nad podziw biegłym, oraz doskonałym pisma św. doktorem, czynił on także, pisząc różne księgi uczone przeciw odszczepieństwu ruskiemu i pod tym względem wielką wyświadczał przysługę Hipacemu, który po śmierci Michała Rahozy metropolitalną zajął stolicę.

Jako metropolita i archimandryta kijowo-pieczarski zaczął w powierzonej sobie od niebieskiego gospodarza winnicy nie leniwie pracować, usiłując od korzenia wyplenić to, co było szkodliwego. I tak najprzód owego zdrajcę i buntownika Nicefora protosingiela z królestwa polskiego powagą monarchy Zygmunta III. wygnał i za granicę przesadził. Na list z r. 1599. patrjarchy aleksandryjskiego Melecjusza, który sobie tytuł papieża przywłaszczył, a do tego jeszcze kalwińskiemi błędami

był zarażony, przez Cyryla Lukarego, cerkwi aleksandryjskiej archimandrytę przyniesiony, w którym go pomieniony patrjarcha do odstąpienia przyjętej z kościołem rzymskim jedności, a nawrotu do posłuszeństwa patrjarszeńskiego usilnie namawiał; mądrze i gruntownie przez tegoż posłańca w r. 1601. odpisał i duchem proroczym zapowiedział, że sam patrjarcha pisma swoje spali. „Cztery bluźnierskie księgi od Miłości Waszej spisane, jeszcze światu niepodane, że będą w ogniu niechybnie tuszę, bo tak pieszczone, aby w piekle niegorzało, rozkaże sumienie. Podobnież na urągowisko patrjarchy, że go odstąpią jego owieczki, odpowiada w dalszym ciągu listu swego mówiąc: „Brzeg grecki jest pełen wiecznego niebezpieczeństwa, nie chcę u niego zarzucić kotwicy nadziei mojej. Ewangelia w Grecji zepsowana, nie chcę jej wierzyć. Świętości na Wschodzie zginęły, bo Wschód formy nie ma, nie życzę mieć z Grecją uczestnictwa. Podania ojców zdeptane, ciała ojców przeniosły się do Rzymu, przy nich raczej nie zachodniemi syllogizmami zwiedziony, ale rzeczywistą prawdą zwabiony, zostawać i umierać myślę. Wróciłem się sam do siebie, owieczki mojej pastwie zwierzone, które trucizną dotąd grecką tuczyłem, paść poczynam prawdziwej czystem mlekiem nauki, a upewniam, że mię nieopuszczą, bo już zasmakowały dobrze na świętym, jedności z kościołem rzymskim pastewniku słodkiego pokarmu. Dekret brzeskiego soboru, który mię od włodzimierskiej odsądził stolicy, jest dekret swawolnego zboru, odsądził mię Pryscyllianita, odsądził odszczepieniec, odsądził od nieba odsądzony, od kościoła wyrzucony, z owczarni Chrystusa wygnany, nie lękam się, odsądził wilk, nie boję się. Odwołać Bogu danej obietnicy nie mogę, wolności nie potrzebuję, bom nie jest związany. Ślubu z Grecją nie wezmę, bom poślubił czystą w Rzymie oblubienicę. Zwabiła mię do Rzymu czystość wiary, życia świętobliwość, anielski porządek, nieporównana miłość, niesłychana ku duszom rzymskiej stolicy gorliwość, a nie żadna bojaźń doczesnej za swawolę kary.“

Wytrwał też statecznie w unii jako pisał, a i lud sobie powierzony gorliwie utrzymywał i błędy

wykorzeniał. Nadto widząc, że szyzma najbardziej utrzymywała się przez ciemnotę duchownych, seminarja ruskie gorliwie zakładał, w Wilnie zwłaszcza pod naczelnictwem uczonego Piotra Fedorowicza i młodzież ruską do nauki zachęcał. Zamachy: wołyńskich, kijowskich i bracławskich posłów w celu zniesienia unii podjęte roztropnością swą pokonał, oraz wyrok do skutku przyprowadził, ażeby unici i dobra ich duchowne sędziom świeckim niepodlegały, gdy nie tylko unitów, ale też i samego metropolitę do niekompetentnych sędziów pociągano. Te i inne zabiegi około zbawienia dusz ludzkich przez niego podejmywane, tak były jasne całej Polsce, że synod prowincjonalny w r. 1607. w Piotrkowie zebrany, sławił jego wyborne zasługi. Ale te pochwały lubo słuszne, strasznie rozjątrzyły umysły nieunitów, którzy za powodem Samuela Sienczyty, archimandryty i Bartłomieja Zaszkowskiego, protopresbitera, nie już skrycie, ale jawnie piekielną Hipacemu wypowiedziawszy wojnę, cerkiew katedralną wileńską, jako i inne zakonne i świeckie cerkwie wyłamali z pod jurysdykcji metropolity. Butę ciemnoty pokonał Hipacy prawdą wiary i powagą króla. Samuela Sienczytę zrzucił z archimandrji, na jego miejsce godnego Józefa Rutskiego postanowiwszy, a do miasta, żeby się nie ważył więcej powracać, listem królewskim zawarował, a nawet sejmowe postanowienie w Warszawie 1609. r., aby co przedtem mieli w swej dzierżawie nieunici, to i na potem trzymali, gorliwą swą wymową do zatamowania wyroku króla pobożnego pobudził. Zanieśli tedy nieunici fałszywą skargę do trybunału głównego W. Ks. Lit. w Wilnie na Hipacego, jakoby cerkiew katedralną wileńską chciał oddać Jezuitom i niesprawiedliwy na wypędzenie z Wilna unitów otrzymali wyrok. Z którym gdy na podanie monasteru wileńskiego Jan Ostyk, sędzia ziemski wileński pod bramę podstępował, od zbrojnych czterdziestu męczenników Sebasty pod dowództwem Bazylego na obronę z nieba zesłanych, spłoszonym będąc żałował, że przy obecności króla tak nieczystej podjął się funkcji. Zdziwiony też

Zygmunt III., król polski, dnia 8. lipca nakazał, aby Hipacemu cerkiew katedralną wraz z innemi oddano i ów niesprawiedliwy wyrok trybunalski skasował, a dnia 9. lipca Wojciech Sękowski, stolnik ciechanowski i Jan Krajewski, dworzanin wyrok królewski wykonali. Co przeciwników tak ubodło, że postanowili Hipacego zamordować.

Jakoż dnia 11. sierpnia uzbroili mieszczanina Jana Tupekę, który niepamiętny bojaźni bożej, ani kary za taką, na jaką się poważył zbrodnię, idącego z liczną dworzan swoich i inszej szlachty assystencją w celu podziękowania królowi za jego łaskę, Hipacjusza wpośród rynku z tak wielkim zamachem ciął w głowę niewinnego arcypasterza, iż gdyby laska, którą się założył Hipacy zamachu bezbożnego ojcobójcy nie wstrzymała, ściąłby go był od razu. A tak tylko mu dwa palce i trzeciego aż do kości nadciął; przytem trzcinę, łańcuch złoty podwójny, kołnierze u dwóch sukien, koszulę nawet przeciął, a na szyi znak czerwony zostawił. Krwią oblanego i osłabionego Hipacjusza do pałacu pewnego senatora zaniesiono, gdy tymczasem Józef Rutski archimandryta wileński z św. Jozafatem Kuncewiczem odcięte pasterza swego palce wziąwszy i na ołtarzu w cerkwi św. Trójcy złożywszy, te pierwiastki krwi, za jedność świętą wylanej Panu Bogu z nabożeństwem ofiarowali, a na pamiątkę tabliczkę srebrną z wyrażeniem tej żałośnej sceny i z napisem: Castigans castigavit me Dominus, morte autem me non tradidit.

O tem właśnie zdarzeniu najsprzeczniejsze krążą po książkach wieści:

Starowolski w dziele: „Monumenta Sarmatarum pag. 767. ma: Vilnae processioni sacratissimae in die solemni Corporis Christi reverenter adest, et devote assistit, a schismatico sicario iteratis vicibus, gladio percussus, e vulnere illo sensim obiit.“ — Powiada tedy, że się to stało w sam dzień Bożego Ciała podczas procesji, i że kilka razy był cięty.

Susza w żywocie św. Jozafata mówi: „Anno 1609. mense julio in urbe Vilnensi luce et palam, fori medio virum annis gravem,.. Russiae Archiepi-

scopum, hinc inde suo Clero, Nobilitate consanguinea, crebro famulitio in via stipatum; latro ille atrocissimus a fronte aggreditur, et nec advertentibus, romphaeam exautam... adeo crudeliter in collum stringit, ut oppositae ad ictum sinistrae manus duos digitos cum medio, scipionem, quo nitebatur, annulum et in eo saphirum super digito, catenam auream de collo duplicato pendentem, collare vestis binae persecuerit.“ Mówi zatem, że to było w lipcu w biały dzień, że morderca śmiało przystąpiwszy uciął mu dwa palce u lewej ręki. Ale biskupi nie noszą sygnetów na lewej ręce. Tego opowiadania trzymał się Kiszka w żywocie Hipacego Pocieja.

Kulczyński Specimen ecclesiae ruthenicae Roma 1733. pag. 223. ma: „Anno 1609. inescatum promissis quendam subornarunt sicarium, qui metropolitam trucidaret. Vilnae itaque, luce et palam medio foro euntem virum annis gravem, Nobilibus, ac crebro famulitio stipatum aggressus atrox latro, adeo crudeliter strinxit in collum acutam romphaeam, ut oppositae ad ictum manus duos digitos, scipionem, quo nitebatur, et in eo sapphirum super digito, catenam auream de collo pendentem, collare vestis binae persecuerit.“ Lubo dosłownie prawie powtarza to, co Susza powiedział; jednak opuszcza datę miesiąca i nieokreśla, której ręki palce uciął.

Monumenta Sapiehana pag. 222. mają: „Dnia 9. sierpnia 1609. r. podczas procesji publicznej, gdy przy obecności króla tryumfalną unii św. chorągiew po ulicach wileńskich obnosił i onę wśród rynku rozwijał etc.“ — więc nie palicą, ale chorągwią się zasłonił.

Jaroszewicz w dziele: „Matka Świętych Polska“ pod dniem 10. marca powiada: „I do tego przyszła zuchwałość zajadła, że w Wilnie pod bokiem i obecnością króla Zygmunta, gdy w procesji publicznej w dzień Bożego Ciała assystował Hipacy w arcybiskupim apparacie, jeden syzmatyk bez wszelkiego względu i uwagi chciał go zabić, jakoż szablą na niego mocno przyciął, lecz że się lewą ręką nieco zasłonił, tylko mu trzy palce zacząwszy od najmniej-

szego uciął, a dalszy impet szabli oparł się na łańcuszku złotym na szyi wiszącym, tudzież na sygnecie, na którego kamieniu wyryte jest zesłanie Ducha św. Widziałem go świeżo własnemi oczami etc." — Opuścił datę roku, miesiąca, dnia i trzy palce uciął.

Chodykiewicz Dissertationes historico-criticae de utroque Archiepiscopatu Metropolitano Kijoviensi et Haliciensi 1770. vita Hypatii: quum enim die Corpore Christi in Metropolitano apparatu solemni processioni in foro Vilnensi assisteret, quidam sacrilegus vir districto ense improvise aggressus Hypatium, ita caput illius animadvertit; ut: nisi leva manu ictum reprimeret Hypatius, caput amputaret, tres tamen abscidit digitos, a minimo ad medium. Catenula aurea e collo Hypatii pendens, retinuit ensem, columque a vulnere praeservavit. — Wywód nielogiczny, gdyż znienacka napadnięty, nie mógł się zasłaniać. Chodykiewicz nie podaje daty i o lasce zamilcza.

Kulesza w swojej „Wierze prawosławnej w Wilnie 1747. str. 216.", polegając na „Miscellaneach" Kojałowicza powiada: „A zacząwszy od głowy, namówili pewnego heretyka, aby Hipacego metropolitę zabił. Jakoż R. P. 1609. w dzień na rynku wileńskim, gdy go ściąć usiłował, a metropolita ręką się złożył, dwa mu palce ręki prawej z pierścieniem uciął, szaty wszystkie, nawet koszulę przeciął, szyi jednak z łaski Bożej nie ranił."

Stebelski w dziele: „Dwa wielkie światła, wydanie drugie, Lwów, 1867, tom II. str. 117." ma: „Jakoż w r. 1609. dnia 11. sierpnia uzbroili jednego mieszczanina imieniem Jana Tupekę, który niepamiętny bojaźni bożej, ani kary za taką, na jaką poważył się zbrodnię, idącego z liczną dworzan swoich i inszej szlachty assystencją Hipacjusza wpośród rynku tak srogiem od miecza cięciem na śmierci zadanie przekupiony, w głowę niewinnego i sędziwością lat ozdobionego wymierzył arcypasterza, iż gdyby laska, którą się założył Hipacjusz, zamachu bezbożnego ojcobójcy nie wstrzymała, ściął by go był od razu. A tak tylko mu dwa palce lewej ręki z pierścieniem uciął, i trze-

ciego aż do kości nadciął etc.“ Nie nadmienia wszakże, w którem mieście się to stało.

Siarczyński w dziele: „Obraz wieku panowania Zygmunta III. Lwów 1828, t. II. str. 90.“ powiada: „Nasadzony Jan Tupeka mieszczanin wileński Pocieja metropolitę podczas bytności króla w Wilnie r. 1608. wracającego od biskupa wileńskiego w rynku przed samym ratuszem wśród białego dnia ciął w kark szablą, a lubo ciała nie obraził i tylko kolce w łańcuchu i kołnierz u sukni przeciął, lecz za tem, lub drugiem cięciem dwa palce u lewej ręki mu odciął, a drugie dwa ochromał.“ Przy dacie odmiennej zupełnie inna postać rzeczy.

Harasiewicz Annales ecclesiae ruthenae Leopoli 1862 pag. 305 ma: quando sub annum 1609 Vilnae in praesentia serenissimi regis Sigismundi III. et Reipublicae Polonae pariter atque Lithvaniae multorum Senatorum publica in processione a quodam instructo per schismaticos pedite vulgo haydone framea exacuta, in collum vibrata, cum manum dexteram unaque bacillum scium, quem tenuerat opposuisset, digitos tres amisit, vestis collare cum torqueo aureo illi dissectum, parumque abfuit, quia decollatur fuisset. — Co to za rodzaj ludzi haydony? Według tego podania, byli piesi i konni haydony. Pierwszy Harasiewicz wyjechał z haydonami. Nigdzie o nich nie czytałem.

Maurycy hr. Dzieduszycki w dziele: „Piotr Skarga i jego wiek“, wydanie drugie, tom II. Kraków 1869 str. 543. powiada: „Otóż gdy 11. sierpnia (?) 1809 (?) szedł wieczorem pieszo przez rynek dla podziękowania królowi za wyrządzoną sprawiedliwość, przyskoczył nagle ów Jan Tupeka z gołą szablą i ciął go w kark. Szczęściem przeciął tylko kolec w łańcuchu i kołnierze od szaty: ale wnet powtórzył zamach i byłby nieochybnie zabił szanownego pasterza, gdyby ten niezasłonił się laską; odciął mu przecież dwa palce u lewej ręki, a dwa drugie nieużytecznemi na zawsze uczynił.“ Wszyscy mówią, że to się stało w biały dzień, autor przecząc temu powiada, że szedł wieczorem i pozwala Tupece jak kapustę ciąć Hipacego.

Pełesz, Geschichte der Union, Wien 1880, Zweiter Band, S. 46. ma: „Als Pociej am 11. Juli 1609. ausgegangen war, um an gebührender Stelle für das letzthin erflossene Dekret den Dank abzustatten, wurde er am belebtesten Stadtplatze von dem genannten Tupeka meuchlings überfallen, und Tupeka wollte mit dem Schwerte, das er unter seinem Mantel versteckt hielt, dem Metropoliten den Kopf abhauen, aber der Metropolit hat den rechten Arm erhoben, und so ist der Hieb auf die rechte Hand, in welcher er einen Stock hielt, gefallen.... es wurden ihm dabei zwei Finger der rechten Hand abgehauen.“ — Jeżeli Tupeka z ukrytym pod płaszczem mieczem, o czem nikt nie wspomina, skrytobójczym sposobem natarł na Hipacego, nie mógł się na pierwsze cięcie zasłaniać laską, gdyż cięcia niespodziewał się, a bronimy się tylko przed widocznem niebezpieczeństwem.

Istna fabryka dziejów narodowych! Każdy coś dodał, lub ujął według swego upodobania. Jeżeli już chcemy mijać się z prawdą, to piszmy powieści. Tam otwarte pole do krętarstwa, fałszu i obłudy. Tam możemy się dowolnie z mądrością świata tego popisywać, a im większy złudzeniem wywołamy efekt, tem pewniejszą zyskamy sławę. Historji nie tykajmy. Historja niech będzie jak czystość dziewicza niepokalaną. Historja niech będzie jako drogocenna skarbnica świętą i nienaruszoną. Chociażby nawet świadectwa nasze podejrzane znalazły u łatwowiernych wiarę; jednak pamiętajmy o tem, że przyjdzie czas, kiedy rozbudzona potomność oprze się na prawidłach rozumnej krytyki, fałsz od prawdy wydzieli a piszących imiona piętnem oszustwa nacechowane, postawi pod pręgierz hańby publicznej. A to z tej głównie przyczyny: że Bóg prawda wieczna, stworzył człowieka na wyobrażenie i podobieństwo swoje, że promienie nieskończonego a niestworzonego światła jego odbijają się o rozumy nasze, że dusza nasza jest odblaskiem najdoskonalszej mądrości jego, że cząstki bóstwa jego w nas istniejące, porywają i unoszą nas do przybytków wiecznej prawdy. Dla tego też ludzie mogą przez długie wieki zostawać w błędzie, prawda atoli

przełamie wszystkie zapory, na jaw wypłynie i ukaże się w całej swej świetności, bo ma byt w niebie, bo wytryska ze źródła czystej a żywej wody. —

Tego przekonania trzymając się ściśle ucywilizowane narody wiele zabytków starożytności nam przekazały, a szlachetna troskliwość o wierne podanie zdarzeń historycznych była tak powszechną, iż Cycero, sławny senator Rzymu w swej mowie ognistej jako o rzeczy każdemu wiadomej powiada: Quis nescit primam esse historiae legem, ne quid falsi dicere audeat, ne quid veri non audeat. Poganie trzymali się tej pięknej zasady, by historja nie ważyła się fałszów rozsiewać, by prawdy nieukrywała. Poganie przywiązywali do dziejów świętość uosobistnioną. Z wielką otuchą spoglądali na przyszłość i radowali się w duchu, że tak ładną spuścizną uszczęśliwią przyszłe pokolenia. A my, z naszemi naukami, z olbrzymiemi wynalazkami, z wygórowanem przeświadczeniem o naszym postępie, urągamy tym wzniosłym zasadom, w których poganie dumę swą słusznie pokładali, obrabiając dzieje historyczne każdy według swego upodobania. Patrzcie! patrzcie! oto rozsuwają się niebiosa, obfita pada rosa, a światłość przecudna łamiąc się w tych kroplach, tysiące a tysiące rozświeca brylanty. Oto rodzi się dziecina niewinna, która na widok padołu płaczu rozkwila się i rączki ku nam wyciąga. Spieszcie ludy ze wszystkich krańców ziemi, bo to jest Bóg człowiek, Chrystus! Nie drżyjcie przed nim! śmiało postępujcie! bo on jest pełen łaski i prawdy. Na to przyszedł, żeby dał świadectwo prawdzie. Tenże nam zesłał ducha prawdy, który nas uczy wszelkiej prawdy. Słowo jego jest prawda, przez które to słowo prawdy Bóg nas sobie zrodził, chcąc żeby wszyscy byli zbawieni i ku znajomości prawdy przyszli. Prawda zatem jest pierwiastkiem życia naszego i utwierdzeniem bytu naszego. Do znalezienia onej jeden drugiemu pomagać powinien. W niej dola pomyślności naszej spoczywa. To też onę myślą i sercem miłować mamy. Ale ta prawda musi być rzeczywistą, nie wymarzoną prawdą, gdyż św. Augustyn powiada: „Non amant veritatem, qui hoc, quod amant, volunt esse veritatem.“

— Otóż właśnie ci nie kochają prawdy, którzy swoje myśli i słowa tkają w usta bohaterów przeszłości, którzy zdania swoje jakiejkolwiek barwy wplatają w dzieje czynności ludzkich, a przez to samo zamiast rozświecenia ciemności, grubszą pomroką zasłaniają odległe od nas zdarzenia i nieprzystępnemi oku wiedzy naszej czynią. A św. Paweł powiada: „Prawda jest najmocniejsza. Jedni drugim mają prawdę mówić, i prawdę czynić i chwalić Boga w duchu i w prawdzie.“ My jednak przeciwnie postępujemy. Jeden drugiemu w oczy kłamie. Kto kogo w pole wywiódł, ten bywa za najdzielniejszego człowieka poczytany. Lecz takie postępowanie prowadzi do rozstroju i przewrotu porządku publicznego. Ludzkość li tylko na zasadzie prawdy kształcona, odżyje i pokrzepić się może. Na tej szlachetnej podstawie wyrobią się charaktery pewne i stałe, o które dziś tak trudno. Uchodzą ludzie z widowni tego świata, na których liczyć było można. Pochylamy czoło, przygnębieni fałszem złudzenia. Stańmy przy prawdzie! a wzniesą się czoła nasze i nabędziemy tego hartu duszy, jakiego nam zwłaszcza w tych czasach próby i doświadczenia ciężkiego bardzo potrzeba. —

Równość grobu,

(z Thomasa.)

Gdy po nad nami grób się rozprzestrzeni,
Cóż nam po skarbach i zaszczytach świata?
Król i niewolnik w proch się tam przemieni,
Dzierżyciel berła z żebrakiem się zbrata.

Alma Kovats.

AURELIA.

NOWELA.

Po cienistej alei pięknego parku przechadzała się zwolna młoda dziewczyna. Powolny jej krok pozwalał podziwiać piękne jej kształty, ujęte prześlicznie w fałdy białej, muślinowej sukni.

Za całą ozdobę służyła jej niebieska przepaska i niezapominajki, wplecione w długie na ramiona spływające jasne warkocze.

Szła ze spuszczoną głową, zadumana. Cisza była w około, lecz wprawne ucho usłyszeć mogło odgłos zbliżających się kroków i szelest gałęzi za parkanem. Usłyszała je też dziewica i podniosła głowę.

— Jakaż ona piękna! — wołał każdy przechodzień mimowoli widząc ją.

I słuszność miał, gdyż piękną była jak obraz Rafaela. Twarz owalna, cera delikatna prawie przeźroczystą się zdawała, nos mały, grecki, usta koralowe jakby stworzone do pocałunku, a oczy! One to dopiero prawdziwą jej piękność stanowiły. Określić je trudno było, w dzień były ciemnobławatkowe, wieczorem świeciły zielonawo-fosforycznym blaskiem, a ocieniające je rzęsy rzucały uroczy cień na świeże jej jagody.

Szybszym krokiem przebiegła przestrzeń, dzielącą ją od parkanu i uśmiechnęła się rozkosznie.

Na ciemnem tle lasu zarysowała się postać, która zdążała również ku parkanowi. Był to młodzieniec liczący 24 lat, szatyn średniego wzrostu; górną wargę pokrywał mu bujny wąs i policzki pokryte były zarostem. Wyciągnął dłoń szeroką, męzką i powitał blondynę.

— Spóźniłeś się — mówiła pieszczotliwie — już przeszło pół godziny czekam ciebie.

— Nie mogłem, Aurelko, zajęcia, przygotowania do podróży...

— Ty jedziesz, Jerzy? — przerwała Aurelia — a ja nic o tem nie wiedziała?!

— Właśnie przyszedłem ci to oznajmić, droga moja, dotychczas mówić o tem nie mogłem.... tak krótko się widzimy.... nie chciałem psuć chwil tak słodkich, ale dziś muszę siebie i ciebie zasmucić, widzimy się zapewne już — po raz ostatni!...

Aurelia spojrzała mu w oczy, na twarzy jej malowały się niewymowny smutek i tak głęboka miłość, że Jerzy nie mógł się oprzeć jej urokowi: przyciągnął jej ręce, objął jej kibić i złożył pocałunek na zarumienionem jej czole.

Ona nie broniła się, usiadła na parkanie tuląc się w jego objęcia. Chwilkę pozostali tak w milczeniu, nareszcie przemówiła Aurelia w te słowa:

— I ja miałam... mam ci dzisiaj coś ważnego powiedzieć Nie tylko z powodu twej podróży widzimy się dziś po raz ostatni... Mój ojciec wyśledził nas, dowiedział się o miłości mojej ku tobie, czego zresztą sama nie zaprzeczyłam.... i surowo zabronił mi.... Nie potępiaj mnie, Jerzy! — zawołała widząc, że czoło jego się marszczy — jam niewinna, o ja zupełnie inaczej niż on o tobie sądzę. Ty znasz jego sposób myślenia... Choć mu się podobasz, to ma ci jednak do zarzucenia, że nie nosisz mitry hrabiowskiej. Ojca mego słuchać muszę, ale i głosowi serca nie mogę się sprzeniewierzać, a ten głos każe mnie kochać ciebie nadewszystko w świecie. Więc zostanę ci wierną mimo wszelkich przeciwności; kiedykolwiek przyjedziesz, zastaniesz mnie wolną i zajętą jedynie myślą o tobie, to ci przysięgam na honor mój, honor kobiety, który również może tyle co honor mężczyzny znaczy.

Mówiła to wszystko szybko z gorączkowym pośpiechem; Jerzy stał milcząc i rękę jej ciągle jeszcze trzymając w swojej, a gdy ukończyła, rzekł:

— Dziekuję ci, Aurelio droga, za miłość twą, ale o ileż łatwiej przyrzec, niż dotrzymać! — Nie

posądzam ciebie — dodał szybko widząc gwałtowne jej uniesienie — bynajmniej, ale gniew ojca, zbieg okoliczności, czyż to wszystko znieść będziesz mogła?

— Ty wątpisz Jerzy?.... dobrze, o tyle chlubniej będzie dla mnie dowieść ci, że potrafię dotrzymać przysięgi i że miłość dla ciebie nie skończy się aż w grobie...

— Dziewczę moje! — zawołał Jerzy w uniesieniu — dziś dopiero poznaję prawdziwy twój charakter, dziś gdy się rozstać musimy na długo! Odjeżdżam już jutro, w Szwajcarji tylko mogę otrzymać stopień doktora... Od dziś więc za lat pięć zobaczymy się. Żegnaj mi, myśl o tobie doda mi siły do pracy, a nadzieja choć daleka połączenia naszego osłodzi gorżkie chwile.

— Bądź zdrów — szepnęła Aurelia i łza zabłysła w pięknych jej oczach — i niezapominaj o mnie!

Jeszcze jedno uściśnienie ręki, jeden pocałunek, i rozeszli się, może, aby się nigdy więcej nie połączyć.

* * *

Jak z rozmowy kochanków widzimy, Aurelia jest „wysoko urodzona.“ Ojciec jej, hrabia Feliks, dziedzic mnogich posiadłości, był arystokratą na wskróś; mieszczan nie cierpiał i wszędzie wypowiadał im wojnę. Ożeniony był z księżniczką Florą, która z pomiędzy wielu wielbicieli jego wybrała. Pożycie ich było zgodne, o ile zazdrośna Flora zgodną być mogła. Jak nadmieniłam, z licznych i możnych partyi wybrała Feliksa, który wówczas prócz pięknej twarzy i imienia nic nad to nie posiadał. Oddając mu jako ślubne wiano cały bogaty swój posag, kochała go namiętnie i żądała wzajemności; lecz czy Feliks ją kochał, tego wiedzieć nie mogła. Piękny i młody, nie dziw też, że był istnym Donżuanem, że szukał rozrywkę po za domem; a o ile lepiej przez kobiety był widziany, o tyle zazdrośniejszą była Flora. Po każdym takim wieczorku musiał od żony słuchać gorżkie wyrzuty, widzieć płacze i spazmy. Uciekał więc z domu, by po powrocie tego samego doświadczyć. Flora mimo najgłębszej

miłości dla męża, czuła się najnieszczęśliwszą istotą pod słońcem. Mąż unikał jej o ile możności, przebywając najczęściej w towarzystwie lub w wioskach przyległych. Dwa następne lata żadnej nie przyniosły zmiany. Dopiero gdy im pierwsze dziecię w kolebce zakwiliło, małżonkowie w uścisku gorącym przebaczyli sobie wszystkie urazy. Córka ich, mała Łucja szczebiotka, była najwyższem szczęściem rodziców. Hr. Feliks, dla którego pierwej dom własny nie istniał, teraz największą ponosił ofiarę, gdy odjeżdżać musiał. Łucja wzrastała i z każdym dniem stawała się piękniejszą. Czarne jej oczy nabierały blasku, kruczej barwy loki okalające w bogatych pierścieniach jej głowę, tworzyły jak gdyby koronę.

Miłe i uzdolnione też było to dziewczę, pieszczota całego domu, szczególniej ojca, który w swej córce znalazł odźwierciedlenie własnego swego charakteru. I ona była arystokratką, dumną ze swego rodu; na samo wspomnienie mieszczan krzywiła się a wieśniak w oczach jej był istotą, stworzoną chyba na to tylko, by pracować dla panów!

Hrabinie nie podobała się ta duma córki, ona choć urodzona pod mitrą książęcą znała litość i nieraz własną ręką zanosiła pomoc ubogim; lecz wpojone przez ojca zasady zbyt głęboko zakorzeniły się w umyśle córki. Zupełnie inną była młodsza od niej o 5 lat Aurelia, dziewczę potulne i spokojne. Litościwa i dobra była „aż do przesady“, jak mawiała Łucja. Często gdy widziała ubogą sierotę, czyniła wszystko możliwe, aby jej pomódz i nieraz sama wchodziła do chaty wieśniaków. Ztąd częste spory pomiędzy siostrami powstawały i dopiero hrabina ująwszy się za Aurelką, uspokajała zwaśnione umysły.

Znowu przeszły 3 lata i nadszedł dla Łucji dzień tak przez wszystkie dorastające panny oczekiwany, dzień pierwszego balu. Z gorączkową niecierpliwością oczekiwała wieczoru, a gdy ustrojona stanęła przed źwierciadłem, uśmiechnęła się zwycięzko do siebie. Wyglądała cudownie, kremowa jedwabna suknia ślicznie odbijała od kruczych włosów, a pączki czerwonej roży dodawały jej świeżości i wdzięku.

Nie dziw więc, że podbiła serca wszystkich, że stała się dla wszystkich celem marzeń i ponętą. Hr. Feliks nie posiadał się z radości, cały wieczór śledził oczyma córkę i prawie żałował, gdy się bal skończył. Odtąd zaczął się dla Łucji czas zabaw i rozkoszy, nie było prawie dnia bez balu i nie było balu, na którym by jej nie uznano za królowę. Dom hr. Feliksa stał się najmilszym, najgościnniejszym, bo w nim królowała „czarnooka nimfa“, jak Łucję nazywano. Zyskała ona wielu wielbicieli, dla których najwyższem szczęściem byłoby, otrzymać rękę pięknej hrabianki. Hr. Feliks nie chciał jednak sam decydować w tej sprawie, lecz pozostawił córce wolny wybór. Korzystała też z tej wolności wyboru Łucja, i hr. Bertold został tym szczęśliwcem; dwa miesiące później stanął już z nią na ślubnym kobiercu.

Wesele było huczne, bawiono się ochoczo, Łucja jaśniała wdziękami a o ile panna młoda zwracała na się uwagę swą urodą, o tyle narzeczony jej postawą i ułożeniem.

Hr. Bertold był to młodzian liczący około 28 lat, wysoki brunet, bujny zarost pokrywał mu górną wargę i ciemna broda spadała na piersi, a czoło wysokie ujawniało szlachetny sposób myślenia.

Hr. Bertold pochodził z wysoce arystokratycznej i szlachetnej rodziny; wychowanie odebrał wzorowe; rodzice jego nie dali mu urość w pysze rodowej, chodził więc do szkoły publicznej i bratał się z niższymi od siebie. Jednym z jego najserdeczniejszych przyjaciół jeszcze z ławy szkolnej, był o 3 lata młodszy od niego Jerzy W., syn majora, poległego w r. 1863-m. I on odebrał staranne wychowanie, uczęszczał do szkół i był jednym z najzdolniejszych uczniów. Tam poznał hr. Bertolda i węzeł szczerej przyjaźni złączył te dwa serca. Jerzy odwidzał często Bertolda i przezeń wprowadzony został w dom hr. Feliksa. Łucja, która jak wiemy miała uprzedzenie do tej klasy ludzi, do których Jerzy należał, byłaby może nierada mu, gdyby nie ten szczegół, że mąż jej go kochał i poważał. Przyjęła go więc z taką serdecznością, o jakiej Jerzy marzyć nawet nie śmiał. Inaczej miała się rzecz z hr. Feliksem. Temu przy-

jaciel Bertolda wcale się nie podobał, przyjął też Jerzego zimno i wyniośle, dając mu w każdem słowie do zrozumienia, że ma do czynienia nie ze zwykłym śmiertelnikiem, ale — z hrabią.

* * *

Skończyła się zima. Wiosna w całej pełni piękności swojej zawitała: gaje i lasy zazieleniły się, ptaszki świergotały i jaskółki lepiły gniazdka, wszystko tchnęło rozkoszą i życiem.

Przez szerokie okna domu hr. Feliksa wpada słońce swymi złotymi promieniami, oświecając bogato przystrojoną sypialnię. Nie zwiastuje ono jednak szczęścia, śmierć bowiem przez szyby okiennic zagląda do wnętrza komnaty. Na łóżku pod kotarą złotem haftowaną, spoczywa nie młoda już kobieta; ciężki jej oddech i twarz blada każą się domyślać, że to chora. U nóg jej klęczy młoda dziewczyna, jasne warkocze spadają jej aż na ziemię i wiją się u jej stóp. Z oczyma oschłemi od łez wpatruje się w bladą twarz matki. Cisza panuje w około i słychać tylko ciężkie westchnienia chorej. Nagle hr. Flora (bo ona to jest) podniosła się i podparła ręką na bogato haftowanem węzgłowiu.

— Aurelko — przemówiła do córki swojej głosem przytłumionym — wiesz, że oddawna jestem już cierpiąca, czuję że ostatnia moja chwila się zbliża, jeszcze może godzina, a mnie już na tym świecie nie będzie...

— Mateczko — przerwała z płaczem Aurelia — nie opuszczaj mnie, nie zostawiaj samą... sierotą!...

— Sierotą nie zostaniesz, uspokoiła matka — mnie nie będzie, to prawda, lecz zostanie ci ojciec!...

— Ojciec? ojciec kocha tylko Łucję i o jej szczęściu myśli, a za mną nikt się nie ujmie, gdy mi ciebie zabraknie, matko moja. Ja wiem i czuję, że się z ich zapatrywaniami nigdy nie zgodzę, bo mi do szczęścia nie wystarcza mitra hrabiowska, ani nawet książęca. Tobie jednej, matko moja, powierzę tajemnicę, która całe me serce zajmuje, ja... ja — szeptała podnosząc oczy i biorąc matkę za rękę — kocham... Jerzego!

Hrabina spojrzała przestraszona na córkę i załamała ręce:

— Dziecię moje — przemówiła — nie zagradzaj sobie sama drogi do szczęścia, ty znasz ojca i wiesz, że on nigdy na taki związek nie zezwoli.

— Więc umrę mateczko — szepnęła Aurelka a widząc że drzwi się otwierają, wstała szybko i odeszła do przyległego pokoju.

Przybyłym był hr. Feliks, który o zdrowie żony zapytać się przyszedł. Zdziwiła go bledsza i smutniejsza jak zwykle twarz hrabiny, która do męża w te odezwała się słowa:

— Feliksie, czuję że kres życia mego niedaleki, jestem w obawie o przyszłość dzieci mych a głównie Aurelki. Sam znasz najlepiej dziwny jej charakter i wolę niezłomną, proszę cię więc i zaklinam na pamięć umierającej, nie wydaj jej za mąż wbrew jej woli, kogokolwiek by ona pokochała.

— Droga Floro! — odezwał się małżonek — zkąd ci te myśli? Czyżbyś o jakiejś jej tajemnicy wiedziała?

— Nie, nie, o niczem nie wiem, ale instynktem kobiety i matki przeczuwam, że się ona z waszemi zapatrywaniami nigdy nie zgodzi.

— Jestem jej ojcem — odpowiedział Feliks — i kocham me dzieci nad życie; zapewnić zatem mogę cię, że tylko jej szczęścia pragnę. Zresztą Aurelka z wiekiem się zmieni.

Wymówiwszy te słowa, złożył pocałunek na czole żony i wyszedł; biedna matka załamała ręce i zapłakała gorżko, — było to jej ostatnie zmartwienie.

*
* *

W niskim domku na przedmieściu rzewna rozgrywa się scena. Na miękko obitym fotelu siedzi staruszka, składając obie ręce na głowie młodego człowieka, klęczącego u nóg jej.

— Żegnaj mi synu — powtarza ze łzami — niech ci Bóg i błogosławieństwo matki towarzyszą w drogę, a wróć mi takim, jakim cię zawsze widzieć pragnę, zdrów na duszy i sercu. Wiesz, że wychowuję u siebie jak córkę mi miłą dzieweczkę chrze-

stną, a pragnę, abyście się wzajem sobie upodobali i aby mi Bóg dał doczekać, patrzeć się na szczęście wasze.

— Dziękuję ci matko — przemówił Jerzy — za twoją troskliwość i błogosławieństwo; ale prosić cię muszę, byś Jadwidze nic o mnie nie mówiła, może jej serce dla kogo innego zabije.

Matka spojrzała nań przenikliwie, lecz nie spostrzegła nic, coby ją zaniepokoić mogło, czoło Jerzego było podniesione i zdawało się nieukrywać żadnych tajemnych myśli. Ucałowała go więc po raz wtóry i odprowadziła do drzwi, gdzie stało zamyślone szesnastoletnie dziewczę, młoda Jadwiga. Nie należała ona do klasycznych piękności, ale jej ciemne włosy, uczesane gładko na skroni i czarne oczęta wiele miały uroku.

Jerzy podał jej rękę, uśmiechnął się i wsiadł do powozu, odprowadzony spojrzeniami dziewczęcia i błogosławieństwem matki.

Już powóz dawno zniknął na zakręcie ulicy, a staruszka stała jeszcze w progu patrząc za odjeżdżającym synem i prosząc Boga o szczęśliwą dlań drogę.

Pani W. była wdową po majorze, który w r. 1863-m za ojczyznę życie swe oddał w ofierze. Po śmierci męża jedyną jej pociechą był Jerzy, nie dziw więc, że serce jej strasznym bolem się ścisnęło, gdy odjechał. Nie śmiała jednak narzekać, bo jako kobieta wykształcona wiedziała, że zawód przyszły syna wymaga chwilowego rozłączenia się z matką; ale w kąciku swoim płakała gorżko. Tylko rozmowa z ukochaną przez nią Jadwisią rozerwała ją cokolwiek w smutku. Za temat takiej rozmowy służył zazwyczaj nieobecny Jerzy, nad którego przymiotami dobremi unosiła się matka. Wspominała też często Jadwisi o powinnościach i przeznaczeniu kobiety; a gdy te dwa pojęcia złączyły się w umyśle dziewicy, wtedy pojęła także, że życzeniem matki jest, aby została żoną Jerzego. Dotychczas wprawdzie nigdy o tem nie mówiła, ale szanowała i kochała go, widząc zaś, że w tem nic nie ma zdrożnego, zaczęła myśleć o nim częściej — nieobecny stał się jej ideałem!

*
* *

Karnawał! karnawał! Jak słodko brzmi to słowo w uszach młodych panien i panów, ile przyjemności w tańcu, w maskaradzie, przy ciepłym kominku, gdy mróz trzaska na dworze!

Tegoroczna zima bardzo wesoło się zaczęła; jednym z najbardziej jaśniejących salonów był dom młodej hrabiny Łucji; najlepsze towarzystwo, najlepsi danserowie i najpiękniejsze panny gromadziły się na jej wieczorkach, które odbywały się zwykle w czwartek i wkrótce stały się głośnemi. Co prawda, do tego powodzenia przyczyniły się też w wysokim stopniu gospodyni i piękna jej siostra. Aurelia piękniejsza z dniem każdym, zyskała wielu wielbicieli, a jednym, który najczęściej w domu ich bywał, był książę Norbert, od pierwszego spojrzenia szalenie w niej zakochany. Był to młody, 25-cioletni chłopak o cienkim jasnoblond wąsiku i słodkim uśmiechu, dosyć zresztą umiejętny i bardzo wrażliwy.

Jako wysoko urodzony chętnie był widzianym w domu hr. Feliksa, i powszechnie twierdzono, że otrzyma rękę pięknej Aurelii. Co za przyczyna tego twierdzenia, trudno odgadnąć; piękna blondynka lubiała wprawdzie Norberta dla jego skromności i zalet serca, uważała go za przyjaciela domu, ale nigdy w poufalszą nie wdawała się z nim rozmowę. Aurelia zresztą traciła z latami swą żywość, stała się zamyślona i smutna, taniec jej nie bawił i przychodziło jej z trudnością, ukazywać się w licznem gronie gości uśmiechniętą i wesołą i rej wodzić w tańcu wtedy, gdy serce jej cierpiało.

Znów nastał dzień czwartkowy; salony hrabiny były już oświecone, oczekiwano gości. Hr. Łucja po długiej naradzie zdecydowała się ubrać czarną koronkową suknię tem bardziej, że i Aurelia zwykle ciemny strój wybierała.

Już wszyscy byli zgromadzeni, już i książę Norbert nadskakiwał pięknej pannie, a oczy Aurelii ciągle z niepokojem ku drzwiom się zwracały, jak gdyby oczekując kogoś Zawiedziona w nadziei, sta-

nęła smutna w framudze okna, gdzie wkrótce i Norbert się ukazał.

— Czy wiesz pani już o najnowszej nowinie? — zapytał, by ją rozerwać w smutku.

— Nie — odrzekła Aurelia obojętnie, jak gdyby powiedzieć chciała, że żadna nowina zająć jej już nie może.

— Kolega mój Jerzy W. przyjechał wczoraj z Szwajcarji zdobywszy dyplom doktora filozofii oraz i profesurę, którą jemu jako najzdolniejszemu oddano.

To mówiąc podniósł oczy na słuchającą go Aurelię, która zmieniła się do niepoznania. Znikł obojętny wyraz jej twarzy, oczy świeciły gorączkowo a około ust igrał uśmiech zadowolenia i szczęścia, jakiego książę dotychczas nigdy jeszcze na nich nie widział. Przypisał jednak rezultat ten własnym swoim zaletom towarzyskim i czuł się uszczęśliwionym.

Na drugi dzień zauważała hr. Łucja, że siostra jej wbrew zwyczajowi, była rozmowna i wesoła, chętnie wyjechała na przechadzkę a jeszcze chętniej do teatru ubierać się zaczęła. Od długiego czasu po raz pierwszy jasno się ubrała i z taką radością niezapominajki wpinała w suknię i włosy, że Łucja z pewnem zadowoleniem zauważyła w obec męża, że Aurelka przecież konkury księcia z upodobaniem przyjmować zaczyna, postanowiła też baczną uwagę zwrócić na jej zachowanie się w teatrze.

Przedstawienie nowej komedji zgromadziło wiele osób w teatrze, a prawie wszystkie oczy zwracały się ku loży hrabiny, podziwiając piękność obydwuch sióstr. Szczególnie pięknością swoją zwracała na siebie uwagę ogółu Aurelia, która rozmawiając z stojącym za nią księciem, jaśniała taką pięknością i takiem szczęściem, że wszyscy ją i księcia Norberta za parę zaręczonych mieli.

Naprzeciw ich loży siedział młody człowiek, szatyn średniego wzrostu o pięknej męzkiej postaci, górną wargę pokrywał mu bujny wąs i policzki pokryte były zarostem. Piękne niebieskie jego oczy z natężeniem wpatrywały się w hrabiankę, badając jej wzrok i uśmiech słodki i rozkoszny, zdający się

mówić: „kocham.“ Nie wziął tego jednak do siebie, lecz do księcia, nachylonego ku niej. Zazdrość i boleść szarpnęły jego serce, ona, Aurelia, która była dla niego bożyszczem, ideałem, którą kochał nadewszystko w świecie, — ona umiała zdradzać, zapomnieć przysiąg czynionych mu, a zdradziła go dla księcia, dla czczego tytułu i majątku jego.

Wrócił Jerzy do domu, a ciągle przed oczyma jaśniała mu piękna jej głowa, ustrojona w niezapominajki, oczy błękitne i usta okraszone uśmiechem miłości... Cierpiał strasznie, serce jego i głowa pałały, lecz chciał się zemścić, zniszczyć szczęście całego swego życia, aby tylko pokazać jej, że i on potrafi zapomnieć i pokochać inną.

Temi myślami miotany wszedł do domku na przedmieściu, gdzie go matka wraz z Jadwigą mimo późnej pory oczekiwały; młoda dziewczyna powstała z radością na przywitanie.

Jerzy spostrzegł już od dawna miłość dziewczęcia dla niego, a niechcąc napróżno nadziei w niej wzbudzać, omijał ją traktując jako dziecko, i nieraz niesłusznym nawet gniewem ją zmartwił, co sędziwej matce wiele sprawiało przykrości. Dziś jednak zmienił taktykę: po przywitaniu się z matką przystąpił bowiem do Jadwisi, a złożywszy pocałunek na jej czole, zapytał:

— Mów Jadwigo! czy kochasz mnie?

Na to nagłe i tak dziwnie wypowiedziane pytanie zamarła wesołość w sercu Jadwisi; z niepokojem spojrzała na opiekunkę, która zdziwiona i ucieszona zarazem, sama miasto dziewczęcia synowi odpowiedziała, zezwalając na tak dawno upragniony związek.

— Mam tylko jedną prośbę, matko moja — przemówił Jerzy — a to, aby ślub nasz odbył się od dziś za trzy niedziele, nie wiadomo mi bowiem, kiedy posadę uzyskam, a chciałbym już z żoną odjechać. Żądam też, by ślub nasz odbył się w katedralnym a nie w parafialnym kościele; jutro dam na zapowiedzi.

To mówiąc pożegnał się z gorączkowym pośpiechem i odszedł do swego pokoju; całą noc spędził bezsennie, słyszano ciężkie jego kroki i westchnienia.

Po jego odejściu biedna Jadwiga, upadłszy przed opiekunką swą na kolana, serdecznym zaniosła się płaczem. Tak nagle miały się ziścić jej marzenia, ale w taki sposób i tak smutno by się jej zaręczyny odbyły, o tem nie marzyła nigdy. Biedna matka czuła to również, i jej ciężył smutek Jerzego, odgadła przeczuciem macierzyńskiem, że to nie z miłości Jerzy oświadcza się o rękę Jadwini, ale że inna jakaś pobudka doprowadziła do skutku jej i Jadwisi życzenia.

* * *

Słońce stało już wysoko, zegar jedenastą wskazywał godzinę, a jeszcze okna w pokoju sypialnym hrabiny były zasłonięte. Łucja spoczywała z przymrużonemi oczami na węzgłowiu atłasowem, a u nóg jej siedziała Aurelia w białej dezabilce z rozpuszczonym włosem wpatrując się w siostrę, jak gdyby z czoła jej wyczytać chciała odpowiedź na pytanie, jakie miała jej zadać.

Nareszcie hrabina otworzyła zmęczone powieki, uśmiechnęła się i rzekła:

— Jużeś wstała, Aurelko? i to tak wcześnie? dodała wyciągając się rozkosznie.

— Wcześnie? — odpowiedziała zapytana — jedenasta minęła już dawno.

— Mnie wczorajszy wieczór tak zmęczył, a ty Aurelko, jakżeś się bawiła? zdaje mi się, jak nigdy i... dodała grożąc palcem — obawiam się, że książątko...

Uśmiech Aurelii znikł przy tych słowach, głęboka zmarszczka pokryła jej czoło, a zbliżywszy się do siostry, rzekła przytłumionym głosem:

— Łucjo! mam ci coś ważnego powiedzieć, od czego życie i szczęście me zawisło; wysłuchaj mnie i nie przerywaj, a dowiesz się o wielu ważnych bardzo rzeczach.

Łucja dziwiła się wprawdzie smutkowi i powadze Aurelii, ale była tak pewną, że się jej rozchodzi tylko o Norberta, iż chętnie słuchać przyrzekła.

— Łucjo — odezwała się Aurelia — znasz mój charaktrer i sposób myślenia i dziwi mnie bardzo,

że myśleć możesz, że mi się — książę podoba. Jest on chłopakiem układnym i miłym, ale jabym go kochać nigdy — przenigdy nie potrafiła. Może cię dziwiła moja jasna suknia i twarz radosna? Ale ja się nie stroiłam dla księcia, lecz dla tego, którego kocham nad życie... a tym wybranym jest... tym jest... dodała z wysiłkiem — Jerzy W.

Jak po strasznej burzy spokój następuje, tak i teraz cisza zaległa pokój. Aurelia oczekując odpowiedzi umilkła wysilona, Łucja blada z gniewu słów znaleźć nie mogła.

— Aurelio! — wykrzyknęła nareszcie — nie rób nam wstydu. Ty, córka hr. Feliksa, chcesz wyjść za mieszczanina, który z pracy rąk żyje... ojciec na to nie pozwoli, ani ja nigdy, nigdy w życiu!

— Łucjo — rzekła Aurelia bez głosu, siląc się na spokój — chceszże mej śmierci?... ja jego zapomnieć nie zdołam, a za innego nie pójdę nigdy!

— To lepiej zostań starą panną! — rzekła gniewnie hrabina, a zadzwoniwszy na pannę służącę, kazała się ubierać.

Aurelia wróciwszy do swego pokoju, rzuciła się na kolana i zalała się łzami. Wiedziała ona, że Łucja postanowienia swego nie zmieni; że wiele walczyć będzie musiała, aby doprowadzić do celu, a choć pewną była stałości Jerzego, bolało ją jednak, że się ani z nim widzieć, ani też rozmówić nie mogła. Wczoraj widziała go w teatrze po raz pierwszy od czasu jego powrotu, i jemu się też uśmiech jej należał; lecz czy on go widział? i czy ją zrozumiał?

W tem powątpiewaniu i rozpaczy przetrwała długich jak wiek dni kilka; codziennie musiała słuchać wyrzutów ze strony Łucji i ojca, którego hrabina umyślnem pismem do powrotu z dóbr odległych nakłoniła. Hrabia Feliks w przystępie gniewu oświadczył Aurelii, że jeśli okaże taki brak poczucia tradycyjnego, to on ją wydziedziczy i za córkę uważać przestanie. Biedna dziewczyna strasznie cierpiała, była wprawdzie przygotowana na opór rodziny; ale nie spodziewała się, że ojciec w swym gniewie tak daleko posunąć się może!

Złamana, znękana znosiła wszystko, lecz miłości jej dla Jerzego nic zachwiać nie mogło.

*
* *

Mijały tygodnie, w domu Aurelii smutnie i spokojnie, w domu Jerzego na cichych przygotowaniach do ślubu. Pewnej niedzieli, (a był to dzień piękny i mroźny) główna katedra miejska przepełniona była, piękne panie zajęły już zewsząd ławki, nie brakowało też hr. Łucji i Aurelii, która blada i smutna, słuchała nieodstępnego towarzysza swego, księcia Norberta. Opodal siedział Jerzy z matką i narzeczoną: dziś miała wyjść ich ostatnia zapowiedź, lecz ani on, ani Jadwiga nie wyglądali na szczęśliwych. Jerzy stał wpatrzony w Aurelię, widział ją i słyszał jej rozmowę, a zazdrość truła go swym jadem zabójczym.

Właśnie wstąpił ksiądz na ambonę a po skończonej mszy zaczął czytać zapowiedzi. Gdy przeczytał imię Jadwigi, Aurelka podniosła głowę (znała ona ją bowiem z opowiadania Jerzego i kochała jak siostrę) zaciekawiona, kto będzie jej wybranym? Ale gdy odczytano imię Jerzego, krzyk głośny rozlegał się po świątyni i zemdloną hrabiankę wyprowadzić musiano z kościoła.

Zrobił się rozruch wielki, mówiono o nagłem zemdleniu hrabianki, przypisując mu rozmaite znaczenia; ale tylko dwie osoby zrozumiały je dokładnie: Jerzy, który teraz dopiero pojął swą ukochanę i ujrzał się kochanym wzajem i biedna Jadwiga zdradzona i odgrywająca rolę kozła ofiarnego i narzędzia zemsty zdradzonej wrzekomo miłości — rywalki.

*
* *

Jerzy wyszedł przed kościół, widział jak zemdloną Aurelię do wozu wsadzono, patrzał na bladą jej twarz i oczy przymknięte. Ale chociaż ból serce jego ścisnął, przecież nie tracił jeszcze nadziei, widząc się niezapominanym, chciał nawet hrabiance upaść do nóg i wyznać, że to wszystko czynił tylko dla niej z miłości i . . . zazdrości.

Lecz jakim sposobem dostać się do niej? Chodził więc przed pałacem w nadziei, że ją bodaj w oknie

zobaczy. Lecz napróżno stracił cały dzień, nadzieja go zawiodła, nie spostrzegł nikogo. Dopiero gdy zmrok zapadał, wysunęła się zwolna czarno ubrana postać. Szedł za nią i spostrzegł, że zdąża ku Karmelitom.

Dziwnem przeczuciem wiedziony, chciał biedz za nią, lecz głos rozsądku go wstrzymywał; złamany na duchu i znękany powlókł się ku domowi.

Tymczasem przed klasztorem Karmelitów stanęła czarno ubrana kobieta, pragnąc widzieć się z przełożoną. Na rozliczne pytania co do jej rodu i imienia nie chciała odpowiadać; tylko przysięgę pragnęła złożyć, że już nigdy klasztoru nie opuści. Klauzura zakonna nie pozwalała wprawdzie wstępować w mury klasztoru bez zezwolenia rodziców lub opiekuna; ale młoda kobieta tak prosiła usilnie, że postanowiono wyjątkowo, życzeniu jej zadość uczynić. Gdy wszystko już było przygotowane, nieznajoma stanęła przed obrazem Zbawiciela, a podniósłszy oczy do góry przysięgła, że zostanie w klasztorze do końca życia... Głos jej drżał, widać było, że ją wielka boleść do tego nakłoniła kroku. Szybko jednak opanowała wzruszenie i podniosła pokrywającą ją dotychczas gęstą zasłonę... Zdumienie obecnych nie znało granic... mniemano zobaczyć kobietę złamaną nieszczęściem i przeciwnościami życia, — a było to młode dwudziestodwuletnie dziewczę cudownie piękne, o długich jasnoblond warkoczach....

Nim jeszcze zdołano zapytać ją o imię, młoda nowicjuszka rzekła głosem silnym i pewnym:

— Jestem Aurelia, córka hr. Feliksa.

Było to ostatnie wspomnienie wysokiego jej rodu.

A Jerzy? — Po straceniu Aurelii a razem z nią tego wszystkiego, co dotychczas szczęście jego stanowiło, wyjechał za granicę, lecz zamiast objąć posadę, rzucił się w szał życia, grał, pił, by zagłuszyć ból serca. Biedna matka doczekała się na starość tego, że widzieć musiała syna oddanego rozpuście, a biedną Jadwigę pogrążoną w smutku i niedoli.

Olga Schornsteinówna.

Bibliografia.

a) Gazety i czasopisma.

[Gazeta Polska, pismo polityczne, wychodzące w Czerniowcach pod redakcją Klemensa Kołakowskiego. VI. Rocznik. Numera 1-17. 1888.]

Omawiając niniejszem wydawnictwo „Gazety Polskiej“ w Czerniowcach, nie możemy się wstrzymać od omówienia bodaj pobieżnego dwóch prac, umieszczonych w łamach zeszłorocznych czasopisma, wychodzącego bez przerwy od sześciu lat na kresach zachodnich naszej Polonii.

Mamy tu na myśli nowelę: „Piotr Cygan“ Chorośnickiego i „Spiskowcy w Petersburgu“ Władysława Ciesielskiego.

W „Piotrze Cyganie“ autor pod pseudonimem Chorośnickiego znany z rozlicznych innych nowel, przedstawia nam w obrazku psychologicznie wykończonym chwiejne usposobienie dobrodusznego z natury, ale mimoto porywczego i mściwego do ostateczności Rusina „Piotra Cygana.“ Piotr Cygan ocalił życie zagrożonej przez zawadjakę Michała Szerszenia, syna wójtowego, Jełenie, nadstawiając własną głowę pod kół z płota, zwany „szarampojem,“ którym pijany Szerszeń na Jełenę się zmierzył. Jełena przysięga zbawcy wieczną wierność; ale przysłowie mówi: „kobieta jest zmienną,“ a czemuż miałaby się Jełena różnić od rówieśniczek swoich? Intrygi wójta Dmytra Szerszenia powodują przymusowe oddanie potulnego Piotra w szeregi wojska austrjackiego, walczącego z dzikimi Bośniakami. Wieść ostatnia nawet o nim gubi się; pewnie że zginął, bo wojsko wróciło już

z Bośnii a jego nie ma! Jełena nie rozpacza na próżno, lecz wychodzi za namową podstępnego wójta za mąż za jego krewnego, Teodora Maślaka. Piotr Cygan nie zginął jednak w bitwie: ozdobiony krzyżem zasługi wraca on do Kocmania i zastaje Jełenę jako wdowę. Stare uczucia budzą się w nim z podwójną siłą; ale z uczuciem miłości mięsza się inne: uczucie zemsty.

Z prawdziwem mistrzowstwem przedstawia nam autor ten stan duszy niezepsutej a pasującej się z najsprzeczniejszemi uczuciami. Miłość przeważa, ona czyni z Piotra potulnego sługę Jełeny, mimoto że ani jej, ani jego rodzina nie sprzyjają temu związkowi. Daremnie przestrzega go ułomna, ale roztropna i trzeźwa siostra Saweta przed skutkami zamierzonego związku, przedstawiając mu Jełenę jako osobę chciwą, hardą i zmienną; Piotr z otwartemi oczami leci w przepaść, staje się najmytem Jełeny. Natury wprost sobie przeciwne ścierają się w walce wzajemnej. Jełena wbrew najuroczystszym przyrzeczeniom, pomiata swoim narzeczonym, a Piotr upada coraz niżej, staje się jak prawie cała rodzina jego nałogowym pijakiem, brata się nawet na pozór z znienawidzonymi Szerszeniami. Rzeczy dochodzą do ostateczności. Piotr, przez Jełenę z chaty jej wygnany, spotyka się z nią na jednej z tych publicznych zabaw, u ludu ruskiego zwanych chrzcinami. Tam poznaje on Marję Bojczukównę, z wesołego temperamentu zwaną: Maryjką Sojką, a która poznawszy dziarskiego Piotra, nagle spoważniała, bo czuje dla niego coś: jest to pierwsze święte i czyste uczucie miłości. I wdowa czuje coś ku Piotrowi i Marji, ale to nie miłość, lecz potępienia godne uczucie dumy obrażonej i chęć panowania nad Piotrem. Wymawia więc Bojczukównej, że na Piotra poluje.

Prześlicznie brzmi ustęp, w którym obrażona Bojczukówna wdowie w odpowiedzi chciwość i brak serca zarzuca. Przytaczamy go w streszczeniu:

— Nie patrzyłam na niego jak był wasz; wygoniliście go i robili śmiech z niego gdy was przez lato obrobił, cóż wam do tego, że ja go kocham takim jak jest, biednym, nieszczęśliwym? Nie mieszkał

nikt u mnie w chałupie i nikogo nie uwodziłam miłością, ani nie obiecywała szczęście i bogactwo — i ja sojka, a wy? a wy gazdynia, a wy bojarka, bo dziś kochacie Piotra, jutro Maślaka, a pojutrze Michała!! Ja nie kochałam żadnego, ale śmiałam się do wszystkich i z wszystkimi tańcowałam — to ja sojka, bo u mnie wszystkie gawrony jednakie, ino sokół jeden! ale jakem raz jednego pokochała, toć go nie wypędzę ni z serca ni z myśli. —

I w tej niezgłębionej miłości ginie też dziewica za ukochanym, ale poniewczasie. Jełena gwoli próżności i chciwości swojej wychodzi za mąż za Michała Szerszenia, syna wójtowego, a Piotr Cygan, napróżno przestrzegany przez konającą Marję, upada coraz niżej. Znikł ślad dawnej męzkości i piękności, a zastać można teraz Piotra tylko bezprzytomnego, walającego się pod ławą szynkową. I, o dziwo! on nieubłagany niegdyś nieprzyjaciel Szerszeniów, grożący im podpaleniem, brata się z nimi, pije nawpół z znienawidzonym mężem Jełeny.

Wtem straszne jakieś wieści obiegają sioło. Michał, który na ostatku i z Jełeną się poróżnił i tylko jeszcze w Piotra Cygana przesiadywał towarzystwie, znikł nagle bez śladu. Po mozolnych a długich poszukiwaniach znachodzi nieszczęsny ojciec zwłoki syna, zamordowanego w okropny sposób. Piotr Cygan, morderca Michała Szerszenia, przydybany u szwagra Jakiwa Ukraińca i siostry Sawety, wpada w ręce karzącej sprawiedliwości.

Autor kończy zajmującą powieść swoją słowami:

„Skoro dnieć poczęło, poszedł Piotr w kajdanach do Czerniowiec...

Szedł jarem przez Samsonówkę, ścieżką koło cmentarza, przez wieś, ponad Prut, szedł przez wodę zamarzniętą, przez wir, który stał dziś lodowym gościńcem, szedł koło samotnej chaty za wodą, zasypanej ze wszech stron śniegiem, pustej i smutnej... Za nim kroczył żandarm Rawski, dumny, że złapał mordercę, baczny na każdy ruch jego...

Łęgi ciche, bezlistne, a wiecznie wiatrem poruszane chwiały się na wsze strony szepcąc dziwnym szmerem, a mnie się wydało, że one mruczały:

— Dajcie światła! podnieście ducha!“ —

W powieści rzekłbym politycznej Władysława Ciesielskiego: „Spiskowcy w Petersburgu“ zaszczytnie znany autor i patrjota odsłania przed nami obraz korupcji moskiewskiej, która wychodząc z najwyższych sfer, jadem zgnilizny przesiąka najniższe nawet warstwy, a kończy się wytworzeniem takich anarchistów i nihilistów, których zamach morderczy car Aleksander II. w dniu pamiętnym 13-go Marca życiem przepłacić musiał.

Obraz to posępny, a styl autora i barwy, których dobiera do swego opowiadania, uzupełniają się nawzajem. Nie dla byle kogo styl Ciesielskiego jest zrozumiałym i miłym, a i autor sam mało dba o to, aby prace swoje uprzyjemnić dla ogółu, żyjącego lekką strawą literacką z dnia na dzień. Ale kto, nie szukając w jego pracach lekkiej gry słów i dowcipów, zadowala się jedynie historyczną prawdą, nieokraszoną żadnemi zwrotami retorycznemi, ubarwioną jedynie ciężką powagą naukową, prawdziwie polskim patrjotyzmem i głęboką filozofią myśli — ten znajdzie w tych historycznych obrazkach, w tych niepokaźnych na oko szkicach i sylwetkach skarbnicę prawdziwą myśli polskiej, łączącej się z gruntowną wiedzą i głębokiem uczuciem. Ciesielski jako pisarz i patrjota polski, jako demokrata prawdziwy, nie należy ani do karjerowiczów, których teraz pełno wszędzie, ani do krasomówców lub krasnobarwców politycznych. „Ubi bene, ibi patria“ — potępienia godna ta zasada wszystkich utilitarystów nie jest więc jego zasadą, wiadomo bowiem każdemu uczciwemu, że prawdziwa jego ojczyzna nieraz znajduje się tam, gdzie mu wyżyć prawie niepodobna.

Pierwszą pracę literacką Ciesielskiego — jeśli nas pamięć nie myli — widzieliśmy w „Sobótce“, książce zbiorowej, wydanej na cześć Goszczyńskiego. Jest to niewykwintnie, ale z pewną werwą żołnierską skreślone wspomnienie z r. 1864. p. t.: „W obozie i bitwie“. Autor opisuje w niem swój udział w utarczkach z Moskalami pod Opatowem i Klonowem, oraz zdradę naczelnika Waltera. Więcej wartości literackiej i stylistycznej posiadają Ciesielskiego prace, umie-

szczane w redagowanym przezeń „Głosie Stanisławowskim“, zwłaszcza jego nowele patrjotyczne, odnoszące się do powstania, a które razem zebrane i w osobnej książce wydane, przyczyniłyby się znacznie do wzbogacenia naszej w opisy wyczerpujące ubogiej historji powstania styczniowego. Styl autora wprawdzie nie dla każdego dźwięczny i miły; wyrazy nieraz nieociosane, urwane, chropawe, twarde kamieniem wpadają w ucho, ale utkwią w pamięci. Uważni czytelnicy „Roczników Samborskich“ przypomną sobie zapewne jego „Ślady krwi i ducha“, nowele polskie, umieszczone w piątym tomie naszego wydawnictwa. Tak jak w dawniejszych nowelach Ciesielski nam streścił polskie zwyczaje, obyczaje, przywary, tak w „Spiskowcach w Petersburgu“ napotykamy na mużyków i czynowników moskiewskich. Idea reformy społecznej, pragnienie uwolnienia narodu od despotyzmu cara, zbroi dłoń takiego Mylorda Trigonia, Kibałczyca, Mihajłowa a nawet słabych kobiet jak Helfmanowa i Perowskaja dynamitem. Car jak wiadomo przepłacił życiem zamach morderców, spiskowcy zginęli na szubienicy, ale nie zginęła myśl odwetu za krzywdy ludzkie. Ona ściga obecnego wszechwładcę Rosji, ona prześladuje go niewidomą swoją władzą, we dnie strasząc widmem rewolucji a w nocy płosząc sen z oczu jego, ona samotny i odludny pobyt w Gatczynie przerywa mu widmami nihilizmu.

Ale dość tych poglądów retrospektywnych! Wracam napowrót do rzeczy, t. j. do rozbioru treści obecnych numerów „Gazety Polskiej.“

Tu na pierwszy rzut oka uderza subtelnością definicji Erazma Krzyszkowskiego studjum literackie o Mickiewiczu, zatytułowane: „Czterdzieści i cztery.“ Jeśli jeszcze wymienimy rozmaite wstępne artykuły, nader umiejętnie skreślone ręką redaktora a odznaczające się żywym patrjotyzmem i zdrowemi poglądami, oraz stylem wzorowym, dalej rubrykę nieodzowną każdego czy prowincjonalnego czy stołecznego pisma „kronikę lokalną,“ sprawozdania sądowe, korespondencje zamiejscowe i zagraniczne, artykuły o Polakach na obczyznie, recenzje dzieł, — to przyznać będziemy musieli, że więcej wymagać nie można od

politycznego pisma polskiego, wychodzącego na kresach i zastępującego na tychże kresach interesa najżywotniejsze narodu. Prawda! moglibyśmy jeszcze jedno wymagać, a tem byłaby — lepsza korekta drukarska.

[Gazeta Przemyska, tygodnik miejscowy polityczny i literacki. Wydawca i redaktor Teofil Herlos. Rocznik I. za rok 1887, nra. 1-31 i Rocznik II. za rok 1888, nra. 1-10.]

Przemyśl, jedno z najruchliwszych miast w Galicji, zdradza ten postęp także na polu literackiem, zwłaszcza dziennikarskiem. Odróżniając się pod tym względem korzystnie od Stryja, Tarnopola i innych miast galicyjskich, gdzie nieudałe wydawnictwa pism politycznych nikogo nie zachęcają do powtórzenia próby, — Przemyśl posiadając liczną i inteligentną ludność, powtarza rzeczone próby raz po raz. „Gazeta Przemyska,“ o której nam w tym artykule mówić wypadło, — to już z kolei czwarta. Mniejsza o to, że dwie takie gazety spoczęły snem wiecznym, że jedna się przeniosła do Lwowa, aby zagrożony byt ocalić, — smutny los poprzedników nie odstrasza następców.

Jednym z tych nieustraszonych mężów jest właśnie wielce zasłużony około rozwoju przemysłu krajowego fabrykant Michał Dornwald, który kapitałem swoim głównie utrzymuje byt wydawnictwa, a który na śmiało uważany być może za założyciela „Gazety Przemyskiej,“ choć przez innych ale w jego duchu redagowanej.

Widzimy cechę tę obywatelską i poczciwą w całem wydawnictwie. „Gazeta Przemyska“ nie stara się o to, bawić czytelników, ale pragnie ich podnieść, uszlachetnić i rozszerzyć zakres ich wiedzy. Dla tego nie widzimy obok miejscowej kroniki, politycznych artykułów i korespondencyj zamiejscowych, w fejletonie owych bez wartości fraszek powieściowych i romansów, lichą polszczyzną przetłumaczonych na język polski. Dla pisma przeznaczonego mniej więcej dla wykształconych klas roboczych — a taką cechę nosi widocznie „Gazeta Przemyska“ —

powieści zbyteczne. Zastępuje je całkowicie fejleton o zakroju naukowym.

Są to spostrzeżenia społeczno-etnograficzne, jak: „Nasz lud — a żydzi,“ artykuł naukowy p. t.: „Nasze zabawy i gry towarzyskie w XVI. wieku,“ myśli ekonomiczno-filozoficzne p. t.: „Praca“ i t. d. Dla urozmaicenia jednostajności porusza czasem dowcipna „kronika przemyska“ w sposób pół poważny, pół humorystyczny kwestje piekące dla nadobnego i brzydkiego świata przemyskiego. Rozprawa Lameda: „Czy Żyd — czy Izraelita?“ — ciekawa, ale zdaje nam się, że stronnicza. Nie zgadzamy się na rozwiązanie kwestji w rozprawie tej poruszonej ani w kierunku słowa: „Żyd,“ ani: „Izraelita.“ Jeśli naród Żydów rozważamy ze stanowiska religijnego, to nie mamy innego wyrazu, jak: „Starozakonny,“ jeśli z językowego: „Hebrajczyk,“ jeśli ze stanowiska sympatij lub antipatij narodowych, to: „Polak, Niemiec, Francuz, Włoch, Anglik“ i t. d. Żyda w właściwem tego słowa znaczeniu nie ma, gdyż i specjalnie żydowskiej mowy nie ma, a była i jest tylko hebrajska, żargon zaś żydowski tak mało zasługuje na nazwę języka, jak znana pod nazwą „kuchennej polszczyzny“ mowa uchodzić może za mowę naszych klasyków. Powiedzmy raczej, że posługujemy się wyrazem: „Żyd,“ ponieważ to utarty frazes, a byłoby nam trudno, wynaleźć inny odpowiedniejszy, sam zaś wyraz: „Żyd“ nie mieści w sobie nic ani podniosłego, ani poniżającego. Artykuł: „Nasze zabawy i gry towarzyskie w XVI. wieku“ starannie opracowany, ma pewną wartość archeologiczno-historyczną. Poznajemy z niego niepohamowaną po wsze czasy chęć bawienia się według burszowskiej pieśni:

„Gaudeamus igitur, juvenes dum sumus.“

Obyczaje wydelikatniały, rzecz pozostała ta sama. Maszkary 16-go stulecia zastępują obecnie reduty karnawałowe. Wielcy panowie nie trzymają już dla zabawy swojej dzika, wilka lub niedźwiedzia na uwięzi, któregoby się lękać miała „misera plebs contribuens,“ jak nam w niezrównanej swojej „Pobitnie pod Rzeszowem“ przedstawia Szczęsny Morawski, ale języki domorosłych naszych plotkarzy i

plotkarek szarpią sławę bliźniego lepiej od wilka i niedźwiedzia; nietylko w wyższych, lecz i w niższych towarzystwach grywa się w gry hazardowe o stosunkowo dosyć wysokie sumy, a szulery przesiadywują i teraz po karczmach łowiąc niedoświadczonych.

Rozprawa: „Nasz lud — a żydzi,“ w wyczerpujący sposób na podstawie historycznych i archeologicznych badań omawia wzajemny stosunek historyczny, religijny i społeczny naszej ludności a żydów w kraju zamieszkałych. Źródła wszędzie sumiennie podane, jednego źródła zaś o zupełnie wątpliwem pochodzeniu, wolelibyśmy nie widzieć — jest to osławiony pamflecista i fałszerz historji Rohling. „Gazeta Przemyska“ mieści większą jeszcze ilość artykułów godnych czytania. Szczupłe łamy naszego wydawnictwa nie pozwalają nam jednak na obszerny i treściwy rozbiór pisma.

[Gazeta Naddniestrzańska, dwutygodnik wychodzący pod redakcją E. L. Soleckiego w Drohobyczu. Rocznik V. Nr. 1-6.]

Pod zupełnie odmiennemi od „Gazety Przemyskiej“ warunkami powstała i wychodzi w Drohobyczu „Gazeta Naddniestrzańska.“ Pismo przemyskie jest organem wykształconej klasy mieszczan i rzemieślników przemyskich, którzy do takiego stopnia wykształcenia i pojęcia praw i obowiązków obywatelskich doprowadzili, jak prawie w żadnem innem mieście prowincjonalnem w Galicji, nie wyjąwszy Stanisławowa. Drohobycz nie ma podobnych obywateli w tej ilości, aby się z nimi aż liczyć trzeba było. Ale ma stosunki handlowe bardzo znaczne i z powodu łączności z sąsiednim Borysławiem stał się prawie miastem fabrycznem.

Dawniejsza, nie dająca się słowami określić gospodarka autonomiczna, spowodowała zewsząd opozycję, a jako najdobitniejszy wyraz tejże pismo opozycyjne w kształcie „Gazety Naddniestrzańskiej.“ Walka przeciw żywiołom rozkładowym nie jest ani przyjemna, ani łatwa: tłumaczymy sobie tem najlepiej powolny postęp pisma drohobyckiego, które żebym się tak wyraził nie szturmem zdobyło pozycje

nieprzyjacielskie, ale powoli i stopniowo zdobywać musiało jeden szaniec po drugim. Teraz odniosło pismo jedno wielkie zwycięztwo, obaliwszy dawniejsze rządy miejskie; jeśli mu się uda drugie i znaczniejsze przez obalenie dawniejszego nieładu i nierządu, niech zawoła: „eureka!;“ ale do tego celu jeszcze daleko.

Bądźcobądź, to tendencja pisma zasługuje na uwagę czytających, jak niemniej w odcinku umieszczony „Zakazany owoc,“ obrazek galicyjski A. Barańskiego na uwagę tych, dla których ambicje i ambicyjki małomiejskie nie są rzeczą obcą.

b) Książki pamiątkowe i roczniki.

[Tiroler Dichterbuch, herausgegeben von Dr. Ambros Mayr. Innsbruck, 1888. Drukiem i nakładem uniwersyteckiej księgarni Wagnera. Format wielki in quarto. XII. stron tytułu, treściopisu i przedmowy, 312 stron treści. Cena za dzieło ozdobnie oprawne 8 złr.]

Edycja piękna, to za skromny wyraz, aby oznaczyć zewnętrzną stronę dzieła, o którem nam mówić wypadło, gdyż druk, treść i powierzchowność książki składają się na to, aby wytworzyć z niej coś niebywałego w sztuce typograficznej. Mimoto nie rozwodziłbym się w polskiem wydawnictwie i jako polski autor o „Tyrolskiej księdze poetów,“ gdyby nie to, że w Tyrolu stała moja kolebka, że to Ojczyzna moja!

Księga tyrolskich poetów wydaną została przez komitet, złożony z najznakomitszych obywateli, zamierzających uczcić pomnikiem zasługi pierwszego poety tyrolskiego, Waltra von der Vogelweide. Redakcję księgi powierzono Drowi Ambrożemu Mayrowi, profesorowi gimnazjalnemu w Bozenie, obecnie w tym samym charakterze przeniesionemu do Opawy, i musimy przyznać, że wybór nie zawiódł oczekiwań.

Na czele księgi widnieje portret Waltra von der Vogelweide. Jest to piękny mężczyzna z rysami pełnemi ujmującej otwartości i prostoty. Dalej następują po sobie poezje tyrolskich poetów i poetek, zaopatrzone krótkiemi życiorysami, uporządkowane według planu z góry nakreślonego i rozmieszczone w czterech grupach czyli częściach. Pierwsza mieści poezje średniowiecznych poetów wraz z odnośnemi tłumaczeniami, druga pieśni ojców naszych, trzecia poezje obecnie żyjących autorów, czwarta poezje przyjaciół Tyrolu. Jedna tylko niewłaściwość w rozkładzie mogłaby nas cokolwiek razić, a to, że druga grupa „pieśni ojców naszych," nie zaczyna tam, gdzie się pierwsza kończy, ale przeskakując kilka wieków, zaczyna wprost od 19-go. A wszakże w 16-m wieku żył i panował w Tyrolu arcyksiążę Ferdynand, małżonek uroczej Filipiny Welzerówny, pod którego łagodnem berłem sztuki piękne kwitły a który i sam niepoślednim był poetą!

Pominąwszy jednak ten ujemny szczegół, znajdziemy w „Tyrolskiej księdze poetów" jeszcze tyle prawdziwej sielskiej i swojskiej poezji, tyle piękna, że warto o niej bodaj pobieżnie pomówić. Na treść książki z wyjątkiem pierwszej i ostatniej części składa się 107 poetów i 8 poetek. Liczba wcale pokaźna! Pewne niemieckie pismo w sprawozdaniu swojem zastanawia się nad tem, że poetek jest aż 8; my — dziwilibyśmy się raczej temu, że tylko 8. Liczba współpracowników i współpracowniczek składa się prawie z wszystkich stanów. Między nimi mnóstwo (bo aż 23-ch) księży, wiadomo bowiem, że Tyrol na wskroś katolicką jest prowincją. Nie brak też podobnie jak i u nas profesorów i redaktorów gazet, którzy formalnie rej wodzą między piszącymi. Ale o co u nas a może i w Warszawie, w takiem wydawnictwie bardzo byłoby trudno, to to, że się na jego treść składają między innymi: jeden starosta, jeden komisarz policji, jeden porucznik żandarmerji, jedna chłopka i jeden — pokątny adwokat! Mniejsza jednak o to, kto pisze, byleby dobrze pisał!

Ostatnia część przeznaczona dla poetycznych elukubracyj obcych gości. Takich jest dwunastu a

mianowicie 9-ciu poetów i trzech przedstawicielek płci pięknej.

„Księga tyrolskich poetów“ zawiera także 3 sceniczne utwory a na czele nuty do pieśni Waltra von der Vogelweide: „Die verschwiegene Nachtigall.“

Pieśni pierwszej części mniej wykwintne. Im więcej jednak zbliżamy się do teraźniejszości, tem szerszem korytem płynie strumień pieśni tyrolskiej. To rozlewa się w miłośną skargę, to w dumkę, to opiewa dzieje przeszłe, walki o niezawisłość, staczane z Bawarami i Francuzami, to brzmi odgłosem bojowym, to pieje chorał potężny i wspaniały na te prześliczne Alpy, na naturę uroczą, to wtajemnicza nas w legendowe dzieje, to poucza o posłannictwie religji, o czci winnej Bogu, to głosi miłość Ojczyzny, to zachwyca się widokiem piękna, bo jak słusznie twierdzi jeden ze współpracowników, sędziwy Ignacy Zingerle w „pieśniach pustelnika“ (str. 278.):

„Świętych niechaj pomnikami
Każdy uczci, kto ma chęci;
Ale w sercu naszem pomnik
Niech się ideałom święci!
Cześć zarówno się należy
I kapłanom wzniosłej chwili,
Którzy ziarno ideału
W sercu naszem zaszczepili,
Czy to wiary jasnym blaskiem
Rozrzedzili ciemne chmury,
Czy nam piosnką rozjaśnili
Żywot ciemny i ponury.“

Zaprawdę! warto zapoznać się z tą księgą poetów tyrolskich!

[Jednodniówka pedagogiczna, na cześć XXI. walnego zjazdu Tow. Ped. wydana nakładem i staraniem stanisławowskiego oddziału Towarzystwa. Format mały in quarto. 24 stron. Cena 50 ct. Dochód dla kolonij wakacyjnych. Stanisławów, 1887. Druk Stanisława Chowańca.]

Jeśli uwzględnimy jedynie zewnętrzną stronę wydawnictwa, to powtórzyć nam chyba za innemi

pismami, że edycja „Jednodniówki“ przepyszna, w czem co do strony fachowej bezprzecznie jest zasługa drukarza Chowańca, a co do bezbłędności druku — redaktora Tokarskiego. Ale obok strony zewnętrznej jest strona wewnętrzna, którą również uwzględnić musimy, a tu zdania rozchodzą się bardzo. Podczas gdy lwowskie pisma „Jednodniówkę“ wynoszą pod niebiosa, „Bluszcz“ warszawski potępia ją w czambuł, wyszczególniając z pomiędzy wszystkich zaledwie prace Piotra Parylaka i Janiny Antonowiczównej i zarzucając całkiem niesłusznie z pewnym szyderczym przekąsem Podhaliczowi, że jako ck. inspektor okręgowy w podróży znalazł jeszcze czas do pisania artykułów.

Według mego zdania prawda leży w pośrodku: „Jednodniówka pedagogiczna“ nie jest więc ani takiem arcydziełem, jakie w niej upatrują pisma lwowskie, ani taką lichotą, za kórą ją ma referent „Bluszczu.“ Jeśli podzielimy treść „Jednodniówki“ na dział poetyczny i prozaiczny, to poznamy łatwo, że obok trzech (nie dwóch, jak „Bluszcz“ mniema) pierwszorzędnych prawie gwiazd na polu poezji, t. j. obok Parylaka, Antonowiczównej i Andruszewicza grupują się autorowie, co do siły wyrazu cokolwiek im ustępujący. Są to Julian Nowakowski i Franciszek Marzec. Reszta wierszów bardzo mieszanej treści: są dobre, mierne i złe, ale te ostatnie przeważają. Do dobrych zaliczam wiersze polskie Dyonizego Duba i Stanisława Rosoła, oraz wiersz niemiecki: „Poetae nascuntur“ Herzla. Natomiast polska parafraza rzeczonego wiersza, dokonana przez Teuwina, jest lichą ponad wszelki wyraz, „Modlitwa“ ks. Watulewicza to rymowana proza, rymy Kropiwnickiego także trywialne i pozbawione wszelkiej poezji i niejeden aforyzm, niejeden epigram zresztą niezły, grzeszy trywialnością i naciąganemi rymami. Dla rymu pojechał do Rzymu! — to stare przysłowie można bez przesady zastosować do wielu współpracowników książki.

A teraz przystąpmy do oceny działu prozy. Tu należą do najwybitniejszych prac Pawła Stalmacha: „Szkolnictwo szlązkie,“ Eugeniusza Skliwy:

„Kościuszko pedagogiem“ i Podhalicza: „Z życia dziecka.“ Dla kurtoazji i okazania wielostronności językowej umieszczono w „Jednodniówce“ także ruski frazes biskupa Pełesza i łaciński frazes Dra Jachny. Kurtoazja idzie jednak za daleko, jeśli umieszcza w książce konwencjonalny choćby Dra Majera frazes: „Waszej poczciwej pracy życzę z całego serca najlepszego powodzenia.“ Jak się zresztą na podobne frazesy zapatruję, o tem uczyniłem wzmiankę przy ocenie „Wisły.“ „Aforyzmy pedagogiczno-dydaktyczne“ Mieczysława Baranowskiego byłyby nie złe, gdyby nie ostatnia myśl: „Ciało silne zawsze jest gotowe na rozkazy ducha, natomiast u wątłego ciała duch jest niewolnikiem.“ U wątłego ciała duch jest panem, tak mówi doświadczenie. Przykładów bez liku mamy w obcych i naszych mocarzach ducha, że z pomiędzy wielu przytoczę tylko: Szyllera, Gellerta, Brodzińskiego, Słowackiego, Krasińskiego, Kraszewskiego, Ludomira Benedyktowicza, malarza bez rąk, Szopena, genjalnego kompozytorę o bardzo wątłem ciele. Razi też niezmiernie zdanie Szczęsnego Parasiewicza: „Chcąc słów kilka powiedzieć o zawodzie nauczycielskim, mimowoli nasuwają się nam głębokiej myśli powyższe słowa psalmu.“ Któż widział tak język skoszlawić? A wszakże stokroć zrozumialej i lepiej było pisać: „Chcącym słów kilka powiedzieć, nasuwają się głębokiej myśli słowa.“ (Patrz Walicki w dziele: „Nasze Błędy.“)

Najrozmaitsze aforyzmy i myśli składają się na uzupełnienie dzieła. Są to pojedyncze ogniwa w wielkim łańcuchu, iskry gubiące się w morzu światła.

„Z aktów szkolnych“ Michała Meklera jest to rzecz, mającą chyba archeologiczną i anegdotyczną, nie naukową wartość, rzecz umieszczona „pour la bonne bouche“ a przypominająca nam żywcem anegdotkę z dziejów szkolnictwa niemieckiego a mianowicie napis nad pewną szkołą ewangelicką:

„Tu młódź prowadzi się stale
Ku czci niebiańskiej i chwale,
A krnąbrnym daje się w tyłek,
By ciągnąć z niego zasiłek,

Zasiłek codzienny, chudy
Na życia ciernie i trudy."

Cieszmy się bodaj tem, że rozwinięte z przebiegiem czasu szkolnictwo nauczycielowi teraz już inne zasiłki podaje „na życia ciernie i trudy," niż boćkowiec i nieodłączne od niego tyłki uczniów!

[Pamiętnik czytelni ludowej w Cieszynie na Szlązku austrjackim, wydany z powodu 25-letniego jej jubileuszu. Cieszyn, 1887. Nakładem czytelni ludowej. Druk Henryka Feitzingera i spółki. Mała ósemka. Stronic 104.]

Wydaje się rozmaite pamiątkowe księgi w dnie jubileuszów narodowych, czemuż by nie miała wydać także cieszyńska czytelnia? W książce nadesłanej nam mieści się opis historyczno-statystyczny czytelni cieszyńskiej od dnia założenia aż do naszych dni, z pedantyczną niemal ścisłością podany a zaokrągla dzieło „część jubileuszowa," mieszcząca zagajenie jubileuszu, przemówienia delegatów towarzystw narodowych na Szlązku, przemówienia najstarszych członków czytelni, wiersz Jana Kubisza, telegramy, listy i pisma gratulacyjne. W części jubileuszowej wiersz Jana Kubisza, pominąwszy niektóre usterki rymowe, niezłe robi wrażenie, szczególnie ustęp, w którym się domorosły improwizator zwraca do publiczności, obchodzącej jubileusz czytelni i w rzewnych słowach podnosi tej czytelni zasługi około podniesienia i rozwoju ducha polskiego na Szlązku:

„Czytelnio nasza! przyjm więc z naszej ręki
Wieniec serdecznej i szczerej podzięki,
Wieniec miłości i wieniec uznania! —
Ty jesteś naszym grodem, co ochrania
Świętość narodu przed zguby potęgą,
Tyś nam tą wielką, tą gruntową księgą,
W której dziedzictwo nasze zapisano,
W której kreślone przodków naszych miano;
Tyś jest tą księgą, w której spisan leży
Skarbiec nauki dla Szlązkiej młodzieży,
Tyś jest tą szkołą prawdziwą i wielką,
Co młodzież naszę uczy"......

O ile nas te słowa zadowalają, o tyle przykrzejsze wywołuje wrażenie w historycznej części

książki polemika z zasłużonym bądźcobądź Pawłem Stalmachem.

Na oko przedstawia się dziełko zresztą dosyć przyzwoicie.

c) Wydawnictwa dla ludu i młodzieży, oraz książki naukowe.

[Perełki, wiązanka wierszyków dla polskiej dziatwy, przez Stanisława Tokarskiego i Szczęsnego Zahajkiewicza. Stanisławów, 1887. Nakładem redakcji „Światełka,“ (St. Tokarskiego.) Druk Dankiewicza. Format mały in quarto. Stron 46 z dodatkowemi 8-ma rycinami. Cena 1 złr. Dochód na bank poznański.]

Mamy przed sobą zgrabniutką książkę ze zgrabniutkimi wierszykami i rycinami dla naszej dziatwy. Szczególnie udatne są wiersze: „Kołysanka,“ „Do polskiej mowy,“ „Dwie matki,“ „Co to jest Ojczyzna,“ „Julek,“ „Dwie siostry“ i „Staś.“ Ale zdaje mi się, że wszelkie pochwały byłyby tu zbyteczne, gdyż książkę przez nas omówioną polecają ogółowi naszych matek zarówno cel, jak i treść i forma nadobna tem bardziej, że nie mamy zbyt wiele książek, napisanych przez fachowych autorów z prawdziwem pojęciem potrzeb świata dziecięcego a łączących przy tem ze zrozumiałością i jasnością formę powabną i treść prawdziwie patrjotyczną.

[Szkice statystyczne o śmiertelności w Austrji z lat ośmiu (1875-82) ze szczególnem uwzględnieniem Galicji i W. Ks. Krakowskiego. Przez Dra Józefa Barzyckiego. Nakładem autora. Rzeszów, 1886. Druk E. F. Arvaya. Mała ósemka. 88 stron. Cena 50 ct. Dochód dla funduszu wdów i sierót Tow. lekarzy galicyjskich.]

W ciekawej tej broszurze na podstawie dat statystycznych opisany stan zdrowia i śmiertelności mieszkańców Galicji. Autor omawiając rozmaite choroby, porywające rokrocznie pewien procent ludności, wykazuje, że w zachodniej Galicji śmiertelność mniejsza niż we wschodniej, co wytłumaczyć się da oko-

licznością, że tam większa czystość i mniejsze przepełnienie i przeludnienie. Są jednak i choroby, częściej nawidzające zachodnie, niż wschodnie powiaty. Do tych należy ospa, importowana ze Szlązka. Z braku sił żywotnych ginie także w Galicji szczególnie po wsiach mnóstwo dzieci. Winne temu niechlujstwo i niedbałość rodziców. Że chłop nie szuka pomocy u lekarzy, ale u znachorów i babek wiejskich, nic w tem dziwnego. Wszakże w ważnych sprawach chłop także woli iść do pokątnego pisarza niżli do adwokata, bo to taniej; ale czy skuteczniej, to inna rzecz. Wielce pouczające są końcowe uwagi szanownego autora co do błędnego wychowania naszej młodzieży, która przeciążona nauką, pozbawiona ruchu potrzebnego i nauki gimnastyki, przedwcześnie karłowacieje, oraz zwrot do matek, aby niezapominały o swoich obowiązkach macierzyńskich, illustrowanych przez autora i tem, że „największy zastęp chorych na raka piersi i macicy dostarczają te właśnie matki, które same nie karmiły.“ Autor kończy cenną swoją pracę propozycją, dążącą do polepszenia stosunków zdrowotnych kraju a składającą się z 16-tu punktów, podanych rozwadze ogółu.

[I. Bieda nasza, wydanie drugie, arkusz w małej ósemce. Cena 2 ct. Kraków, 1886. Druk i nakład W. Korneckiego. II. Zdrowie nasze, wydanie drugie, arkusz w małej ósemce. Kraków, 1887. Druk i nakład W. Korneckiego.]

To samo wytrawne pióro, które w „Szkicach statystycznych“ skreśliło cyfrę przeciętną śmiertelności galicyjskiej, w dwóch broszurkach p. t.: „Bieda nasza“ i „Zdrowie nasze,“ podaje źródła w pierwszej ubóstwa krajowego, którego szukać trzeba we wsparciu przemysłu zagranicznego z ujmą dla krajowego, w drugiej źródła chorób, dziesiątkujących rokrocznie ludność naszą. Autor nie waha się przed doradzeniem dalekonośnych reform, jak np. zniesienia całkowitego obchodu zaduszek, radząc natomiast pieniądze w ten sposób zaoszczędzone obrócić na budowę szpitali, zakładów dla kalek i podrzutków. Za pracą tą przemawia nietylko szczegół zresztą mniej ważny, że się drugiego doczekała wydania, ale i to, że

„Przegląd lekarski“ jako fachowe pismo ją jak najgoręcej ogółowi nielekarskiemu poleca.

d) Książki mieszanej treści.

[Jan Kochanowski. Pogląd na życie i pisma jego, przez Salamona Spitzera. Kraków, 1887. Nakładem autora a drukiem Józefa Fischera. Mała ósemka. Stronic 40.]

Znany autor rozpraw o Mendelssohnie i Montefiorze wzbogaca literaturę o księciu poetów nowem a cennem dziełkiem, poprzedzonem poglądem na epokę Kochanowskiego. Nie wątpimy o tem, że mimo obfitości dzieł rozmaitych o Kochanowskim, dziełko powyższe nie chybi celu i przyda się do rozszerzenia wiadomości o autorze „Trenów.“ Pisownia lekka i w stylu Spitzera widać pewien postęp, co wszystko razem wziąwszy, jego pracę korzystnie zaleca. Nie brak jednak i usterek w broszurze, przez nas omówionej. Błąd, popełniony na str. 8-mej, na której Zygmunta Wazę nazwano Henrykiem Wazą, złożymy chętnie na karb zecera; ale na str. 20 i 23 używa już autor sam wyrazów według Walickiego błędnych, jakoto: „osobistość“ i „znakomitość“ zamiast „osoba,“ lub „znakomita postać.“ Wiemy, że podobne błędy codziennie napotykać można w naszych pismach politycznych; ale co tam uchodzi, to nie uchodzi w książce a tem mniej nauczycielowi. Przypominam sobie, że czytałem w nrze 71-m z 11. Marca 1888 r. „Dziennika Polskiego,“ że królowa Wiktorja przy jakiejś uroczystości dworskiej uczestniczyła „w wielkiej pompie.“ Kto nie rozumie po niemiecku, ten zapewne myślał, że królowa chcąc uczestniczyć przy uroczystości dworskiej, leżała w wielkiej, hermetycznie zamkniętej żelaznej pompie, przeznaczonej do wypompowonia powietrza lub wody. Ale w takim razie nikt nie widziałby królowy a udusiłaby się w dodatku z braku powietrza, jeśli pompa nie była dziurawą. Zapewne mniemał autor rzeczonego artykułu, że „Dziennik Polski“ czytają sami Niemcy

oswojeni z właściwościami swego języka, których polskie ucho nie znosi. A całe bałamuctwo powstało ztąd, że nie chciano pisać, że królowa z wielkim przepychem uczestniczyła przy uroczystości dworskiej, ale pisano, że uczestniczyła „w wielkiej pompie.“

Ustawiczne też w broszurze p. Spitzera zastępowanie litery *e* przez *y* w słowach jak: gorącemi, grożącemi i t. d., jako lekceważące i samozwańcze zapoznanie znaczenia rodzajów męzkiego, żeńskiego i niejakiego zwłaszcza w formie żywotnej lub nieżywotnej, żadną miarą nie może być ścierpiane w polskiej książce.

Forma zewnętrzna dziełka dosyć przyzwoita.

[Adam Nowicki. Ojczyzna, zbiór nowel i szkiców. Kraków, 1887. Nakładem wydawnictwa „Ruchu.“ Drukiem A. Koziańskiego. Mała ósemka. Stron 130.]

Autor niniejszej książki, p. Nowicki, w krótkiej przedmowie określa stanowisko swoje. Podnieśmy ducha, woła on, a to za pomocą miłości Ojczyzny; bo słowa: „Miłość Ojczyzny“ są owym złotym kluczem, za pomocą którego nietylko każde młodzieńcze serce się otworzy, lecz wysypie i odda wszystkie skarby, jakie w swem wnętrzu nosi. I wierny pierwotnemu swemu założeniu opisuje nam autor w szeregu mniej lub więcej udatnych szkiców i obrazów wpływy miłości Ojczyzny. W pierwszym takim obrazku, zatytułowanym: „Sylwestrowa noc“ przedstawia nam samotne skonanie rannego powstańca, przypadające właśnie w rocznicę owej nocy sylwestrowej, w której oczarowany wdziękami uroczej dziewicy, dozgonną miłość przyrzekł Anieli, którą następnie porzucić musiał, aby śmierć znaleźć dla „miłości Ojczyzny.“ „Będzie Polska,“ obrazek z warszawskiego bruku, opisuje zwodne nadzieje i marzenia pana radcy, polegające na odbudowie przyszłej Polski za pomocą obcych mocarstw. „Przemytnik“ odkrywa nam szlachetną stronę ludu na Żmudzi. Przemytnik Żmudzin, dostawszy w ręce swoje uwodziciela siostry, któremu wieczną poprzysiągł zemstę, zwalcza uczucia zemsty imieniem Ojczyzny, dla której kapitan krew swoją poświęcił i odstawia go na neutralne terytorjum austrjackie, zamiast wydać ścigającym go kozakom.

Żywy kontrast do „Przemytnika“ tworzy „Tajny radca“, który za pomocą zdrady, dokonanej na osobie przyjaciół i na Ojczyznie, dostąpił najwyższych godności i zaszczytów a któremu wypadek na pozór niewinny z wnukiem Karolem przypomina dawne grzechy. „Za Ojczyznę“ przedstawia nam w osobie starego Kotulskiego poświęcenia rodaków, jednające im imieniem Ojczyzny pobłażliwość dla drobnych wad i szacunek u chlebodawców. „Matka“, fantazja, w sposób porywający i przemawiający do serca każdego prawego Polaka, przedstawia miłość i poświęcenie matki Polki, która woli zginąć od kuli moskiewskiego żandarma, niźli wyrzec się ostatniego skarbu, przysłanych jej tajemnie a w Kongresówce srodze zakazanych poezyj syna wygnańca i „buntownika.“ Nowela „Ojcze nasz“ maluje stan duszy renegata feldfebla Andrzeja Osipowicza Kozika, który na wszelkie wyrzuty sumienia głuchy, krew współziomków na rozkaz swoich wojskowych przełożonych przelewa, aż nareszcie na odgłos polskiego pacierza: „Ojcze nasz“ uśpione sumienie się w nim znowu budzi, powodując go do zasłonięcia własnem ciałem Józi młynarzanki a następnie do przyjęcia śmierci z rąk powstańców. „Z życia wydziedziczonych,“ dumania o szarej godzinie zamykają i zaokrąglają zbiór, wyglądając mimoto na urywek, nie mający związku z poprzedniemi szkicami.

Styl autora i tendencje jego nieraz zbliżone do stylu i tendencji Władysława Ciesielskiego. I Nowicki lubi krótkie, urwane zdania, ale obrabia je staranniej. W zbiorze: „Ojczyzna“ mieszczą się prawdziwe perły patrjotyzmu i uczucia, i dla tego polecamy to dziełko czytelnikom naszym jak najgoręcej.

[Niezapominajka z wystawy krakowskiej. Nakładem W. Chaberskiego. Z pracowni litograficznej A. Prószyńskiego. Kraków, 1887. Format in quarto wielki. 4 strony z rycinami. Cena 15 ct.]

Kto chce dowcipkować z innych, ten niech bodaj sam posiada cokolwiek dowcipu. Istoty dowcipu nie tworzą jednak ani karykatury ilustracyjne, ani

też tłuste dwuznaczniki, któremi się odznacza „Niezapominajka.“

[Grajek z gór, obraz dramatyczny w 4 aktach a 7 odsłonach, przez Michała Groblewskiego. Nakładem autora. Dwunastka. Sanok, 1885. Stronic 110. Drukiem Karola Pollaka.]

Autor „Upiorów“ w „Grajku z gór“ po raz pierwszy wystąpił na widownię publiczną i poznać po niejednym szczególe początkującego autora; ale nie czyni mu to ujmy. Wszak znane przysłowie: „Ex ungue leonem.“ Jako wadę „Grajka“ zaznaczylibyśmy, że żywioł liryczny (w rozmaitych pieśniach i śpiewach) i żywioł powieściowy a więc epiczny, przeważają nad dramatycznym. Jako powieść lub epos byłaby to rzecz znakomita; jako dramat pozostanie tylko książkowym dramatem. Autor sam do swego dzieła podaje objaśnienie następne:

„Co roku w czasie żniw idą masami górale sanoccy do Węgier na zarobek, otrzymując zapłatę w pewnej części zebranych plonów. W takiej podróży ileż to się nie rozegra scen przeróżnych, miłostek i intryg?

Wieśniacy w górach nigdy nie uznają miłości za coś naturalnego, i każdy zakochawszy się, jest pewny, że został oczarowany. Z drugiej znów strony wierzą w moc ziół rozmaitych, które działają na miłość, i już nie jeden uwodziciel poczuł na sobie jad jakiej leśnej rośliny — rzekomo działającej na miłość. Wierzenie zaś w grę djabłom zupełnie jest wiernie opisane, a przygodę wędrówki do głębi skał, gdzie ma być siedlisko djabłów, opisywał pewien stary grajek, która przytrafiła mu się, zapewne w czasie upicia się lub prawdopodobniej w czasie tyfusu, gdyż łysą głowę wskazywał jako przez djabłów odartą.“

I te motywa ludowe nastręczyły też autorowi wątku do jego obrazu dramatycznego, którego treść w następujących określimy słowach:

Tak jak w „Upiorach“ wiejski Donżuan, Olejan, tak tu syn bogacza Hnata, Iwan bałamuci wiejskie dziewczęta i zaleca się to do Marysi, córki grajka Wasyla, to do córki starej czarownicy Fenny, to wreszcie do Jewki, siostry byłego parobka Hnato-

wego, Hryca, naśladując w tem widocznie ojca swego, który ongiś także uchodził za słynnego uwodziciela i stał się nawet przyczyną samobójstwa pierwszej żony grajka Wasyla. Jewka udaje się po ziele, miłość wywołujące do Fenny w zamiarze podbicia serca Iwana. Fenna udziela go jej chętnie i doradza wmieszać Iwanowi do gorzałki. Jewka słucha rady a zmienny Iwan zaczyna szaleć za nią. Tymczasem w gronie żniwiarzy zjawia się Marysia a w ślad za nią zakochany w niej parobek Hryc. Marysia z początku odpycha go od siebie, nie wierząc w prawdziwość jego uczuć, ale zaczyna wreszcie wierzyć, gdy widzi, jak ją Hryc z narażeniem własnej sławy i życia broni przeciwko potwarzy wiejskiej, wzmagającej się i z tego powodu, że obejście Hnatowe zgorzało, w czem główną winę przypisuje głos ludu ojcu jej jako nieprzebłaganemu wrogowi Hnata. Iwan skutkiem owej wieści oświadcza bez namysłu Marysi, że „jej już nie lubi“ i porzuca ją. Nie opuszcza jednak wierny Hryc, ślubujący jej niewygasłą miłość. Marysia pod pozorem, że ją głowa boli, posyła go po wodę i korzysta z chwilowej jego niebytności, aby opuszczać wszystko i wszystkich i iść w świat daleki, nie chcąc przykuć do swej niedoli niewinnego Hryca. Hryc wracając od krynicy, nie zastaje już ukochanego dziewczęcia. Z monologiem krótkim, malującym jego rozpacz, kończy się akt pierwszy, rozgrywający się w Węgrzech, podczas gdy widownię następnych trzech aktów stanowią Karpaty sanockie.

Drugi akt przedstawia się jak gdyby wspaniały lecz ponury epizod, dla urozmaicenia wplątany w akcję. Jaka moc liryzmu w całym dramacie, o tem można się przekonać z tego jednego aktu. Wśród nocy oświetlonej jedynie błyskawic blaskiem wychodzi z lasu karpackiego grajek Wasyl, ojciec Marysi w towarzystwie swego basisty. Pełen zabobonnej trwogi opowiada on mu dawne dzieje, jak to przed dwudziestu laty znienawidzony Hnat, ojciec Iwana, żonę mu uwiódł, która się następnie utopiła, aby uiść zemsty zazdrośnego małżonka, jakie wieści krążą o bajecznej mocy czartów, porywających do czartowskiej debry każdego grajka, wałęsającego się

w tych okolicach wśród nocy i wyraża obawę, że i jego zmuszą do nieupragnionego grania. Wtem djabły wypadają ze skały i porywają go z sobą. Wasyl widzi trupy samobójców i samobójczyń, wisielców i wisielic, topielców i topielic, nurzących się w wodzie albo kołyszących się na gałęzi.

Zjawia się między samobójcami także pierwsza żona grajka. Rekapitulując stare grzechy, przestrzega Wasyla, aby lepszy nadzór miał nad córką, mogącą uledz skuszeniom uwodziciela, bo „piękna.“

„Piękną jest grajku! czy słyszysz?

Wasyl.

Oh! słyszę,

Ale jej cnotę moją krwią podpiszę.“

Żona rozwodzi się dalej nad ulubionym tematem, podnosząc niebezpieczeństwa, na które piękność i młodość narażają, co powoduje Wasyla do odpowiedzi, zbyt filozoficznej i górnolotnej jak na takiego grajka:

„Jesteś kobietą nawet poza grobem.“

Tymczasem wnoszą djabły trupa samobójcy Iwana, który się obwiesił i odgrażają się Wasylowi, że niebawem i jego córkę Marysię podobny los spotka, gdyż jako samobójczyni zginąć ma w topieli. Znak krzyża, zrobiony nad nią przez obcego przechodnia, wstrzymuje ją jednak i niweczy zamiary djabłów. Czarci, ostrzeżeni pjaniem kogutów, puszczają Wasyla, na pamiątkę jednak pobytu jego wśród nich, djabeł pierwszy głaszcze go szyderczo po głowie, która wskutek tego zupełnie łysą się staje, a żona przestrzega go jeszcze raz, aby dobrze pilnował córki. Przestrogą samobójczyni kończy się drugi akt.

Jeśli pierwszy akt obrazu dramatycznego introdukcję tegoż stanowić się zdaje, jeśli drugi raczej na epizod wygląda, to w trzecim natomiast skupia się cała prawie akcja dramatu. Hryc szukający śladów ukochanej Marysi, napotyka przypadkowo w lesie na złodziei, którzy nie obawiając się obcych słuchaczy, zdradzają, że oni to podpalili obejście Hnata i uprowadzili mu woły, o które to czyn opinja publiczna dotąd obwiniła niewinnego Wasyla. Hryc wpada między nich. Jeden złodziej ucieka,

drugi mocuje się z Hrycem, ale ulega jego przemocy, zadawszy mu wprzód ciężkie pchnięcie w bok. Następuje odsłona nowa. Wasyl zjawia się w towarzystwie basisty, tocząc z nim ożywioną rozmowę. Rozmowę tę przerywa mściwy Hnat, który się zjawia w towarzystwie żandarma i wieśniaków, oskarzając Wasyla o podpalenie a córkę jego o używanie czarów w obec Iwana, który się przez nią życia pozbawił. Po krótkim oporze poddaje się Wasyl swemu losowi. Zbiegają się wieśniacy i wieśniaczki, między nimi Hanka, druga żona grajka, Marysia, córka jego i Onufer, syn Wasyla, który w krytycznej chwili siostrę chcącą się zabić, wyratował. Charakterystycznie od innych odbija się chciwość Hanki, która w chwili gdy jej męża w kajdanach do więzienia zawlec mają, tylko o tem myśli, aby jej znaczny zapis uczynił. Interwencja Hryca zjawiającego się niespodzianie ze złodziejem związanym, ocala życie i cześć grajkowi. Szlachetny zbawca Wasyla a kochanek Marysi traci jednak z powodu nadmiaru wzruszeń i gwałtownego upływu krwi przytomność, a Marysia, w której przytłumiona dotąd miłość dla Hryca nagle wybucha, szuka po raz wtóry śmierci, uderzając głową to o ścianę, to o ziemię, wstrzymana prawie gwałtem przez brata i przez ojca. Dzikimi wybuchami rozpaczy dziewczęcia, klnącego bratu i sobie, kończy się trzeci akt.

W czwartym akcie przedstawia autor Wasyla na łożu śmiertelnem. Stary grajek godzi się ze swoim losem. Hryca poświęcenie wykazało przecież przed całym światem jego niewinność, a Hryc sam, z ran wyleczony, żyje tylko myślą o Marysi, która mu się wzajemnością odwdzięcza; ale oboje biedni. Jakaż to przyszłość może ich czekać! Trapi także umierającego Wasyla myśl, że Hnat, chociaż pozbył się już podejrzenia upadlającego co do niego, jednak nie odwołał dotąd jeszcze potwarzy, rzuconej na Marysię. W tym celu prosi Wasyl Hnata do siebie, aby bodaj w obliczu śmierci do zgody go nakłonić. Hnat nie chce jednak słyszeć o żadnej zgodzie a Marysia znowu za dumna, aby się przed bogaczem korzyła. W tej chwili działa jako deus ex machina

Jewka, przyznająca się z własnego popędu do winy, że u czarownicy Fenny zamówiła owe czary na miłość, owe zioła, które następnie taki fatalny wywołały skutek. Hnat odwołuje potwarz, rzuconą na Marysię jako na czarownicę i obiecuje nawet na znak zgody kochankom własnym kosztem wyprawić wesele. Wasyl zadowolony przyrzeczeniem tem, żegna obecnych ostatniem uderzeniem czarodziejskich swoich skrzypiec i umiera.

Sambor, 16. Marca 1888.

G. Kohn.

SPRAWOZDANIE Z CZYNNOŚCI MOICH.

Przy sposobności zakończenia książki i zamknięcia rachunków oddaję niniejszem jako dochód z jedenastego tomu wydawnictwa na cele dobroczynne 25 złr. na towarzystwo Wincentego a Paulo a tyleż na bursę samborską. Brak czasu, zdrowia i pieniędzy niech mię usprawiedliwią w obec publiczności za możliwe uszczuplenia w tekscie, brak miejsca niech mię usprawiedliwi w obec współpracowników za chwilowe nieumieszczenie prac zapowiedzianych poprzednio. Wszakże temu samemu losowi uledz musiały nawet niektóre z moich własnych. Prenumeratorom, którzy obok przedpłaty na rocznik uiścili także przedpłatę na dzieło: „Polska w świetle niemieckiej poezji,“ mające wyjść całkowicie jako dodatek przy 15-m roczniku, wyda się bilety prenumeracyjne aż do tej chwili, gdy ostatnia kwota uiszczoną zostanie. Z 20-centowych tych datków uzyskano dotąd fundusz w wysokości 56 złr. 60 ct. na druk dzieła, którą to kwotę złożono w kasie oszczędności lwowskiej.

Sambor, 20. Marca 1888.

G. Kohn.

Spis przedpłacicieli:

Biała i pow. bialski: Dr. Bogdanik, Czytelnia polska, Władysław Dissel, Robert Foedrich, ck. Starosta, Dr. Bernard Ichheiser, Krysta, Dr. Stiasny, Anna Ścisławska, Marja Zyckiewicz, w Białej, Gmina miasta Oświęcima, Majkowski, Dr. Nowak, A. Polaszek i B. Thieberg, w Oświęcimie.

Bochnia: Ks. Grzegorzek i Leopold Płaziński, ck. Starosta w Bochni.

Bohorodczany: Sobota, Strasser, ck. Starosta i Szeliński w Bohorodczanach.

Borszczów i pow. borszczowski: Kazimierz Dobrowolski, Hordyński, Dr. M. Komeriner, Kopystyński, Michniowski, Pichurski, Piotrowiczówna i August Szczurowski, w Borszczowie, Kozaniewicz, Makarewicz i René, w Skale.

Brody: Bronisław Garwoliński, Henryk Garwoliński, Fr. Gaudnik, H. Goldlust, Manisz Koller, Markus Mach i Antoni Witosławski, burmistrz miasta Brodów.

Brzesko i pow. brzeski: Edmund Romer, ck. Starosta w Brzesku, Karol Prochaska, w Radłowie i Franciszek Marzec, w Wierzchosławicach.

Brzeżany: Dzbański, Gizowski, ks. Krupiński, Kurowski, Józ. Wł. Łobos i Wolski, w Brzeżanach.

Buczacz i pow. buczacki: Mieczysław Burzyński, Dr. Krzyżanowski, Nęcki, Dr. Obtułowicz, Dr. Reiss i Stupnicki, w Buczaczu, Teodor Lewicki, Leonard Smolik i ks. Turkiewicz, w Monasterzyskach, Dr. Jan Bołoz Antoniewicz, w Skomorochach.

Chrzanów i pow chrzanowski: Dr. Teodor Pawlas, Zygmunt Brochwicz-Rogoyski, ck. Starosta i Kamila Sporyszowa, w Chrzanowie, Etgens, w Krzeszowicach.

Cieszanów i pow. cieszanowski: Tytus Karchezy, ck. Starosta, Jan Strzelecki i Jan Winiarski, w Cieszanowie, ks. Jan Jabłonowski, Jan Postępski i E. Turnheim, w Lubaczowie.

Czerniowce (na Bukowinie): Dominik Klein, Wit Mokrzycki, Towarzystwo polskie bratniej pomocy i Czytelnia polska, w Czerniowcach.

Czortków i pow. czortkowski: Bieńkowski, Dr. Diamant, Andrzej Hołubowski, Juliusz Niewiadomski, ck. Starosta i Dr Stöckl, w Czortkowie, Józefa Bogdanowiczowa, w Dżurynie.

Dąbrowa: Szczorbiński, Trzeciecki i Dr. Zaremba, burmistrz w Dąbrowie.

Dobromil: Dr. Aleksander Bieńczewski, Dr. Józef Byk, Czytelnia kasynowa, Fąfarski i Alojzy Schneider, w Dobromilu.

Dolina i pow. doliński: Jankowski i Sołtyński, w Dolinie, Antoni Sabatowski, w Rożniatowie.

Drohobycz: S. A. Apfel, Dr. Natan Apfel, Dr. J. Fruchtman, Partykiewicz i Ignacy Wierzbicki, w Drohobyczu.

Gorlice: Władysław Jarosz, Dr. Karol Neuman i Dr. Śleczkowski, w Gorlicach.

Grac (w Styrji): Dr. Ludwik Gumplowicz, w Gracu.

Gródek i pow. gródecki: Bazyli Dmuchowski, burmistrz w Gródku, Adolf Henze, Rafał Nowosielski i Świszczowski, w Gródku, Dr. Henryk Koliszer, w Czerlanach.

Grybów: Antoni Brason, Józef Falter i Alojzy Muszyński, w Grybowie.

Horodenka i pow. horodeński: Norbert Lorsch, ck. Starosta w Horodence, ks. Mardyrosiewicz, ks. Nowobielski, Dr. Franciszek Rauch, Robacki, Schuster i Teichman, w Horodence, Eugeniusz Ambros, Albert Nahlik i Władysław Wyspiański, w Obertynie.

Husiatyn: Ks. Bojarski, Horodecki i ks. Szamocki, w Husiatynie.

Jarosław: Konwent OO. Dominikanów i Dr. Julian Ruczka, w Jarosławiu.

Jasło: Dr. Adamski, Dr. Bieńczewski, Antoni Danielewicz, Klemens Sienkiewicz i Dr. Fr. Ks. Wiediger w Jaśle.

Kałusz: Klemens Drozdowski, ck. Starosta, Fuss, Stanisław Komornicki, Ignacy Przestalski i Skrowaczewski, w Kałuszu.

Kamionka Strumiłowa i pow. kamionecki: Ludwik Lis, Juliusz Łempicki i Dr. Edwin Płażek, ck. Starosta w Kamionce Strumiłowej, Marceli Tustanowski, w Busku i Dr. Brzechowski, w Radziechowie.

Kołomyja: Władysław Chojnik, Józef Funkenstein, Dr. Głaczyński, ks. Koblański, Witold Maczek, Dr. Maramarosz, Dr. Milgrom, Dr. Piaskiewicz, Rybczyński, Sendzimir, Jan Sidorowicz, Feliks Sierpiński, Dr. Gabrjel Sysak i Salamon Wieselberg, w Kołomyi.

Kosów: Bursa, Chodziński, Sabat, ck. Starosta, Sielecki i Józefa Wiśniowska, w Kosowie.

Kraków: Abderman, Bociański, Estreicher, Głuszkiewicz, Dr. Horowitz, Dr. Michał Ichheiser, Kallay, Dr. Łepkowski, Józef Łukaszewicz, Dr. Piekosiński, Zygmunt Resch, Dr. Schmidt, Sebestjan Stafiej, Dr. Marceli Studziński, Dr. Weigel i Dr. Zoll, w Krakowie.

Pow. krośnieński: M. Drążyk, Cezary hr. Męciński i Florjan Minkusiewicz, w Dukli.

Limanowa: Władysław Haydukiewicz, Józef Mars, Wiktorja Misky, Wincenty Potocki, Józef Stawski i Jan Weyde († 1887) w Limanowie.

Lisko i pow. liski: Dr. Freysinger, w Lisku, Teofil Tencza, w Baligrodzie, Giełdanowski, Wł. Majewski, Karol Morwitz, K. Okniński, Juliusz Riedl i B. Rotter, w Ustrzykach dolnych.

Lwów i pow. lwowski: Bank kredytowy, Dr. Blumenfeld, Dr. Salamon Bund, Dr. Emil Byk, J. Chołodecki, Antoni Czarkowski, Dr. Czeszer, Diamand, Dr. Dzięddzielewicz, Dr. Goldman, Dr. Gottlieb, Grabiński, Dr. Gross, Dr. Hefern, Dr. Herschman, Dr. Holzer, Samuel Horowitz, Józef Howorka, Zygmunt Jasiński, Dr. Jekeles, Klipunowski, Dr. Józef Koliszer, Wł. Kostro, Dr. Edward Lilien, Juliusz Makarewicz, Dr. Filip Mansch, Jerzy Mayer, Edward Mochnacki, Prezydent miasta Lwowa, Dr. Niementowski, M. Nirenstein, Jakub Piepes, D. Posner, M. Pyszyński, Dr. Bernard Reich, Juliusz Reiss, Zygmunt Richtman, Wł. Rieger, Dr. Schaff, Dezydery Schneider, Dr. Skałkowski, Karol Sklepiński, Władysław Smolka, Smutny, Dr. O. Stand, Dr. Henryk Szydłowski, Dr. Ernest Till, Dr. Weiss, Welichowski, Wewiórski, Dr. Artur Wiktor, Dr. Franciszek Wolski, Władysław Wszelaczyński, Liberat Zajączkowski i Franciszek Zoner, we Lwowie, Zygmunt Groblewski i G. Liszka, w Winnikach, Stanisław Matkowski, w Szczercu.

Łańcut i pow. łańcucki: Jan Cetnarski, burmistrz w Łańcucie, Ludwik Danielewicz, Antoni Hanusz i Alina Kahane, w Łańcucie, Czepielewski, Głębocki, T. Kamiński, ks. Ścisłowicz i Świątecki, w Przeworsku.

Mielec: Dr. Brandt, Derenowski, Józef Droba, Pawlikowski, Szymański i Turczynowicz, w Mielcu.

Mościska: Dorożewski, w Mościskach.

Nadwórna i pow. nadwórniański: Alojzy Braun, Jan Chomiak, Jan Kisielewski, Wilma Lewicka i Włodzimierz Wołoszyński, w Nadwórnie, Józef Hołubowicz, w Delatynie.

Nowy Sącz i pow. nowosądecki: J. Dzięciołowski, Albin Kuczabiński, Józef Pisz, Feliks Ritter, *Dr.* Schornstein, Alojzy Szklarski, ck. Prezydent sądu i *Dr.* Wąsikiewicz, w Nowym Sączu, Władysław Ambroziewicz i *Dr.* Gawełkiewicz, w Starym Sączu.

Nowy Targ: Dr. Ernest Geissler, Ludwik Kamieński, Michał Łukaszewicz i Magistrat miasta Nowego Targu.

Pow. pilzneński: Izydor Rozmarin, w Brzostku.

Podhajce: Michał Borowski, burmistrz miasta Podhajec, Kasyno podhajeckie, Krawczyk, Lilienfeld, Łoś i Karol Popiel, ck. Starosta w Podhajcach.

Przemyśl: Dr. Baumfeld, Dr. Alfons Bieńczewski, Dr. Doliński, Dornwald, Franciszek Dudek, *Dr.* Dworski, burmistrz miasta Przemyśla, Edward Gorecki, ck. Starosta i Radca Namiestnictwa, A. R. Janeczek, Celestyn Jaworski, Fr. Kwaśniewski, Majerski, *Dr.* Mendrochowicz, Rokicki, *Dr.* Rosenbach, Andrzej Skala, *Dr.* Skórski, *Dr.* Smutny, *Dr.* Tarnawski i Franciszek Zych, w Przemyślu.

Przemyślany: Emil Baranowski i *Dr.* Waligórski, w Przemyślanach.

Rawa ruska i pow. rawski: Michał Gądolewski, Grzesikiewicz, *Dr.* Natan Kibitz, Mayer, Praszałowicz, Franciszek Szyjkowski i Hipolit Zawzięty, w Rawie ruskiej, Rudolf Düll, Ks. Felsztyński i Florentyna Kusztelanowa, w Uhnowie.

Rohatyn i pow. rohatyński: Władysław Manasterski, Karol Mühlner, Wiktoryn Reichelt, ck. Starosta i Wiktorja Schwarzowa, w Rohatynie, Leokadja Żytyńska, w Stratynie, Fr. Burzyński, Juliusz Hermanowicz, Fr. Ksawery Niwiński i Edmund Wohlfeld, w Bursztynie.

Ropczyce: Józef Bogaciewicz, Seweryn Chrząszczewski i Michał Zaleski, w Ropczycach.

Rudki: Czytelnia miejska, G. Dzundza, Gmina miasta Rudek i Kazimierz Kurek, w Rudkach.

Rzeszów: Dr. Als, *Dr.* Barzycki, ks. Fałat, *Dr.* Fechtdegen, Kalinowski, *Dr.* Reich, ks. Szaflarski, Tomasz Tokarski i *Dr.* Zbyszewski, burmistrz miasta Rzeszowa.

Sambor i pow. samborski: Angerman, *Dr.* Biegelmayer, Aleksander Donicht, Leon Finsterbusz, Eleonora Fiternikowa, Karol Hanik, *Dr.* Irzyczek Maciejowski, Wilhelm Kasparek, G. Kohn, Kolasiński, Konwent OO. Bernardynów, Wilhelm Kuhnen, Karol Negrusz, *Dr.* Niedźwiecki, († $^{23}/_{12}$ 1887), Marjan Oleński, Józef Paszkiewicz, Przetocki, Józef Przybylski, *Dr.* Władysław Skalski, *Dr.* Michał Stefko, *Dr.* Justyn Witz i Eustachy Zajączkowski, w Samborze, *Dr.* Ludwik Dolański, w Rakowéj i Ludwik Balicki, w Wykotach.

Sanok i pow. sanocki: Józef Dzundza, *Dr.* J. Galant, *Dr.* Iskrzycki, Ludwika Kahane, Ładyżyński, burmistrz miasta Sanoka, Miszkiewicz, Staruszkiewicz, Leon Studziński, ck. Starosta, Ludwik

Świerczyński, *Dr.* Izydor Taubenfeld, Włodzimierz Witoszyński i Bronisława Zarewiczowa, w Sanoku, *Dr.* Dukiet i Anna hr. Potocka, w Rymanowie.

Skałat i pow. skałacki: S. A. Telichowski, w Skałacie, Dujanowicz, H. Goldlust, Goldstern & Löwenherz, St. Kądziolski, Emil May, *Dr.* Isaak Metall, H. Ostersetzer, Szumlańska i Tiger, w Podwołoczyskach.

Śniatyn i pow. śniatyński: Ferdynand Linde, ks. Dziekan Stankowski i Bolesław Takliński, w Śniatynie, Adolf Schapira, w Zabłotowie.

Sokal i pow. sokalski: Józef Arvay, Dominik Derdacki, Bruno Eitelberg, *Dr.* Filipowski, burmistrz miasta Sokala, Geissler, Franciszek Kozakiewicz, Rauch, L. Rożałowska, J. Spis, Franciszek Szymusik, Dyonizy Tchórzewski, ck. Starosta i Radca Namiestnictwa, *Dr.* Wejda, E. Wysoczański, *Dr.* Wyspiański i Zaczkowski, w Sokalu, A. Gross, w Bołzie.

Stanisławów: Artychowski, Borecki, Cetwiński, *Dr.* Michał Fischler, Józef Jaegerman, *Dr.* Kamiński, burmistrz miasta Stanisławowa, *Dr.* Katzenellenbogen, Kajetan Kopacz, *Dr.* Mroczkowski, Piotr Sedelmayer, Teodor Stachiewicz, *Dr.* Walery Szydłowski, Juliusz Turczyński i Ignacy Zdrassil, w Stanisławowie.

Staremiasto: Andrzej Aleksiewicz, Emil Hochleitner i Jerzy Koudelka, w Staremmieście.

Stryj i pow. stryjski: Barabaś, Antoni Stanisław Chołoniewski, Leon Gaertner, Józef Kosterkiewicz, Juliusz Kuhn, Józef Lechicki i Marceli Manasterski, ck. Starosta w Stryju, Stanisław Lechowski i Bronisław Nartowski, w Skolem.

Tarnobrzeg: Michał Bartoszewski, ks. Karol Kasel, Franciszek Riess i *Dr.* Józef Tumidajowicz, w Tarnobrzegu.

Tarnopol: Dr. Celestyn Blaustein, *Dr.* Delinowski, Jakub Gall, *Dr.* Gładyszewski, Ingwer, Gustaw Mauthner, Emil Michałowski, Mieczysław Paszkudzki, J. Roguski, Rossin, Władysław Satke, Karol Schrayer, Silkiewicz, *Dr.* Sternklar, *Dr.* Trzcieniecki i *Dr.* Józef Weisstein, w Tarnopolu.

Tarnów: Maurycy Adler, Karol Blich, *Dr.* Mieczysław Gałecki, *Dr* Ludwik Glaser, *Dr.* E. Goldhamer, M. Grabowski, Kornel Kossak, *Dr.* Lerner, *Dr.* Merz, W. Niwicki, J. O. Ks. Ludwik Łodzia Poniński, c. k. Starosta i Radca Namiestnictwa, *Dr.* Ringelheim, Karol Rudolf, *Dr.* Józef Stojałowski i *Dr.* Bronisław Wolff, w Tarnowie.

Tłumacz i pow. tłumacki: Emisberger i Ferrall, w Tłumaczu, Burkiewicz, *Dr.* Nussbaum, Tadeusz Słomka, Wichański i Witosławski, burmistrz w Tyśmienicy, Kazimierz Potocki, w Gajach.

Trembowla: Karol Berchard, *Dr.* Józef Korczak Horodyski, ks. Kaliniewicz, Jan Leśniański, Stanisław Lipnicki i *Dr.* Julian Olpiński. burmistrz w Trembowli.

Turka: Zygmunt Kozicki, Jan Majewski, Wiktor Pietsch, Konstanty Teliszewski i Wincenty Wołowiec, w Turce.

Wadowice: Michał Frąckiewicz, *Dr.* Iwański, Lipka, *Dr.* Stanisław Łazarski, Wilhelm Piernikarski, Juliusz Prezentkiewicz, Emil Stankiewicz i Wilczyński, w Wadowicach.

Wiedeń: Bernard Kohn, we Wiedniu.

Wyżnica (na Bukowinie): Jan Bohosiewicz, Antoni baron Kapri, Józef Rudkowski, Jan Sozański, Antoni Sworakowski i Ferdynand Syrzistie, ck. Starosta w Wyżnicy.

Zaleszczyki i pow. zaleszczycki: Adolf Frank, Antoni Gross, Antoni Piskozub i *Dr.* Schrenzel, w Zaleszczykach, Jan Niżyński, Antoni Semkowicz i Józef Świderski, w Tłustem.

Zbaraż i pow. zbaraski: Julian Borzemski, Kukawski, Antoni Petter, *Dr.* Tyralski i ks. Tobiasz Ucherek, w Zbarażu, Antoni Grabski, w Ochrymowcach.

Złoczów i pow. złoczowski: *Dr.* Billet, burmistrz w Złoczowie, baron Brunicki, *Dr.* Celestyn Fried, Garfein, Frydryk Kuhnen, *Dr.* Misky, Wilhelma Niedźwiedzka, *Dr.* Wesołowski i Antoni Wybranowski, w Złoczowie, Leon Willner, w Zborowie.

Żółkiew: Konwent OO. Dominikanów, Maurycy Jan Maresch i Robert Nabielak, w Żółkwi.

Pow. żydaczowski: Antoni Stecher, w Mikołajowie, Karol Brzozowski, w Drohowyżu, Bałaban, Chomiak i Tyszkiewicz, w Żurawnie.

Niewiadomy z miejsca pobytu: Godzisław Kobuzowski.

TREŚĆ.

Str.

Andruszewicz Bolesław, Bohot, powieść 19
" " Wspomnienie o Miodoborach, poemat opisowy (z ryciną dodatkową.) . 177
" " Płowce, rapsod rycerski . . . 280
Antonowiczówna Janina, Wicher szaleje w grudniowe noce, pieśń 79
" " Wyrobnica, zdarzenie prawdziwe . 204
" " Co nas rozdzieli?, wiersz . . 215
" " Nie budź mię, proszę! wiersz . . 286
B.... z nad Bystrzycy, Bogini słońce, przyczynek do mitologii słowiańskiej 213
Ks. Barącz Sadok, Rzecz o prawdzie historycznej, rozprawa 287
Bielewiczowa Marja, Myśli jesienne, wiersz . . . 191
" " Fantazja, wiersz 193
Brzuszczanin Bohdan, Do Józefy K...., wiersz . . . 202
" " Tęskno w sercu, pieśń . . . 203
Chmielewski Józef, Bóg tak chce, wiersz 194
Czaplicki Władysław, Wspomnienia z czasów przed dwudziestu laty (z ryciną) 85
Feldman Wilhelm, Ustęp z poematu: „Powołanie pieśni“ 222
Groblewski Michał, Upiory, poemat epiczny w 10-ciu pieśniach 135
I. *T.* VI. Z podań legendy żydowskiej. Stary świecznik (według Samuelego) 217

Str.
Kohn G., Ostatnie chwile Agatona Gillera w Stanisławowie i pogrzeb jego, pośmiertne wspomnienie (z ryciną tytułową) 3
„ „ Z Mirza-Schaffy (Bodenstedta) 176
„ „ Echa z wystawy krakowskiej (z 5-ma rycinami i planem sytuacyjnym wystawy w Sukiennicach) 224
„ „ Bibliografia 323
„ „ Sprawozdanie z czynności moich . . . 346
Kovats Alma, Równość grobu (z Thomasa) 307
Marzec Franciszek, Na cmentarzu, wiersz 192
„ „ Łza żalu, legenda 200
Morawski Szczęsny, Janiczary sławiańskie i branki w XV. stuleciu, historyczna rozprawa . . 52
„ „ Naukowość lita w Anglii — i u nas, szkic 188
Nałęcz Pius z Witoszyna, Do skowronka, wiersz . . 212
Olechnowicz A. S., Piosenka 191
„ „ „ Aforyzm 194
Romanowski Mieczysław junior, Wigilia więźnia stanu w katordze, wiersz . . . 17
„ „ „ Wymarsz hufców, balada . 132
S. Marceli ze Śniatyna, Cztery pory roku, allegorja . . 285
Satke Władysław, Wiersze liryczne 47
Schornsteinówna Olga, Aurelia, nowela 308
Solecki Edmund Leon, Życiorys Władysława Czaplickiego 81
Weyde Aniela, Wycieczka do Oleska, opowiadanie . . 195

SPIS RYCIN.

Agaton Giller, (rycina tytułowa, według fotografii Tadeusza Artychowskiego ze Stanisławowa.) — Inicjałka, (według fotografii Franciszka Schofera ze Sambora, str. 3.) — Władysław Marjan Czaplicki, (według fotografii Józefa Edera ze Lwowa, str. 80.) — Do „Wspomnień o Miodoborach,“ (według rysunku Bolesława Mogiły Andruszewicza, obraz dodatkowy między str. 176. a 177.) — Z wystawy krakowskiej, (5 rycin, według fotografij Stanisława Bizańskiego z Krakowa.) Główny pawilon, (str. 228.) — Pawilon Götza, (str. 232.) — Akwarjum barona Gostkowskiego, (str. 233.) — Browar parowy Johna, (str. 277.) — Fabryka betonów Zieleniowskiego, (str. 279.)

SPROSTOWANIE POMYŁEK.

Str.	wiersz	zamiast:	czytaj:
13	6	20. lipca	18. lipca
123	36	prześliczej	prześlicznej
226	6	koaks	koks
259	32	stojący za nim młode pacholę,	stojący za nim, młode pacholę,

(Z powodu przypadkowego rozsypania formy powstały jeszcze następne 2 błędy:)

Str.	wiersz	zamiast:	czytaj:
275	17	efetky	efekty
275	20	Kośicuszko	Kościuszko

Dla publicznej wiadomości.

Zgodnie ze sprawozdaniem mojem uwiadamiam P. T. Publiczność, że z wkładek na dodatkowe, przy „Rocznikach Samborskich“ wyjść mające dzieło:

„POLSKA W ŚWIETLE NIEMIECKIEJ POEZJI“

uzyskano dotąd 56 złr. 60 ct., którą to kwotę redakcja złożyła w kasie oszczędności lwowskiej.

Tak nowoprzystępujący, jak i starzy przedpłaciciele mogą zatem korzystać z warunków na okładce X. rocznika, jakoteż w prospekcie do XI. rocznika podanych. Kto jednak zrywa przedpłatę na dodatkowe dzieło: „Polska w świetle niemieckiej poezji,“ ten nie może mieć pretensji ani do zwrotu pieniędzy, ani do jakiegokolwiek odszkodowania.

G. Kohn,
redaktor i wydawca „Roczników Samborskich.“
